

CZASEM MUSISZ ZARYZYKOWAĆ ŻYCIE,
BY SPEŁNIĆ SWOJE NAJSKRYTSZE PRAGNIENIA

MROCZNE SERCA



JUSTYNA
PIOTR

NOVAE RES

JUSTYNA PIOTR

Mroczne Serca



NOVAE RES

*Dla mojego męża, Kaspra.
Bez Ciebie ta książka nigdy by nie powstała.*



Rozdział 1

Sen

Gdzie jestem? Oddychałam coraz szybciej, czując, jak przerażone serce wybija szybkie uderzenia, jak powoli dławi mnie strach. Ocknęłam się, wyrwana z koszmarnego snu przez pulsujący ból zlokalizowany w obrębie skroni. W głowie miałam pustkę. Ze wszystkich stron otaczała mnie ciemność.

Co się stało?

Odtwarzałam w myślach ostatnie wydarzenia. Restauracyjny stolik, przy którym siedziałyśmy z Anką, moją przyjaciółką, przykryty był wykrochmalonym, białym obrusem. Na kieliszku do wina odcisnęła się moja szminka. W drzwiach pojawił się mężczyzna. Spojrzał na mnie, by zaraz przenieść swój wzrok na Ankę. Uśmiechał się przy tym, przechylając głowę na bok, i ruszył w naszą stronę.

– Mateusz. – Wyciągnął do mnie dłoń na powitanie.

– Mal, to mój znajomy. – Anka szczebiotała. – Pracujemy razem. Co ty tu robisz, Mat?

Ich oczy błyszczały. Kelner dostawił krzesło do stolika, a ja zostałam przyzwoitką. Dopijałam wino, wlewając jego ostatnie krople prosto do spragnionego gardła. Wyszłam z restauracji, nie chcąc się przyglądać niezręcznym zalotom. Odprowadzili mnie wzrokiem, machając na pożegnanie. Wracałam bulwarami, noc była spokojna. A teraz jestem tutaj.

Tylko gdzie jest to „tutaj”? I jak się tu znalazłam?

Nogi miałam obolałe, lecz sprawne. Poruszyłam palcami u stóp, napięłam mięśnie ud i pośladków. Lewa dłoń i przedramię bolały, ale nie tak mocno jak głowa. Sukienka nadal okrywała ciało. Bielizna znajdowała się na swoim miejscu. Na moich oczach i czole ktoś położył chłodny okład. Poruszyłam ręką, chcąc zdjąć go z twarzy, jednak zraniona dłoń odmówiła posłuszeństwa. Nagły ruch sprawił, że zalała mnie nowa fala bólu. Jęknęłam cicho. Spróbowałam przekręcić głowę na bok. Kark, zeszywniały i obolały, nie chciał ze mną współpracować.

– Postaraj się tak nie wiercić. – Męski, gardłowy głos ciął ciszę na ostre kawałki, potęgując mój ból głowy. – Nieźle oberwałaś.

Krzyknęłabym, zerwałabym się z tej kanapy, przerażona i zszokowana tym, że ktoś stał tuż obok, bacznie mnie obserwując, lecz nie byłam w stanie. Struchlałam, zaciskając pięści.

– Jestem Julian. Jesteś u mnie w mieszkaniu. Jesteś tu bezpieczna i nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo – mówił powoli i spokojnie, przesadnie akcentując kolejne sylaby. – Czy pamiętasz, co się stało?

– Nie... – przyznałam, gorączkowo przeczesując czeluści umysłu.

Pamiętam, jak mijałam grupki młodych ludzi pijących piwo nad brzegiem Wisły. Śmiali się głośno, puszczali muzykę ze swoich o wiele za drogich telefonów. Pamiętałam nocnych spacerowiczów wyprowadzających niesforne psy na smyczach. Przechodziłam pod mostem. Z naprzeciwka w moją stronę biegł umięśniony, barczysty mężczyzna w szarym dresie.

Co to za wariat ćwiczy po nocy? – pomyślałam, przewracając oczami. I właśnie wtedy poczułam szarpnięcie. Obslizgłe ręce uniosły mnie nad ziemię. Nic więcej nie pamiętam. Straciłam przytomność.

– Złodziej wyrwał ci torebkę i rzucił tobą o ścianę – wyjaśnił nieznajomy. – Upadłaś i rozcięłaś sobie głowę o krawężnik. Biegłem za nim chwilę, ale nie dałem rady go dogonić. Wróciłem do ciebie. Byłaś nieprzytomna.

– I zabrałeś mnie do siebie? – skonstatowałam, nie dowierzając. – Zamiast zadzwonić po karetkę?

– Mieszkam na tyle niedaleko, że wydało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

Ten dziwny mężczyzna pochylił się nade mną i zdjął mi okład z czoła. Powoli otworzyłam powieki, kilkakrotnie mrugając i pozwalając oczom przyzwyczać się do światła. On wisiał nade mną lekko przygarbiony. Jego twarz nad moją twarzą. Ręką przytrzymał się oparcia kanapy. Czułam na policzkach jego miarowy oddech, nozdrza wyłapały zapach skóry. Przyglądałam mu się, jakbym pierwszy raz widziała człowieka. Z dziecięcą ciekawością sunęłam wzrokiem po każdym centymetrze jego twarzy: czoło miał

wysokie, gęste brwi uniesione w geście zaciekawienia, skórę śniadą, nos szeroki, a naturalną czerwień ust podkreślała okazała czarna broda. I oczy: kontrast bieli i czerni, niespotykany, jakby źrenica przejęła moc nad tęczówką, pożerając jej kolor i próbując rozpuścić się na resztę oka.

Co ja właściwie robię? Zamrugałam, wierząc się na kanapie.

– To ty mnie okradłeś! – Zgięłam nogi w kolanach, szykując się do tego, by wstać.

Zaśmiał się tylko, kręcąc głową. Wyprostował się i odsunął ode mnie o kilka kroków. Szerokie barki, wąskie biodra. Burza czarnych, długich loków wiła się serpentynami na jego ramionach. Westchnęłam, odrzucając wizję, w której zaplatam te włosy na swój wskazujący palec.

– Mogę zadzwonić na policję, jeśli chcesz. – Podrapał się po czole.

– Może chcę... – odparłam.

– Myślisz, że pomogą? – kpił ze mnie. Silne, umięśnione ręce założył na piersiach.

Chrząknęłam w odpowiedzi i spróbowałam unieść się na rękach, jednak te mnie zawiodły, a zbyt nagły ruch wywołał na mojej twarzy grymas bólu.

– Boli? – zapytał, a ja zamruczałam twierdząco. – Ma prawo. Pomogę ci usiąść – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął w moją stronę rękę.

Dotknął dłonią prawego ramienia, tego mniej obitego, asekurując mnie, gdy niezgrabnie podnosiłam się z pozycji leżącej. Usiadł koło mnie, dość blisko, nasze kolana dotykały się przy każdym ruchu. Wstrzymałam oddech, gdy jego palce, zupełnie przypadkiem, musnęły mnie po wgłębieniu łokcia. Na mojej skórze pojawiła się gęsia skórka, a w głowie zawirowało i z pewnością nie miało to związku z urazem.

– W porządku? – zapytał, trzymając mnie nadal za ramię, jakby się bał, że zaraz runę na podłogę.

– Nie – szepnęłam, oszołomiona jego bliskością.

Julian przyglądał mi się z ciekawością, przytrzymując cały czas moją rękę, a kontakt z jego dłonią wypalał mi na skórze niewidzialne ślady. Nie mogłam się skupić, czując ciało tego mężczyzny tak blisko mojego. Uniosłam wzrok, bezczelnie wwiercając spojrzenie w jego twarz. To był błąd...

Gdy napotkałam wzrok Juliana i spojrzałam w te dwa czarne, bezbrzeżne punkty udające oczy, na moje policzki spłynął rumieniec godny nastolatki. Głupia ja!

– Zaczniemy może od imienia. – Jego usta poruszyły się, wydobywając z czeluści krtani nienaturalnie zachrypnięty głos. – Pamiętasz, jak się nazywasz?

– Mam na imię Mal – wydukałam w odpowiedzi, wierząc się na miękkich poduchach.

Delikatnie odsunęłam się od niego, licząc na to, że tym sposobem odzyskam trochę animuszu. Puścił mnie, bez słów rozumiejąc moją intencję, i zapewnił mi trochę przestrzeni. Odetchnęłam z ulgą, lecz tylko na chwilę. Wydawało mi się, że na ułamek sekundy jego oczy zaszyły ciemną, gęstą mgłą. Zamrugał, odwróciwszy twarz. Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz, ale starałam się zignorować to uczucie.

Nagle na stoliku kawowym zaczął wibrować telefon. Julian wstał i sięgnął po niego, odbierając połączenie.

– Poczekaj chwilę – rozkazał dzwoniącemu, po czym zwrócił się do mnie: – Zaraz wrócę.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, kto dzwoni do niego o tak późnej porze. Był w końcu środek nocy.

Julian wyszedł na taras i zamknął za sobą drzwi balkonowe. Kątem oka przez szybę widziałam, jak przykłada słuchawkę do ucha. Odwrócił się do mnie plecami, opierając o barierkę. Zastygł w tej pozycji i tylko co jakiś czas energicznie potrząsał burzą czarnych loków.

Wzięłam głęboki oddech, korzystając z chwili, w której nie przytłaczała mnie jego aparycja. Powoli zaczynały do mnie docierać bodźce z mieszkania – zapach lawendy i goździków unoszący się w powietrzu, tykanie starego zegara. Rozejrzałam się dookoła z nieskrywaną ciekawością. Rozległa, otwarta przestrzeń salonu połączonego z kuchnią i jadalnią pozwalała powietrzu swobodnie krążyć po mieszkaniu. Nowoczesność wnętrza złamana była pojedynczymi antycznymi meblami. Modna kuchnia w formie wyspy, zlokalizowana na środku dzieliła pomieszczenie na strefy, oddzielając starodawny, odnowiony drewniany stół i dwanaście rzeźbionych krzeseł od części, w której się znajdowałam: zainscenizowanego minisaloniku z dwiema bliźniaczymi kanapami, marmurowym stolikiem kawowym i miękkim, puszystym dywanem w kolorze płowej szarości.

Ściana ogromnych okien balkonowych po mojej prawej zapierała dech w piersiach: z tarasu, okalającego wschodnią część mieszkania, w mglistym świetle księżycy prezentowała swoje krągłości

warszawska Wisła. Tryptyki na ścianach po drugiej stronie pomieszczenia równoważyły lekkość naturalnego widoku prawego brzegu rzeki. Ciemne, olejne kolory w artystycznych oprawach przedstawiały chrześcijańskie motywy: niebo, piekło i ukrzyżowanie, kreska przypominała styl Hieronima Boscha. Wymalowane twarze nieszczęśników, torturowanych przez karykaturalne diabły, odbijały się w ogromnym, spatynowanym lustrze. Stało ono oparte o ścianę w części mieszkania, która musiała uchodzić za przedpokój. Goście, wchodząc do środka, witani byli tym przerysowanym widokiem piekła. Niezapomniane pierwsze wrażenie gwarantowane!

Z lustra przeniosłam wzrok na stojący obok rzeźbiony w drewnie zegar z fikuśnym, posrebrzonym wahadłem. Wybijał kolejne sekundy cichym, mechanicznym pomrukiem, wskazując trzecią w nocy. Serce zabiło mi mocniej. Gdy wychodziłam z restauracji, zostawiając Ankę z Mateuszem, było niewiele po jedenastej. Czyżbym aż tyle czasu spędziła nieprzytomna na tej nieznamomej kanapie? Wzdrygnęłam się na samą myśl, co w tym czasie mógł mi zrobić Julian.

Ale nie zrobił mi nic – pomyślałam, uspokajając sama siebie.

Przeniosłam wzrok na mojego wybawcę, który właśnie zamykał za sobą drzwi balkonowe. Z wyrazu jego twarzy nie potrafiłam odczytać towarzyszących mu emocji: czy był zły, znudzony czy poirytowany. Ostry zarost uwydatniał mocne kości policzkowe, sprawiając, że sam wyglądał trochę jak postać z tryptyku na ścianie.

Usiadł bez słowa na stojącej naprzeciwko kanapie. Włosy związał w nonszalancki kucyk, wyciągając z kieszeni gumkę do włosów.

– To ty biegleś w moją stronę, zanim... – zawahałam się.

Wydawało mi się, że śnię aż nazbyt abstrakcyjny sen, nie potrafiąc nawet wymówić słowa „napad”.

– Tak – odpowiedział spokojnie, układając dłonie na kolanach. – Miałaś sporo szczęścia, że byłem w pobliżu. Minąłem cię już, gdy usłyszałem jakiś dziwny dźwięk. Odwróciłem się z czystej ciekawości, a tamten zaczął już uciekać z twoją torebką. Leżałaś na ziemi bez ruchu.

– Zabrał mi torebkę – wydyszałam.

Zerwałam się na równe nogi, ignorując pulsujący ból i zawroty głowy, które nachodziły mnie co kilka minut. Nerwowo rozglądałam się dookoła, jakbym liczyła, że jednak znajdę moją własność gdzieś na tej kanapie, a słowa nieznanego to jedynie wyjątkowo kiepski żart. Zawzięcie przerzucałam poduchy, schyliłam się, zaglądając pod kanapę. Ale wszystko, co miałam tej nocy przy sobie: klucze do mieszkania, portfel, dokumenty i telefon, zniknęło wraz ze złodziejem.

Julian zaśmiał się pod nosem.

– Co w tym śmiesznego? – warknęłam, rzucając mu rozgniewane spojrzenie.

– Długo ci zajęło połączenie tych wątków. – Był całkiem rozbawiony moją nagłą szarżą na jego kanapę. – Ale nie martw się, odzyskam twoje rzeczy.

– Jak, przepraszam, chcesz to zrobić? – spytałam zaskoczona.

– Podasz mi swój numer telefonu, namierzemy złodzieja.

Zamknęłam oczy, gdyż właśnie dotarło do mnie to, co oczywiste. Ja śnię. To jest sen o agencji specjalnym, polskiej wersji Bonda. Byłyśmy ostatnio z Anką w kinie na kolejnym filmie z serii, a teraz mózg spletał mi figła, fundując pierwszy w życiu świadomy sen.

– Albo możesz iść na policję – dodał, a ja spojrzałam na niego już trochę spokojniejsza. To w końcu nie była rzeczywistość. – Na pewno pomogą.

– Nawet jeśli namierzysz mój telefon, to co będzie potem? – zapytałam, siadając na kanapie. – Pójdiesz i grzecznie poprosisz złodzieja o oddanie moich rzeczy?

– Właśnie tak. – Puścił do mnie oko.

Przyglądałam mu się z uniesionymi brwiami. Oto on: Julian Wybawca. Dziki i tajemniczy nieznanomy, przystojny, perfekcyjny w każdym calu, stworzony ze skrawków moich fantazji, siedział naprzeciwko mnie, uśmiechając się, gotowy pomóc mi w mojej sennej przygodzie.

– Dobrze – powiedziała po krótkiej chwili namysłu. – Jeśli masz taką możliwość, to proszę, pomóż mi.

Julian wyszczerzył zęby i kiwnął głową. Wstał z kanapy, wyciągnął z kieszeni telefon.

– Napisz mi na kartce swój numer. Kartki i długopis są w szufladzie – nakazał, dzwoniąc do kogoś.

Schyliłam się do schowka ukrytego w stoliku przy kanapie i, po zanotowaniu na papierze mojego

numeru, podałam mu kartkę. Mężczyzna ponownie wyszedł na taras.

Pokuśtykałam w tym czasie do lustra, aby zweryfikować, jak bardzo poobijał mnie mój wyśniony złodziejasek. Rozcięta skroń zaczynała już puchnąć, jednak ku mojemu zaskoczeniu rana zaczynająca się przy czole i kończąca praktycznie na skraju prawego ucha była porządnie opatrzona i posmarowana ciemną maścią. Lewą rękę miałam mocno zbitą i poranioną, powoli pojawiały się na niej sine ślady po ręce złodzieja. Kilka otarć na drugim ramieniu i na nogach. Moja ulubiona sukienka, która jeszcze kilka godzin temu miała bladoliliowy odcień, teraz była ozdobiona ornamentami z krwi i błota, a kawałek satynowej falbany oderwał się i wisiał smutno koło kolana.

Gdyby to nie był sen, gdyby to była rzeczywistość, mogłabym powiedzieć, że miałam dużo szczęścia, że jeszcze żyję. Pomijając fakt, że samo uderzenie o krawężnik mogło mnie zabić, to na dodatek nieprzytomna kobieta, leżąca pod mostem w wiosenną weekendową noc mogła być okazją dla niejednego zboczeńca. Westchnęłam, rozmyślając o Julianie: gdy byłam nieprzytomna, z niepokojącą dokładnością zadbał o każde, nawet najmniejsze, otarcie. Gdy oglądałam opatrzone przez niego rany, zarówno te na rękach, twarzy, jak i, o zgrozo, udach, mieszał się we mnie z jednej strony podziw dla jego umiejętności, a z drugiej w serce wkradał się niepokój.

Zachwiałam się na nogach, przeceniając swoje możliwości utrzymania przez dłuższy czas pozycji pionowej. Osunęłam się, lecz nim moje pośladki dotknęły podłogi, poczułam ręce Juliana na biodrach. Pochwycił mnie i przytrzymał, przyciskając do siebie.

– Połóż się jeszcze, proszę cię – szepnął trochę z przekąsem, a ja zadrżałam, gdy jego głos rezonował w moich uszach. – Nie chciałabym opatrywać ci kolejnych ran.

Gdyby w tamtym momencie nie zamroczyła mnie nagła słabość, skomentowałabym zapewne jego protekcyjny ton. Jednak czując, jak nachodzą mnie fale mdłości, nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Julian dosłownie odholował mnie na kanapę i podstawił pod nos szklankę wody.

– Udało się – powiedział, upewniwszy się najpierw, że siedzę wygodnie. – Ostatnie logowanie twojego telefonu zanim złodziej go wyłączył, złapaliśmy w miejscu, gdzie często kręcą się różne nieciekawe typy. – Wydawał się podekscytowany tą sytuacją, oczy błyszczały mu dziko, ręce zacierał kompulsywnie. – Zostaniesz tu trochę sama i postarasz się nie ruszać z kanapy?

Patrzyłam na niego tępym wzrokiem, powstrzymując śmiech; równie dobrze mógłby właśnie oznajmić mi, że idzie po bułki do sklepu za rogiem. Co miałam mu odpowiedzieć? W końcu to sen, niech się dzieje! Skinęłam głową powoli, tak, by ruch nie powodował bólu.

– Opisz mi, jak wyglądały torebka, portfel... Coś, co mi pomoże znaleźć twoje rzeczy. – Jego ton sugerował podprogowo: nie dyskutuj, współpracuj.

Odpowiedziałam więc szybko, zaskoczona swoją posłuszną reakcją:

– Torebka była niebieska, ale nie ciemna, raczej jak ciepłe morze w słoneczny dzień.

Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami, widocznie rozbawiony tym porównaniem.

– Portfel zwykły, czarny, ze złotym logo w kształcie koła. Na kluczach miałam brelok z krecikiem z tej czeskiej bajki. A na tapecie telefonu zdjęcie jelenia na polu.

– Rozumiem. – Klasnął w dłonie. – Coś jeszcze?

Pokręciłam głową i zamruczałam przecząco. Nic więcej nie mówiąc, Julian obrócił się na pięcie i w przeciagu kilku sekund wymknął się z mieszkania, nawet nie zamykając za sobą drzwi na klucz. W taki sposób, cała poobijana, bez dokumentów, pieniędzy ani jakiegokolwiek kontaktu ze światem, zostałam sama w ogromnym mieszkaniu nieznanego o imieniu Julian, mojego urojonego *bel ami*.

Piękny ten sen – pomyślałam, wypijając wodę, którą podał mi wcześniej mój wybawca. Głowa bolała mnie już solidnie i nie chciałam, żeby przesłoniło mi to dalszy ciąg wydarzeń. Sen czy nie sen, przydałyby się jakieś leki przeciwbólowe. Paracetamol, ibuprofen. Daj Boże, tramadol. Najlepiej wszystkie na raz.

Chwiejnym krokiem wstałam i zaczęłam przeszukiwać szafki w kuchni mojego nieznanego obrońcy, ale nie znalazłam tam nic, co mogłoby mi pomóc. Może trzyma leki w łazience? Tylko gdzie tu jest łazienka? W części mieszkania, w której byłam, znalazłam tylko schludną, wąską toaletę, z wytapetowanym na czarno sufitem. Podążyłam w stronę korytarza, gdzie ukryte były jeszcze cztery pary drzwi. Uchyliłam pierwsze z nich i zajrzałam do środka. Moim oczom ukazała się przestronna, tonąca w półmroku sypialnia z ogromnym łóżkiem, ustawionym naprzeciw wejścia. Kołdra była zmierzwiona, jakby ktoś dopiero co się obudził i nie zdążył jej poprawić. Prawa strona pokoju została zabudowana szafą wnękową. Po lewej, oprócz

pięknej, drewnianej komody z rzeźbionymi drzwiczkami, uchylone były drzwi do łazienki. Tego szukałam.

Przeszłam szybko przez pokój i włączyłam światło. Ciemne, marmurowe kafle na podłodze i ścianach robiły wrażenie. Łazienka była prawie tak duża jak sypialnia; ze stojącą wanną usytuowaną na środku, osobnym prysznicem w lewym rogu pomieszczenia i dwiema umywalkami, z której tylko jedna była widocznie używana. Zaczęłam przeszukiwać wnętrza szafek, jednak oprócz butelki męskich perfum, maszynki do golenia i zapasowej pasty do zębów nie znalazłam nic, co pomogłoby mi ulżyć w cierpieniu.

Co to za człowiek, który nie ma w domu żadnych leków? Zarówno ja, jak i większość osób, które znałam, trzymały w domu zapas leków pozostałych po niespodziewanej chorobie. Moja mama takie leki kolekcjonowała niczym zdobycze po wygranej bitwie: dorobiła się trzech wypełnionych po brzegi plastikowych pudeł, które zajmowały jej całą szafkę w kuchni (żeby, jak to mawiała, były zawsze pod ręką).

Wyszłam zrezygnowana z łazienki. Kolejny pokój okazał się gościnną sypialnią połączoną z imponującą biblioteką. Dwie ściany pełne książek: część z nich nowa, w tekturowych, krzykliwie zadrukowanych okładkach, część starsza, w eleganckich oprawach z materiału, gdzieniegdzie wypłowiałych i podniszczonych. Zapach starych książek, który unosił się w tym miejscu, kłócił mi się z lekkością reszty tego nowoczesnego mieszkania. Pod oknem Julian postawił stare dębowe biurko, na którym stała lampka i nic więcej. Rozkładana kanapa ukryła się smutno w rogu pokoju. Nie wyglądała na używaną. Zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Następne pomieszczenie: kolejna łazienka, w zamyśle architekta pewnie gościnna, przerobiona teraz na pralnię. Przechesałam półki pod lustrem. Proszki do prania, chemia gospodarcza, leków brak. Westchnęłam, nie mając już nadziei na ulgę od niedogodności tej przedziwnej nocy. Chwyciłam ręką za klamkę ostatnich drzwi, zakładając, że pewnie jest to składzik na domowe „przydasie” albo kolejna sypialnia – jednak te okazały się zamknięte na klucz. Kto, mieszkając sam, zamyka drzwi na klucz? A może zamknął je ze względu na mnie? Pokręciłam głową – nie miałam siły o tym myśleć, więc powłóczyłam nogami do salonu, stwierdzając, że najlepszym wyjściem w tej sytuacji będzie położyć się chociaż na chwilę i liczyć na cud.

Usiadłam na brzegu kanapy w salonie i sięgnęłam po pleciony koc leżący na oparciu sofy, po czym naciągnęłam go na siebie. Ze zmęczenia i emocji moje ciało odmawiało już posłuszeństwa, szczypały mnie igiełki zimna, a pod powiekami czułam piasek. Czekając, aż Julian wróci, rozpląnąłam się i pozwoliłam snu zupełnie przejąć nade mną kontrolę.

*

Delikatne promienie poranka spływały ciepłym światłem na ciemną, drewnianą posadzkę, rozbudzając mnie leniwą łuną, która uparcie wdzierała mi się pomiędzy rzęsy. Pod powiekami miałam jeszcze obraz twarzy nieznanego, Juliana, jego czarnych węgielków, wydatnego nosa i gęstych włosów, które ochotę miałam mierzwić między palcami.

Otworzyłam oczy, niechętnie pozbywając się jego widoku, oczekując, że wzrok ześlizgnie się miękko po grubych, złotawych zasłonach mojej niewielkiej sypialni. Sen jednak trwał w najlepsze, a ja nadal leżałam na kanapie, na której usnęłam poprzedniej nocy. Julian krzątał się po kuchni, wypachniony, przebrany i schludnie uczesany.

Czyżby mój świadomy sen okazał się rzeczywistością?

Narastające mrowienie w dole brzucha zapewniło mi napływ świeżej porcji adrenaliny, która skutecznie mnie otrzeźwiła. Przyglądając się zwinnym ruchom mojego nieznanego wybawcy, zupełnie niepasującym do jego olbrzymiej sylwetki, zastanawiałam się, czy oto właśnie oszalałam, czy może uderzenie w głowę sprawiło, że zagłębiłam się w halucynacjach, pozwalając omamom pochłonąć mnie i pchnąć na skraj odrealnienia? Nie było przecież takiej możliwości, żeby to się wydarzyło naprawdę. Nie było takiej szansy, żeby Julian rzeczywiście istniał. Musiał być wytworem mojej umęczonej głowy: ten dziki uśmieszek, to aż do przesady wyrzeźbione ciało, ten chrypiący głos. Julian nie miał prawa być realny.

Stojąc w tej zwykłej, warszawskiej kuchni, wyglądał jak wyrwany z innej bajki, jak dzika bestia udająca tylko ucywilizowanie, na siłę wciśnięta w ramy zachowań społecznych wielkiego miasta, gotowa wyrwać się z tego kieratu przy pierwszej możliwej okazji i rzucić się na mnie, folgując zwierzęcym instynktom. Potężnie umięśnione ręce i nogi, napięte i zwarte, gotowały się do tego skoku, usta czekały, by zalać mnie pocałunkami. To nie mogło być realne, a jednak! On tam naprawdę stał. Mężczyzna z krwi

i kości, ubrany w absurdalnie oczywistą białą koszulkę i czarne dżinsy, z włosami spiętymi tuż nad karkiem w koczek.

– Już nie śpisz – stwierdził niespodziewanie, odrywając się od kuchennych czynności. – Mam twoje rzeczy.

Zamrugałam oczami, dziwiąc się sama sobie, że nie zauważyłam ich wcześniej. Na stoliku, tuż przede mną, leżała ona: ubłocona i sfatygowana, jakby ktoś szorował nią po asfalcie, moja torebka. Chwyciłam ją i przejrzałam zawartość. Wszystko było na miejscu: klucze, portfel, dokumenty. Nawet telefon, choć najbardziej poszkodowany, miał zbitą szybkę i musiał się wyładować, ale był, leżał tam bezczelnie, w co nie mogłam uwierzyć, wpatrując się w niego jak w Świętego Graala.

– Dziękuję ci bardzo – wyjąkałam zakłopotana, gdy spojrzał mi prosto w oczy. – W sumie to nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Nie byłem pewny co do telefonu. – Zignorował moje nieudolne próby wyrażenia wdzięczności, wchodząc mi w słowo. – Miał ich kilka.

– Tak, to mój. – Kiwnęłam głową. – Dziękuję.

Julian podszedł do mnie i wręczył mi kubek czarnej, gorącej herbaty. Usiadł obok i założył nogę na nogę. Upiłam łyk napoju, a kłębiące się w głowie pytania parowały wraz z wrzątkiem wlewany prosto w gardło.

– Jak odzyskałeś moje rzeczy?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się we mnie kilka chwil: w twarz, zaspane oczy, pobrudzoną sukienkę, po czym chrząknął, wycierając otwarte dłonie w wierzch ud.

– Zjesz ze mną śniadanie – zakomunikował wojskowym tonem.

Wybałuszyłam oczy, obserwując, jak wstaje z kanapy i wraca do kuchni, ignorując moje pytanie.

– Hej, pytałam o coś! – powiedziałam, odstawiając kubek na stolik kawowy.

Zaśmiał się tylko pod nosem i pokręcił głową.

– Jajka? – zapytał, otwierając lodówkę.

– Odpowiedzi. – Wstałam z kanapy i chwiejnym, nadal nieco niepewnym krokiem podeszłam do niego bliżej i oparłam się o skraj kuchennego blatu. Nadal czułam w ciele wydarzenia wczorajszej nocy.

– Czyli jajka... – skwitował, przewracając oczami.

Położył papierową wytłaczankę na blacie. Gdy sięgał po jedno z jaj, z poirytowaniem chwyciłam go za rękę. Jego dłoń, gorąca i gładka w dotyku, znieruchomiła, a on spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Co ty robisz? – wyszeptał trochę zbyt nerwowo.

– Uzyskuję odpowiedzi. – Wyszczrzyłam zęby, wypuszczając jego dłoń. – Skoro mam już twoją uwagę, słucham... Jak odzyskałeś rzeczy?

– Nijak – skwitował rozmowę oschłym tonem.

– Odzywka godna dwunastolatka... – westchnęłam, kręcąc głową, i obróciłam się na pięcie, żeby zabrać z salonu torebkę. Zarzuciłam ją sobie na ramię i skierowałam się do wyjścia, a złość działała na mnie jak mocny analgetyk, znieczulając ciało.

Julian obserwował mnie, zaciskał przy tym usta i pięści, by nagle ruszyć w moją stronę. Złapał mnie za rękę dokładnie w momencie, gdy zdążyłam już chwycić klamkę od drzwi wyjściowych. Jego dłoń parzyła jak ogień. Strzepnęłam ją z siebie szybkim machnięciem, uderzając się przy tym w mebel stojący tuż przy drzwiach. Zakłęłam pod nosem.

– Nie powinnaś się tak rzucać. Zrobisz sobie krzywdę – zagrzmaiał.

– A ty nie powinieneś ignorować moich pytań.

– Ja nic nie powinienem – stwierdził gorzko, napierając na mnie ciałem.

Stałam oparta plecami o drzwi wejściowe, wdychając jego nachalne perfumy, gdy pochylał się nade mną, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– Jeśli chcesz już iść, zawiozę cię chociaż do domu.

– Jeśli chcesz mnie odwiedzić do domu, musisz mi powiedzieć, jak odzyskałeś moje rzeczy. – Założyłam ręce na piersiach.

Przewrócił oczami i wziął głęboki oddech.

– Grzecznie o nie poprosiłem.

Prychnęłam. Julian bez słowa sięgnął do miski, która stała na szafeczce przy wejściu, biorąc z niej

portfel i kluczyki do samochodu, po czym zaprowadził mnie do windy. Gdy zjeżdżaliśmy na parking podziemny, powietrze aż wrzało od napięcia między nami – sekundy dłużyły się niemiłosiernie. Wreszcie dojechaliśmy, a on puścił mnie przodem, po czym pokierował w prawo. Podszedł do czarnego camaro i otworzył mi drzwi od strony pasażera. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik, a ja podałam mu adres mojego bloku. Ruszyliśmy z piskiem opon, dynamicznie wyjeżdżając wprost na Wisłostradę. Julian zawrócił zgrabnie na najbliższym skrzyżowaniu i skierował się w stronę Mokotowa. W milczeniu mijaliśmy kolejne ulice.

Ten absolutnie irytujący mężczyzna zerkał ukradkiem w moją stronę, a promienie wiosennego słońca odbijały się w jego czarnych oczach, ukazując ich przerażającą głębię: jeśli oczy były zwierciadłem duszy, jego musiały być dawno zapomnianą, zarośniętą studnią głębinową. Co do duszy – nie byłam pewna, czy kiedykolwiek ją miał.

Udawałam, że nie widzę tych spojrzeń, którymi mnie obdarzał, tych niechcianych liźnięć, które jego wzrok zostawiał na moich kolanach i dekolcie. Udawałam też, że sama nie zerkam na niego, że wcale nie analizuję tych zwierzęcych oczu. Udawałam, że wcale, ale to wcale nie wzbudzał we mnie zainteresowania.

– Będziesz się teraz dąsać? – spytał mnie, przerywając ciszę mocno akcentowanymi sylabami, a rozbawienie w jego głosie sprawiło, że wybuchłam.

– Dąsać? Chyba ze mnie kpisz! Nic nie mówię w odpowiedzi na twoje milczenie.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Pokręcił głową, zaciskając smukłe palce na krawędzi kierownicy.

– O prawdę... – naburmuszyłam się. – Mam chyba prawo wiedzieć, jakim cudem odzyskałeś moje rzeczy? Skąd wiedziałeś, kto je ukradł? Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? Przecież to nie może być takie proste: ot tak, poszedłeś tam, gdzie ostatnio zalogowany był mój telefon, i poprosiłeś przypadkowego pana złodzieja o oddanie łupów? Skąd wiedziałeś, że to on? Skąd wiedziałeś, że to moje rzeczy?

Słowa wylewały się ze mnie, były jak wezbrana woda, która sprawiała, że beton tamy pękał i kruszył się, z niszczyielską mocą uderzając w pobliskie miasteczka.

Julian sapnął, ostro zahamował i zatrzymał się na chodniku przy ulicy. Byliśmy już niedaleko mojego osiedla.

– Co sugerujesz? – warknął wzburzony.

Jego twarz z rozbawionej i pogodnej w ciągu sekundy zmieniła się i gdy na mnie spojrział, ledwo udało mi się zdusić krzyk. Czerń tęczówki rozlała się po oku niczym tusz na kartce, łapczywie pochłaniała biel na rzecz otchłani. Nie trwało to dłużej niż kilka sekund. Jego oczy po chwili wróciły do poprzedniego stanu, a on sam wzdrygnął się oszołomiony. Oddychał ciężko, zaciskając pięści.

– Co chcesz usłyszeć? – zapytał ponownie, jakby to, co się przed sekundą wydarzyło, nie miało wcale miejsca. – Że pojechałem tam i dorwałem gościa, który w szemranym barze przechwalał się, jak załatwił jakąś dziunię na bulwarach? Że wyciągnąłem go na zaplecze i biłem tak długo, aż sam stracił przytomność? Że barmani jeszcze przez tydzień nie będą mogli domyc podłogi brudnej od jego plugawej krwi? To chcesz usłyszeć?

– Zabiłeś go? – Zamarłam...

– Zwariowałaś? – zachnął się, unosząc brwi. – Oczywiście, że nie. Tylko porządnie obiłem.

– Czemu nie mogłeś mi tego powiedzieć od razu?

– Ponieważ nie zamierzam się nikomu tłumaczyć, rozumiesz? – Odpalił na powrót silnik, lecz nim ruszył, zdążyłam odpiąć pas i otworzyć drzwi samochodu. – Co ty robisz? Zamykaj te drzwi!

– Wychodzę, żebyś nie musiał się nikomu więcej tłumaczyć – powtórzyłam jego słowa, po czym dodałam: – Dziękuję za podwiezienie.

Wyskoczyłam z samochodu i z impetem trzasnęłam drzwiami, zostawiając go skonsternowanego. Szybkim krokiem ruszyłam w stronę mieszkania, resztkami sił zmuszając się, by nie oglądać się za siebie. Pisk opon, który doszedł do moich uszu, gdy Julian ruszył w drogę powrotną, przyniósł chwilową ulgę. Odetchnęłam i zatrzymałam się na środku chodnika, jednak spokój nie trwał zbyt długo. Pulsujący ból głowy doszedł do głosu, wywołując silne mdłości.

Powłóczyłam nogami i próbowałam nie myśleć o torturach, jakie towarzyszyły mi przez całą drogę do domu. Potykałam się o nierówne płyty chodnikowe, przytrzymując się najbliższych latarni czy mijanych po drodze płotów, by nie upaść. W myślach prześladowały mnie czarne oczy Juliana, fundując kolejne zawroty głowy.

Byleby dojść do domu – myślałam, gdy skręcałam w kolejną ulicę. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek tak bardzo się ucieszyła na widok mojego bloku mającego na horyzoncie. Poczłapałam szybciej, skupiając się tylko na tym, by znaleźć się już w bezpiecznych ścianach mojego mieszkania.

Drzwi wejściowe otwierałam drżącymi ze zmęczenia i głodu rękoma, chwilę szarpiąc się z nimi i szamocząc. Gdy zamek wreszcie ustąpił, od razu powędrowałam do kuchni, do mojego własnego pudełka z lekami, przeczesując je w poszukiwaniu upragnionego tramadolu. Niestety opakowanie po leku okazało się puste. Cisnęłam nim do kosza na śmieci i sięgnęłam po ibuprofen. Łyknęłam trzy tabletki i popiłam je zimną wodą z kranu. Będzie musiało wystarczyć.

Idąc korytarzem w stronę łazienki, ściągnęłam z siebie sukienkę, bezceremonialnie rzuciłam ją na podłogę i od razu skierowałam się pod prysznic. Ciepła woda szczypała skórę, gdy moczyłam świeże rany, zmywając z nich zaschnięte maści i krew. Nie wiem, ile czasu spędziłam, pozwalając miękkim kroplom obmywać moje ciało, licząc przy okazji na to, że kąpiel ukoi również myśli, odetnie mnie od wszelkich pozostałości po Julianie – od jego zapachu, którym doszczętnie przesiąknęłam, od dotyku palców, który zostawił na mojej skórze niewidoczne ślady, i wreszcie od tych zwierzęcych, diabolicznych oczu.

Śniadanie zjadłam szybko, połykając kolejne kęsy suchego rogalu posmarowanego dżemem, by chwilę później znaleźć się w łóżku, znużona i umęczona, moszcząc się we własnej, bezpiecznej sypialni. Telefon podłączony do ładowania co chwilę wibrował. Przykryłam go drugą poduszką i przekręciłam się na bok.

Sen szybko mnie zmorzył, ale nie przyniósł ukojenia. Śniło mi się, że Julian stał nade mną, a ja nie mogłam się ruszyć. Jego oczy, czarne punkty na mapie dzikiej twarzy, świdrowały mnie na wskroś, jakby zaglądał w środek, patrzył przez skórę na tkanki i narządy, szukając ukrytej pośród nich duszy. Ukłakł przy mnie, dotykając mojej dłoni swoją. Jego dotyk palił mnie i mrowił – silny i delikatny zarazem.

Chciałam krzyknąć, żeby zostawił mnie w spokoju, ale nie mogłam wydusić słowa, dźwięki grzęzły mi w gardle, zamieniając się tylko w głuche pomruki. Nie miałam siły, żeby go odepchnąć. Nie miałam możliwości, by wyrazić sprzeciw. Nie mogłam się ruszyć. Pochylał się, coraz bliżej i bliżej, uśmiechając się i oblizując koniuszkiem języka swoje pełne, nabrzmiące usta. Czułam jego oddech na twarzy. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy nasze nosy praktycznie stykały się czubkami. Rozchylił wargi. Wiedziałam, co ma nastąpić, i przestałam się opierać...

Ostry dźwięk brutalnie zakończył mój sen, wyrывая mnie z niego w kulminacyjnym momencie. Usiadłam na skraju łóżka, przecierając oczy. Ktoś zawzięcie dobijał się do drzwi. To pukanie nie znosiło sprzeciwu, tak jak naciskany z gorliwością guzik dzwonka.

Co u licha...

Wstałam, zarzucając na siebie szlafrok, i podeszłam do judasza. Krótka obcięta blondynka, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, dobijała się do mieszkania.

– Anka, wyluzuj! – krzyknęłam przez zamknięte jeszcze drzwi. – Już otwieram!

– Czy ty mogłabyś czasem odbierać telefon? – Wpadła do mieszkania niczym huragan, krzycząc na mnie piskliwym głosem. – Dzwonię, piszę, a ty nic. Nawet nie dałaś znaku, że wróciłaś do domu! Zamartwiam się od rana, że ktoś cię porwał, zgwałcił czy coś!

Odwrociła się w moją stronę i zamilkła, zakrywając usta dłońmi.

– Co ci się stało? – wyszeptwała, otwierając szeroko oczy.

Zaśmiałam się pod nosem, zerkając na swoje odbicie w lustrze zamontowanym na drzwiach szafy wnękowej, która skutecznie udawała garderobę. Wilgotne jeszcze włosy wywinięte miałam we wszystkie strony świata, a solidnych rozmiarów siniak na czole nabierał kolorów; to tylko kwestia godzin, zanim zejdzie pod oko. Szlafrok, na szczęście, ukrywał poobijane ręce i nogi.

– Usnęłam z mokrymi włosami. – Wyszczrzyłam zęby, zadowolona ze swojego niezbyt wyrafinowanego żartu.

– Nie o włosy pytam... – Skrzywiła się i podeszła bliżej. Przyglądając się mojemu rozcięciu na skroni, zasypywała mnie pytaniami. – Co się stało? Kto ci to zrobił? Nic ci nie jest? Byłaś na policji?

– I tak byś mi nie uwierzyła – powiedziałam i podążyłam do salonu, wymijając ją w korytarzu.

Pobiegła za mną, rzucając swoją kolorową, ręcznie wyszywaną torebkę w róg kanapy. Usiadłyśmy przy stole, a ja pokrótce opowiedziałam jej o zupełnie absurdalnych wydarzeniach poprzedniej nocy. Łapała się za głowę, cmokała, ale słuchała mnie uważnie z wypiekami na twarzy i wysoko uniesionymi brwiami.

– Jest przystojny? – spytała na koniec, zupełnie szczerze i rozbijając.

Zamknęłam na chwilę oczy... Czy ona nie słyszała, co właśnie jej opowiedziałam? Ktoś mnie okradł i rzucił mną tak mocno, że o mały włos nie straciłam życia, uderzając głową w krawężnik. Obcy mężczyzna, jakkolwiek nie byłby urodziwy, zamiast wezwać karetkę, po prostu zabrał mnie z ulicy, nieprzytomną i krwawiącą, wprost do swojego mieszkania. Zanim się ocknęłam, opatrzył mnie, by na koniec zrobić manewr godny agenta wywiadu i odnaleźć skradzione rzeczy. Pobił przy tym złodzieja, a na koniec... Westchnęłam... Część, w której oczy Juliana zamieniły się w dwie czarne, bezdenne kule pominęłam w swojej opowieści, obawiając się, że Anka od razu zadzwoni do lekarza po skierowanie na tomografię głowy. Te oczy musiały być wytworem mojego umęczonego bólem i nerwami umysłu. Nie widziałam żadnej innej opcji.

– Ty tak na serio? – wycedziłam przez zęby po chwili, próbując odrzucić od siebie wspomnienie żywej, czerniejącej głębi.

– Tak, na serio. Przystojny? – Bezczelnie oczekiwała odpowiedzi.

– Bardzo... – Kiwnęłam głową, wbrew wszelkiej logice, a słowa prawdy łaskotały mnie w żołądek.

Co się ze mną działo? Powinam się go bać. Był gwałtowny, dziki i agresywny, a że do tego przystojny, co z tego? Jest wielu atrakcyjnych przestępców i socjopatów, od których kobiety, takie jak ja i Anka, powinny się trzymać z daleka. Oprócz fascynującej twarzy i wyrzeźbionego ciała, przy takim mężczyźnie czekałyby mnie tylko kłopoty. Kłopoty, których nie potrzebowałam w swoim nudnym, układanym z trudem od lat, życiu.

– Masz jego numer? – zapytała. – Powinnaś do niego zadzwonić.

– Nie mam. Ale nawet gdybym miała, nie popełniłabym takiej głupoty – zaprotestowałam, kręcąc energicznie głową. – Ja nic o nim nie wiem, ani jak ma na nazwisko, co robi... Równie dobrze może być jakimś gangsterem albo... – Zawahałam się, zakrywając oczy dłonią.

– Albo co? – dopytywała moja przyjaciółka.

– Albo to on mnie okradł i wszystko, co się wydarzyło, to była jakaś dziwna, chora gra znudzonego osiłka.

Anka zaśmiała się, uderzając otwartą dłonią w blat stołu.

– Mal, proszę cię, po co miałby robić coś takiego?

– Nie było cię tam – westchnęłam, przypominając sobie czarne jak noc, dzikie oczy Juliana. – Nie widziałas go, tego, jak się zachowywał. To była dla niego zabawa.

– Przesadzasz – skwitowała, wstając od stołu. – Myślę, że powinnaś jakoś się z nim skontaktować. Wiesz, podziękować mu. W końcu uratował cię z opresji, odzyskał twoje rzeczy. A ty zachowałam się, noo... jak ty.

Pokręciłam głową, uśmiechając się do siebie w duchu i wyobrażając sobie, jak zjawiam się pod jego drzwiami z butelką wina. Pukam obitymi knykciami, a on otwiera i staje przede mną, zaskoczony tymi odwiedzinami – w końcu rozstaliśmy się w gniewie – lecz nie protestuje i bez słów wpuszcza mnie do środka. Wręczam mu prezent, a nasze dłonie ocierają się o siebie. Moje ciało przechodzi dreszcz, policzki rumienią się trochę zbyt mocno. Zdradzieckie pomioty! Julian to zauważa, dotyka ich palcami, delikatnie muskając skórę...

Przestań, Mal! – skarciłam sama siebie. *Nie możesz nawet tak myśleć!*

– Anka, jak ty to sobie wyobrażasz? – Odrzuciłam od siebie tę frywolną fantazję. – Gość jest zdrowo pokręcony.

– Przy nim przynajmniej byłabyś bezpieczna – stwierdziła Anka, podchodząc do okna z uśmiechem na ustach. Oparła się o parapet i cmoknęła w moją stronę. – Wiesz, taki Julian by cię przypilnował. Przydałby ci się w końcu taki macho.

– To nie jest mężczyzna dla mnie – powiedziałam stanowczo. – Był agresywny.

– To nie jest agresja! To testosteron – powiedziała lekceważąco. – A ty przesadzasz, faceci muszą się trochę wyszaleć. Skoki ze spadochronu, boks, te sprawy. Miałam kiedyś takiego...

Wyłączyłam się. Słuchanie kolejnej opowieści Anki o jej miłosnych podbojach było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam. Nie chciałam i nie zamierzałam angażować się w kolejne beznadziejne relacje z nie do końca zrównoważonym osobnikiem płci przeciwnej. Potrzebowałam spokoju, stabilizacji, a nie gwałtowności, która kipiała w żyłach Juliana. Decyzję o tym, że zapominam, co się wydarzyło, że

zapominam o nim, podjęłam stanowczo. Siniaki zejdą, wróci normalne życie.

Anka skończyła swoją opowieść i poszła do łazienki, a ja udałam się do sypialni po telefon, który zdążył się już naładować. Spojrzałam na zbitą szybkę. Siedem nieodebranych połączeń od mojej nieustępliwej przyjaciółki. Do tego pięć SMS-ów, także od niej, każdy coraz bardziej rozpaczliwy. Ance na pewno nie można było odmówić skuteczności. Nie dodzwoniła się, nie dobiła wiadomościami, to przyjechała łomotać w drzwi. Ale oprócz mojej blond przyjaciółki nie dzwonił ani nie pisał nikt inny. *I dobrze* – pomyślałam, ignorując delikatne ukłucie zawodu w sercu.

Rozdział 2

Sinusoida

Ze względu na to, że siniak, którego pieśczośliwie nazwałam Grzmotem, ewoluował, ozdabiając moją twarz tęczą kolorów od bladoniebieskiego, przez purpurowy, aż po krwistą czerwień, przez kolejne dni postanowiłam zostać w domu. Na szczęście firma, w której pracowałam, umożliwiła pracę zdalną, obeszło się więc bez głupich biurowych żartów moich kolegów na temat niebieskiej karty i pijackich weekendowych wybryków.

Rzuciłam się w wir obowiązków, pracując od rana do nocy. Idealne rozwiązanie, aby nie myśleć o głupotach i możliwie szybko zapomnieć o Julianie Wybawcy, jak zaczęła go nazywać Anka, oraz o całej historii z nim związanej. Wstawałam więc, jadłam śniadanie i pracowałam. Chwila przerwy na obiad i działałam dalej. Jadłam kolację, brałam prysznic i szłam spać.

Sny jednak skutecznie sabotowały mój plan. Umęczona widmem Juliana, który odwiedzał mnie każdej kolejnej nocy, zupełnie poważnie zaczęłam rozważać złożenie wizyty jakiemuś psychiatrze. Mój niezajomy zbliżał się do mnie, podchodząc powoli, jakby sekundy trwały całymi godzinami, a ja obserwowałam go w ciszy i wyczekiwałam tego, co nastąpi. Układał się koło mnie na łóżku, wsuwał pod kołdrę i kładł ręce na moim ciele, pozwalając im wędrować od ramion aż po krągłości pośladka. Głowę przysuwał blisko, zatapiając nos w zagłębieniu za uchem. Czułam na skórze jego oddech, mieszający się z zapachem goździków. Doprowadzał mnie na skraj obłądu, w magiczny sposób odbierając władzę w rękach i nogach, nie pozwalając mi się ruszyć, nie mogłam nawet zaprotestować. A gdy jego usta zbliżyły się do moich warg, budziłam się, wilgotna od potu, drżąca i zawiedziona.

Każdego kolejnego poranka, leżąc jeszcze w łóżku, na granicy jawy i snu, pozwalałam skołatanemu sercu się uspokoić. Jak można było aż tak intensywnie śnić o kimś, kogo tak bardzo chciało się zapomnieć? Czyżbym padła ofiarą pułapki niemyślenia o różowym słoniu? Czy jedynym sposobem, by pozbyć się tych niepokornych snów, była konfrontacja? Zawylałam i zakryłam twarz poduszką, nie chcąc nawet o tym myśleć. Zagłuszył mnie jednak dźwięk budzika nastawionego na siódmą trzydzieści. Był czwartek, a ja przez cztery dni zostałam doprowadzona na skraj załamania nerwowego i nie miałam nawet krzty nadziei na szybką i skuteczną poprawę mojego stanu.

Cały dzień spędziłam na udawaniu, że o nim nie myślę. Było już po dwudziestej drugiej, gdy zamknęłam swój laptop i powłóczyłam nogami do łazienki, by wziąć szybki prysznic. Pod powiekami czułam piasek. Ile bym dała, by śnić o błahych ludzkich sprawach: niespłaconych kredytach i spadaniu z wieżowców.

Wychodząc spod prysznica, kątem oka zauważyłam, że mój telefon wibruje i błyska. Na ekranie wyświetlił się obcy numer, a połyskujące cyferki krzyczały do mnie: „Odbierz natychmiast!”. Wytarłam szybko głowę i twarz, owinęłam się ręcznikiem i odebrałam połączenie.

– Nie śpisz jeszcze – zachrypiał w słuchawce Julian. – To dobrze.

Jęknęłam, czując, jak jego głos rozplywa się po moim ciele. Pięć słów: tyle wystarczyło, żebym porzuciła swoje usilne starania, by o nim zapomnieć. Dwadzieścia trzy litery, aby zmięknęły mi kolana. Co, do stu diabłów, było ze mną nie tak?

– Julian... – szepnęłam, oszołomiona.

– Chcę się jutro z tobą spotkać. Przyjadę o osiemnastej. Będę czekać pod bramą twojego osiedla – oznajmił, po czym rozłączył się, pozostawiając mnie zdezorientowaną na środku małej, zaparowanej łazienki.

Zamrugalam, wpatrując się w ekran telefonu. Czy właśnie zostałam łaskawie poinformowana, że jutro jaśnie pan Julian Wybawca zamierza się ze mną spotkać i spotkanie to odbędzie się bez względu na to, czy tego chcę, czy nie? Żadnego „Cześć, jak się czujesz?” czy chociażby upewnienia się, czy ja w ogóle mam czas i ochotę się z nim spotkać.

Irytacja bulgotała na dnie pustego żołądka. Co on sobie myśli?! Że rzucę dla niego wszystko, zmienię

plany (których co prawda nie miałam, ale przecież mogłam mieć!), podskoczę trzy razy z radości, po czym już pół godziny przed wyznaczonym terminem spotkania będę kręcić piruety pod blokiem, wypatrując czarnego camaro i jego, Juliana, już nie Wybawcy, lecz Juliana Despoty?

Podreptałam do sypialni i wskoczyłam pod kołdrę, szczelnie się nią otulając. Wzięłam do ręki telefon i szybko wystukałam SMS-a z wiadomością odmowną. W ten sposób łatwiej mi będzie kontrolować ewentualną dalszą rozmowę.

Nie mogę się jutro spotkać. Siniak na twarzy. Wyglądam jak ofiara przemocy domowej.

Wysłałam wiadomość i odłożyłam telefon na kołdrę. To powinno go odstraszyć. Wypuściłam z płuc całe powietrze, oparłam głowę o wezłowie łóżka i przetałam oczy opuszkami palców. Delikatna wibracja oznajmiła, że jaśnie pan odpowiedział.

To mi zupełnie nie przeszkadza.

Oczywiście, że ci to nie przeszkadza – pomyślałam. Ale mnie tak!

Julian, daj spokój. Pomyślą, że to TY mi to zrobiłeś.

Odpisałam mu równie szybko. *Mam cię, teraz się odczepisz.*

Trudno.

Jak to „trudno”? Westchnęłam, zastanawiając się, jakiego argumentu użyć, aby dał mi spokój. Dlaczego z tak wielką trudnością przychodziło mi powiedzenie mu wprost, że po prostu nie mam ochoty spędzać z nim czasu?

„Ale ja nie chcę się z tobą spotkać” – napisałam, lecz mój palec zawisł w powietrzu, nie pozwalając mi wysłać tej wiadomości. W tym czasie Julian napisał kolejnego SMS-a.

Jutro. 18.00. Nie będziemy chodzić po mieście, jeśli to cię martwi.

Zrezygnowana cisnęłam telefon na łóżko.

Czego on ode mnie chciał? Na pewno nie tego, co z pewnością zasugerowałyby Anka. Nie należałam w końcu do klasycznych piękności, za którymi uganiają się faceci. Byłam trochę zbyt wysoka, chociaż w przypadku Juliana o wzrost akurat zupełnie nie musiałabym się martwić. Figura raczej zgrabna, choć moja rodzicielka od lat powtarzała, że jestem jedynie smutnym workiem kości, obciążonym zbyt bladą, papierową skórą. Twarz charakterystyczna, choć raczej z kategorii tych ciekawych, ale niekoniecznie pięknych: nos szpakowaty, brązowe, głęboko osadzone oczy ozdobione ramką gęstych brwi. Fryzura trudna do poskromienia, ciemne, niesforne kosmyki sięgające ramion, które złośliwie kręciły się w różne strony, uwydatniając ostre rysy mojej twarzy.

Poza tym, nawet gdyby jakimś cudem okazało się, że wpadłam mojemu wybawcy w oko, mój wygląd, gdy Julian widział mnie po raz ostatni, pozostawiał wiele do życzenia i z pewnością nie zrobił na nim piorunującego wrażenia. Musiałby chyba wyrażać chore wręcz zamiłowanie do pokaleczonych, poobijanych i obszarpanych panienek w tarapatkach, a nie wyglądał ani nie zachowywał się jak osoba o altruistycznych pobudkach, która patrzy raczej na głębokie wnętrze niż na smutną powierzchowność.

Chwyciłam telefon i jeszcze raz przeczytałam wiadomości, które mi wysłał. Ich arogancki, niecierpiący sprzeciwu ton i ten irytujący brak ogłady sprawiały, że krew zaczynała szybciej krążyć mi w żyłach.

Napisałam Ance, że jutro, absolutnie wbrew swojej woli, widzę się z Wybawcą vel Despotą. Nie musiałam czekać za długo na jej reakcję.

Wiedziałam, że zadzwoni.

Napisała mi SMS-a, a za nim podążył kolejny.

Nie zapomnij, DEPILACJA przed randką jest koniecznością.

Bardzo śmieszne.

– odpisałam jej i prychnęłam, podłączając telefon do ładowarki.

Zgasiłam lampkę nocną i zamknęłam oczy, wtulając się w poduszkę. Moje myśli krzyczały, zonglując przeróżnymi epitetami w kierunku Juliana (arogancki!, niewychowany!, nieokrzesany!). Minął dłuższy czas, nim w końcu zmorzył mnie sen. To była pierwsza noc od tygodnia, podczas której mój wybawca nie śnił mi się tak natrętnie. Jego twarz majaczyła w oddali, na horyzoncie mojego snu, jak jasny księżyc w pełni, który nieudolnie próbuje ukryć swą poświatę za zbyt wątlymi chmurami. Tym razem Julian nie zbliżył się do mnie na tyle, bym musiała znów budzić się rozdygotana. Jednakże perspektywa nadchodzącego spotkania skutecznie utrzymywała mnie w nieposkromionym podekscytowaniu przez całe piątkowe przedpołudnie.

Następnego dnia, chwilę po godzinie siedemnastej, zamknęłam komputer i zerknęłam na telefon. Julian nie odezwał się dzisiaj ani słowem i zaczynałam powątpiewać, czy przypadkiem wczorajsza dziwaczna rozmowa i jeszcze bardziej absurda wymiana wiadomości nie były wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Napisałam mu SMS-a:

Aktualne?

Nie odpisał od razu. Wpatrywałam się w ekran telefonu kilka minut, a rosące napięcie sprawiło, że mogłabym przysiąc, że słyszałam tykanie zegara w mieszkaniu sąsiada. Minął kwadrans. Odpowiedzi brak. Może to rzeczywiście była fatamorgana? Może mój umęczony mózg płata mi figle? Postanowiłam jednak zaryzykować i zabrałam się za przygotowania. Najwyżej spędzę kolejny samotny wieczór na kanapie w bardzo stylowym anturażu. Wyjęłam z szafy rozkloszowaną spódnice w kwiaty i kremową bluzkę z dekoltem w łódkę. Z klasą, ale bez przesady. Do tego moje ulubione, beżowe baleriny. Patrząc w lustro, rozważałam różne opcje makijażu, ale mojego siniaka nie pokonałaby nawet profesjonalna wizażystka, ostatecznie postawiłam więc na naturę; delikatnie wytuszowałam rzęsy i pomalowałam usta błyszczakiem. Włosy wyprostowałam, układając je tak, by chociaż częściowo zasłaniały kolorowe limo. Jak na ofiarę napadu w trakcie rekonwalescencji wyglądałam całkiem nieźle.

O siedemnastej czterdzieści mój telefon zawibrował.

Za kogo ty mnie masz? Będę za dwadzieścia minut.

Dobry znak, przynajmniej nie postradałam jeszcze zmysłów.

Wyszedłam z mieszkania dziesięć minut przed czasem i kręciłam się przed bramą wejściową, próbując opanować podniecenie, które narastało we mnie z każdą chwilą. Czułam się jak nastolatka przed pierwszą randką.

Glupia ja – myślałam. To nawet nie jest randka. To przymusowe spotkanie z jaśnie panem Despotą, na które idę tylko dlatego, że wypada. Nic więcej.

– Opanuj się, dziewczyno – szepnęłam sama do siebie, nerwowo wygładzając materiał bluzki. Ręce pocily mi się niemilosiernie.

Czarne camaro podjechało chwilę po osiemnastej, piskiem opon nachalnie zaznaczając swoją obecność. Grupa nastolatków siedząca niedaleko na murku aż obejrzała się za tym cackiem.

Julian zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Biała koszula odcinała się od ciemnej karnacji, czarne spodnie w kant podkreślały wysportowane nogi. Brązowe mokasyny założył na gołe stopy. Włosy miał ugładzone żelamiem i związane w kucyk. Świeżo przycięta broda kusiła zapachem ziemistej wody kolońskiej, który poczułam do razu, gdy tylko Julian ruszył w moją stronę. Wpatrywałam się w niego oszołomiona tym niecodziennym widokiem, stojąc bez ruchu na skraju chodnika i zastanawiając się, czy wystroił się tak specjalnie dla mnie, czy może chodził tak wypiękniony do pracy.

– Piękne kolory ma ten twój siniak – powiedział, podchodząc do mnie. – Rzeczywiście nie powinnaś wychodzić z domu.

Uśmiechając się, podał mi rękę na przywitanie. Jego uścisk palił mnie, jakbym chwyciła rozżarzony węgiel. Nie puścił od razu, chwilę przyglądając mi się z ciekawością, jednak w pewnym momencie odchrząknął i cofnął dłoń, drugą ręką wskazując, bym podążyła za nim w stronę samochodu.

– Ten siniak ma na imię Grzmot. I tęsknił za tobą – powiedziałam, gdy otwierał drzwi od strony pasażera, wpuszczając mnie do środka. – Gdzie jedziemy?

– Do mnie. – Upewnił się, że wsiadłam. – To jedyne miejsce, w którym nikt cię nie zobaczy.

Zatrzasnął za mną drzwi i ruszył w stronę siedzenia kierowcy. Wsiadł i odpalił samochód. Silnik zaryczał, wprawiając camaro w przyjemne wibracje. Julian zerknął na mnie ukradkiem, gdy zapinałam pasy bezpieczeństwa, lecz się nie odezwał. Chwilę później ruszyliśmy.

Auto sunęło ulicami, przebijając się przez piątkowe korki, Julian co rusz zmieniał pas ruchu, oczy miał wbite w drogę. Ręce zacisnął na kierownicy.

Ręce... Długie, smukłe palce. Te palce, które tak mocno paliły moją skórę przy każdym dotyku. Czy nie powinny mieć śladów po bójkę ze złodziejem, chociażby drobnych ranek, krwistych strupów na knykciach? Pamiętam, jak kiedyś na licealnej imprezie próbowałam, dość nieudolnie, przyłożyć jednemu zbyt pijanemu koledze; jemu nic się nie stało, ja za to musiałam pojechać na ostry dyżur z rozbitą, krwawiącą pięścią, która ledwo musnęła nos kolegi i trafiła wprost w ścianę. Tymczasem ręce Juliana nie miały nawet najmniejszego otarcia.

– Czy zamierzasz milczeć cały dzisiejszy wieczór? – zapytał mnie w końcu, przerywając moje rozmyślenia o jego dłoniach.

– To ty mnie zaprosiłeś – odparłam, zaplatając ręce na piersiach. – Na tobie spoczywa przywilej zagadywania gościa.

Pokręcił głową i poklepał mnie po kolanie. Uniosłam brwi, zdziwiona tym zuchwałym gestem, jednak albo tego nie zauważył, albo zupełnie to zignorował.

– Zaprosiłem cię, droga Mał, aby dać ci możliwość okazania swojej wdzięczności za ratunek i pomoc. – Wyszczrzył do mnie zęby. – Więc tym samym oto właśnie przekazuję ci ten obowiązek. Zagaduj mnie.

A więc to tak! Zachichotałam pod nosem, pozwalając sobie dłuższą chwilę pokontemplować absurd, który właśnie wylał się z jego ust. Jasnie pan Despota łaskawie pozwala mi składać sobie dziękczynne pokłony i żąda przy tym ofiary w postaci rozmowy.

– No dobrze – przytaknęłam w końcu, marszcząc nos. – To może powiedz mi, czym się zajmujesz?

Julian zamyślił się na chwilę, zerkając raz na mnie, raz na drogę, po czym odpowiedział mi pytaniem na pytanie:

– Nie domyślasz się?

– Jak miałabym się domyślić takiej rzeczy? – Uniosłam brwi, wytrzeszczając przy tym oczy. – Nie jestem jasnowiedzem.

– A gdybyś miała zgadywać?

– To powiedziałabym, że jesteś gangsterem.

Zaśmiał się, zupełnie szczerze, a twarz rozpogodziła mu się, ujawniając drobne zmarszczki mimiczne dookoła oczu i ust.

– Kontynuuj – poprosił rozbawiony. – To ciekawe.

– Powiedziałabym, że jesteś niecierpiącym sprzeciwu, groźnym szefem gangu, który pierze brudne pieniądze, zabija świadków i porywa dzieci dla okupu. – Uśmiechnęłam się, zadowolona z tej niezwykle dowcipnej historyjki.

– I mimo że masz o mnie tak przychylne zdanie, zdecydowałam się wsiąść do mojego samochodu – stwierdził, gdy podjechaliśmy pod drzwi garażu w jego budynku. – Odważny ruch.

– Uwielbiam ryzyko. – Wyszczrzyłam zęby. Wjechaliśmy stromym zjazdem na parking. – Poza tym powiedziałam koleżance, że się z tobą spotkam. Jeśli mnie porwiesz, będą wiedzieć, że to ty.

Zagwizdał i pokręcił głową.

– Czyli już opowiadasz ludziom, że się spotykamy? Nie za szybko?

Zaśmiałam się nerwowo, czując, jak rumieńce spływają na moje policzki. W myślach dziękowałam architektowi budynku, że utopił garaż w nastrojowym półmroku, pozwalając mi ukryć, jak bardzo ostatnie słowa Juliana wpłynęły na moje krążenie.

Wysiedliśmy z samochodu i powędrowaliśmy w stronę windy. Przebywanie z nim na tak małej przestrzeni sprawiło, że dostałam gęziej skórki. *To nie jest randka* – powtarzałam sobie w myślach – *a on wcale, ale to wcale, nie jest w moim typie*. Wzięłam głębszy oddech, starając się opanować drżenie rąk. Nozdrza wypełniły się oszałamiającą mieszanką zapachów: jego wody kolońskiej, rozgrzanej skóry i goździków, sprawiając, że zakręciło mi się w głowie, co tylko pogorszyło mój stan. Przeszępowałam z nogi na nogę, próbując utrzymać równowagę.

– Wszystko w porządku? – zapytał, a ja kiwnęłam głową.

– Zrobiło mi się trochę duszno – odpowiedziałam. Winda wydała cichy dźwięk, a drzwi się otworzyły. Byliśmy na miejscu.

– Czy dowiem się w końcu, gdzie pracujesz? – zapytałam ponownie, gdy weszliśmy do mieszkania, a ja odzyskałam trochę animuszu. *Nie uciekniesz od odpowiedzi, kochaniu!*

– Sprowadzam przyprawę z najdalszych krańców świata.

– Sprowadzasz przyprawę? – powtórzyłam, krzywiąc się.

– Wyglądasz na zaskoczoną – zauważył słusznie. – Dlaczego?

Przeszliśmy do kuchni. Julian wyjął z lodówki wypełnione tajemniczymi składnikami naczynie żaroodporne i wstawił je do zimnego piekarnika. Nastawił grzanie na dwieście stopni i termoobieg, a elektroniczny minutnik na równą godzinę. Podszedł ponownie do chłodziarki i wyjął z niej butelkę białego wina. Ciemna, elegancka etykieta połyskiwała, odbijając światło ledowych żarówek, gdy obracał butelką podczas wyciągania korka.

– Szczerze? – Usiadłam na wysokim barowym krześle. – O wiele bardziej pasuje mi do ciebie gangsterka.

– Handel przyprawami byłby w takim przypadku świetną przykrywką, nie sądzisz? – Zaśmiał się.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy żartował, czy nie, dlatego nie odpowiedziałam, obserwując go w ciszy, gdy nalewał nam wina do dwóch smukłych kieliszków. Ugotował coś? Wyjął wino? Czyżby moja przyjaciółka miała rację i to rzeczywiście podchodziło pod definicję randki? Nie, nie, nie. Nie mogę tak myśleć. To nie jest facet dla mnie. Muszę się trzymać tej wersji, bez względu na to, co się stanie dalej.

Julian podsunął mi kieliszek, stawiając go tuż przy mojej ręce, jednocześnie unosząc swój do toastu.

– Za spotkanie. – Upił łyk, lecz widząc, że nie podążyłam za jego przykładem, zawahał się, trochę poirytowany. – O co chodzi?

– A może ja wcale nie chcę wina? – Moje własne słowa zaskoczyły zarówno Juliana, jak i mnie.

Halo! Dziewczyno! Pomyśl, zanim coś powiesz!

– I może wcale nie chciałam się z tobą spotykać?

– Możesz zawsze wyjść, jeśli nie chcesz tu być. Nie trzymam cię siłą – powiedział obruszony. – Albo możesz po prostu zjeść ze mną kolację i nie być niemiłą.

Przygryzłam wargę, wzdychając ciężko. Wzięłam wino do ręki i uśmiechnęłam się przepraszająco.

– W sumie jestem trochę głodna. Chyba zostanę...

– O, dzięki ci, łaskawa pani. – Pokręcił głową, przewracając przy tym oczami.

– Nie kpij ze mnie. Nie jest łatwo przebywać z tobą, a rozmawiać jeszcze trudniej. Matka chyba nie nauczyła cię manier.

Upił duży łyk wina, po czym oparł się o kuchenny blat, lustrując mnie wzrokiem od czubka głowy aż do samych stóp, bez krzty skrępowania, trochę zbyt nachalnie. Czy rozważał moje słowa, zastanawiając się, co powiedzieć? A może po prostu skorzystał z okazji, żeby mi się lepiej przyjrzeć i ocenić? Nasze spojrzenia w końcu się spotkały. Patrzyliśmy tak na siebie przez dłuższy czas, stojąc naprzeciw jak dwoje przeciwników przed rozpoczęciem walki. Te jego oczy... Bezkresne, głębokie, czarne jak smoła... Zastanawiałam się, czy nosił soczewki. Nikt normalny nie ma aż tak czarnych oczu. A może to jakaś choroba?

– Moja matka nie miała zbyt dużego wpływu na moje wychowanie – odparł w końcu. – Umarła, gdy byłam małą.

Zamknęłam oczy, zastanawiając się, jak mogłam palnąć tak okrutną głupotę.

– Julian... – jęknęłam. – Przepraszam cię, nie miałam pojęcia.

Machnął ręką, ignorując przeprosiny.

– Usiądźmy na kanapie, będzie wygodniej. – Złapał mnie za rękę i nie czekając na moją reakcję, pociągnął za sobą w stronę kącabanki z wypoczynkiem. Wrócił po kieliszki, po czym usiadł na sofie, którą kilka nocy temu okupowałam nieprzytomna. Założył nogę na nogę.

– Na co czekasz? – zapytał, gdy zauważył, że zatrzymałam się w pół kroku.

Stałam tak zdezorientowana z kieliszkiem, który wcisnął mi w rękę, zastanawiając się nad wpływem braku matczynej opieki na kategorię jego podejścia do kobiet.

– Siadaj.

– O, właśnie o tym mówię – powiedziałam do niego, ostentacyjnie siadając na przeciwległym krańcu

kanapy. Na tyle daleko, by nie mógł mnie dotknąć. Nie chciałam kusić losu. – Czy ty potrafisz normalnie rozmawiać? Czy tylko rozkazujesz?

– Jeśli to ci tak przeszkadza, to czemu tu jesteś?

– Z wdzięczności, pamiętasz? – Upiłam łyk wina i wbiłam wzrok w podłogę. Patrzenie na niego za długo wydawało mi się zbyt niebezpieczne.

– A więc tak okazujesz wdzięczność? – zapytał poirytowany. Odstawił kieliszek z winem na stolik kawowy, po czym zacisnął obie ręce w pięści. – Robisz awanturę w samochodzie i trzaskasz drzwiami w podziękowaniu za ratunek? Dajesz się porwać na kolację z winem i jeszcze narzekasz? Nie muszę ci nic mówić ani z niczego się tłumaczyć. To nie ja tu jestem dłużny.

Podniosłam wzrok, obserwując, jak napina mięśnie szczęki, gdy wyciska z siebie kolejne słowa przez zaciśnięte zęby. Mimowolnie zaczęłam skubać falbanę przy spódnicy.

– Masz rację. – Spojrzałam mu prosto w oczy. – To ja powinnam była zrobić kolację.

– Powinnaś. – Rozluźnił się trochę, widząc moją uległość. – Będziesz jeszcze miała szansę. Lubię steki.

Uniosłam brwi.

– Łaskawie mi pozwolisz?

Kiwnął głową, uśmiechając się zawadiacko.

Upiłam spory łyk wina, pozwalając spłynąć mu powoli po gardle. Każda rozmowa z Julianem, każde słowo, które wypowiadał, każdy jego gest sprowadzały się do tego, że targwały mną sprzeczne uczucia. Chciałam tam zostać i jednocześnie uciekać. Zbliżyć się do niego, by zaraz odskoczyć na bezpieczną odległość, gdy tylko poczułam jego oddech na mojej skórze. Czy ktokolwiek byłby w stanie wytrzymać tę emocjonalną karuzelę? Powinnam była trzymać się mojego planu i odmówić mu tego spotkania. Nie prosiłam się o to wszystko.

– Czegoś jeszcze ode mnie oczekujesz? – zapytałam, badając opuszkami szkło kieliszka. – Wolę wiedzieć od razu.

– Chcę spędzić z tobą miły wieczór. – Wstał z kanapy i ruszył w moją stronę. – Tylko wciąż mi to utrudniasz.

– Ja ci utrudniam? – obruszyłam się.

Stał nade mną i wyciągnął rękę w pojednawczym geście.

– Skończmy już te potyczki – zaproponował. – Oprowadzę cię po mieszkaniu.

– Nie musisz, już zdążyłam je zwiedzić. Wtedy, w nocy, gdy wyszedłeś na poszukiwanie mojej torebki...

Uniósł brwi i podrapał się w czoło, marszcząc przy tym nos. Znów będzie zły. W sumie ja też bym była, gdyby ktoś pod moją nieobecność myszkował w moim domu.

– Podobało ci się chociaż? – zapytał, siadając koło mnie. Był blisko. Zbyt blisko. Kolanem zetknął się z moim, pomiędzy naszymi ramionami przeskoczyły łaskoczące iskierki prądu.

– Ładnie tam masz. Ale nie ścielisz za dobrze łóżka. – Spróbowałam rozładować to nagłe napięcie, które powstało między nami. Zaśmiał się. Podziałało.

– Nie przyłożyłem się wtedy, to prawda. – Poglądził mnie po policzku wierzchem dłoni. – W życiu bym nie pomyślał, że zrobisz mi inspekcję.

– Widzisz, trzeba być przygotowanym na wszystko – odpowiedziałam na wdechu, czując mrowienie w dole brzucha.

– Trzeba – potwierdził, zabierając dłoń. Odetchnęłam z nieskrywaną ulgą, gdy on nachylił się nad stolikiem i sięgnął po kieliszek wina. – Powiedz mi teraz coś więcej o sobie.

– Chcesz wiedzieć coś konkretnego?

– Najciemniejsze sekrety i najgłębsze marzenia. – Upił trochę wina. – Tylko to mnie interesuje.

Zachichotałam, wierząc się nerwowo. Jego palce wodziły po materiale spódnicy, rozpraszając mnie i łaskocząc.

– Za mało się znamy. – Pokręciłam głową. – Uciekłyś gdzie pieprz rośnie.

– Tam już byłem, nic ciekawego – zażartował. – A więc?

– Nie jestem chyba aż tak bardzo tajemnicza, jakbyś tego ode mnie oczekiwał, Julianie – westchnęłam. – Ostatnio moim największym marzeniem jest święty spokój.

– Od czego chcesz tak odpocząć? – dopytywał, gdy jego palce przeskoczyły ze spódnicy na moje przedramię, kręcąc kółka po wewnętrznej stronie ręki.

– Od wszystkich – odparłam, przygryzając wargę. Ta drobna pieszczota popychała mnie na granicę szaleństwa.

– Nawet ode mnie? – szepnął mi wprost do ucha, a jego głos zsunął się miękko po moim kręgosłupie, powodując dreszcze.

– Przede wszystkim od ciebie – stwierdziłam, nie potrafiąc zaprotestować.

Oparłam czoło na jego ramieniu i zaciągnęłam się obezwładniającym zapachem skóry. Przymknęłam oczy, przeklinając sama siebie: nie próbowałam nawet walczyć z pożądaniem, spychanym ostatnimi dniami poza świadomość.

– A co ja ci takiego zrobiłem? – Przygryzł koniuszek mojego ucha.

Podskoczyłam, odsuwając głowę, by móc na niego spojrzeć. Oczy wwierciłam w jego twarz. Przymknął powieki, mrużąc jak wielkie, rozanielone kocisko.

– Śniłeś mi się w tym tygodniu co noc – wyszeptalam, mając nadzieję, że nie wyśmieje mnie i mojego wyznania rodem z płaczliwych harlekinów.

– Jak ci się śniłem? – zadając to pytanie, zbliżył swój nos do mojego, a ja na chwilę utonęłam w głębi jego spojrzenia.

Ręka Juliana powędrowała w tym czasie na biodro, a zwinne palce podwinęły materiał jasnej bluzki, muskając skórę odkrytego brzucha. Otrzeźwienie przyszło, gdy drugą rękę zsunął na granicę pośládka.

Nie mogę się temu poddać. To obcy, agresywny, niewychowany despota.

– Zostaw mnie! – krzyknęłam i poderwałam się na nogi, dysząc ciężko.

Zamrugął kilkukrotnie, unosząc brwi. Wstał powoli z kanapy, obszedł mnie dookoła i w końcu zatrzymał się za moimi plecami. Oplótł mnie rękami, przyciągając do siebie tak, bym oparła się o jego tors. Czułam oddech na karku, czułam, jak Julian napina i rozluźnia mięśnie brzucha przy każdym kolejnym oddechu. Dotknęłam dłonią jego przedramienia.

– Nie opieraj mi się – mówił do mnie, a ja zaciskałam powieki coraz mocniej. – To nie ma najmniejszego sensu.

Moje ciało drżało spragnione bliskości. Moje myśli huczały, próbując opanować nieposłuszne ręce, które zaciskały palce na jego ciele. *Opanuj się, dziewczyno!*

– Nie znam cię. – Kręciłam głową, żeby podkreślić swój sprzeciw.

– Nie musisz. – Musnął dolną wargą moją szyję. Jęknęłam, czując, jak miękną mi kolana.

– Muszę – szepnęłam. – Nic o tobie nie wiem.

Puścił mnie nagle i cofnął się kilka kroków. Odwróciłam się, nie rozumiejąc tej raptownej zmiany. Przyglądał mi się, mrużąc oczy i przechylając głowę lekko w lewo.

– Rozumiem – powiedział po chwili surowo, bez emocji, pozostawiając mnie na środku saloniku, drżącą i na granicy obłędu. – A więc się nie znamy.

Co miał na myśli, tego nie potrafiłam stwierdzić. W mieszkaniu zaczynało pachnieć rozmarynem. Julian w zupełnej ciszy odwrócił się do mnie plecami i poszedł do kuchni.

Był jak sinusoida – zresztą oboje byliśmy. Mieszanka wybuchowa: nie mogłam przewidzieć, co powie za chwilę i jak zareaguje na moje słowa. Co gorsza, nie potrafiłam zapanować także nad swoimi reakcjami. Głowa kłóciła się z ciałem o władzę nad tym wieczorem. Ciało chciało go więcej: więcej Juliana, więcej jego ust, impulsywnych palców na mojej skórze i tego chrapliwego głosu, spływającego ciężką falą w moje uszy. Fascynowała mnie jego siła, ciekawiła błoga ignorancja. Chwilami myślałam, że w całym życiu nie przyszło mi jeszcze obcować z tak interesującym mężczyzną. Jednocześnie moja głowa stanowczo żądała natychmiastowej dezercji z pola bitwy – wyjścia z domu tego pełnego sprzeczności wariata i tyрана. Powinnam była zrobić to natychmiast, odwrócić się na pięcie i zniknąć na zawsze, z dala od niego i tej nieustępliwości. Jego zamiary wobec mnie było czuć na odległość: kolacja, wino, frywolne zachowania, które kierował w moją stronę. Pomiedzy racjonalnością i pożądaniem, walczącymi zaciekle na śmierć i życie, wybrałam złoty środek.

Wzięłam głęboki oddech i podeszłam do Juliana. Stałam za jego plecami i położyłam mu rękę na ramieniu. Prosty gest, którym starałam się powiedzieć: „Dajmy sobie czas”. Odwrócił głowę, obdarzając mnie zdawkowym uśmiechem, lecz nie odezwał się ani słowem.

Zabrałam rękę, gdy podszedł do piekarnika, by wyjąć łososia z warzywami. Nałożył nam sporych rozmiarów porcje na eleganckie, skąpo zdobione drobnymi, złotawymi wzorkami talerze i przeszedł do jadalni, by postawić je na stole.

Wrócił się na chwilę do salonu po kieliszki i przywołał mnie skinieniem głowy. Usiedliśmy w milczeniu przy akompaniamencie stukotu ciężkich sztućców, które rozpracowywały kolejne kawałki soczystego rybiego mięsa.

– Uczyleś się sztuk walki – stwierdziłam, mając dość tej niezręcznej ciszy. Julian dolał nam w tym czasie wina.

– Skąd takie założenie?

– Ponoć dość skutecznie pobiliś złodzieja. – Uśmiechnęłam się do niego nieśmiało, licząc, że odwzięczy się tym samym. Jednak on zmierzył mnie wzrokiem, którego intencji nie potrafiłam odczytać.

– Życie nauczyło mnie, jak się bić, droga Mal. Nie wszyscy dorastali w sprzyjających warunkach – powiedział, upijając trochę wina. – A ty? Nie uczyłaś się walczyć.

– Nie, dlatego teraz mam Grzmota pod okiem. – Wyszczrzyłam zęby.

– Widziałem gorsze, jeśli mam być szczerzy.

Gdy to powiedział, uniosłam brwi, kręcąc głową.

– Na pewno – odparłam. Przerzucaliśmy się coraz bardziej zgryźliwymi komentarzami, opróżniając przy okazji zawartość talerzy. – W końcu sprowadzanie przypraw jest tak niebezpieczne, że na co dzień widzisz ofiary napadów i rabunków.

– Nie, to nie tak. Mam po prostu dość niesfornego brata, który w młodości nagminnie szukał guza.

Czyli było ich dwóch? Dwóch nieokrzesanych, dzikich, niecierpiących sprzeciwu mężczyzn? Dwie anomalie żyjące bez nadzoru, chodzące po tych samych ulicach, co zwykli ludzie. O zgrozo! Świat był w tarapatkach!

– Masz brata? – zapytałam, wybałuszając oczy. Moje ręce zawisły w powietrzu.

– A co w tym dziwnego? – odpowiedział pytaniem na pytanie, upijając łyk wina.

– Czy jest tak samo... – zawahałam się, szukając odpowiedniego słowa.

– Tak samo jaki? – Przyglądał mi się z ciekawością, gdy potarłam ręką policzek, nie wiedząc, czy moje porównanie nie sprowadzi na mnie kolejnego wybuchu.

– Groteskowy – dokończyłam, obserwując jego reakcję.

Zaśmiał się, klepiąc się przy tym po brzuchu.

– Co cię tak śmieszy?

– Jest wiele słów, którymi można byłoby mnie opisać. Ciekawe, że wybrałaś właśnie to.

Zamrugałam oczami, podpijając kolejne łyki wina.

– No to może mi powiesz, jaki jesteś, skoro moja ocena wydaje ci się śmieszna?

– Jestem, który jestem.

Zakrztusiłam się winem, które utknęło gdzieś pomiędzy nagłośnią a tchawicą. Jestem, który jestem? Imię Boga? Odstawiłam kieliszek i zamknęłam oczy, nie wierząc, że właśnie tak się określił. Nie byłam wierząca, jednak to porównanie nawet na mnie zrobiło wrażenie. Negatywne. Za kogo on się miał?!

– Jesteś odrealniony, Julianie – wyszeptalam, wycierając usta w papierową serwetkę.

– Wcale nie, jeśli właściwie na to spojrzysz. To tylko kwestia tego, co uznasz za realne.

– Czyli twierdzisz, że Bóg nie jest realny – skonstatowałam.

– A widziałas go kiedyś? – Uśmiechnął się.

– To niczego nie dowodzi.

– A widzisz mnie?

Utkwiłam w nim wzrok, zastanawiając się, co w jego życiu sprawiło, że aż tak bardzo odkleił się od rzeczywistości.

Sięgnęłam po kieliszek i wypiałam resztkę wina. Alkohol podziałał na mnie o wiele za szybko, w głowie mi zaszumiło, a nogi zamieniły się w watę. Chyba nie wstanę od stołu, oszołomiona promilami i jego Dobrą Nowiną, że oto stoi przede mną, jaśnie pan, boski Julian, prawdziwy Jestem, Który Jestem.

– Wiesz co? – powiedziałam, gdy wstał, by dolać mi trzeci kieliszek wina. – Już przestaję się dziwić temu, że nie masz za grosz dobrych manier, skoro twierdzisz, że jesteś Bogiem.

Zakryłam dłonią kieliszek, dając mu znak, że mi już wystarczy. Pokręcił głową, odsuwając moją rękę,

i wlał mi kolejną porcję alkoholu. *Dupek.*

– Nigdy nie powiedziałem, że jestem Bogiem, Mal. Zasugerowałem tylko, że mam z nim pewne wspólne przywary. – Nachylił się nade mną i pocałował mnie w czoło. – Poza tym chciałaś mnie poznać, więc nie narzekaj.

Julian zabrał ze stołu puste już talerze, zaniósł je do kuchni i włożył do zlewu. Wrócił do mnie, siedzącej dalej przy stole (modliłam się w myślach o litość i szybkie wytrzeźwienie), niosąc w ręce szklanekę wody.

– Widzę, że ci słabo. Zaraz mi tu zemdlejesz. Wypij to i nie każ się ratować drugi raz w ciągu jednego tygodnia.

– Bardzo śmieszne. – Wzięłam od niego wodę i wypiałam ją duszkiem.

Wilgotne wargi oblizyłam końcem języka, co nie uciekło jego uwadze. Cmoknął, przejeżdżając po nich palcem, po czym usiadł koło mnie, kładąc ręce na moich kolanach.

– Lepiej?

Kiwnęłam głową, czując, jak moje ciało napina się, gdy jego palce dotknęły nagiej skóry.

– To dobrze. Zależy mi na twoim dobrym samopoczuciu.

– Dobrze wiedzieć. – Zaśmiałam się, próbując odtrącić jego palce. – Ale nadal nie wiem o tobie tyle, ile powinnam, żeby pozwolić ci na takie rzeczy.

Wypuścił powietrze nosem i ujął moje dłonie.

– Wiesz, co robię, wiesz, gdzie mieszkam, wiesz, że mam brata, a moi rodzice nie żyją.

– Oboje? – przerwałam mu. Kiwnął głową. – Współczuję...

– Nie ma czego. Nie pamiętam ich.

Unióśł moje ręce i ucałował wierzch najpierw jednej, a potem drugiej dłoni. Wyrwałam je z uścisku i zmrużyłam oczy.

– Julian, proszę cię, zachowuj się – skarciłam go, wstając od stołu.

– Jak mam się zachowywać? – Rozbawiony wstał, zbliżając się do mnie. Odskokczyłam od niego i stanęłam w bezpiecznej odległości, opierając się o skraj stołu.

– Wiesz co? Nijak – powiedziałam, czując napływającą złość. – Dziękuję ci za kolację, ale na mnie już czas.

Julian uniósł brwi i otworzył szeroko oczy. Pokręcił głową, patrząc na tarczę starego zegara, stojącego na ścianie przy wejściu.

– Nie, jeszcze nie czas – stwierdził rozbrajająco.

– Julian, ja ciebie nie pytam o zgodę. – Ruszyłam w stronę drzwi. – Taksówkę zamówię już na zewnątrz.

Zatarasował mi jednak drogę, pojawiając się przede mną na tyle szybko, że prawie na niego wpadłam. Zachwiałam się zaskoczona, a on złapał mnie za rękę i przytrzymał.

– A deser? – wyszeptał mi prosto do ucha.

– Nie jestem już głodna. – Zaśmiałam się nerwowo. – Puść mnie. Idę do domu.

Nie ustąpił. Staliśmy kilka chwil, ciało przy ciele, na tyle blisko, że słyszałam bicie jego serca i czułam ciepło bijące od skóry. Ta niespodziewana bliskość skutecznie powstrzymała rosnący we mnie gniew.

– Zamówię ci chociaż taksówkę – szeptał dalej, pochylając się nade mną. Jego ciepły oddech popłynął miękko po szyi, sprawiając, że aż zadrżałam.

Nie, nie pozwól mu.

Zamknęłam oczy. Moje policzki płonęły, w żyłach buzował koktajl z wina i adrenaliny. Zaciśnęłam pięści i szybkim ruchem wyrwałam dłoń z uścisku, drugą uderzając go z całej siły w tors. Nie zrobiło to na nim absolutnie żadnego wrażenia, nie drgnął nawet ani się nie poruszył. Wybuchł za to śmiechem tak gromkim, że poniósł się po całym mieszkaniu.

– Przestań się śmiać! – nakazałam, krzycząc i tupiąc nogami. – Przestań!

Śmiał się dalej, a robiąc to, wyciągnął obie ręce w moją stronę i przyciągnął mnie, zakleszczając w uścisku tak silnym, że nie miałam szans się wyrwać.

– Mal, nie panujesz nad sobą. W takim stanie nie puszcze cię nigdzie samej. – Pociągnął mnie za sobą w stronę kanapy i na siłę posadził na niej, przytrzymując moje ręce. – Wdech i wydech. Głęboko. Uspokój

oddech.

Wyrywałam się, wierzgając nogami, moje baleriny pospadały mi ze stóp.

– Puść mnie! Puść, słyszysz?! – krzyczałam. – Daj mi wreszcie spokój.

– Puszczę cię, jak się uspokoisz – powiedział powoli, patrząc mi prosto w oczy.

– Uspokoję się, jak mnie puścisz!

Uwolnił moje ręce i jednym płynnym ruchem odsunął się ode mnie. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, wstając z kanapy. Zebrałam szybko buty i wsunęłam na stopy.

– Do widzenia – rzuciłam, mijając go szerokim łukiem.

Ruszył za mną, jednak tym razem byłam szybsza. Wskoczyłam na korytarz, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Nacisnęłam guzik, żeby wezwać windę. Schody nie wchodziły w grę; budynek miał osiem pięter, a my byliśmy na ostatnim. Julian wybiegł za mną, w rękę trzymał skórzaną kurtkę. Dopadł mnie, gdy wsiadałam do windy. Wskoczył do środka i nacisnął przycisk, nakazując windzie zamknąć drzwi.

– Jesteś niemożliwa – powiedział, przysuwając się do mnie bliżej. – Możemy wrócić do mieszkania?

– Ależ ja właśnie wracam do mieszkania. Mojego. – Spróbowałam go odepchnąć od siebie. Nieskutecznie. Był za duży, za ciężki i za silny. – Nie chcę tu być.

Zmarszczył brwi. Odsunął się ode mnie gwałtownie, opierając się o przeciwległą ścianę windy. Zastygł w tej pozycji i nie ruszał się przez chwilę. Myślał.

– Odprowadzę cię więc do taksówki.

Nie powiedział już nic więcej, wciskając „0” na klawiaturze windy.

Zjechaliśmy w ciszy na parter i wyszliśmy na dwór. Zarzucił mi na plecy swoją kurtkę. Kilka kroków za budynkiem był postój, gdzie czekało kilka taksówek. Julian podszedł do pierwszej z nich i rozmawiał chwilę z kierowcą. Gdy skończyli, wrócił do mnie i kiwnął głową, bym wsiadła, po czym bez słowa ruszył w kierunku swojego mieszkania.

– Twoja kurtka! – krzyknęłam za nim, ściągając ją z siebie.

Nawet się nie odwrócił i zanim zdążyłam wsiąść do samochodu, zniknął mi z zasięgu wzroku.

Rozdział 3

Obsesja

Nie pamiętam drogi do domu. Nie pamiętam, jak dotarłam do mieszkania i jak znalazłam się w łóżku. Nie pamiętam, bym chociaż na chwilę usnęła tej nocy. Złość i rozgoryczenie skutecznie zacierały wszelkie inne rzeczy – wszystko oprócz czystej, napędzającej się z każdą chwilą nienawiści do Juliana.

Chory. Nienormalny. Dupek.

Epitety zalewały mi myśli i dusiły mnie. Grzęzły mi w krtani. Sącyły się do wewnątrz, karmiły kortyzolem. Skóra paliła mnie w miejscu, gdzie wcześniej zetknęły się nasze ciała.

Przystojny? Fascynujący? Najciekawszy człowiek, jakiego do tej pory poznałam? Głupia ja! Głupi on! Dziki, nieokiełznany wariat z manią wielkości, ba, nawet boskości. Co ja sobie myślałam? Muszę o nim zapomnieć, cóż innego mi zostało? Odsunąć go od siebie, potraktować jak zły sen. Postawić kropkę na końcu wczorajszej nocy i już do niej nie wracać.

Musiałam pozbyć się tylko jednej rzeczy, by móc skutecznie mój plan... Jego kurtka, rzucona przeze mnie w amoku na blat komody w sypialni, kłuła w oczy jak kropla krwi na mankiecie koszuli po makabrycznym zabójstwie, które usilnie próbowało się ukryć. Cholerna kurtka pachnąca goździkami i winem. Moja skóra przeszła tym zapachem, wgrzył się w nozdrza, wyrył w mózgu. Czemu mi ją zostawił? Jak mu ją oddać, nie wchodząc z nim w żadną relację? Poprosić o pomoc Ankę? Wysłać pocztą?

Wstałam i schowałam ją w najgłębszy zakamarek niewielkiej szafy, nie mogąc na nią teraz patrzeć. Mój telefon zabrzczał gdzieś pod kołdrą. Spojrzałam na ekran i aż jęknęłam.

Nie, nie teraz. Nie dam rady...

Odebrałam jednak, wiedząc, że odrzucenie tego telefonu nie ujdzie mi na sucho.

– Cześć, mamó – powiedziałam, starając się, by głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie.

Moja matka postawiła sobie za punkt honoru uprzykrzać mi życie zawsze wtedy, gdy potrzebowałam spokoju. Miała do tego wrodzony talent.

– Przyjedziesz w niedzielę, prawda? – Przeszła od razu do sedna. Przewróciłam oczami.

Mama zwykła urządzać coniedzielne obiady, na których byłam obowiązkowym i, co gorsza, jedynym gościem. Zeszłotygodniowe spotkanie odwołałam, wykręcając się niespodziewanym wyjazdem służbowym. Liczyłam, że siniak zejdzie do kolejnej niedzieli i będę mogła pojawić się w rodzinnym domu, jednak Grzmot nie odpuszczał, a ja, ze względu na dość nerwowy charakter matki, nie mogłam się tak pokazać na obiedzie. Zasypałaby mnie pytaniami, żeby później zawyrokować, że jestem w najlepszym wypadku nieodpowiedzialna, a w najgorszym niezdolna do samodzielnego życia i może najlepiej by było, abym na powrót zamieszkała z nią w domu, gdzie mogłaby mieć na mnie oko.

– Nie. – W myślach szybko szukałam dobrej wymówki, ale bezsenna noc dawała mi się we znaki. Podróż służbowa była. Wypad z Anką nie przejdzie – powie, że mamy przyjechać we dwie.

Myśl, dziewczyno! Myśl!

– Przepraszam cię, mamó, coś mi wypadło.

Najgorsza wymówka na świecie, a moja mama miała radar wyczulony właśnie na takie historie.

– Znów? Co się dzieje? Mam tam przyjechać?

Żałowałam, że nie mieszkam na innym kontynencie. Mama potrafiła czasami pojawić się w moich drzwiach niezapowiedziana.

– Nic się nie dzieje. Miałam ciężki tydzień w pracy. Muszę odpocząć.

– Za dużo pracujesz. Nie dbasz o siebie. Jak będziesz tak dalej robić, to się wykończysz! Może jednak przyjedziesz? Zostaniesz kilka dni? Weź urlop albo zwolnienie. Załatwię ci w poniedziałek rano lekarza!

Zaczęło się! Przewróciłam oczami.

– Mamó, przepraszam cię, muszę kończyć. Telefon mi się zaraz rozładuje.

Rozłączyłam się. Znałam tę gadkę na pamięć. Za tydzień, gdy w końcu pojawię się u matki, pewnie

usłyszę ją po raz kolejny.

Spojrzałam jeszcze raz na rozbity niedawno ekran telefonu. Oprócz kilku wiadomości od Anki, w których dopytywała o szczegóły wczorajszej nocy, nie było więcej powiadomień. Żadnego „przepraszam” ani nawet pytania, czy dojechałam bezpiecznie do domu. Jaśnie palant w całej swojej okazałości.

Po południu, gdy uspokoiliłam się na tyle, bym mogła normalnie funkcjonować, postanowiłam w ramach rehabilitacji emocjonalnej wpaść do Anki, która akurat szykowała się na kolejną randkę z Mateuszem. Upewniwszy się, że siniak jest ukryty pod ogromnymi okularami i zaczesanymi odpowiednio włosami, ruszyłam do przyjaciółki.

Piękny, wczesnoczerwcowy dzień okazał się łaskawy, rozpieszczając moją skórę delikatnym, ciepłym wietrzykiem, który studził nerwy i głowę.

Anka mieszkała w starej kamienicy na skraju Starego Miasta, w niewielkim lokalu odziedziczonym po rodzicach, wydzielonym pewnie kiedyś z dużo większego mieszkania jakiegoś aptekarza czy handlarza koronek. Było tam zawsze jasno i zielono. Jej parapety upstrzone były roślinami, które kwitły nieustannie wszystkimi kolorami tęczy, a ściany skąpane w zieleni liści miniaturowych drzew, które przycinała w przedziwne kształty, głównie nie do końca idealne kule i sześciiany.

– Anka, ten człowiek to czubek – pożaliłam się, kładąc się na jej łóżku. – Nie dawał mi wyjść z mieszkania. Porównywał się do Boga. A każdą okazję wykorzystywał, by mnie dotykać!

– Zbrodnia! – krzyknęła z teatralnym przejęciem. – A to nie jest trochę tak, że pojechałaś tam od razu ze złym nastawieniem?

Ukryłam twarz w rękach, kręcąc głową.

– Mal, ogarniesz się w końcu? Gość zaprosił cię na kolację. Przyjechał po ciebie. Napoił winem. Nakarmił rybą. Pewnie pół dnia kręcił dla ciebie deser. A ty jak zwykle: cyrk na kółkach. Nie mam na ciebie siły... Musiał się wkurzyć, bo zachowałaś się jak ostatnia idiotka. I ktoś musi ci to w końcu powiedzieć.

Przygryzłam wargę, nawijając na palce frędzle, którymi wykończony był jej ulubiony koc, pamiątka po zmarłych tragicznie rodzicach. *Nie było jej tam* – powtarzałam sobie w myślach. *Nie widziała tego, co on robił, nie słyszała tego, co mówił.*

Przekreśliłam się na brzuch, patrząc jej prosto w oczy. Wyglądała zjawiskowo w tej obcisłej czarnej sukience, którą przed chwilą na siebie wcisnęła. Zgrabne nogi wieńczyły delikatne szpilki w odcieniu dojrzalej wiśni.

– Wyglądasz jak sto milionów – powiedziałam z uznaniem. Prychnęła.

– Nie zmieniaj tematu, Mal. Ostatnim razem było dokładnie to samo, pamiętasz? Zbyszek był spoko. Może nie był to samiec alfa, ale nie był też aż takim nudziarzem, za jakiego go miałaś. To tobie ciągle coś w nim nie pasowało. Chciałaś więcej pasji i emocji, to masz. I nadal ci źle. Kogoś ci to przypomina?

– Nawet nie mów tego na głos. – Przykryłam głowę poduszką, nie chcąc tego słuchać. Anka była wielką fanką neurotyzmu mojej matki. – Co według ciebie mam zrobić? – Wstałam i pomogłam jej założyć drobny złoty naszyjnik, który kiedyś dostała ode mnie na urodziny. – Każde spotkanie z Julianem doprowadza mnie na skraj szaleństwa. A potem jest tylko gorzej.

– A czy nie o to właśnie chodzi w związkach? – zaśmiała się i westchnęła. – Słuchaj, nie mówię, że to musi być ten Julian, ale chociaż spróbuj być mniej wybredna i może trochę bardziej ugodowa? Chodź ze mną jutro w takie jedno miejsce na drinka. Widziałam tam fajnych gości, może ktoś ci się spodoba.

– Aneczko, kochana, jutro jest niedziela. – Ostentacyjnie popukałam się w głowę.

– Mal, droga moja, no i co z tego? – Wzruszyła ramionami, kręcąc głową.

Zbliżał się czas niecierpliwie wyczekiwanej przez Ankę randki. Wyszliśmy razem z mieszkania, idąc w stronę najbliższej stacji metra, gdzie miałyśmy się rozstać. Tam umówiła się z Mateuszem. Czekał na nią cały wypiękniony i ze zdenerwowaniem przestępował z nogi na nogę. W powietrzu unosiła się woń zbyt dużej ilości wody kolońskiej, którą musiał wylać na siebie przed wyjściem z domu. Anka zdążyła już przywyknąć do takich historii: mężczyźni w jej towarzystwie tracili rozum.

Podaliśmy Mateuszowi rękę, uśmiechając się życzliwie, a on skinął mi głową, nieumiejętnie ignorując wystającą tęczę sinych barw na mojej twarzy. Zamieniliśmy kilka zdań, po czym życzyłam obojemu miłego wieczoru. Ruszyli w stronę przejścia podziemnego, a ja powędrowałam szerokim chodnikiem w drugą stronę. Było na tyle wcześnie, że nie chciałam jeszcze wracać do domu. Tydzień ukrywania się przed światem wystarczył.

Pogoda była przepiękna – idealny maj, pachnący kwitnącymi bzami i ciepłym wiatrem. Postanowiłam przejść się na spacer, zanim złapię metro do domu. Krążyłam więc po Starym Mieście, zatopiona w swoich myślach, przyglądając się rodzinom z dziećmi, zakochanym parom i grupom turystów beztrzesko maszerującym pomiędzy Zamkiem Królewskim, Kolumną Zygmunta a o wiele za drogimi bryczkami konnymi.

Czy Anka rzeczywiście miała rację? Czy zaczynałam przypominać własną matkę, kobietę niezadowoloną ze wszystkiego, co ją spotyka? Co do Zbyszka, z którym spotykałam się ostatnie kilka miesięcy, na pewno nie miała racji. Za dnia informatyk, wieczorami fan gier komputerowych, w kółko albo realizował się w pracy, sumiennie kolekcjonując chore nadgodziny, albo spotykał się na całonocne maratony grania z kolegami. Oczywiście przy piwku (lub trzech) i niebotycznej ilości chipsów. Na początku znajomości jeszcze trochę się starał, jednak z miesiąca na miesiąc było coraz gorzej. Doprowadzał mnie do łez, gdy zdecydował się zamieszkać u mnie: traktował moje mieszkanie jak darmowy pobyt w hotelu z całodobową obsługą. Nie sprzątał po sobie, nie gotował. Kłóciliśmy się cały czas, zapomniałam przy nim, co to seks. A to, że od czasu do czasu kupił tulipana z supermarketu i na moje urodziny zabrał do mojej ulubionej restauracji? Czy tak właśnie miało wyglądać moje życie? Czy miałam być jego służką, praczką i kucharką? Nie tego dla siebie chciałam.

Julian natomiast to zupełnie inna bajka. Jego dzikość i intensywność były wycieńczające, a podejście do życia, w którym miał śmiałość porównać się do Boga, pozostawiało wiele do życzenia. Poza tym nie miałam pewności, że nawet gdybym nadal była chętna, aby kontynuować tę absurdalną znajomość, Julian wciąż byłby mną zainteresowany. O ile w ogóle kiedykolwiek chodziło mu o cokolwiek innego niż tylko przygodę na jedną noc.

Pograżona w myślach wędrowałam uliczkami Starego i Nowego Miasta, pozwalając ciału decydować, w którą stronę podążam. Nogi, te moje złośliwe nogi, same zaprowadziły mnie w to jedno, jedyne miejsce, z którego tak bardzo chciałam wczoraj uciec. Zszokowana własnymi poczynaniami, przeklinając każdy krok, uniosłam głowę, ślizgając się wzrokiem po szklanych ścianach budynku, w którym mieszkał Julian. Czy można to było uznać za początek obsesji na jego punkcie?

Szybkim krokiem minęłam wejście do budynku i schowałam się za rogiem, w tym samym miejscu, gdzie rozstaliśmy się poprzedniej nocy. Taksówki, tak jak wczoraj, stały w rzędzie, czekając na zlecenia. Ruszyłam w stronę pierwszej z nich, chcąc jak najszybciej uciec do domu. Wsiadłam na tylne siedzenie i podałam kierowcy adres. Odjeżdżając, kątem oka zauważyłam majaczącą w oddali sylwetkę Juliana, który szedł w przeciwną stronę. Musiał wyjść na spacer i właśnie wracał. Nie mógł mnie jednak zobaczyć, taksówka ruszyła, gdy był jeszcze za daleko, aby mnie poznać. Odetchnęłam z ulgą. W połowie drogi do domu telefon zawibrował w kieszeni moich džinsów.

Czemu odjechałaś?

Jak? Jakim cudem? To nie było możliwe. On był niemożliwy. A może blefował? Zobaczył wsiadającą do taksówki kobietę i ubzdurał sobie, że to byłam ja? Postanowiłam szybko odpisać.

Nie wiem, o co ci chodzi.

Kolejna wibracja.

Byłaś u mnie pod blokiem.

Nie byłam.

Kłam, oszukuj. Tylko się nie przyznawaj.

Ochroniarz cię widział.

Zacisnęłam powieki. Rzeczywiście, gdy wczoraj wychodziłam z Julianem z budynku, minęliśmy na parterze półotwarty pokój portierni, a w nim dwóch starszych panów w czarnych uniformach. Któryś z nich musiał mnie poznać i przekazać Julianowi, gdy wszedł do środka, że jego znajoma kręciła się pod blokiem. Zostałam przyłapaną na gorącym uczynku.

To był czysty przypadek.

Myślałem, że wróciłaś na deser.

Wpatrywałam się w te pięć słów z mocno bijącym sercem, czytając je raz po raz. Czyżby on nadal chciał, żebym wróciła na deser? Taksówka podjechała pod mój dom, a kierowca musiał dwa razy chrząknąć, aby zwrócić na siebie uwagę. Podziękowałam mu za podwiezienie i zapłaciłam za kurs.

Nie odpisałam jednak Julianowi, nie chcąc kusić losu. Wystarczyło mi, że to on konsekwentnie prowokował mnie.

*

Ściemniało się już, gdy wraz z Anką wchodziliśmy do niedawno otwartego lokalu o nazwie Abraxas. Moja przyjaciółka obiecała mi, że pokręcimy się chwilę i jak dwa współczesne Kopciuszki wrócimy do domów przed północą. Wcześniej perfekcyjnie zakryła mego Grzmota, korzystając z umiejętności zdobytych, gdy przez jakiś czas pracowała na planie filmowym jako asystentka charakteryzatora.

Restauracja była imponująca – utrzymana w stylu *art deco*, tonąca w złocie i zieleni, z obszerną oranżerią, w której ustawiono okrągłe stoliki dla gości. Krótka karta dań, kelnerzy w koszulach ze stójkami, smooth jazz płynący z dobrze zakamuflowanych głośników. Jednak dopiero zejście piętro niżej przeniosło mnie do innego świata: półmrok, rytmiczna muzyka tak modnego ostatnio latino, szeroki blat baru, wykonany z polerowanej miedzi, tłum ludzi – dawno nie byłam w takim miejscu. Zapach potu i alkoholu mieszał się z dymem papierosowym.

Podeszliśmy do baru, mrugając okiem do jednego z barmanów. Zamówiliśmy dwa old cuban – moje ulubione połączenie rumu z szampanem. Anka bez skrępowania trajkotała o miłosnych uniesieniach z Mateuszem, który okazał się o wiele odważniejszy, niż przypuszczaliśmy. Kiwałam głową, lustrując przy okazji całe pomieszczenie. W tłumie obcych twarzy wypatrzyłam lubego mojej przyjaciółki, który zbliżał się do nas, wymijając tańczące pary. Mogłam to przewidzieć – skoro randka się udała, chcieli się spotkać ponownie. Mateusz, już o wiele pewniejszy siebie niż wczoraj, podszedł i pocałował Ankę, moim zdaniem trochę zbyt ochoczo. Do mnie uśmiechnął się szeroko, mówiąc, że miło mnie znów widzieć.

– Ciebie również – odpowiedziałam, przesuwając się, by zrobić mu miejsce przy barze.

Czekał mnie więc wieczór w roli przyzwoitki. Obiecałam sobie, że później uduszę za to Ankę. Teraz mogłam rzucić jej tylko wymowne spojrzenie, którego nawet nie zauważyła, zajęta kolegą z pracy. Nasze drinki pojawiły się na barze. Mateusz domówił sobie piwo i przeszliśmy w głąb sali, ustawiając się tak, by móc obserwować, co dzieje się na parkiecie. Sączyłam old cuban, starając się nie zwracać zbyt uwagi na moich towarzyszy, którzy zachowywali się jak dwa gołąbki upojone wspomnieniami poprzedniej nocy. Gdy zmieniła się muzyka, Anka pociągnęła swojego mężczyznę do tańca, a ja zostałam pilnować kieliszków.

Rozglądałam się dookoła, wpatrując się mimowolnie w twarze mężczyzn przebywających w lokalu. Każda kolejna niepasująca do Juliana pozostawiała w sercu coraz mocniejsze ukłucia ostrych igiełek rozczarowania. Patrzyłam w ten tłum, nieświadomie szukając znajomych czarnych oczu, wydatnych ust, silnych dłoni. Górowałyby nad tymi ludźmi, idąc środkiem parkietu, mimowolnie odsuwaliby mu się z drogi. Wyróżniałby się na ich tle; charyzmatyczny, zwierzęcy, nieprzewidywalny. Zobaczyłby mnie, stojącą pod ceglastą ścianą. Podszedłby, przyciągnął do siebie, doprowadził do obłędu. Zażądałby ode mnie absurdu, a potem udowadniał, że nie prosi o nic nadmiarowego.

Przez plecy przeszedł mi dreszcz, wrywając mnie z zamyślenia. Julian rzeczywiście stał za mną. Swoje dłonie śmiało położył na mojej talii. Czułam ciepły oddech na odsłoniętej szyi. Jego ciało tuż przy moim. Znajomy zapach goździków wypełnił nozdrza. Odwróciłam się gwałtownie. Zamrugałam kilka razy, nie wierząc własnym oczom. Nikogo tam nie było... Oddychałam szybko, twarz ukryłam w dłoniach. Oszałam. Nawet gdy nie było go obok, doprowadzał mnie do obsesji.

Musiałam to zakończyć. Musiałam natychmiast zakończyć tę znajomość. Raz na zawsze pogrzebać Juliana na cmentarzysku niewygodnych wspomnień. Tam, gdzie jego miejsce. A żeby to zrobić, potrzebowałam porządnej, definitywnej konfrontacji.

Anka podbiegła do mnie przestraszona. Musiała zauważyć, że stoję odwrócona w stronę ściany, wpatrując się w nicość. Mateusz podążył za nią, ale stanął w bezpiecznej odległości, zostawiając nam trochę przestrzeni.

– Mal, co się dzieje? – Złapała mnie za ramiona, patrząc mi prosto w oczy. – Wszystko w porządku? Chcesz wyjść na powietrze?

– Nie, nie... Wszystko dobrze.

Wzięłam głęboki oddech. Musiałam wyjść, ale nie na powietrze. Musiałam wyjść. Do niego. Spojrzeć mu w oczy i na głos powiedzieć, że to koniec, żeby w końcu zostawił mnie w spokoju.

– Nie wyglądasz, jakby było dobrze. Jesteś strasznie blada.

– To od tego dymu – skłamałam. – Anka, ja już pójdę do domu.

– Nie ma takiej opcji, żebym cię puściła drugi raz samą po nocy – zaprotestowała. – Taksówka?

Pokiwałam głową. Anka wyszła ze mną na zewnątrz i złapała mi ramię.

– Napisz mi wiadomość, jak dojedziesz do domu, dobrze? – Pocałowałam ją w policzek i kiwając głową, uśmiechnęłam się najszczerzej, jak potrafiłam w tej sytuacji.

Wsiadłam do samochodu i podałam kierowcy adres Juliana, by w niecałe dziesięć minut znaleźć się na miejscu. Gdy opuściłam taksówkę, nogi miałam jak z waty. Wzięłam głęboki wdech, zatrzymując w płucach chłodne powietrze czerwcowej nocy. Oczekałam jeszcze kilka chwil, pisząc w tym czasie do Anki, że jestem już w mieszkaniu.

Było trochę po dziesiątej. Czy on w ogóle był u siebie? Serce biło mi jak szalone, krew buzowała w żyłach. Nogi same poniosły mnie w stronę drzwi wejściowych do budynku, które okazały się zamknięte. Nie byłam przygotowana na takie komplikacje. Szarpnęłam kilka razy za klamkę, bez skutku. Wpuściłam powietrze nosem, przeklinając cicho. Nagle światło przed budynkiem się zapaliło, a przez okno przy drzwiach wyrzwał portier.

– Pani do pana Juliana, prawda?

Kiwnęłam głową. Otworzył mi drzwi i zaprowadził do windy. Ta guzdrała się, piętro po piętrze wciągając mnie w górę. Wraz z każdym centymetrem ręce drżały mi coraz mocniej. Zaciśnęłam palce na pasku od torebki, utkwiałam wzrok w cyfrowym wyświetlaczu. Winda stanęła nagle, szarpnięciem informując, że dotarłam do celu. Drzwi się otworzyły, a moim oczom ukazał się on. Z zaskoczenia aż się cofnęłam o kilka kroków. Julian stał na pustym korytarzu, opierając się o ścianę. Drzwi do mieszkania były zamknięte.

– Co ty tu robisz? – wydusiłam z siebie, próbując opanować oddech. Moje serce waliło mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej i uciec z tego miejsca jak najdalej.

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. – Nie był zły, raczej zdziwiony. – Recepcja poinformowała mnie, że mam późnego gościa. Byłem ciekaw, kto to.

Patrzył mi w oczy, uśmiechając się, ale nie tak jak zawsze. Tym razem był to uśmiech zachowawczy i niepewny. Cały czas opierał się o ścianę. Nie podszedł do mnie, nawet nie ruszył się z miejsca. Ręce założył na piersiach. Wyczekiwał, co powiem i co zrobię. A ja, wbrew wszystkiemu, co sobie zaplanowałam, wbrew moim myślom, kierując się nagłym przyływem tęsknoty, która ogarnęła mnie na widok Juliana, wykonałam krok naprzód i oparłam czoło na jego klatce piersiowej. Zamarł na chwilę, jakby rażony prądem, zaskoczony moim zuchwałym ruchem. Zastygł spięty i sparaliżowany. Jednak już kilka sekund później objął mnie i przyciągnął bliżej, zatapiając twarz w moich włosach.

– Co ty mi zrobiłeś? – wyszeptalam, podnosząc głowę tak, bym mogła na niego spojrzeć. Słowa wylewały się ze mnie niekontrolowanie, podyktowane bliskością jego ciała. – Nie mogę przestać o tobie myśleć. Śniesz mi się po nocach. Albo nie mogę spać przez to, że błądasz się po mojej głowie. Dziś miałam wrażenie, że stoisz za mną w knajpie. Czułam twój dotyk.

Nie odpowiedział, usta ułożył w wąską linię. Pogłaskał mnie po twarzy, jego oczy błyszczały w przytłumionym świetle korytarza. Pocałował mnie w czoło, delikatnie i powoli, z czułością, jakiej się nie spodziewałam. Zadrżałam, gdy jego usta dotknęły skóry.

– Mogę wejść? – zapytałam, zachęcona tą pieśczęcią.

Na moje słowa jego twarz na powrót stężała, a mięśnie napięły się jak struny. Natychmiast mnie puścił i odsunął się pod ścianę. Stanęłam jak wryta, wytrzeszczając oczy, nie rozumiejąc, co się właśnie stało. Nigdy wcześniej aż tak mocno nie poczułam odrzucenia.

– Nie mogę cię dzisiaj wpuścić do środka.

W lot pojęłam, o co mu chodziło. Ktoś inny spędzał z nim ten ciepły, niedzielny wieczór. Bez słowa odwróciłam się i przywołałam windę, która na szczęście nie zdążyła jeszcze ruszyć na inne piętro. Wsiadłam

i spoglądałam na niego, na tę posagową postać mężczyzny absurdalnego. Czekałam, aż drzwi windy się zasuną, pozwoliłam sobie odpuścić wszystko, co do tej pory czułam. Łzy popłynęły po policzkach, zanim zdążyłam wyjść z budynku. Mój plan zakończenia relacji z Julianem właśnie zaczął się ziszczać, choć nie do końca tak, jak sobie to zaplanowałam. Tylko dlaczego to tak strasznie bolało?

*

Czas nie przyniósł mi ukojenia. Topiłam kolejne wieczory w zbyt tanim winie, dni okadzałam popalanymi na balkonie papierosami. Nie dlatego, że cierpiałam i tęskniłam za mężczyzną, którego widziałam całe trzy razy, ale dlatego, że Julian nadal śnił mi się po nocach. Jego ręce błądzące po moim ciele, jego usta na granicy mojej skóry, nigdy bliżej. Pragnęłam tych pocałunków, lecz one nie nadchodziły. Pragnęłam tych klótni, jednak on milczał. Pragnęłam go, a gdy wyciągałam rękę, znikał w ciemnościach nocy. Biegłam za nim, w tę ciemność, po omacku, wiedziona tylko dźwiękiem bicia jego serca, samotnie pokonując przestrzeń. Zdyszana zatrzymywałam się na chwilę. Łapał mnie wtedy za ręce, wyłaniając się znikąd, a ja nie mogłam nawet krzyknąć. Te sny, te koszmary były tak realne, że budziłam się cała drżąca, spocona, nie mogłam złapać oddechu. Byłam bliska obłądu.

– Nie mam już siły – przyznałam, odpalając kolejnego papierosa.

Anka wpadła do mnie na pogaduchy. Był ciepły piątkowy wieczór, początek czerwca, a my siedziałyśmy na balkonie, wypijając resztki moich zapasów alkoholu.

– Jak można w tak krótkim czasie aż tak bardzo oszaleć przez jakiegoś głupiego faceta? – żaliłam się przyjaciółce. – Mam wrażenie, że tam w środku, w mojej głowie, zabrakło już mnie i mojego życia. Jest tylko on.

– Wiesz, że jedynym sposobem, żeby to minęło, jest porządna konfrontacja? Ale taka dojrzała, normalna rozmowa? – Moja przyjaciółka zaśmiała się pod nosem.

Zaciągnęłam się dymem z papierosa. Na kolejną konfrontację nie było najmniejszej szansy i obie dobrze o tym wiedziałyśmy.

– Anka, jak ty to sobie wyobrażasz? – obruszyłam się, a ona wzruszyła ramionami. – Mam tam znów iść? To nie wchodzi w rachubę. Tam ktoś był. Jakaś kobieta. Nie dobrał się do mnie, to zaprosił sobie inną. Nie chcę się mieszać w takie historie.

– Czemu od razu zakładasz, że to była kobieta?

Zamrugałam, nie wierząc, że muszę jej to tłumaczyć.

– Bo nie wpuścił mnie do środka?

– A może miał gości i nie chciał im tłumaczyć, kim jest ta rozegzaltowana, posiniaczona wariatka, która wpada z nienacka, niezapowiedziana?

Westchnęłam i upiłam solidny łyk drinka. Milczałam chwilę, zastanawiając się, czy może rzeczywiście błędnie odczytałam jego intencje.

– To czemu się teraz nie odzywa?

– Bo bez słowa zniknął w windzie? – Anka złapała mnie za rękę, widząc, jak oczy zaszkliły mi się na samo wspomnienie tamtej sytuacji. – Mal, przestań. To tylko facet. Nie ten, to inny.

– Łatwo powiedzieć. To nie tobie śni się co noc, doprowadzając do obłądu. A w dzień... Nie mogę przestać o nim myśleć.

– To może chociaż spróbuj przekierować te myśli na kogoś innego?

– Nie widzę tu kolejki petentów – zaśmiałam się, wyglądając przez barierkę. – Czy może mam zadzwonić do Zbyszka?

– A może zacznij od ubrania się w normalne ciuchy? Wtedy może i się pojawią.

Nie mogłam odmówić Ance racji. Kolejny tydzień pracy z domu dawał mi się we znaki, rozluźniając moje podejście do dbania o siebie. Siedziałam na balkonie z papierosem w dłoni, w wyciągniętym dresie i starej koszulce. Włosy zebrałam w niedbały kucyk. Na szczęście nie wyglądałam już jak ofiara przemocy domowej, bo w końcu pożegnałam Grzmota raz na zawsze i w poniedziałek miałam wrócić do biura. Może powrót do starych zwyczajów przyniesie ukojenie od koszmarów nocy?

– A ty? Jakie masz plany co do Mateusza? – spytałam, zmieniając temat.

Uśmiechnęła się i zamrugała powiekami.

– Wyjeżdżamy jutro na weekend do jego rodziców. Mieszkają na Mazurach.

– Anka, nie za szybko? – Otworzyłam oczy zszokowana tym wyznaniem, po czym dodałam: – I czy chcesz mi powiedzieć, że po raz pierwszy poznasz rodziców swojego faceta? To do ciebie niepodobne...

Każda z nas wzięła po łyku swojego drinka, które miały nam obu przysporzyć następnego dnia potężnego kaca.

– Wiesz, ja przynajmniej mam jakiegoś faceta. A co do poznawania rodziców... Może to już na mnie czas? Może Mateusz to ten jedyny?

Anka chce się ustatkować? Musiałam ją wypytać o wszystkie plany wobec jej nowego partnera. Resztę wieczoru spędziłyśmy więc, plotkując, śmiejąc się i żartując. Koło północy moja przyjaciółka wróciła do domu, a ja położyłam się do łóżka. Nie liczyłam jednak na szybki sen. W głowie kręciło mi się za mocno od zbyt dużej ilości wypitego alkoholu, a mózg, chcąc uniknąć kolejnych koszmarów, skutecznie utrzymywał mnie w stanie przytomności, karmiąc natłokiem natrętnych myśli o tym, jak bardzo chciałabym zapomnieć.

Sen przyszedł dopiero nad ranem, a w nim gonitwa za Julianem, tak intensywna, że po przebudzeniu prawie zwymiotowałam. Cały dzień snułam się po mieszkaniu, lecząc kaca i oglądając telewizję, na każdym kroku wmawiając sobie, że mój stan zawdzięczam wyłącznie przesadnej ilości wypitego wieczorem alkoholu, a nie Julianowym koszmarom.

Położyłam się wcześniej. Sińce pod oczami, będące oznaką niewyspania, byłyby idealną pożywką dla mojej matki. W myślach modliłam się o spokojną noc i ukojenie dla zgnębionego umysłu. Widmo Juliana jednak po raz kolejny powiodło mnie do krainy, w której miał nade mną pełną kontrolę, torturując moje ciało urywanymi w kulminacyjnym momencie pieszczotami.

Obudziłam się o piątej nad ranem. Nie zasnęłam więcej, nie chcąc ryzykować kolejnego rozczarowania.

*

Podróż do rodzinnego domu była ostatnimi czasy jedynym pretekstem do przewietrzenia mojego małego, kompaktowego samochodu, kurzącego się zazwyczaj w podziemiach garażu. Odpaliłam silnik, echo poniosło jego warkot po hali parkingu. W niecałą godzinę przeniosłam się do dziecięcych wspomnień, do wakacyjnych chwil spędzanych u ukochanej babci i cudownego dziadka. Mama odziedziczyła to stare gospodarstwo rolne po rodzicach i zamieszkała tam z moim ojcem po przejściu na emeryturę. Znajdowało się ono w idealnym położeniu – na tyle daleko od miasta, by móc oddychać świeżym powietrzem, a jednak na tyle blisko, by w razie potrzeby w niedługim czasie dostać się do cywilizacji.

Gdy byłam dzieckiem, spędzałam tam każde wakacje, chłonąc tę sielską atmosferę pełną ciepłego mleka prosto od krowy, gdańskich kur i zapachu świeżo skoszonego siana. Czas nie miał tam znaczenia, a życie zwalniało rytm, dostosowując się do pór dnia i roku. Moi dziadkowie byli prostymi, lecz do głębi uczciwymi i serdecznymi ludźmi. Uczyli mnie szacunku do natury: do roślin i zwierząt, a w szczególności do koni, które stanowiły ich pasję i główne źródło utrzymania. I bez względu na to, jak bardzo neurotyczna i nieracjonalna bywała moja matka, musiałam przyznać, że wybrała sobie utopijne wręcz miejsce na spędzenie emerytury i to, jak o nie zadbała, było godne podziwu.

Rolę głównego całorocznego domu, w którym mieszkali moi rodzice, pełniła teraz wyremontowana stara stajnia, w której udało się zmieścić dwie sypialnie, wygodną, przestronną kuchnię, łazienkę i ogromny salon z oknami balkonowymi z widokiem na kilkuhektarowe pole. Drewniana, niewielkich rozmiarów chata stojąca tuż obok stajni, w której za życia mieszkali moi dziadkowie, została przerobiona na letni dom gościnny. Zwykłam w nim sypiać, gdy odwiedzałam rodziców na dłużej. Uwielbiałam to miejsce, czując się w nim na powrót jak mała dziewczynka, a w nocy, gdy przebudzałam się ze snu, mogłabym przysiąc, że nadal słyszę kroki dziadka, idącego na ganek, aby zapalić papierosa marki Popularne, jego ulubionych, oczywiście bez filtra. Ich zapach wgryzł się w drewniane belki przy suficie równie mocno jak korniki.

Gdy podjechałam pod bramę, rodzice czekali już na mnie przed domem. Między nogami matki pałętały się wiejskie koty, ocierając się o jej łydki i mrucząc na tyle głośno, że słyszałam je przez uchylone w samochodzie okno. Koty od lat były kością niezgody w związku rodziców. Matka codziennie je dokarmała. Wbrew ciągłym sprzeciwom ojca wystawiała przed dom miski pełne mięsnych łakoci. W ten sposób uzależniła od siebie gromadę prądkowanych sierściuchów z sąsiedztwa, z których żaden nigdy nie należał do niej. Tym zachowaniem doprowadzała tatę do szału, ponieważ koty odwdzięczały się za opiekę,

zostawiając przed drzwiami wejściowymi truchła zagryzionych myszy. Oczywiście podarunki te sprzątać musiał on, mama bała się widoku śmierci w każdej postaci, nawet małego gryzonia.

– Mal, jak ty wychudłaś! – Na matkę zawsze mogłam liczyć...

Tym razem jednak nie był to przesadny komentarz, lecz coś, co sama zauważyłam, gdy przeglądałam się w lustrze przed wyjazdem z domu: dieta złożona głównie z papierosów i wina zrobiła swoje: ciuchy wisiały na mnie jak na wieszaku i wiedziałam, że dzisiaj nie ominie mnie podwójna porcja obiadu.

– Ciebie też miło widzieć. – Ucałowałam ją w oba policzki. Z ojcem przywitałam się poprzez uściśnięcie dłoni. Były wojskowy miał swoje zasady.

Weszliśmy do domu. Sporych rozmiarów salon witał swoim wiejskim eklektyzmem, który na sucho ująć mógł tylko w takim miejscu. Rodzice zgrabnie połączyli kanapy i fotele z Ikei ze starymi komodami po dziadkach, odnowionymi przez mojego ojca w ramach prac różnych na emeryturze. Ciemne, puchate dywany były rozłożone na dębowej podłodze, by dodawały pomieszczeniom przytulności. Landszafty, kupione lata temu na targu, wisiały na bielonych ścianach w salonie. Znałam każdy ich szczegół, każdą plamkę farby na chropowatym płótnie, zdobiły kiedyś wnętrza domu dziadków. Obok nich stare chomąta, udające teraz nazbyt duże ramki na zdjęcia, przypominały poprzednie przeznaczenie tego budynku. W kuchni, której okna wychodziły na polanę i pobliski staw, pachniało domowym ciastem cytrynowym. Mama była mistrzynią kuchni, dopracowując tradycyjne przepisy mojej babci do perfekcji. Nietrudno się domyślić, że w dzieciństwie nie byłam zbyt chudym dzieckiem.

Moja rodzicielka przyglądała mi się bacznie, gdy rozsiadłam się na kanapie, tonąc w poduszkach z wyszytymi na nich wizerunkami leśnych zwierząt.

– Co tam, mamó? – spytałam się, prowokująco szczerząc zęby.

– Co ci jest? – odpowiedziała mi pytaniem.

– To zależy, o co pytasz. – Przygryzłam wargę i podrapałam się po czole. – Poza tym nieładnie tak odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Mal, znam cię od urodzenia. – Złapała się pod boki i zrobiła groźną minę, chodząc po pokoju. – Widzę, że coś jest nie tak.

– Mówiłam ci już, miałam ciężki okres w pracy. – Westchnęłam, przewracając oczami. – Wysypał nam się jeden projekt, dostawca pomieszał coś w dokumentacji stabilności, mamy trzy miesiące w plecy, a koniec patentu nie będzie czekać. – Za dużo szczegółów, których nie miała prawa zrozumieć, miało zbić ją z tropu.

Mama pokręciła jednak głową, cmokając.

– Nie o tym mówię. Coś cię trapi.

Zaśmiałam się nerwowo. Nie coś, tylko ktoś. Ale przecież jej tego nie powiem.

– Wszystko jest ze mną w porządku. Za to ze stabilnością nie. – W sumie zdanie to nie było aż tak dalekie od prawdy. Moja stabilność emocjonalna wisiała na włosku. Zmiana tematu wydawała się najmądrzejszym rozwiązaniem. – A co u was?

– Po staremu. Chociaż nie... – Chwilę milczała, wpatrując się w horyzont za oknem i ważąc słowa. – Odezwał się do mnie ostatnio Zbyszek. Zadzwonił jakiś czas temu.

– Ale jak to? – Tego zupełnie się nie spodziewałam. – Po co dzwonił?

Moja mama uwielbiała Zbyszka i ciągle wypominała mi, że popełniłam błąd, kończąc tę znajomość, ale w najśmielszych fantazjach nie zakładałabym, że będzie z nim utrzymywać kontakt miesiące po tym, jak się rozstaliśmy.

– Zaprosiłam go dzisiaj do nas na obiad – powiedziała, wzruszając ramionami.

Zaniemówiłam. To dlatego tak usilnie dopytywała, kiedy w końcu przyjadę do nich w odwiedziny.

– Zwariowałaś? – wydusiłam z siebie, nie mogąc wyjść z szoku. – Po co go zaprosiłaś?

Wiedziałam już, jak szykuje się, aby zacząć tyradę na temat tego, jak dobrym człowiekiem jest Zbyszek, że nie pije, nie bije i ma stałą pracę, jednak dźwięk stopera odmierzającego czas pieczenia ciasta uratował mnie od tego wykładu, dzwoniąc tak głośno, że aż podskoczyłam na kanapie. Mama wyszła do kuchni, a ja zostałam sama w salonie.

Wyciągnęłam telefon i napisałam Zbyszkowi wiadomość.

Ty na poważnie tu przyjedziesz?

Nie odpisał. Pewnie był już w drodze. Westchnęłam i wyszłam przed dom. Nieskoszona trawa łaskotała mnie w gołę łydki.

Wyobraziłam sobie, jak wychodzę na drogę, za zakręt, stoję tuż przy lasku i czekam, tarasując Zbyszkowi przejazd. Wyciągam go z samochodu, łapiąc za kołnierz nieuprasowanej koszuli, a na usta cisną mi się nieprzychylnie epitety. Krzyczę na niego, żeby się nie wygłupiał, żeby wrócił do swojego domu i dał mi życie w spokoju. On patrzy na mnie, nadymając swoje pulchne policzki, które czerwienieją jak jabłka jesienią. Jąka się, kręci, po czym odwraca się na pięcie i odjeżdża, a światła jego samochodu nikną na horyzoncie. Westchnęłam, wiedząc, że nie uszłoby mi to na sucho.

Muszę znieść tę wizytę z godnością – pomyślałam – a potem go po prostu zignorować. Zaśmiałam się sama z siebie. Ostatnio ignorowanie mężczyzn szło mi dość opornie.

Oparłam się o starą gruszę, skubiąc korę. Wdychałam ciepłe, pachnące kwitnącymi, dzikimi makami powietrze, obserwując bawiące się ze sobą młode, półdzikie koty.

Samochód Zbyszka podjechał pod płot kilka minut później. Mój były wyciągnął z bagażnika dwa bukiety tulipanów i ruszył w stronę domu. Co mu odbiło z tymi kwiatami? Zamknęłam oczy i jęknęłam w duchu.

Gdy tylko mnie zobaczył, uśmiechnął się nerwowo, zaciskając palce na łodyżkach niewinnych kwiatów. Podeszedł, trzymając przed sobą jeden z bukietów w taki sposób, aby w każdej chwili mógł się nim przede mną obronić i uciec.

– Cześć, Mal. Proszę, to dla ciebie... – Niezdarnie wcisnął mi tulipany w rękę.

– Co ty tu robisz? – wypaliłam, resztką zdrowego rozsądku powstrzymując się od tego, żeby nie zamienić tych kwiatów w przyrząd do wyganiania nieproszonych gości.

– Twoja mama zaprosiła mnie na obiad. – Nieznaczenie uniósł drugi bukiet kwiatów. – To dla niej.

– Domyślałam się, że to raczej nie dla mojego ojca – odparłam zgryźliwie. – Ale po co w ogóle się do niej odzywałeś?

Skrzywił się i podrapał z zakłopotaniem po czole. Kołysał się niepewnie, stojąc naprzeciwko mnie, i zastanawiał się, co ma powiedzieć. Od naszego ostatniego spotkania kilkanaście tygodni wcześniej nie zmienił się wcale. Blond włosy nadal nosił obcięte na krótko, niebieskie tęczówki okalały przekrwione od ciągłego wpatrywania się w monitor białka oczu. Okrągła twarz bez żadnego śladu zarostu i delikatnie odstające uszy sprawiały, że wyglądał jak nazbyt wyrosnięte dziecko. Był niewiele wyższy ode mnie, z delikatną nadwagą, która przejawiała się głównie okrągłym brzuchem i tłustymi palcami u rąk. Gdy się poznaliśmy i zaczęliśmy spotykać, przestał ćwiczyć i przybierał coraz bardziej idealną formę – formę koła. Wyglądało na to, że po rozstaniu nie wrócił na siłownię. Ubrał się dzisiaj w koszulkę polo w granatowe pasy i niebieskie džinsy.

– Pomyślałem, że uznasz to za romantyczne – stwierdził w końcu, uśmiechając się nerwowo. – Wiesz, pojawię się z kwiatami, porozmawiamy...

– Nie, to nie jest romantyczne. – Pokręciłam głową. – Ale skoro już jesteś, chodź. – Odwróciłam się i zaprowadziłam go do środka.

Mama cała rozpromieniona stała w drzwiach, przebierając nogami. Przewróciłam oczami na ten widok. Mój były podeszedł do niej, witając się wylewnie.

– Dzień dobry, pani Danuto. – Wręczył jej drugi z bukietów.

– Cześć, Zbyszeku. Dziękuję, że wpadłeś. – Mrugnęła do niego okiem. – Idźcie już do salonu, zawołam ojca i podam zupę.

Usiedliśmy przy stole, który moja rodzicielka zdążyła już nakryć do obiadu. Biały obrus, przeszywany srebrnymi nićmi, ten odświętny, zostawiany na specjalne okazje, skrzył się w ciepłym świetle niedzielnego słońca. Niezręczna cisza przerywana była tylko bzyczeniem muchy, która wpadła przez uchylone okno.

– Mal, czy mogę cię zaprosić na kolację?

– Nie zjedliśmy jeszcze obiadu – prychnęłam. Wbił we mnie wzrok tak nachalnie, że czułam się niezręcznie. – Zbyszek, o co ci właściwie chodzi?

– Ja cię nadal kocham, Mal – wyszeptał, nachylając się w moją stronę, gdyż na horyzoncie pojawiła się już moja matka z wazą pełną parującej zupy.

Otworzyłam szeroko oczy, wstrzymując na chwilę oddech, i automatycznie odsunęłam się najdalej,

jak potrafiłam, pilnując przy okazji, by nie spaść z krzesła. Przez cały obiad nie odezwałam się ani słowem, będąc jedynie niemym świadkiem tego, jak Zbyszek z moją matką jak dwie papużki nierozłączki trajkoczą o mało istotnych sprawach. Przez chwilę pomyślałam nawet, że mama byłaby dla niego lepszą partią niż ja. Kątem oka spjrzałam na ojca pogrążonego, jak zwykle zresztą, w swoich myślach. Ta sytuacja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Ach, cała nasza czwórka znów przy jednym stole – zaczęła mama, zbierając puste talerze po głównym daniu. – Czy to nie miłe uczucie, córeczko?

– Jedyną miłą rzeczą, która mnie dzisiaj spotkała przy tym stole, była ta znakomita faszerowana kaczka – odparłam, na co mama aż tupnęła nogą.

– Mal! – skarciła mnie, a ja przewróciłam oczami. – Może zjemy deser na kanapie? – zaproponowała.

Zbyszek ochoczo pokiwał głową. Tata wzruszył ramionami, stwierdzając, że jemu jest wszystko jedno, byleby dostał podwójny kawałek ciasta. Przenieśliśmy się więc do części wypoczynkowej salonu. Mój eks usilnie kombinował, jak usiąść koło mnie, jednak strategicznie zajęłam miejsce na kanapie obok ojca. Tata znany był z ogromnej niechęci do bliskości i wszyscy wiedzieliśmy aż nazbyt dobrze, że potrzebuje swojej przestrzeni. Byłam więc pewna, że Zbyszek nie zaryzykuje przekroczenia tej niewidocznej bariery i wejścia w prywatną strefę swojego niedoszłego teścia. Usiadł więc w jednym z dwóch fotelów.

– Mal, porozmawiaj z gościem – powiedziała mama, wchodząc do pokoju z tacą pokrojonego ciasta cytrynowego. – Opowiedz Zbyszkowi, co u ciebie.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparłam, choć w rzeczywistości miałam ochotę krzyknąć i uciekać albo co najmniej wyrzucić Zbyszka z salonu przez okno.

– Może jednak opowiedziałabyś o swoim awansie w pracy – naciskała moja rodzicielka. – Zbyszek na pewno jest ciekaw.

Zamrugałam, patrząc raz na nią, raz na mojego byłego partnera, zastanawiając się, czy był to ich wspólny plan.

– Nie – zaprotestowałam, oddychając coraz szybciej. – I powoli mam dość tej szopki. Nie chcę się więcej z tobą spotykać, Zbyszek. I to, co tu się dzisiaj dzieje, to nie jest sposób, żeby to zmienić. – Wstałam z kanapy, po czym odwróciłam się w stronę mojej matki. – A co do ciebie, mamo, nie chcę, żebyś więcej w taki sposób próbowała zmuszać mnie do rzeczy, których nie chcę i nie zamierzam robić. Wydawało mi się, że przerobiłyśmy już ten temat. A teraz zrobię to, co powinnambyła zrobić już godzinę temu. Do widzenia.

Zaczęłam iść w stronę wyjścia. Cała trójka milczała, gdy wychodziłam z domu. Nikt nie wyszedł za mną, gdy odpalałam samochód, nikt nie wybiegł na drogę, by przeprosić za swoje zachowanie. Ruszyłam z piskiem opon, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się na autostradzie. Z drogi próbowałam zadzwonić do Anki, by poskarżyć się na swój los, jednak jej telefon milczał. Nie oddzwoniła też ani po południu, ani wieczorem. Miałam szczerą nadzieję, że weekend z rodziną Mateusza udał jej się bardziej niż moja niedziela w rodzinnym domu.

*

Gdy w poniedziałek rano stawiałam się w pracy, poczułam, że powraca stara Mal. Pod powiekami miałam cały czas wspomnienie nocnych majaków, w których Julian na zmianę całował mnie i znikał, jednak w świetle biurowych jarzeniówek nie wydawały się one tak obezwładniające.

Moje biuro było ulokowane w jednym z tych wyższych biurowców w centrum miasta, które mogły poszczycić się widokiem na Pałac Kultury i Nauki. Firma, w której pracowałam, zajmowała się rozwojem leków biologicznych, mogła więc pozwolić sobie na kilka najwyższych pięter. Narożny pokój, który dzieliłam z trzema osobami, był zlokalizowany na samym końcu zawitych korytarzy, jednak nadrabiał widokiem – mogłam z niego spokojnie podziwiać panoramę Warszawy.

Koło południa, po sesji spotkań i trzech rundach kawy, wspomnienia ostatnich tygodni wyblakły, a ich miejsce na powrót zajął spokój ducha. W trakcie przerwy lunchowej, kiedy schodziłam na dół, żeby przejść się do jednej z pobliskich restauracji, zadzwonił mój telefon. Anka. W końcu!

– Całą noc przez ciebie nie spałam – wypaliła, gdy tylko przyłożyłam telefon do ucha. – A dziś pół dnia biłam się z myślami, co zrobić. Ale muszę ci to powiedzieć.

– Więc mów... – Z każdym jej słowem moje zainteresowanie rosło.

– Spotkałam go.

Nie zrozumiałam, co do mnie powiedziała.

– Spotkałaś kogo? – zapytałam, marszcząc nos. – Zbyszka?

– Jakiego Zbyszka? – zdziwiła się. – Jego. Juliana. – Na dźwięk tego imienia zatrzymałam się na środku przejścia dla pieszych. – Wróciliśmy z Mazur i poszliśmy jeszcze na kolację z Mateuszem i jego bratem do Abraxas. Byłyśmy tam ostatnio, pamiętasz?

Zamruczałam tylko, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

– Po kolacji zeszedliśmy na chwilę na dół. Nie byłam pewna, czy to on, ale stał niedaleko mnie przy barze, rozmawiając z jakimś podejrzanym typem. Takim krępyim gościem ogolonym na łyso, który w pewnym momencie użył tego imienia.

Podskoczyłam, gdy samochód stojący niedaleko mnie zatrąbił dwukrotnie. Słuchając Anki, nie zauważyłam, że zmieniła się sygnalizacja świetlna, a ja stoję na środku trzypasmowej ulicy, blokując cały ruch. Szybko pobiegłam na chodnik.

– Powiedział do niego „Julian”, więc ja, niewiele myśląc, zaszłam mu przeciw, podeszłam i spytałam się, czy cię kojarzy. Patrzył na mnie chwilę, mrużąc coś pod nosem, ale było na tyle głośno, że nie słyszałam co. A potem odwrócił się i odszedł. Tak po prostu. Totalnie mnie olał!

– Anka... – jęknęłam. – Może to nie był on...

– Mal, to był on! Wielki jak niedźwiedź, czarne węgle zamiast oczu, długie, kręcone włosy. Może i był przystojny... Ale Mal, on... – zawahała się. – On mnie przerażał. Do tej pory, jak o nim myślę, mam gęsią skórkę. Mateusz mówił to samo, że jak na niego patrzył, czuł irracjonalny strach. Ten gość był dziwny, zupełnie oderwany od rzeczywistości, zupełnie jakby nie z tego świata. Ty się z nim nie zadawaj, dziewczyno. Nic dobrego z tego nie będzie.

– Nie zamierzam się z nim więcej spotkać – odparłam, wymawiając na głos zdanie, które powtarzałam sobie jak mantrę każdego dnia od ponad tygodnia.

– I dobrze. Znajdziemy ci kogoś normalnego.

Westchnęłam i bez słowa się rozłączyłam. Nie czułam już głodu. Wróciłam do biura i nie wstałam od komputera do czasu, aż za oknem pojawiły się gwiazdy i księżyc, a wszyscy moi współpracownicy dawno poszli do domów. Anka próbowała dodzwonić się do mnie jeszcze kilka razy, ale nie miałam siły z nią rozmawiać.

Napisałam jej wiadomość:

Daj mi to przetrawić.

Martwię się o ciebie.

Nic mi nie będzie.

Zastanawiałam się, czy uwierzy w to kłamstwo.

Po głowie krążyły mi jej słowa, przepełnione lękiem i troską. Czemu tak zareagował? Czemu nie chciał z nią rozmawiać? Co robił w tej knajpie? Pytania zalewały mój umysł i był tylko jeden sposób, żeby ostatecznie rozwiązać wątpliwości. Wyszłam z biura i skierowałam się do wejścia podziemnego do metra, od Juliana dzieliły mnie bowiem zaledwie dwie stacje. Gdy schodziłam po schodach, usłyszałam, że ktoś krzyczy moje imię. Odwróciłam się na tyle gwałtownie, że prawie upadłam, musiałam się chwycić poręczy i przytrzymać. W moją stronę biegł Zbyszek. Zakląłam pod nosem.

– Co ty tu robisz? – syknęłam, poprawiając sukienkę, która podwinęła mi się przy potknięciu.

– Chciałem pogadać o tym, co zaszło wczoraj, ale chyba miałaś wyłączony telefon.

Zmarszczyłam nos, żałując, że wczoraj wieczorem w przypływie wszechogarniającej złości na Zbyszka i moją matkę zablokowałam jego numer, by nie mógł się do mnie dodzwonić i raz na zawsze dał mi spokój. Teraz czułam na języku gorzki smak swojego błędu. Zdecydowanie łatwiej byłoby odrzucać jego telefony, niż zrzucić go ze schodów.

– Chciałem porozmawiać, wyjaśnić to wszystko. Byłem u ciebie w domu, ale tam cię nie było, więc pomyślałem, że może jeszcze jesteś w pracy.

– Zbyszek, ale ja nie chcę z tobą gadać.

Miałam swoje własne plany na ten wieczór i nie zakładały one publicznej kłótni z byłym partnerem.

Ruszyłam przed siebie w stronę stacji metra. Zbyszek podążył za mną, uparty jak osioł, za którego go miałam. Cały czas nie przestawał mówić.

– Mal, przestań. Ja cię kocham, to chyba coś znaczy.

Zalatywało od niego potem i przetrawionym alkoholem.

– Ty piłeś? – oburzyłam się, przyspieszając kroku.

– Tylko troszeczkę – wybełkotał, nieco zmieszany moją reakcją. – Ale to nic, po prostu jeden mały kieliszek na odwagę. Widzisz, chodzi o to, że ja nie mogę o tobie zapomnieć. Było nam razem dobrze. Może nie idealnie, ale dobrze...

Przeszłam przez bramki, a on nadal dreptał za mną, dysząc prosto w moje plecy. Metro podjechało kilka chwil później, zagłuszając jego kolejne słowa.

– To metro nie jedzie w twoją stronę – powiedział ze zdziwieniem, wchodząc za mną do wagonu.

– Nie jadę do siebie – odpowiedziałam zdawkowo, przytrzymując się jednej z barierek. Pociąg ruszył, szumiąc w rytm słów Zbyszka. Odwróciłam głowę tak, by nie musieć na niego patrzeć.

– Mal, co się z tobą dzieje? Mówię ci, że cię kocham, a ciebie to nawet nie rusza.

– Rusza mnie na tyle, że próbuję od kilku minut od ciebie uciec, nie widzisz tego? – starałam się mówić jak najciszej, nie chciałam wzbudzać sensacji w metrze.

– To przestań na chwilę uciekać i porozmawiaj ze mną. – Zbliżył się, a ja skuliłam się w sobie. – Wsiądźmy, chodźmy coś zjeść i po prostu mnie wysłuchaj.

– Ale ja nie chcę – szepnęłam. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Chciał coś odpowiedzieć, ale dotarliśmy do kolejnej stacji. Kilka osób wysiadło, dużo więcej dołączyło do podróży, zmuszając nas do zbliżenia się do siebie. Za plecami miałam drzwi pociągu, z przodu napierającego na mnie mojego byłego. Znalazłam się w potrzasku. Po chwili, gdy znów ruszyliśmy, Zbyszek przypuścił kolejny atak.

– Co się zmieniło? – dopytywał, przytrzymując mnie za łokieć swoimi tłustymi paluchami. – Masz kogoś nowego?

Marzyłam tylko o tym, żeby wysiąść już z metra i uciec jak najdalej od niego. Twarz Zbyszka robiła się coraz bardziej czerwona, a na czole pojawiały się kropelki tłustawego potu.

– Nic ci do tego – powiedziałam chyba trochę za głośno, gdyż kilka osób obróciło się w naszą stronę z nieukrywaną ciekawością.

Milczał chwilę. Oparłam się o drzwi wagonu, próbując się uspokoić.

Już niedaleko – powtarzałam sobie w myślach – *zaraz się go pozbędziesz.*

Metro się zatrzymało, drzwi się rozsunęły, a ja wysiadłam tak szybko, jak tylko potrafiłam, przepychając się pomiędzy współpasażerami. Zbyszek dotrzymywał mi jednak kroku, próbując złapać mnie za rękę. Wyrwałam mu się i pobiegłam przed siebie w stronę schodów prowadzących do wyjścia ze stacji.

– Poczekaj na mnie! – wrzasnął, gdy przeciskałam się pomiędzy przechodniami. – Mal! Poczekaj!

Dogonił mnie, gdy wyszłam już na powietrze, i chwycił mocno moje ramię. Krzyknęłam, nie spodziewając się, że będzie w stanie być na tyle brutalny. Zacisnął palce na mojej ręce tak, bym nie mogła się wyrwać. Staliśmy na środku placu pod Centrum Nauki Kopernik otoczeni przez wieczornych spacerowiczów. Nikt jednak nie zwrócił na nas uwagi. Zbyszek pociągnął mnie za sobą, ukrywając naszą szarpaninę pomiędzy drzewami na pobliskim skwerze. Próbowałam się mu wyrwać, drapiąc go paznokciami po przedramionach. Chwycił mnie za nadgarstki, przyparł do jednego z drzew i szarpnął.

– Uspokój się, wariatko! – syknął rozjuszony.

Patrzyłam na niego przerażonymi, okrągłymi oczami. Nie byłam w stanie zrozumieć jego zachowania, nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki ani nie rzucił w moją stronę epitetem.

– Oszalałeś! – krzyknęłam, wierzgając nogami.

– Przestań się wyrwać! – Przycisnął mnie brzuchem do drzewa. Kora drapała mnie w plecy.

– Puść mnie, to boli – wyszeptałam, lecz on już nie słuchał. Zawzięcie napierał na mnie, dysząc przy tym prosto w moje usta.

– Przestań mi mówić, co mam robić, i po prostu mnie posłuchaj.

Po policzkach pociekły mi łzy, nie byłam w stanie przewidzieć, do czego jeszcze był zdolny.

– Czy ten pan ci się naprzykrza? – Dźwięk chrapliwego głosu, jego głosu, był dla mnie wybawieniem. Odetchnęłam z ulgą.

Julian pojawił się znikąd, podchodząc do nas na tyle blisko, że mogłam poczuć zapach jego skóry. W świetle księżyca, pośród rozłożystych drzew, wyglądał jak dzikie zwierzę. Gotowy, by w każdej chwili wyżyć się pozorów i uwolnić gwałtowność, która buzowała tuż pod jego śniadą skórą. Ubrany w białą koszulę kontrastującą z czarnymi, rozpuszczonymi włosami, stał tuż obok nas z zaciśniętymi pięściami, wpatrując się w moją przerażoną twarz.

– Nic się nie dzieje, może pan iść dalej – powiedział Zbyszek, wytracając trochę pewności siebie, i natychmiast puścił moje ręce.

Wykorzystałam ten moment i odskoczyłam w stronę Juliana, który od razu zasłonił mnie swoim ciałem.

– Nie wygląda na to – odparł mój wybawca, po czym zwrócił się do mnie. – Wszystko w porządku, Mal?

– Teraz już tak... – szepnęłam, dotykając jego pleców.

Był gorący, rozpalony, rozżarzony jak węgiel. Czułam to ciepło przez materiał jego koszuli. Cofnęłam rękę, przysmykając oczy. Nie mogłam się teraz na tym skupiać, bo mój były nie dawał za wygraną. Ruszył w naszą stronę, napierając na Juliana barkiem. Despota zaśmiał się, odpychając go z dziecięcą łatwością. Zbyszek upadł i poturlał się po trawie, zatrzymując się kilka metrów od nas.

– Znasz go? – wybełkotał, przyglądając się Julianowi z zadartą do góry głową, gdy podnosił się z ziemi. – Co to za typ?

– Ten typ już drugi raz w tym miesiącu ratuje jej życie – powiedział Julian, kręcąc głową. – Mal, idziemy – mówiąc to, odwrócił się do mnie i łapiąc moją dłoń, pociągnął w stronę Wisły.

Gdy odchodziliśmy, Zbyszek poderwał się z ziemi i szarpnął mojego obrońcę za koszulę.

– Zostaw moją dziewczynę! – zawołał, przytrzymując Juliana za rękaw. – Nie waż się jej dotykać!

Usłyszałam tylko trzask rwącego się materiału i poczułam, że Julian puszcza moją dłoń. Odwrócił się w stronę Zbyszka, stając naprzeciwko niego. Mężczyźni mierzyli się chwilę wzrokiem jak dwa byczki na arenie, jeden mały i tłusty, drugi barczysty i rozjuszony.

– Ona nigdy nie będzie twoja. – Te słowa w ustach Juliana zabrzmiały niczym groźba. Zbliżył się do mojego byłego, złapał go za materiał kołnierzyka przy koszulce i przyciągnął do siebie, patrząc mu prosto w jego szeroko otwarte, przerażone oczy. – A ja będę z nią robił, co mi się żywnie podoba. Będę jej robił takie rzeczy, jakich tobie nigdy nie pozwoliłaby robić. Będę ją dotykał, jak chcę, gdzie chcę i kiedy tylko zechcę. A ona mi na to wszystko ochoczo pozwoli, krzycząc moje imię tak głośno, że usłyszysz to bez względu na to, gdzie szczeźniesz.

– Po moim trupie. – Zbyszek splunął w stronę swojego przeciwnika.

– Z przyjemnością spełnię tę prośbę – odparł mój Despota.

Nim zdążyłam zareagować, Julian wziął zamach i przyłożył mojemu byłemu pięścią prosto w twarz. Zbyszek padł na kolana, krew trysnęła mu na koszulkę, płamiąc przy okazji porwaną koszulę Juliana. Zawył żałośnie, ukrywając twarz w dłoniach.

– Julian, przestań! – krzyknęłam, gdy ten pochylił się nad Zbyszkiem, biorąc kolejny zamach. Bałam się, że pobije go do nieprzytomności. Albo gorzej. – Zostaw go!

Podbiegłam do niego, chwytając go za łokieć. Despota odwrócił się gwałtownie w moją stronę wyrwany z transu, spoglądał na mnie, wściekły, że śmiałam mu przerwać.

– Zasłużył sobie na to. – Słowa przeciskał przez zaciśnięte zęby, siłując się ze mną przez chwilę.

– Już dostał za swoje – powiedziałam, oplatając palcami obu rąk jego ramię. – Zobacz, nawet nie ma siły wstać.

Zbyszek wił się, krzycząc. Krew zalewała mu gardło.

– W takim razie idziemy – odpowiedział mi, wycierając zakrwawioną rękę w strzępki swojej koszuli.

– Nie możemy go tak zostawić – zaprotestowałam. Zbyszek potrzebował pomocy. Ze złamanego nosa sączyła się gęsta, karmazynowa krew.

– Mam go zabrać do szpitala? – Julian zakpił ze mnie i pociągnął za sobą, zostawiając mojego byłego na środku skweru. – Nie żartuj, Mal.

– Julian... – próbowałam coś powiedzieć, jednak uciszył mnie, zakrywając mi usta dłonią.

– Idziemy do domu – zawyrokował.

Kilka minut później staliśmy w windzie, wpatrując się w siebie bez słowa, oparci o przeciwległe

ściany metalowej puszki. Julian zbliżył się do mnie, wodząc palcem po mojej twarzy i ramionach.

– Nic ci nie zrobił?

Pokręciłam głową.

Będąc tak blisko niego, czując jego dotyk i ciepło jego ciała, mogłabym zapomnieć o całym świecie. Jednak wtedy winda zapiszczała i przerywając tę pieśczętę, ogłosiła, że dojechalismy na właściwe piętro. Wyszliśmy na korytarz. Julian podszedł do drzwi i otwierając je, skinął zapraszająco głową, ale ja nie ruszyłam się z miejsca, ostentacyjnie dając mu znać, że nie zamierzam wejść do mieszkania. Wspomnienia mojej ostatniej nocy w tym miejscu wróciły nagle, kłując w serce.

– Dziś mogę wejść, o mój łaskawy panie? – zapytałam, zakładając ręce na piersiach.

– Zawsze możesz wejść – westchnął. – Tamto to był... nagły wypadek.

– Chyba chciałeś powiedzieć, że to była nagła wpadka.

Julian zaśmiał się pod nosem, kręcąc głową.

– To zupełnie nie tak – powiedział spokojnie, szeroko się uśmiechając. – Nie było tam żadnych kobiet. Ja się nie bawię w randkowanie.

Wzięłam głęboki oddech i zrobiłam spory krok, przekraczając próg jego mieszkania z ciężkim sercem. Ostatnie słowa Juliana bezsprzecznie pozbawiły mnie resztek nadziei i złudzeń.

Rozdział 4

Krzycz moje imię

W mieszkaniu panował półmrok. Z wymyślnej lampy z ażurowym kloszem, ustawionej koło kanap, sączyła się delikatna poświata. Rzucała symetryczne cienie na białe ściany w salonie. Julian musiał zostawić ją włączoną, gdy wychodził z mieszkania.

– Muszę się przebrać – powiedział, zdejmując przy mnie poszarpaną i brudną od krwi Zbyszka koszulę. Wrzucił ją do kosza na śmieci stojącego w kuchni. – W sumie trochę szkoda, lubiłem ją.

Nagi tors, wyrzeźbiona klatka piersiowa i widoczne mięśnie brzucha mojego wybawcy sprawiły, że stanęłam jak wryta. Byłam porażona tym widokiem i jego onieśmielającą swobodą wobec mnie. Przez długie sekundy mój wzrok ślizgał się po jego torsie, a zachwyt mieszał się z pożądaniem – nie mogłam oderwać wzroku od tych nabrzmiałych mięśni i opinającej je gładkiej, opalanej skóry.

Zawstydzenie przyszło dopiero po chwili.

– Tak, idź, idź... – wydusiłam z siebie, zmuszając się, by spojrzeć w bok.

Julian zaśmiał się, widząc moje skrępowanie, lecz zamiast udać się po nową koszulę, podszedł do mnie bliżej. Zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech, próbując opanować nagłe wybuchy podniecenia, które z każdym jego krokiem targały moim ciałem coraz mocniej. W głowie szumiała mi obietnica, którą złożył Zbyszkowi, zanim wymierzył mu cios prosto w twarz.

– Nie muszę nigdzie iść, jeśli tylko mnie o to poprosisz. – Prowokował mnie, stając blisko, zaledwie milimetry ode mnie. Palcem wskazującym przejeżdżał po skórze na mojej szyi.

Jego zapach wypełnił mi nozdrza, wdzierając mi się wbrew woli do płuc i oskrzeli tak mocno, że na chwilę straciłam oddech. Chwytał mnie w pasie i przytrzymał, bym nie upadła, a jego dotyk wypalał niewidzialne ścieżki pożądania na skórze. Chciałam go dotknąć, wyciągnąć dłoń i przejechać po wystających obojczykach. Najokrutniejsza tortura. Mój sen zaczął się ziszczać na jawie, a ja podświadomie czekałam na moment, gdy ucieknie, rozplywając się w ciemność. Julian jednak stał, nadal wędrując dłońmi po mojej skórze. Tak samo realny jak ja, jak to mieszkanie i miękki dywan, na którym staliśmy. *On nie bawi się w randkowanie*, powtarzałam sobie w myślach, czując, jak te słowa wwiercają mi się w mózg, dziurawiąc go.

– Błagam, odejdz – szepnęłam, jeszcze mocniej zaciskając powieki.

Julian nie ruszył się nawet o centymetr.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał powoli, szeptem pieszcząc moje uszy. – Chcesz, żebym odszedł?

– Nie – odparłam wbrew rozsądkowi, lecz zgodnie z prawdą.

Pragnęłam przecież patrzeć na niego, dotykać go, być blisko. O wiele bliżej niż teraz. Gdy usłyszał to zaprzeczenie, złapał moją twarz w obie dłonie i zadarł ją do góry.

– Otwórz oczy – zażądał.

Spełniłam ten rozkaz, powoli rozchylając powieki. Stał na środku salonu tonącego w ciemności czerwcowego wieczora. Stał i uśmiechał się do mnie, półnagi, piękny i przerażający zarazem.

– Tak lepiej. – Ucałował moje czoło.

– Nie rozumiem, co się dzieje – pożałowałam się.

Moje myśli walczyły ze sobą, pogrążając mnie w coraz większym chaosie. Jedna część bała się Juliana i niewiadomej, która czaiła się za jego plecami. Druga pragnęła tych wydatnych ust, słodkiego szeptu i każdej sekundy u jego boku.

– Czego nie rozumiesz? – Głos miał ciepły i spokojny. On był ciepły i spokojny. Całe szaleństwo musiał zgubić na skwerze, wymierzając Zbyszkowi cios prosto w nos.

– Nie odzywałeś się – wydusiłam z siebie, nie mogąc znieść tej bliskości, która kusiła na tyle, że cudem powstrzymałam się, by nie paść mu w ramiona i zatopić palce w burzy ciemnych loków.

– Uznałem, że tak będzie lepiej dla nas obojga.

– Lepiej? – zdziwiłam się.

– W sumie to nie powinno cię tu wcale być – zaśmiał się, ale po chwili spoważniał, wzdychając.

– Ale jestem tu. – Zmarszczyłam brwi, odsuwając się krok w tył. – Mam wyjść?
– Mal, nie to miałem na myśli. – Zrównał się ze mną, powracając do tej nieznośnej bliskości. – Nie powinno cię tu być. Ale to nie oznacza, że ja chcę, żebyś wychodziła.

– A Anka? – wypaliłam.

– Jaka Anka? Mal, mówiłem ci, że nie było tu żadnych kobiet... – Pogłaskał mnie po włosach.

– Moja przyjaciółka, Anka. Widziała cię w knajpie w niedzielę. Ponoć do ciebie podeszła, pytając o mnie, a ty odszedłeś bez słowa.

– Ach, o to chodzi. – Podrapał się po głowie i zaśmiał. – Nie lubię, gdy obcy ludzie pakują nos w moje prywatne sprawy. Nigdy nie odpowiadam na takie dziwne zaczepki.

– Julian, to nie była zaczepka... – próbowałam bronić przyjaciółki.

– Nie? – Najeżył się. – Podchodzi do mnie ktoś, kogo nie znam, nie przedstawia się i od razu zaczyna bezczelnie wypytywać o ciebie. Co miałem zrobić? – W sumie brzmiało to jak typowe zachowanie Anki. – Cokolwiek jest między nami, jest wyłącznie naszą sprawą.

– A jest coś między nami? – Zamrugalam zaskoczona. – Ponoć ty nie randkujesz.

– To nie są randki, Mal. I ty dobrze o tym wiesz.

Zamilkłam na chwilę, rozważając te słowa. Dotknęłam jego torsu, szukając oparcia choć na chwilę. Nie mogłam już ufać ani swojemu ciału, ani umysłowi. Julian wykorzystał ten gest, przyciągając mnie jeszcze bliżej. Niewiele myśląc, owinęłam wokół niego ręce, gładząc szczelinę między jego łopatkami. Uniósł mnie z zadziwiającą łatwością, jakbym nic nie ważyła, i bez słowa zaniósł do swojej sypialni.

– Julian, co ty, do diabła, robisz?! – wrzasnęłam.

Otrzeźwiona tym zbyt śmiałym ruchem, próbowałam poderwać się z łóżka, na którym zdążył mnie już ułożyć. Marne starania. Przytrzymał mnie delikatnie, nie pozwalając uciec z jego objęć. Uśmiechnął się i pogładził mnie po policzku.

– Mal, spokojnie, nie robię nic złego.

– To zabierz mnie z tej sypialni – nakazałam, cała się trzęsąc. – Natychmiast!

– Połóż się, odpuść kontrolę. – Spokojnie gładził mnie po twarzy i włosach. – Nie opieraj mi się więcej.

Nie rozumiałam tej szalonej fluktuacji jego nastroju. Śmiech w ciągu sekundy zamieniał się w złość, chłód głosu w ciepły szept, a przeszywający na wskroś brak kontaktu w palący, nieustępliwy dotyk. Nie rozumiałam też moich uczuć, które nie miały prawa się pojawić, a jednak tkwiły we mnie tak głęboko, że wszelkie próby wydarcia ich z mojego ciała powodowały tylko jeszcze większe spustoszenie. Wbrew rozsądkowi posłuchałam jego głosu i ułożyłam się na miękkiej pościeli. Pachniała goździkami. Pachniała nim.

– Tak lepiej. – Pochylił się nade mną, zwieszając głowę nad moją. – Będiesz teraz bardzo grzeczna, prawda?

Kiwnęłam głową, drżąc na całym ciele, gdy jego ręka zsunęła się na moje biodro. Gładził mnie przez materiał sukienki od żeber aż po pośladki, mrużąc z zadowolenia. Wsunęłam głowę pod jego podbródek, całując delikatnie skórę na szyi.

– Dziękuję – szepnęłam.

Odsunął się i ściągnął mi ze stóp sandały. Ułożył się z powrotem koło mnie i przywarł do mojego ciała.

– Podziękujesz mi, jak z tobą skończę – powiedział, niecierpliwie obejmując ręką moją pierś.

– Dziękuję za ratunek – doprecyzowałam, patrząc mu prosto w oczy. Był tak blisko, że mówiąc to, prawie dotykałam wargami jego ust. – Kolejny raz.

– Przy mnie nic ci nie grozi – szepnęła, obejmując mnie coraz mocniej, jakby chciał, byśmy stali się jednością.

Jego ręce błądziły po moim ciele od łopatek przez biodra. Podwinął mi sukienkę i gładził udo. Wstrzymałam oddech, drżąc od tych zuchwałych pieszczot. Wodził palcami po ramionach, obojczykach i dekolcie, bacznie obserwując moje reakcje. Sekundy ciągnęły się jakby godzinami, a cały świat przestał mieć znaczenie. W mroku sypialni, na bezkresnym łóżku topiłam się w tych objęciach, oddając mu całą kontrolę.

Pierwszy, tak bardzo wyczekany, pocałunek przyszedł, pochłaniając moją świadomość. Jego wargi na

moich, słodsze od miodu, rozgoniły wątpliwości i wszystkie inne myśli. Najpierw delikatnie, niepewnie przygryzł mi dolną wargę, a gdy odwzajemniłam pocałunek, wdarł się językiem w moje usta. Zatopiłam palce w jego włosach, przyciskając go mocniej do siebie, oddając pocałunki. Czułam, jak uśmiecha się, zaskoczony i połączony tą ochoczą reakcją.

Przyłgnęłam do niego całym ciałem. Dzieliło nas jedynie kilka warstw materiału – moich ubrań, jego spodni. Poczułam, jak rozsuwa suwak sukienki. Nie przestając mnie całować, zsunął mi ją z ramion na biodra. Rękami błądził po talii i brzuchu. Przez biustonosz delikatnie muskał skórę piersi. Resztę sukienki ściągnęłam sama, by nie krępowała ruchów. Julian, cały czas w dżinsach, wydawał się teraz aż nazbyt ubrany. Sięgnęłam dłońmi w stronę rozporka, rozpinając pasek i zamek od spodni. Gdy próbowałam mu je zdjąć, powstrzymał mnie i przewrócił na plecy, nachylając się.

– Ja się tym zajmę – szepnął, pocałował mnie i wstał z łóżka. Szybkim ruchem zdjął z siebie dżinsy i rzucił je niedbale w nogach łóżka.

Pomimo ciemności widziałam, jak bardzo mnie pragnął, wyrывая się z ciasnego materiału czarnych bokserów. Zsunął je z siebie i wrócił do mnie, drżąc na samą myśl o tym, co miało nastąpić.

– Julian... – jęknęłam pod naporem jego pocałunków i zwinnych palców, którymi rozpiął mi biustonosz. Sunęły niżej, w stronę pośladków. Majtki ściągnęłam sobie sama. Były ostatnią barierą dzielącą mnie od niego.

– Pragnę cię – wyszeptał mi prosto do ucha, przygryzając je. Pocałowałam go w usta w niemej odpowiedzi.

Wsunął się we mnie, patrząc mi prosto w oczy. Moje ręce przytrzymał mi nad głową, a ja nie protestowałam, równie mocno pragnąc go w każdy możliwy sposób. Skryta pod nim, wypełniona pożądaniem, przyjmowałam każdy ruch, owijając nogi wokół jego bioder. Puścił jedną z moich dłoni i złapał pierś. Zaczął bawić się sutkiem. Sprawiał, że jęczałam jego imię przy każdym kolejnym ruchu: Julian, Julian, Julian... Przyśpieszył, wbijając się we mnie mocniej i głębiej, gonił za spełnieniem. Całował mnie, spijając z moich warg pożądanie, które nie miało końca.

Pierwszy dreszcz targnął moim ciałem niespodziewanie. Przeszył mnie tak mocno, że krzyknęłam, lecz Julian nie przestawał. Kolejnymi uderzeniami jak oszalały wybijał dziki rytm, aż fala spełnienia rozlała się po mnie jak tsunami i złączyła się z nim, gdy w pośpiechu wysunął się ze mnie, by zakończyć ten akt na moim brzuchu i piersiach. Padł obok mnie, oddychając szybko. Krople potu mieszały się z naszym spełnieniem.

Spojrzałam na niego, gładząc go po wargach. Przygryzł opuszki moich palców, uśmiechając się zawadiacko. Oczy miał jeszcze ciemniejsze niż zwykle. Przyciągnął mnie do siebie i przytulił, uspokajając oddech. Zaplótł nasze nogi, jakbyśmy byli jednym.

– Boisz się mnie? – spytał, szepcząc mi do ucha.

Pokręciłam głową. Leżąc w jego ramionach, byłam nieustraszona.

– To dobrze.

Pocałował mnie jeszcze raz, głęboko i dziko. Koniuszkiem języka wodził po moich wargach. Będąc tak blisko, słyszałam bicie jego silnego serca, miarowe uderzenia, rytmiczna muzyka grana tylko dla mnie. Rękami wodził po moich plecach, całował, uśmiechał się, spokojny, pełen ciepła i delikatności, o którą nawet nie musiałam prosić.

– Zostaniesz tu na noc – stwierdził, okrywając nas kołdrą. – Chcę cię mieć blisko siebie.

Zaśmiałam się, przyklejając policzek do jego piersi. Perspektywa usnięcia w tych szerokich, silnych ramionach była aż nadto kusząca.

– Ja jutro pracuję – odpowiedziałam mu jednak, nienawidząc swojego rozsądku, który ewidentnie działał tylko wtedy, gdy nie był zupełnie potrzebny.

– Weź wolne – nakazał.

Mruknięłam, przewracając oczami.

– A może jakieś „proszę”? – zasugerowałam. – Czy będziesz mi już zawsze tak rozkazywać?

– Zawsze – szepnął i pocałował mnie mocno i nieustępliwie, jakby ten pocałunek miał znaczyć o wiele więcej niż jakieś tam „proszę” czy „przepraszam”.

Westchnęłam, smakując jego słodkie usta i spijając z nich pożądanie, którym tak ochoczo mnie obdarzał. Pośród tych pocałunków, dotyku jego skóry i spragnionych rąk, które zaciskały się na moich

poślądkach, zaczęło kiełkować we mnie poczucie, że może to właśnie tam, w jego ramionach, było moje miejsce. Julian przekręcił się na plecy, a ja przylgnęłam do niego, kładąc twarz na silnym ramieniu.

– Wiesz co? – powiedziałam w końcu, głaszcząc go po nagim torsie. – Chyba jednak wezmę to wolne. Praca nie zajac.

Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

– Niezwykle mądra decyzja – skwitował, przejeżdżając palcem po mojej dolnej wardze.

– Obawiam się, że bycie blisko ciebie nigdy nie będzie mądrą decyzją – odpowiedziałam, puszczając do niego oko.

Uniósł brwi, jednak raczej z rozbawienia niż ze zdziwienia. Gdy byliśmy tak blisko siebie, a ja czułam jego miarowy oddech i bicie serca, łatwiej było mówić mu takie rzeczy.

– Tak myślisz?

Pokiwałam głową.

– Anka po spotkaniu z tobą stanowczo odradzała mi kontynuowanie tej relacji. Mówiła, że ją przerażasz. I jej chłopaka też.

– A jednak tu jesteś – stwierdził.

– Mówiłam ci, że lubię ryzyko.

– To nie to. – Pokręcił głową, przekręcając się na bok. Podparł ją na zgiętym ramieniu i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. – Coś cię do mnie przyciąga pomimo tego strachu, który też gdzieś tam w głębi czujesz, prawda?

– Nie boję się ciebie. – Pokręciłam głową. – Czasami nie rozumiem twoich reakcji, tego, co mówisz, ale to nie jest strach.

– Rozumiem. – Julian milczał chwilę, a potem zadał kolejne pytanie. – A ten facet?

– Jaki facet? – zdziwiłam się, mrugając.

– Ten, któremu dzisiaj zapewne złamałem nos.

– Mój były... – Westchnęłam, próbując wyrzucić z głowy obraz zalanej krwią twarzy Zbyszka. – Stara historia.

– Nie wyglądało na starą historię.

– Zerwaliśmy ze dwa miesiące temu. Nie wiem, co mu odbiło. Pojawił się wczoraj u mojej mamy na obiedzie, a dzisiaj naszedł mnie w pracy.

– Chce cię z powrotem, to jasne.

– Jego niedoczekanie. – Pocałowałam Juliana w jego zaciśnięte wargi. Mruknął w odpowiedzi, uśmiechając się.

– Zajmę się nim tak porządnie, żeby ci się więcej nie naprzykrzał – stwierdził, wodząc palcami po moim biodrze. – Zapisz mi później jego imię i nazwisko.

Zamarłam, otwierając szeroko usta.

– Że co, proszę? – wydusiłam z siebie. – Nie ma mowy.

– Nie przesadzaj. Kto wie, co mógłby ci zrobić, gdybym się tam nie pojawił.

– Nie zgadzam się na to. – Serce waliło mi jak oszalałe. – Rozumiesz? Nie zgadzam się!

Usiadłam na łóżku, odsuwając się od niego. Kolana podsunęłam pod brodę i objęłam je rękami. Wzrok utkwiłam w bieli bawełnianego, skotłowanego prześcieradła.

– Kim ty jesteś? – zapytałam chłodno.

Westchnął, kręcąc głową, i usiadł obok, obejmując mnie ramieniem. Nachylił głowę i pocałował mój policzek.

– Kimś, kto dba o twoje bezpieczeństwo.

– Julian... – jęknęłam. – Co niby chcesz mu zrobić? – Uniosłam wzrok, spoglądając na jego skupioną, spokojną twarz.

– Grzecznie porozmawiam i wytłumaczę, że jeśli jeszcze raz się do ciebie zbliży, srogo tego pożałuje.

– Ty nie potrafisz być grzeczny...

Zaśmiał się, przyciągając mnie do siebie. Chwycił w talii, całował przy tym moją twarz i szyję, chichotał. Co go aż tak rozbawiło?

– Czy mogę prosić cię tylko o jedną rzecz? – zapytałam, zatapiając palce w gęstych, kręconych włosach.

– Proś – szepnął.

– Nie zrobisz mu krzywdy?

Kiwnął głową, aż nazbyt gorliwie. Odetchnęłam, rozluźniając się, lecz tylko na chwilę. Burkliwy, krępujący dźwięk wydarł się z mojego żołądka, rozprasząc nas oboje.

– Jesteś głodna – stwierdził Julian.

– Nie miałam okazji zjeść obiadu. – Wzruszyłam ramionami, po czym dodałam: – Zbyt intensywnie myślałam o tobie.

– To bardzo niedobrze. – Podniósł się i podał mi rękę. – Zamówię pizzę.

Wstałam w ślad za nim i stanęłam naga na środku sypialni, zakrywając piersi rękami. Czułam jego wzrok na swoim ciele.

– Nie zakrywaj się – rzucił. – Nie masz się czego wstydzić.

– Wolałabym jednak, żebyś dał mi coś do ubrania.

Julian westchnął i podszedł do komody znajdującej się naprzeciwko łóżka, by wyciągnąć z niej swoją koszulkę, która dla mnie mogłaby równie dobrze udawać luźną sukienkę. Rzucił mi ją, a ja bardzo szybko wsunęłam się w nią, oddychając z ulgą. Widząc to, pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie podoba mi się tak.

– Przeżyjesz jakoś. – Wyszczrzyłam do niego zęby.

– Dojdziemy do tego, że poczujesz się tu swobodnie. A tymczasem ja idę zamówić jedzenie – mówiąc to, wyszedł z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Wykorzystałam chwilę samotności i powędrowałam do łazienki, chcąc doprowadzić się do ładu. Włosy miałam zmierzwiłone, na zakrytym jego koszulką brzuchu zaschły już ślady naszych uniesień. Policzki były zarumienione od wzburzonej krwi i emocji. Sutki sterczały, prześwitując przez okalający je materiał. Moja skóra pachniała seksem. Obmywając twarz, zastanawiałam się nad tym, w jak niepojęty sposób zakończył się ten wieczór. Szłam do Juliana, by raz na zawsze pogrzebać tę znajomość, a skończyłam, jęcząc jego imię w spazmach rozkoszy, o jakich nawet nie śmiałam marzyć. Logika nie miała szans przy tym, jak działał na mnie ten mężczyzna. Przestałam się łudzić, że będę w stanie uwolnić się od niego i jego nieustępliwości.

– Gorzej już nie będzie – stwierdziłam sama do siebie, wchodząc pod prysznic.

Kilkanaście minut później pojawiłam się w salonie, pachnąc jego żelem do kąpieli. Koszulka, którą mi dał, sięgała mi do połowy uda. Wilgotne włosy łaskotały mnie w szyję. Znalazłam Juliana zupełnie nagiego, siedzącego na kanapie z nogą założoną na nogę. Jego palce sprawnie stukały w ekran dużego smartfona. Był tym tak pochłonięty, że nie zauważył, gdy stanęłam koło niego, uśmiechając się szeroko.

– Co z tą pizzą? – zapytałam, a on uniósł wzrok znad telefonu. Zablokował go i odłożył na stolik.

– Już zamówiona – powiedział, przyglądając mi się z ciekawością.

Wstał i podszedł do mnie, obejmując rękami moje biodra. Ułożyłam dłonie na jego szyi, opierając się na nim całym swoim ciężarem.

– Czyściutka i świeża. – Pocałował mnie delikatnie. – Muszę naprawić ten błąd.

Pociągnął nas na kanapę, siadając na niej, a mnie sadzając okrakiem na swoich kolanach. Czułam jego nabrzmiałego penisa ocierającego się o moje uda i palce podciągające koszulkę do góry.

– Julian... – szepnęłam, chcąc go zatrzymać.

– Słucham cię... – powiedział, obsypując moją szyję gorącymi pocałunkami.

– Daj mi chwilkę.

Zmrużył oczy, odsuwając się ode mnie. Oparł plecy na miękkich poduszkach, przekrzywiając głowę, lecz nic nie powiedział. Przechyliłam się w jego stronę, przytulając do jego piersi. Objął mnie i zaczął głaskać po lędźwiach.

– Na co chcesz czekać? – zapytał po chwili.

– Jestem oszołomiona tym wszystkim – szepnęłam mu do ucha, gładząc go dłonią po policzku i gęstej brodzie. – Daj mi pozbierać myśli.

– Nie jesteś oszołomiona. Jesteś moja – to powiedziaławszy, wsunął się we mnie tak gwałtownie, że aż jęknęłam.

Jednym szybkim ruchem ściągnął ze mnie bluzkę i przygryzł mój sutek. Zatopiłam dłonie w jego włosach, ponownie przyjmując go bez słowa sprzeciwu. Czułam, jak rośnie we mnie, wypełniając moje

wnętrze po brzegi. Rękami ścisnął mnie za pośladki, ugniatając je, wbijał paznokcie w skórę. Całowałam go, liżąc wargi i wnętrze jego ust, a on dyszał coraz szybciej i intensywniej, mrużąc głośniej. Nagle zwolnił, wysunął się i przekręcił mnie na brzuch. Ukląkł między moimi nogami i wbił się we mnie od tyłu, unosząc mi biodra do góry. Złapałam się jednej z poduszek, zaciskając pięści na jej materiale. Głośno jęczałam, zniewolona siłą, z jaką mnie posiadał. Wdzierał się we mnie głęboko, rękami przytrzymywał moje piersi, ścisnąjąc między palcami sutki. Drżałam coraz mocniej, czując, jak Julian penetruje mnie w dzikim tempie, by w końcu wyjść ze mnie i zakończyć na moich nagich, spoconych plecach. Nie pozwolił mi się jednak ruszyć, przygniatając mnie swoim ciężarem. Wsunął dłoń między moje uda i raz po raz zatapiając palce w sokach, masował łechtaczkę, jednocześnie drugą ręką pieszcząc piersi. Krzyczałam w poduszkę, wijąc się pod nim. Czułam narastającą kulminację.

– Krzycz moje imię – szepnął mi do ucha.

– Julian... – mamrotałam pod nosem. – Julian...

– Głośniej!

Wykrzykiwałam jego imię, dochodząc w spazmach. Julian pocałował moją skroń, po czym wysunął rękę spomiędzy nóg i objął mnie w pasie, przekręcając na bok. Ułożył mnie, targaną jeszcze dreszczami rozkoszy, plecami do swojego brzucha, na łyżeczki.

– Nie potrzebujesz zbierać myśli – szepnął mi do ucha. – Potrzebujesz tego.

– A więc to takie proste... – zaśmiałam się, splatając nasze palce.

Dźwięk domofonu otrzeźwił nas na chwilę. Julian wstał i poszedł do sypialni po spodnie. Gdy wrócił, zanim podszedł do drzwi wejściowych, by wpuścić dostawcę pizzy, zwrócił się do mnie:

– Nie idź pod prysznic. Chcę cię taką jak teraz. Pachnącą mną, a nie mydłem.

Skuliłam się na kanapie, nie odpowiadając. Cały czas dygocząc w rytm oszalałego serca. Julian, Julian... Moje myśli powtarzały w kółko jego imię, odtwarzając raz po raz ostatnie minuty. Nie było już we mnie nic innego – był tylko on, jego ciało i to, co pragnęłam, by jeszcze mi zrobił.

Kilka chwil później Julian pojawił się znów obok mnie. Położył pudełko z jedzeniem na stoliku. Ukucnął i pogłaskał mnie po ramieniu.

– Wstań. Musisz zjeść.

Zamrugałam, po czym usiadłam powoli.

– Podaj mi, proszę, koszulkę – poprosiłam drżącym głosem.

– Poradzisz sobie bez niej. – Usiadł koło mnie, otwierając opakowanie od pizzy, z którego buchnęła para. Pokręciłam głową w geście sprzeciwu. – No to musisz ją sobie sama wziąć – odparł, wzruszając ramionami.

– Żartujesz sobie? – Wytrzeszczyłam oczy, zszokowana.

– Mal, masz piękne ciało, które chcę oglądać cały czas. Nie chcę, żebyś się ubierała – powiedział trochę poirytowany, widząc moją bezsensowną konsternację.

– Ale ja chcę się ubrać – odparłam stanowczo, zakładając ręce na nagie, sterczące piersi.

– Tak ci się tylko wydaje.

Prychnęłam, wstając z kanapy, i podniosłam bluzkę z ziemi, zakładając ją szybko na siebie. Julian przewrócił oczami. Stałam tam, patrząc, jak zatapia zęby w kawałku pizzy. Czułam, jak narasta we mnie złość.

– Nie będziesz mi rozkazywać, rozumiesz? – prawie krzyknęłam, sprawiając, że Julian zakrztusił się przeżuwanym jedzeniem. – Nie pozwolę na to.

Odłożył do pudełka trójkąt ciepłego, pachnącego placka i wstał. Wziął mnie za dłonie i położył je sobie na ramionach. Przyciągnął mnie do siebie, przyciskając mocno.

– Opuść, Mal... – szepnął mi do ucha, rozbawiony moim napadem złości.

– Nie możesz mnie tak rozstawiać po kątach – kontynuowałam, ale on w odpowiedzi pocałował mnie, tak intensywnie wdzierając się w moje usta, że zmiękły mi kolana. – Julian, co ty mi robisz? – jęknęłam.

– Przestań ze mną walczyć. Dobrze wiesz, że to nie ma najmniejszego sensu. Ja tu rządzę.

Westchnęłam, czując, jak rozpływam się w jego objęciach.

– Tak po prostu mam dać ci sobą rządzić? – zapytałam, gdy wypuścił mnie z rąk, a on tylko kiwnął głową, nie kontynuując tematu.

Usiadłam na kanapie, przygryzając dolną wargę. Julian nachylił się nad pudełkiem i podał mi

kawałek pizzy. Od razu go pochłonełam, sosem brudząc sobie nos i policzki. Despota przyglądał mi się z ciekawością, gdy łapczywie przełykałam kolejne kęsy, pochłonięta całodniowym głodem, spotęgowanym tylko przez nasze niedawne uniesienia. Po drugi trójkąt sięgnęłam już sama, a mój kochanek dołączył do mnie, siadając tuż obok. Gdy skończyliśmy naszą o wiele zbyt późną i nazbyt kaloryczną kolację, zamknąłem pudełko od pizzy i wyniósł je do kuchni. Podreptałam za nim i zaczęłam po kolei otwierać szafki w kuchni w poszukiwaniu szklanek.

– Kolejna inspekcja? – zapytał zdziwiony tym, co robiłam.

– Szukam czegoś, z czego mogłabym się napić wody.

Wskazał szafkę tuż przy lodówce. Otworzyłam drzwiczki, wyjęłam z niej szklanekę z barwionego na zielono szkła i nalałam sobie do niej kranówki. Julian podszedł do mnie od tyłu i przytulił się do moich pleców, gdy tylko ugasiłam pragnienie.

– Chodźmy do łóżka – szepnął, a wydychane przez niego powietrze poślaskotało mnie w kark.

Zadrżałam na samą myśl, co mogło mnie jeszcze czekać dzisiejszej nocy. Poczul to chyba, gdyż zaśmiał się pod nosem i powiedział:

– Spokojnie, bez szaleństw. – Pogłodził mnie po ramionach. – Cieszę się, że aż tak mnie pragniesz, ale ja też mam swoje ograniczenia.

Julian wziął mnie za rękę i zaprowadził do łazienki, gdzie wręczył mi zapasową szczoteczkę do zębów. Kilka minut później leżał już w łóżku, a ja gramoliłam się właśnie pod kołdrę.

– Ściągaj tę koszulkę – powiedział, powstrzymując mnie ręką, bym przypadkiem nie położyła się obok niego w takim stroju. – Nie będziesz w tym spała.

Spojrzałam na niego błagalnym wzrokiem, lecz był nieustępliwy. Przytrzymał mnie za nadgarstki, broniąc mi wstępu do łóżka. Wzdychając, kiwnęłam głową, a on puścił moje ręce. Zdjęłam z siebie bluzkę, ciskając nią prosto w niego. Trafiła go w głowę, roztrzepując mu włosy. Zaśmiał się i zrzucił ją na podłogę.

– Znacznie lepiej – powiedział, ślizgając się wzrokiem po krągłościach moich piersi. – Chodź do mnie.

Ułożyłam się na boku, przytulając się do Juliana. Chłonełam ciepło jego ciała i słodki zapach skóry. Głowę wcisnęłam między ramię a podbródek, a rękę przerzuciłam mu przez tors.

– Nie jestem pewna, czy będę potrafiła przy tobie usnąć – szepnęłam, czując, jak głaska mnie po pośladkach, przyprawiając ciało o drżenie.

Julian złożył delikatny pocałunek na moim czole i zamruczał, nucąc spokojną, przejmującą melodię, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Co to za piosenka? – szepnęłam, lecz uciszył mnie, przykładając mi palec do ust.

Wsluchiwałam się w rytmiczne bicie jego serca i melodyjne pomruki. Jednocześnie zanurzałam się coraz głębiej w ciało Juliana. Pragnienie, które towarzyszyło mi przez ostatnie tygodnie, w końcu się ziściło, i to o wiele intensywniej, niż mogłabym przypuszczać. Chłonełam jego dotyk, wielbiąc zwinne palce, które badały mapę mojej skóry. Zatrzymywałam w płucach zapach wody kolońskiej i rozgrzanej skóry. Próbowalam wyryć w pamięci rozanielony wyraz twarzy. Oczy miał przymknięte, szczęki rozluźnione, a z kształtnych, rozchylonych delikatnie ust, wydobywał chrapliwe dźwięki, układające się w moją własną, prywatną kołysankę.

Spokojny, cichy sen przyszedł niespostrzeżenie, delikatnie sklejąc powieki.

*

Otworzyłam oczy, obudzona przez jego spragnione usta zamykające się na sutku prawej piersi. Ciało zareagowało od razu. Plecy wygięłam w łuk, a z gardła wydarł się cichy jęk. Julian schodził coraz niżej, całując brzuch i pępek. Rękami rozsunął mi uda, zarzucając je sobie na ramiona.

Krzyknęłam, gdy jego język dotknął warg sromowych. Na przemian ssał je i delikatnie skubał zębami, a czubkiem języka trącał wejście do pochwy. Wylizywał mój guziczek, na zmianę zataczając wokół niego większe i mniejsze koła. Całował go mokrymi od moich soków wargami. Ręce przeniósł na piersi, bawiąc się sterczącymi od tych pieszczot sstkami, ugniatał je i masował. Szczypał koniuszki, a ja oszalała z rozkoszy jęczałam jego imię. Słyszając to, zamruczał i przyspieszył. Nagle puścił jedną z piersi i powędrował palcami w dół. Nadal mnie liżąc, wsunął we mnie palec, masując od środka. Orgazm wstrząsnął moim ciałem, a Julian nagle przestał. Uniósł się i zaczął wbijać we mnie swojego penisa. Kilkanaście silnych,

męskich ruchów i wyciągnięcie go pośpiesznie, by wystrzelić wprost na piersi.

Ułożył się na boku tuż obok mnie i powoli rozsmarowywał palcami spernę po brzuchu i dekolcie. Robiąc to, uśmiechał się, ukazując garnitur prostych, białych zębów. Jego czarne oczy błyszczały w jasnym słońcu ciepłego poranka.

– Dzień dobry – szepnęłam do niego, śmiejąc się, a on pocałował mnie delikatnie w usta.

– Też tak uważam – stwierdził, bawiąc się jedną z piersi. – Uwielbiam, gdy tak słodko jęczysz moje imię.

– Jeśli tak mają wyglądać pobudki w twoim towarzystwie, to stanę się chyba ogromnym śpiochem – zażartowałam.

Mrugnął okiem i pocałował mnie, tym razem dłużej i intensywniej. Ssałam jego wargi, a on napierał na mnie językiem, penetrując wnętrze moich ust. Owinęłam nogi wokół jego bioder, rękami błazniłam po szerokich plecach. Julian zacisnął ręce na moich pośladkach, przyciskając mnie blisko do siebie.

Oderwał się nagle, ciężko dysząc. Przeniósł ręce na moją twarz, gładząc mnie po żuchwie.

– Wykończysz mnie, Mal – szepnęła, patrząc mi prosto w oczy. – Ale absolutnie i bezwzględnie nie mogę ci się oprzeć.

Powrócił do pocałunku, zmienił jednak rytm, powoli i delikatnie wodząc językiem po moich wargach. Spragnionymi dłońmi schodził milimetr po milimetrze od szyi, przez dekolt, piersi, aż po pośladki. Odwzajemniałam te pieścizny, gładząc palcami jego skórę. Kręciłam kółka wokół sutków, badałam twarde mięśnie brzucha, by w końcu drżącymi palcami po raz pierwszy chwycić przyrodzenie. Znowu nabrzmiał, gotowy wejść we mnie, lecz powstrzymałam go, ściskając mocniej penisa. Mój kochanek mruknął, rozochocony tym, co robiłam, a ja pocierałam go coraz szybciej, drugą ręką masując twarde, krągłe pośladki.

Nie przestając mnie całować, Julian na powrót zanurzył we mnie palce, masując cipkę powolnymi ruchami. Moje ciało, pamiętające jeszcze niedawny orgazm, zareagowało euforycznie, zalewając mnie kolejnymi, bezwstydnymi spazmami rozkoszy. Julian jednak nie przestawał, a ja krzyczałam, starając się doprowadzić go do kulminacji dłońmi. Doszedł chwilę później, szaleńczo dysząc wprost w moje usta. Opadłam wyczerpana na plecy. Cała drżałam. Julian ociągał się z wyciągnięciem dłoni spomiędzy nóg, w końcu zrobił to niechętnie, powoli, w akompaniamencie moich cichych pojękiwań. Przysunął się, przytulając mnie, i gładził delikatnie po plecach.

– Wstajemy już, Mal, bo nie ręczę za siebie – szepnęła, całując czubek mojego nosa.

Uśmiechnęłam się i usiadłam na skraju materaca, z uśmiechem przyglądając się skotłowanemu łóżku.

– Pozwolisz mi się teraz umyć? – zapytałam go rozbawiona.

– Oczywiście. Samodzielnie cię nawet namydlę. – Uchylił drzwi do łazienki i przywołał mnie skinieniem głowy.

Podążyłam za nim wprost pod prysznic. Odkręcił wodę. Chłodne krople studziły nasze rozgrzane ciała, zmywając resztki pożądania. Julian wycisnął na rękę trochę żelu i zaczął wmasowywać go kolistymi ruchami w moją skórę. Prawa ręka, lewa ręka. Przygryzłam wargę, gdy dotknął przewrażliwionych od jego dotyku nabrzmiątych piersi.

– To trochę krępujące – powiedziałam, gdy zmywał z mojego brzucha efekty swojego spełnienia.

Pokręcił głową, zatopiwszy wścibskie palce pomiędzy udami. Mruknął przy tym z zadowoleniem, a ja zacisnęłam dłonie na jego barkach. Namydlał mnie jednak dalej, nie omijając pośladków i ud, łaskotał pod kolanami i przy kostkach. Odsunął się na chwilę, pozwalając wodzie zmyć pianę, i patrzył pożądliwie na krągłości moich bioder.

– Teraz ja – szepnęłam.

Pozwolił mi na to, baczenie przyglądając się moim namydlonym dłoniom, które ślizgały się po jego skórze. Miałam niepowtarzalną okazję, więc przyglądałam się każdemu skrawkowi śniadej, nader idealnej skóry. Miękkiej i gładkiej w dotyku, wręcz aksamitnej. Chwyciłam jego prawą dłoń, przyglądając się jej uważnie. Wczorajszego uderzenia w twarz Zbyszka nie zdradzało nawet jedno, najmniejsze zadrapanie.

– Jakim cudem nic ci nie jest? – zapytałam, badając palcami jego knykcie.

– Trzeba umiejętnie uderzać, Mal. – Wyciągnął dłoń i pogładził mnie nią po twarzy. – Kończmy już te ablucje. Czas coś zjeść.

Wyplukał się i wyszedł spod prysznica, wyciągając z ukrytej w ścianie szafki dwa czyste ręczniki.

Podał mi jeden z nich.

– Zadzwoń do pracy, że bierzesz urlop? – spytał mnie, gdy wychodziliśmy z łazienki.

Otworzyłam szeroko oczy, stając w pół kroku. Julian tak bardzo zdominował moje myśli, że zapomniałam o wszystkim innym, także o tym, by załatwić sobie wolne. Rzuciłam się w poszukiwaniu swojej torebki, przerzucając moje i Juliana ubrania, które walały się po podłodze. Znalazłam ją zawiniętą o rzeźbioną nogę komody w sypialni. Pośpiesznie wyciągnęłam telefon, którego bateria była już na wyczerpaniu. Dwa nieodebrane połączenia od szefa, jedno sprzed kilkunastu minut. Zegarek wskazywał dwadzieścia minut po dziesiątej.

Napisałam przełożonemu wiadomość:

Muszę wziąć urlop na żądanie. Sprawy prywatne. Przepraszam.

Rzuciłam telefon na łóżko, wzdychając. Pracownikiem miesiąca tym razem na pewno nie zostanę.

– A ty? – spytałam, gdy Julian podszedł do mnie, całując mnie po nagim ramieniu.

– Co ja? – mruknął, oplatając mnie rękami.

– Co z twoimi przyprawami? – Odwróciłam się w jego stronę.

– Nie uciekną. – Pocałował mnie w usta, przygryzając dolną wargę, po czym pociągnął mnie w stronę kuchni.

Z ciekawością przyglądałam się temu, jak zupełnie nagi przygotowywał śniadanie. Mięśnie rąk napinały mu się i rozluźniały, gdy unosił patelnię, smażąc na niej jajecznicę. Dwa krągłe pośladki cieszyły moje oczy, miałam ochotę podejść i je ścisnąć. Ten śmiały ruch mógłby jednak znacznie przesunąć w czasie śniadanie, a mój brzuch ponownie domagał się pożywienia.

Usiadłam na stołku barowym przy kuchennym blacie, starając się nie skupiać na tym, że sama też jestem naga. Natrętna myśl, że patrzy na mnie, wodząc wzrokiem po moim obnażonym ciele, powracała, powodując, że twardniały mi sutki.

– Nie kuś, demonie – zaśmiał się, gdy to zauważył, i aż oblizwał wargi. Na moje policzki spłynął palący rumieniec.

Julian przełożył jajecznicę na talerze, przyozdabiając ją rzodkiewkami i pociętą na skos ciemną bułką z ziarnami. Podał mi naczynia, bym zaniósła je na stół. Sam powędrował za mną ze sztućcami i dwoma kubkami pełnymi parującej herbaty.

– Julian, będę musiała pojechać do mieszkania – powiedziałam, a on uniósł brwi. Widząc, że niezadowolony marszczy nos, dodałam szybko: – Tylko na chwilę. Nie mam tu żadnych ubrań ani kosmetyków.

– Nie są ci potrzebne – powiedział chłodno.

– Są. Jutro muszę już iść do pracy. A tak przecież nie pójdę. – Wskazałam nagie piersi.

– Nie myśl teraz o tym – rozkazał. – Załatwimy to w odpowiednim momencie.

– Czyli kiedy? – dopytywałam, gryząc kolejne kęsy śniadania.

– Nie teraz. – Julian upił trochę herbaty. Pokręciłam głową z dezaprobatą, przewracając przy tym oczami.

Gdy skończyliśmy jeść, pomimo protestów Juliana chwyciłam puste talerze i sztućce i zaniósłam je do kuchni. Nie chciałam, by wyręczał mnie we wszystkim. Stał oparty o kuchenny blat i przyglądał się mi z zaciekawieniem, gdy pochylona nad zmywarką układałam w niej brudne naczynia. Jednak nie podszedł do mnie. Jedynie cmoknął, gdy wyprostowałam się i przymknęłam drzwiczki, po czym obmyłam ręce w kuchennym zlewie.

– Mógłbym się do tego przyzwyczaić – powiedział, gdy podeszłam do niego, chowając się w jego ramionach.

– Co teraz? – spytałam, gdy ręce Juliana powędrowały na moje pośladki.

– Sypialnia – mówiąc to, znów pochwyił mnie na ręce i tak samo jak poprzedniego dnia zaniósł na łóżko.

Jęknęłam, choć moje ciało zareagowało na to jedno, proste słowo intensywnym mrowieniem w dole brzucha.

– Jesteś niewyżyty – powiedziałam, przykrywając się kołdrą. Staralam się zasłonić ciało, które tak bardzo go kusiło. – Wiesz, że oprócz uprawiania seksu są jeszcze inne rzeczy, które można robić we dwoje?

Na przykład porozmawiać?

– A o czym byś chciała rozmawiać? – Położył się koło mnie, wsuwając się pod kołdrę. Swoją wielką dłonią objął całą moją pierś, ugniatając ją w palcach.

– Nie mogę się skupić, gdy tak robisz. – Złapałam go za rękę, próbując odciągnąć od biustu. Westchnął, lecz ku mojemu zaskoczeniu odpuścił, układając rękę na biodrze. Pocałowałam go w policzek w podziękowaniu. – Tak lepiej.

– Więc skoro chcesz rozmawiać, to zacznijmy od tego, że podasz mi imię i nazwisko tego twojego byłego.

– Julian... – Ukryłam twarz w poduszce. – Opuść to, proszę cię.

– Nie – powiedział stanowczo, wwiercając we mnie wzrok. Ścisnął przy tym trochę mocniej moje biodro. – Nie utrudniaj mi tego i podaj nazwisko.

– Zbigniew Kucharski – szepnęłam posłusznie.

– Grzeczna dziewczynka. – Uśmiechnął się, całując mnie w czoło.

Prychnęłam, odsuwając się od niego.

– Coś ci się nie podoba? – zapytał ostro.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Umieję o siebie zadbać.

– Tak, świetnie sobie ostatnio radzisz.

– Po co ten sarkazm? – Usiadłam, odrzucając od siebie jego rękę, i przykryłam się kołdrą aż po samą szyję.

Julian wydał z siebie gardłowy, pełen poirytowania dźwięk. Coś pomiędzy mruknięciem a warknięciem. Przysiadł się, chwytając za podbródek. Zbliżył usta, oparł czoło na moim i zawisł tak, mierząc się ze mną wzrokiem.

– Nie rób tak – szepnął.

– Jak?

– Możesz nie rozumieć moich motywacji, ale to nie jest powód, żeby się ode mnie odsuwać.

Zamrugalam.

– To może mi po prostu wyjaśnij, zamiast zachowywać się jak dupek?

Zaśmiał się.

– Nie jestem dupkiem. Przynajmniej nie takim jak ten twój Zbigniew – stwierdził rozbawiony. – A teraz skończmy już te słowne potyczki. Przytul się do mnie i opowiadaj, co tam się dzieje w tej twojej słicznej główce.

To mówiąc, pocałował mnie, miękkimi ustami przeganiając całą złość, która zdążyła się skumulować w żylach i sercu. Westchnęłam, układając się wzdłuż jego ciała. Przyłożyłam głowę do gorącej skóry, czując, jak Julian zaplata wokół mnie ręce, a palce wędrują po całej długości mojego kręgosłupa. Leżąc w pachnącym naszymi ciałami łóżku, odpowiadałam na dziwaczne pytania: Czy widziałam kiedyś ducha? (nie widziałam, lecz słyszałam, w domku moich dziadków); czy dobrze śpiam, gdy jest pełnia? (oczywiście, że nie, ale to przecież nie jest nic dziwnego, udowodniono w końcu, że fazy księżyca mają wpływ na głębokość snu); dlaczego mam na tapecie telefonu jelenia? (pojawienie się jelenia, w jakiejkolwiek formie, zdjęcia, filmiku w Internecie czy rzeczywistego, przypadkowego spotkania z tym zwierzęciem na drodze, zawsze zwiastowało mi pomyślność w trudnych czasach).

Pomiędzy wypowiedzianymi przez nas słowami odkryłam spokój, którego brakowało mi od dawna. Czulałam, jak nasze ciała dopasowują się do siebie. Serca zaczynają bić tym samym rytmem, a oddechy synchronizują się, wyrównując długość wdechu i wydechu. Pozwalaliśmy minutom płynąć, oddając się zupełnie słodkim pocałunkom, zespolonym szepotom i pieszczotom dwóch spragnionych ciał. Nie wiedziałam, która jest godzina, czy zbliżał się już wieczór, czy może leżeliśmy tak już któryś dzień z rzędu, karmiąc się pożądaniem i nienasyconymi spojrzeniami. Nie interesowało mnie, czy ktoś mnie szuka, czy w pracy zastanawiają się, co mi się stało, czy Anka albo moja matka nie wydzwanają na mój rozładowany telefon, wciśnięty gdzieś pomiędzy poduszkami w łóżku, które było tylko nasze i gdzie nie było miejsca na nic innego.

– Będę musiał trochę popracować – szepnął mi w końcu do ucha Julian, wrywając mnie gdzieś z granicy jamy i jednej z drzemek, które ucinałam sobie w jego ramionach. Słońce barwiło ściany sypialni na kolor dojrzałej pomarańczy. – Zawiozę cię do mieszkania, wezmiesz potrzebne rzeczy, a za jakąś godzinę,

może dwie, wróć po ciebie i przyjedziemy tutaj.

– Mam znów zostać na noc?

Zamruczał w odpowiedzi, klepiąc mnie po pośladku.

Ubierałam się w milczeniu, przyglądając się Julianowi, który ścielił łóżko. Wydawało mi się, że mam urojenia. Jakże absurdalny był widok jego dzikiego, prawie nierealnego ciała w tej przyziemnej scenerii wygładzania rogów kołdry i poprawiania pierzastych poduszek. Ktoś taki jak on, władczy tyran o niespożytej energii seksualnej, nie był stworzony do tak banalnych zadań, a jednak wykonywał je wprawnie i z godną podziwu dokładnością, graniczącą z pedantyzmem.

Kilkanaście minut później, w pełni ubrani, sunęliśmy ulicami Mokotowa w czarnym camaro. Jego prawa ręka wędrowała po moim udzie, lewą zaś trzymał kierownicę. Myślami odpłynął ode mnie do zupełnie innego miejsca, widziałam to w jego nieobecnych oczach, które, mogłabym przysiąc, na chwilę zaszły jasną, gęstą mgłą. Nie przeszkadzało mi to jednak, gdyż pozwoliłam sobie na to samo, a wizje przyszłości, które kreowała we mnie mieszanka nienasyconego pożądania i rozbuchanych bliskością Juliana nadziei, przyjmowałam bez oceniania, zatapiając się w ich słodkiej bezczelności.

– Jesteśmy już. – Dwa słowa przywróciły mi świadomość tu i teraz. Staliśmy przy bramie do mojego osiedla. – Zadzwoń, jak skończę.

Pochylił się nade mną, chwytając za klamkę od drzwi, które skrzypnęły i uchyliły się. Prostując się, pozostawił na moim policzku ukradkowy pocałunek.

– Idź już – polecił.

Odpiłam pas bezpieczeństwa i wysiadłam, zatrzaskując za sobą drzwi. Julian ruszył, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 5

L'appel du vide

Moje mieszkanie stało się nagle obce i zimne, jakby zabrakło w nim życia. Było tylko pustą skorupą, bez ikry i impetu, było pustynią. Weszłam do niego, niepewnie stąpając po chłodnej podłodze. Rozglądałam się, jakbym odwiedzała miejsce znane mi głównie ze snów. Poznawałam stojące tam meble, zdjęcia trochę krzywo powieszzone na ścianach i kolorowe poduchy na wysiedzianej kanapie, powątpiewałam jednak w ich realność. Opuszkami palców badałam fakturę tapety w salonie, szeroko otwartymi oczyma przyglądałam się więdnącym w wazonie piwoniom. Bez Juliana stojącego tuż obok i trzymającego mnie za rękę czułam narastający niepokój. Byłam porzuconym dzieckiem stojącym w obliczu wielkiego, przerażającego świata, bez wsparcia i opieki.

– Coś ty mi zrobił... – szepnęłam, stojąc oparta o chłodną ścianę w salonie i ukrywając twarz w dłoniach.

Muszę się z tego otrząsnąć – myślałam. Jedna noc z Julianem nie mogła aż tak bardzo mnie zdominować, pozbawić samodzielności, uzależnić od niego – od jasnie pana Despoty. Bez względu na to, jak bardzo bym go nie pragnęła. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by na powrót utracić kontrolę nad sobą i swoim życiem. To ja zdecydowałam, że zostaję przy nim, że pozwalam mu przejąć władzę. To ja tego chciałam. I ja zdecyduję, kiedy to zakończyć.

Z impetem otworzyłam drzwi balkonowe, wpuszczając do środka ciepły, popołudniowy wiatr. Zakreśliłam się na pięcie i już trochę bardziej trzeźwo zaczęłam planować zadania. Naładować telefon, trochę posprzątać, spakować się na kolejną noc... Potrząsnęłam energicznie głową, odrzucając od siebie wizję nagiego, przepelnionego pożądaniem Juliana i podniecenie, które pojawiło się sekundy później.

– Opanuj się, Mal! – skarciłam samą siebie, wyrzucając truchło ciętych kwiatów, które umarły w wazonie, do kosza na śmieci.

Telefon podłączony do ładowarki przy łóżku piszczał co chwilę, informując o pojawiających się jedna po drugiej wiadomościach. Ignorowałam ten dźwięk, pakując do podręcznej torby kosmetyki, kilka sukienek, krótkie spodenki, bluzkę, cienką pidżamę i dwa zestawy bielizny, najbardziej seksownej, jaką tylko miałam. Kto wie, ile nocy tam zostanie.

Godzinę później byłam już gotowa, by na powrót zanurzyć się w objęciach Juliana. Przebrałam się w krótką spódniczkę i bluzkę na ramiączkach z falbankami przy dekolcie. Porządnie uczesałam włosy, zjadłam odgrzaną w mikrofalówce zapiekankę mojej mamy, a spakowaną torbę położyłam przy drzwiach wejściowych. Usiadłam na skraju łóżka, patrząc na telefon. Julian jeszcze nie dzwonił, za to Anka po raz kolejny usilnie się do mnie dobijała.

Dzwonię do ciebie i nic. Czemu masz wyłączony telefon?

Mal! Odezwij się!

Co się dzieje?!

Oddzwon!

Westchnęłam i odpisałam:

Wszystko OK. Telefon mi się wyładował. Zadzwoń później.

Nie musiałam długo czekać, by chwyciła za telefon i sama do mnie zadzwoniła, ignorując moją wiadomość. Odrzuciłam połączenie. Nie czułam się na siłach, by tłumaczyć się z tego, co się wydarzyło. Nie teraz, nie dziś.

Nie mogę rozmawiać.

– odpisałam.
Ty sobie jaja robisz!

Pokręciłam głową i położyłam się na łóżku, rozmyślając o tym, co robi Julian. Gdzie teraz jest i czy też o mnie myśli. Czy czuje to samo, co ja? Tę nieokiełznaną potrzebę bycia blisko pomimo wszystko? Czy tak jak ja miał mętlik w głowie, oszołomiony tym, co zadziało się między nami w ostatnich godzinach?

Zamknęłam oczy, przypominając sobie mapę jego ciała. Wszystkie te drobne, rozlewające się pod skórą niebieskie żyłki, którymi rwącym nurtem płynęła życiodajna iskra, biegnąc od serca w najdalsze zakamarki – opuszki palców, gorące usta i nieokiełznaną męskość.

Wibracje telefonu ucięły moje rozmyślenia. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy na ekranie wyświetliło się dźwięczne imię: Julian. Odebrałam szybko, nie chcąc, by czekał.

– Podjadę za chwilę, wychodź już z mieszkania – powiedział i rozłączył się, ten mój nieznoszący sprzeciwu Despota.

Czekałam pod bramą osiedla, niecierpliwie rozglądając się dookoła. Kręciłam nerwowo głową, wypatrując go na horyzoncie. *Przyjedzie z prawej czy może z lewej?* – zastanawiałam się, niczym nastolatka przed pierwszą randką z klasowym przystojniakiem. Samochód w końcu podjechał, a ja wsiadłam od razu, gdy tylko zatrzymał się przy chodniku.

Julian siedział za kierownicą uśmiechnięty, zrelaksowany, wpatrując się we mnie wygłodniałymi oczami. Gdy zapięłam pasy, nachylił się i ujął moją twarz w obie dłonie. Jego pocałunek zawładnął moimi ustami, jakby należały wyłącznie do niego. Jakby nigdy nie były moje.

– W pracy wszystko w porządku? – zapytałam, gdy ruszyliśmy. Skinął głową. – A co robiłeś?

– To nieistotne – stwierdził, po czym wskazał na moją torbę podróżną, którą ułożyłam sobie na kolanach. – Bardziej mnie interesuje, dlaczego zabrałaś aż tyle ubrań.

– Jutro idę do pracy – westchnęłam i pokręciłam głową, gładząc bagaż po boku. – I muszę tam pójść ubrana.

– Bez sensu – mruknął, przewracając oczami.

Kilkanaście minut później znaleźliśmy się u Juliana. W przedpokoju rzuciłam torbę na podłogę, tuż przy drzwiach. Nawet nie miałam szansy jej rozpakować, bo Julian przyparł mnie do ściany zaraz po przekroczeniu progu mieszkania, zatrzymując mnie w potrzasku swojego ciała. Wsunął jedną rękę pod moją bluzkę w poszukiwaniu piersi, w tym czasie całując łąpczywie usta. Nogą rozszerzył mi uda, a jego druga ręka już walczyła z majtkami. Odsunął na bok ich materiał, ślizgając się palcem po wilgotnej powierzchni lechtaczki, w końcu zagłębił się we wnętrzu, wkładając lubieżnie dwa palce.

– Julian... – szepnęłam, rozpinając guziki błękitnej koszuli, którą miał na sobie.

Przerwał nagle i odsunął się ode mnie, przyglądając mi się z szelmowskim uśmiechem, gdy dygotałam na całym ciele, oparta o ścianę jego mieszkania.

– Widzę, że trochę tęskniłaś – stwierdził, podnosząc moją torbę. – A to była tylko godzina rozłąki.

Zaśmiałam się i podeszłam do niego. Pogładziłam go po żuchwie, mierzwiąc czarną jak noc brodę.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłam – przyznałam.

Wzięłam jego rękę i położyłam na swoim pośladku, pragnąc, by kontynuował to, co śmiał tak ochoczo zacząć. Julian jednak miał inne plany. Ścisnął mnie za pupę, po czym odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania, niosąc bagaż do sypialni. Podreptałam za nim, a moim oczom ukazał się niecodzienny widok. Zdurniała patrzyłam, jak stoi nad łóżkiem i bez pytania rozpakowuje moje rzeczy, kładąc je na kołdrze jedna po drugiej.

– Co ty robisz? – spytałam, stając za jego plecami.

– Oglądam, co przywiozłaś – odparł beztrosko, jakby w jego zachowaniu nie było zupełnie nic dziwnego.

– Podoba ci się chociaż?

Zmarszczył nos i zaprzeczył, przewracając oczami. Stałam obok niego, wyciągnęłam z torby kosmetyczkę, suszarkę i prostownicę do włosów i ignorując to, że beczelnie myszkowałam w moich rzeczach, zaniósłam wszystkie przybory do łazienki. Gdy wróciłam, moje ubrania leżały już złożone w kostkę na komodzie, a Julian zdejmował z siebie koszulę. Podeszłam do niego, przytulając się do jego nagich pleców.

Objęłam go w pasie rękami, dłonie ułożyłam na twardym, umięśnionym brzuchu, całując skórę wzdłuż kręgosłupa.

– To całkiem przyjemne – stwierdził, mrużąc przy tym jak kot.

Moje ręce powędrowały w dół. Rozpięłam guzik przy jego spodniach i delikatnie rozsunęłam suwak. Wciąż całując skórę szerokich, atletycznych barków, ściągnęłam mu z bioder spodnie wraz z bokserkami. Przesząpił z nogi na nogę, jednym ruchem odrzucił zwinięte ubrania pod ścianę, po czym odwrócił się do mnie, ukazując moim oczom nabrzmiałego członka.

– Rozbieraj się – nakazał, siadając na skraju łóżka z rozłożonymi szeroko nogami.

Powoli ściągnęłam z siebie bluzkę, rzucając ją za siebie. Widziałam jego czarne oczy utkwione w moim dekolcie, wyczekujące, żarłoczne. Ominęłam jednak piersi, bez pośpiechu zsuwając najpierw spódniczkę. Julian oddychał coraz głębiej i zacisnął pięści na rogu materaca, gdy zbliżyłam się do niego, stając w samej bieliźnie na wyciągnięcie jego ręki.

– Zdejmuj to – zażądał.

Uśmiechnęłam się i posłusznie odpięłam zapięcie biustonosza, a sterczące sutki od razu zdradziły to, jak bardzo byłam podniecona. Majtki zsunęłam z siebie jako ostatnie, stając przed nim zupełnie naga, gotowa na cokolwiek, co chciał mi zrobić.

– Uklęknij – szepnął, wyciągając do mnie rękę, a ja chwyciłam ją, schodząc na kolana pomiędzy jego udami.

Julian wysunął biodra w przód, na co schyliłam się, biorąc w usta jego przyrodzenie. Jęknął, odrzuciwszy głowę do tyłu, i złapał mnie za włosy, przytrzymując je na moim karku, gdy zaczęłam pieścić penisa długimi, namiętymi liźnięciami od samego czubka, aż po dokładnie przystrzyżone jądra. Rękami masowałam wnętrze ud i pachwiny, ściszałam napięte, twarde pośladki. Ssałam żołądz penisa, trącając główkę końcem języka. Coraz głośniejsze pomruki wydobywające się z jego gardła sprawiły, że przyśpieszyłam i brałam go całego do ust. Pozwoliłam mu penetrować moje wnętrze coraz mocniej i intensywniej. Ręce przeniosłam na mosznę, masując ją z wyczuciem, a Julian jęczał nieprzytomnie, oszalały z pożądania. Miałam wrażenie, że nabrzmiał jeszcze bardziej, szarpiąc biodrami, by po kilku sekundach wytrysnąć mi prosto w usta lepką, słonawą spermą, którą od razu połknęłam, patrząc mu prosto w oczy.

Julian sapnął i opadł na materac, łapiąc oddech. Ułożyłam się obok niego, z dziką satysfakcją przyglądając się błogości na jego twarzy, zamkniętym oczom, zwiędzionym czarnymi, długimi rzęsami, kroplom potu na skroni i roztrzepanym włosom, układającym się w posępną, mroczną koronę z nieokleśnianych loków. Położyłam dłoń na jego torsie, czując pod skórą łomotanie serca. Chłonełam ten wściekły rytm. Rytm, którego byłam prowodyrem. Przykrył moją rękę swoją, zaplatając nasze palce, po czym przewrócił się na bok. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nieziemski – szepnął, całując mnie w usta.

Przytuliłam się do niego, chłonec ten komplement, gdy on przewrócił mnie na plecy. Zsunął się kilkanaście centymetrów i chwycił moją pierś ustami, palce rąk zagłębiając między nogami.

– Taka mokra... – mrużąc, wsuwając we mnie palce, a ja czułam, jak moje soki płyną mu po ręku. – Tak cudownie mokra.

Drugą ręką przytrzymywał mnie w pasie, gdyż wiłam się od tych pieszczot, krzycząc wściekle jego imię, tak jak lubił. Całował raz jedną, raz drugą pierś, trącał nosem sutki, przygryzał je, doprowadzając mnie na skraj rozkoszy, a jego wprawne palce bawiły się mną, zwalniając, gdy myślałam, że już za moment zatracę się w zbliżającym się orgazmie, i przyśpieszając, gdy ściszałam głos, pojękując tylko lub mrużąc.

Rozkosz zalała mnie niespodziewanie, sprawiając, że krzyk ugrzązł mi w gardle. Julian nie przestawał jednak, zawzięcie masując łechtaczkę, nie zważając na to, że moje ciało przeszył dreszcz tak silny, że prawie bolesny.

– Julian, już... – szepnęłam, łapiąc go za nadgarstek nachalnej ręki. – Już, proszę...

Spojrzał na mnie, wypuszczając sutek z ust, i przycisnął głowę do moich piersi, ukrywając w nich twarz. Całując delikatnie skórę wokół brodawek, pozwalał mi dojść do siebie w silnych, bezkresnych ramionach. Objęłam jego głowę rękami, zarzuciłam nogę na biodro i usnęłam, wycieńczona.

*

Ciemność panującą w pokoju przecinała tylko poświata nocnej lampki, zapalonej po stronie Juliana. Siedział oparty plecami o wezłowie łóżka, czytając książkę w ciemnej, skórzanej oprawie.

– Która godzina? – spytałam, przeciągając się.

– Chwilę po dwudziestej pierwszej – powiedział, odkładając na stolik powieść. Pochylił się, całując mnie w usta. Przygryzł przy tym moją dolną wargę. – Chyba cię wymęczyłem, spałaś jak suseł.

Uśmiechnęłam się, głaszcząc Juliana po policzku.

– Jestem wykończona – przyznałam.

– A ja jeszcze z tobą nie skończyłem – szepnął mi do ucha i pocałował czubek nosa.

Westchnęłam, kręcąc głową.

– Nie znasz umiaru. – Wtuliłam się w niego, starając się, jak tylko mogłam, by nie uznał tego za zachętę do kolejnych uniesień. – Opowiedz mi lepiej, o czym czytasz.

– *L'appel du vide* – powiedział z pięknym francuskim akcentem.

– Czyli...? – dopytywałam. – Nie mówię po francusku.

– Dosłownie? Zew pustki, moja miła. – Wodził palcami po moim boku, licząc wystające żebra. –

Egzystencjalizm pomaga mi pozbierać myśli.

– A o czym tak myślisz?

– O odpowiedzialności.

– Za mnie? – Przekręciłam się na brzuch i wsparłam podbródek na zgiętych rękach.

– Poniekąd także za ciebie – westchnął, gładząc mnie po twarzy. – Na całym świecie nie ma nikogo, absolutnie nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać przed tym, co chciałbym zrobić, a jednak wiem, że jest to jedyna rzecz, której zrobić nie mogę. To frustrujące.

– Nie rozumiem. – Zmrużyłam oczy. – Co planujesz?

Uśmiechnął się, choć oczy miał smutne.

– Nic złego – szepnął. – Teraz chcę po prostu z tobą być.

Nachylił się, by mnie pocałować, jednak przeszkodził nam dźwięk mojego telefonu roznoszący się w ciszy tego wieczoru.

– Zignoruj to – rozkazał i przejechał językiem po mojej wardze.

– To pewnie Anka – szepnęłam, odsuwając się od niego. – Uwierz mi, jeśli to ona, to nie przestanie dzwonić, dopóki nie odbiorę. A jeśli nie odbiorę, to prędzej czy później znajdzie mnie, gdziekolwiek bym nie była, i wpadnie tu niezapowiedziana w najmniej odpowiednim momencie.

Julian przewrócił oczami i machnął ręką, a ja podeszłam do mojej torebki i wyciągając telefon, od razu kliknęłam zieloną słuchawkę, by odebrać połączenie.

– Hej... – powiedziałam, jednak nie miałam szansy się przebić, gdyż Anka załała mnie potokiem słów.

– Czy ty możesz mi wytłumaczyć, co ty wyprawiasz, Mal? Spotkałaś się z nim, prawda? – Nim zdążyłam odpowiedzieć, kontynuowała rozjuszona. Wściekła. Przerazona. Sama nie wiem, jakie słowo lepiej opisywało jej stan. – Nie musisz odpowiadać, wiem, że tak. A wiesz skąd? Od Zbyszka. A wiesz, skąd on wie? Bo ten twój Julian najpierw wczoraj połamał mu nos, i to podobno w twojej obecności, a dzisiaj napadł go w jego własnym domu!

– Co ty mówisz?! – wypaliłam. Odwróciłam się w stronę Juliana, patrząc, jak beztrząsco leżał na boku, świecąc wyrzeźbionymi pośladkami, z beczelną książką o filozofii w ręku, zachowując się, jakby nigdy nic się nie stało. – Jak to napadł go w domu?

Usłyszawszy moje słowa, jasnie pan Despota uniósł wzrok znad książki i przekręcił głowę, przyglądając mi się uważnie.

– Zbyszek do mnie dzwonił, mówił, że po południu twój nowy chłopak z bandą podejrzanych typów wparowali do jego mieszkania i nieźle go nastraszyli.

– Ale nic mu nie jest? – zapytałam szybko, patrząc na mojego kochanka. Julian pokręcił głową przecząco, uśmiechając się rozbrajająco.

– Mal! Do jasnej cholery! – Anka krzyczała w słuchawkę. – Ten typ groził Zbyszkowi w jego własnym domu! Mówił, że pożałuje, jeśli jeszcze raz się do ciebie zbliży!

– Ale nic mu nie zrobił – stwierdziłam, tym razem już pewniej. – Należało mu się po tym, jak mnie potraktował.

Julian uniósł brwi, uśmiechając się z aprobatą w oczach, gładził się przy tym po brodzie. Nie wiedział jeszcze, że z nim miałam plan rozprawić się później.

– Oszałałaś? Co ci niby zrobił Zbyszek? Wpadł do twoich rodziców na obiad, bo był, uwaga, zaproszony?

Prychnęłam. Anka nie miała prawa się w to mieszać.

– Czyli Zbyszek nie powiedział ci, dlaczego wczoraj dostał w nos? – zapytałam, czując rosnącą irytację.

– Powiedział, że rozmawialiście i nagle pojawił się ten Julian i przyłożył mu w twarz.

– Nie wspomniał nic o tym, że to Zbyszek pierwszy użył wobec mnie siły, a potem, gdy już odchodziliśmy, to on sprowokował Juliana, rozrywając mu koszulę?

– Zbyszek użył wobec ciebie siły? Sprowokował tego byczka? – Anka powtarzała tępo moje słowa, nie dowierzając. – Mal, proszę cię. Obie wiemy, że Zbyszek jest taką ciamajdą, że nie skrzywdziłby muchy, bo nawet nie potrafiłby jej złapać!

– Muszę się, niestety, nie zgodzić. Gdyby nie Julian, nie wiem, jak by się to wszystko skończyło – mówiąc to, patrzyłam, jak Julian siada na łóżku, po czym wstaje, przeciągając się. – A Zbyszkowi w końcu ktoś musiał przemówić do rozsądku, skoro mnie samej nie chciał posłuchać.

– Mal, takie groźby są karalne. Zbyszek rozważa zgłoszenie tego na policję. A ty się musisz trzymać od Juliana z daleka. To jest świr.

– Nie zamierzam trzymać się od niego z daleka – odparłam ostro, gdy Julian zbliżył się powolnym, spokojnym krokiem, wpatrzony we mnie i przyłożony do mojego ucha telefon.

Anka milczała chwilę, po czym zapytała:

– Jesteś z nim? Jesteś teraz u niego?

– Tak – szepnęłam.

– Wyjdź natychmiast. Mal, błagam cię, wyjdź i przyjedź do mnie.

– Nie – odpowiedziałam stanowczo. – Nie przyjadę do ciebie. Zostaję tutaj.

– Mal, oprzytomnij wreszcie! – Anka wrzeszczała jak opętana, Julian z pewnością słyszał każde jej słowo. – Nie możesz mu ufać. Nie możesz tam zostać. Nie masz pewności, że ciebie też nie skrzywdzi!

Mój kochanek, w którego twarz wpatrywałam się cały czas, słuchając błagalnych krzyków przyjaciółki, spokojnie pokręcił głową i ku mojemu zaskoczeniu, delikatnie wyjął mi telefon z ręki, po czym przyłożył go sobie do ucha.

– Posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę powtarzać. – Otworzyłam szerzej oczy zszokowana szorstkim, lodowatym tembrem jego głosu. – Przestań się wtrącać w nie swoje sprawy. Mal będzie się spotykać, z kim chce i kiedy chce, i nic ci do tego.

– Mal jest moją przyjaciółką i to jest moja sprawa, gdy spotyka się z przestępcą! – Anka krzyczała tak głośno, że słysząc ją było w całym pokoju.

– Uważaj, co i do kogo mówisz – powiedział ostro Julian głosem tak niehumanym, że aż struchlałam. – Zostaw Mal w spokoju. I nie dzwoń tu więcej. Nigdy. Dla własnego dobra.

Po czym rozłączył się, ciskając moim telefonem o łóżko.

– Julian! – krzyknęłam, przestraszona jego nagłym wybuchem. – Tak nie można!

Pokręcił głową, przyciągając mnie do siebie. Próbowałam go odepchnąć, lecz tylko wzmocnił uścisk, nie pozwalając mi się ruszyć. Rzuciałam się chwilę, waląc go pięściami na oślep, by po chwili odpuścić. Zrezygnowana, wpadłam w jego ramiona jak spłoszony owad, który odpuszcza walkę, gdy zaczyna rozumieć, że już na dobre zaplątał się w pajęczą sieć.

– Czemu mi nie powiedziałeś, że do niego idziesz? – zapytałam rozżalona, gdy posadził mnie jak lalkę na krańcu łóżka. – Mówiłeś, że idziesz do pracy.

– Mówiłem ci wcześniej, że go odwiedzę – stwierdził, wzruszając ramionami. Ukłękł przy mnie, kładąc mi dłonie na nagich kolanach.

– Nie mówiłeś, że zrobisz to dzisiaj.

– Na co miałem czekać? – Zbliżył swoją twarz do mojej. – Aż znów najdzie cię w pracy? Takie gnidy trzeba tępić.

– Ale po co zabrałeś tam jakichś ludzi? Kto to był?

– Moi koledzy. – Uśmiechnął się, po czym dodał: – Żałuj, że nie widziałeś jego twarzy. Zaczął się

jąkać, potykać o własne nogi. W sumie to w przyływie nagłego oprzytomnienia kazał ci nawet przekazać przeprosiny.

Jęknęłam, ukrywając twarz w dłoniach.

– Ciebie to bawi? Czy to jest dla ciebie jakaś gra? Sposób na wyzycie się czy skok adrenaliny? Anka miała rację, takie akcje są karalne.

– Musieliby mnie najpierw złapać. – Zaśmiał się, lecz po chwili spoważniał. – Mal, posłuchaj. Musiałem to zrobić. Dla twojego bezpieczeństwa.

– Nie musiałeś. – Odwróciłam się do niego plecami, siadając na środku łóżka.

– Obraziłaś się? – zapytał zdeorientowany.

Nie odpowiedziałam. Mruknął i przysunął się do mnie, ujmując moją twarz w ręce. Odwróciłam wzrok, by na niego nie patrzeć.

– Przestań się dąsać i powiedz coś. – Polizał moje wargi, więc ugryzłam go w język. Syknął, lecz nie cofnął się nawet o milimetr. – Co ty wyprawiasz?

Wzruszyłam ramionami i kontynuowałam swój niemy protest, założywszy ręce na piersiach. Julian westchnął, gładząc mnie po policzkach.

– Zrobimy więc coś, przy czym nie trzeba mówić.

Złapał za moje ramiona, zmuszając mnie, bym położyła się na plecach.

– Julian... – jęknęłam, próbując go odepchnąć, lecz on tylko mruknął. – Julian, nie...

– Cichutko. – Przyłożył mi palec do ust. – Zaraz będziesz błagać o więcej.

Złapał mnie za biodra i przycisnął do siebie. Wgryzł się w moje usta, rękami przytrzymując mi dłonie nad głową. Zaparłam się nogami, gdy delikatnie wsunął się we mnie, rytmicznie wchodząc i wychodząc, twardy jak skała. Poruszał się powoli, wręcz leniwie, płynnymi ruchami penetrując każdy milimetr wnętrza. Przymknęłam oczy, zaciskając palce rąk na jego dłoniach. Nie pozwalał mi protestować, liżąc moje wargi w rytm naszego zespolenia. Oddychałam coraz szybciej, zgrywając się z jego ruchami.

– Julian... – jęknęłam.

Zatrzymał się we mnie, przerywając wypracowany rytm. Otworzyłam oczy zaskoczona, podczas gdy on uśmiechał się zawadiacko. Puścił jedną z moich rąk, po czym przeniósł dłoń na pośladek. Poruszyłam się pod nim, chcąc na powrót poczuć, jak wbija się we mnie, lecz on pokręcił tylko głową i przycisnął jeszcze mocniej moje biodra swoim ciężarem.

– Co robisz? – wydyszałam, wijąc się pod jego ciężarem, czując go w środku, okrutnego, bez ruchu, stosującego najgorszą z tortur.

– Czekam, aż będziesz błagać – szepnął mi do ucha.

– Błagam... – Przymknęłam oczy. – Pragnę cię, Julianie.

– Za słabo – zawyrokował nadal nieruchomy.

– Błagam cię, proszę – szeptałam, patrząc mu prosto w oczy. – Weź mnie. Błagam, weź mnie całą.

Ucałował moje usta, spijając z nich te słowa, i znów się we mnie poruszył, penetrując w szaleńczym rytmie. Nasze galopujące oddechy zrównały się, gdy oboje dochodziliśmy, targani mieszanką emocji, uległości i orgazmu. Ukryłam twarz w jego włosach, przytulając się mocno, najmocniej, jak potrafiłam. Bez względu na to, jak byłam na niego zła, jak bardzo nie podobało mi się to, co zrobił, nie potrafiłam mu odmówić.

– Nie walcz ze mną, Mal – szepnął mi do ucha, pozwalając, bym zniknęła w jego ramionach. – Nie musisz mi nic udowadniać. Nie musisz pokazywać, jak jesteś silna. Potrafisz oddać mi kontrolę, tylko nie chcesz tego przyznać.

Jęknęłam, zaciskając palce na jego przedramionach.

– Jesteś tu, ja tu jestem i tylko to się teraz liczy.

Pocałowałam go z uległością, tym samym przyznając mu rację.

*

Bycie przy nim, przy moim Julianie Despocie, okazało się o wiele prostsze, niż mogłabym początkowo przypuszczać. Wystarczyło pozwolić mu na wszystko, oddać mu władzę nad sobą, pozwolić, aby rządził moim ciałem wedle swego uznania, a w zamian otrzymać jego ciepło, bliskość i spełnienie, gdy oboje dyszeliliśmy ciężko, łapiąc w płuca powietrze wilgotne od naszego potu. Opuścić i poddać mu się

w całości – spełnienie tej prośby przychodziło mi aż nazbyt łatwo, wręcz naturalnie. Przy nim czułam się tak, jak nie czułam się nigdy wcześniej. Miałam poczucie, że w końcu, po raz pierwszy w życiu tak naprawdę bezsprzecznie jestem sobą, porzuciwszy narzucane przez wszystkich dookoła role i maski. Odrzuciłam w końcu własne pragnienie niezależności, które przy nim nie miało najmniejszego sensu. Budowałam w swym sercu nowe cele: zatracić się w jego słodkich ustach, szczytować raz po raz, szepcząc mu do ucha, jak bardzo go pragnę, nie myśleć o Ance, o mojej matce ani nikim, kto mógłby stanąć między nami.

Kolejne dni trwały wieczność. Budziłam się w bezkresnych ramionach, szepcząc jego imię, resztkami rozsądku wyrrywając się z tego absolutnego uścisku tylko po to, by nie stracić pracy. Godziny rozłąki cierpiałam, nie mogąc zebrać myśli, wracałam do niego, nie pamiętając drogi do mieszkania, na wejściu zrzucając z siebie krępujące ruchy ubrania. Jedliśmy zamawiane na wynos jedzenie, kochaliśmy się na setki sposobów, spaliśmy, złączeni w ścisłych objęciach, ignorując świat i wszystko, co z nim związane. Nie odbieraliśmy telefonów, nie odpisywaliśmy na wiadomości. Nie wychodziliśmy poza ściany mieszkania, głodni siebie, głodni swoich ciał, pozwalając sobie na to, by po prostu być razem.

W piątkowe nudne południe, oddalona zaledwie o pięć godzin od ramion Juliana, wpatrywałam się tępym wzrokiem w jasne, bezchmurne niebo obejmujące rozpaloną czerwcowym słońcem Warszawę. Mój telefon wibrował raz po raz, nie pozwalając mi się skupić. Westchnęłam, odbierając połączenie od mojej matki.

– Mal... – jęknęła utrapionym głosem. – Mal, przyjedź na weekend, porozmawiajmy. Rozumiem, że jesteś zła, masz do tego prawo. Może nie powinnam była zapraszać Zbyszka na obiad bez twojej zgody, ale co miałam zrobić, gdy zadzwonił?

– Może nie powinnaś? – zapytałam ostro, choć wcale nie czułam złości. Myśl o tym, co czekało mnie w czeluściach Julianowego mieszkania, odpędzała wszelkie negatywne uczucia. Moja matka westchnęła teatralnie. – Mamo, ja nie chcę z nim być. Zrozumcie to wszyscy w końcu!

– Ale ja chcę dla ciebie jak najlepiej, wiesz o tym – broniła się. – Chcę, żebyś była szczęśliwa. I nie chcę, żebyś spędziła resztę życia samotnie.

– Tak się składa, mamo, że nie spędzę go sama – zachnęłam się.

– Masz kogoś? – spytała zaskoczona.

– Może – burknęłam.

– To zaprosz go do nas. Przyjedźcie, zostańcie na noc. I nie gniewaj się już na mnie. Mam cię tylko jedną.

Zaśmiałam się pod nosem, próbując wyobrazić sobie to spotkanie. Lękliwa rodzicielka kuli się w sobie na widok barczystej postury mojego kochanka, ojciec milcząc, wpatruje się w ścianę. Julian kipi ze złości, nie mogąc rozstawić mnie po kątach, i ja w tym wszystkim stojąca pomiędzy młotem a kowadłem, pomiędzy oczekiwaniami mojej matki a požądaniem Juliana. Nic, tylko zapaść się pod ziemię.

– Nie sądzę, że to dobry pomysł – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. – Ale pomyślę o tym, możesz być pewna.

Rozłączyłam się, nie mając nawet najmniejszej nadziei na to, że Julian zgodziłby się spędzić weekend na wsi u moich rodziców. Musiałby poświęcić na to całe czterdzieści osiem godzin, w trakcie których nie mógłby mieć mnie wyłącznie dla siebie. Napisałam mu jednak wiadomość, chcąc zagrać mamie na nosie, pojawiając się z moim Despotą na rodzinnym obiedzie. Niech ma za swoje!

Mamy zaproszenie od moich rodziców na weekendowy wypad na wieś.

Nie odpisał, lecz nie spodziewałam się po nim zupełnie niczego innego. Gdy weszłam do jego mieszkania, zsuwając ze stóp sandały, przywitał mnie półnagi, w samych dżinsach i roztrzepanych włosach, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

– To ta wieś, gdzie nocami słyszy się duchy? – zapytał, gdy przytuliłam się do niego, wdychając zapach jego rozgrzanej skóry.

– Czyli jednak odczytujesz moje SMS-y – stwierdziłam. Chrząknął, kręcąc głową. – I tak, to właśnie ta wieś. Moja matka dobijała się do mnie pół dnia, błagając, żebym przyjechała.

– Czy to nie ona w zeszłym tygodniu zaprosiła na obiad tę niedojdę, której miałem okazję złamać nos? – Pokiwałam głową, szczerząc do niego zęby. – A teraz chce, żebym to ja przyjechał na weekend? Przedziwna kobieta, ta twoja matka.

– Julian, ona nic o tym nie wie. – Ujęłam w dłonie jego twarz, całując delikatnie usta. – I chyba nie chciałabym, żeby się dowiedziała.

– Rozumiem – stwierdził, kiwając głową, po czym zabrał się za ściąganie ze mnie sukienki. – A teraz zdejmuj to, szybciotko.

– Poczekaj – powstrzymałam go, patrząc mu prosto w oczy. – Czy mam rozumieć, że jedziemy? Wzruszył ramionami.

– Nie sędzę.

– Proszę... – szepnęłam, całując skórę jego szyi.

– Nie sędzę, że twoi rodzice będą zachwyceni takim mężczyzną, jak ja. Nie zamierzam zachowywać się inaczej niż zawsze. – Zaśmiałam się, przytykając na chwilę oczy. – Co cię tak bawi?

– Nic, Julianie. Absolutnie nie oczekuję, że będziesz się zachowywał inaczej. O ile nie rzucisz się na mnie przy obiedzie, damy radę.

Westchnął i nabrał w płuca powietrze, przytrzymując je dłuższą chwilę. Widziałam, że walczy sam ze sobą, analizując możliwości.

– Dobrze, pojedziemy – powiedział w końcu, a ja uśmiechnęłam się szeroko, zarzucając mu ręce na szyję. – A teraz ściągnij w końcu tę sukienkę.

Kilka sekund później klęczałam już na dywanie przy kanapie, wypełniona jego nabrzmiałym pożądaniem, gdy brał mnie od tyłu w akompaniamencie moich jęków.

– Jesteś moja – szeptał mi do ucha, przytrzymując piersi. – Jesteś cała moja.

Przymykałam oczy, oddając mu się bez słowa sprzeciwu, czując, jak goni za naszym wspólnym spełnieniem. Wsunął się nagle i sięgnął ręką do szuflady stolika kawowego, wyciągając z niej prezerwatywę. Naciągnął ją sprawnie i wbił się we mnie tak mocno, że krzyknęłam, zaciskając palce na miękkim materiale dywanu. Penetrował mnie, uderzając biodrami o moje pośladki. Bawił się tym, zmieniając co chwilę intensywność i siłę, z jaką wnikał we mnie, a ja wypinałam się, pozwalając mu na to z dziką, nieokiełznaną przyjemnością. Orgazm targnął w końcu moim ciałem, a Julian dołączył chwilę później, ostrymi ruchami zakańczając ten akt. Nie wyszedł jednak, pozwalając mi czuć go w środku, gdy położyliśmy się na dywanie, uspokajając nasze ciała. Obejmował mnie w pasie przyklejony do moich pleców tak, jakby od tego zależało moje życie.

– Mięknę przy tobie – stwierdził nagle, wprawiając mnie tą wypowiedzią w rozbawienie.

– Nie zauważyłam – zachichotałam w odpowiedzi, cały czas czując go w sobie.

Połąskotał mnie po brzuchu i pocałował płatek mojego ucha.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi – szeptał. – Nie odwiedzałem nigdy żadnych rodziców i jeszcze tydzień temu byłem przekonany, że tak już zostanie.

– Nigdy? – zdziwiłam się. – Ani razu?

– Mówiłem ci, że ja nie randkuję – odpowiedział i, ku mojemu rozczarowaniu, wycofał się ze mnie, powoli i ostrożnie.

– To co my tu robimy? – Odwróciłam twarz w jego stronę.

– Ja ćwiczę przy tobie egzystencjalizm. – Ucałował mnie, czule muskając wargami.

– Wypełniasz mną pustkę – powiedziałam smutno. Nie spodobało mi się to, co usłyszałam.

– Nie, raczej na nowo definiuję jej sens. – Uśmiechnął się do mnie, gładząc po włosach. – A ty?

– Ja nie chcę być nigdzie indziej – odpowiedziałam cicho, bawiąc się jego lokami. Nawijałam je sobie na palec wskazujący, by za chwilę pozwolić im odwinąć się samodzielnie. Łaskotały mnie przy tym w dłonie, tańcząc w powietrzu zwiewne piruety. – Tylko w twoich ramionach.

– To jak ty chcesz jechać do rodziców? – zaśmiał się.

Wzruszyłam ramionami.

– Będziesz musiał coś wymyślić – szepnęłam mu prosto do ucha, ściskając jego pośladek.

*

Następnego dnia, po zbyt długim śniadaniu przerwany przez rozkoszny, przeciągany w nieskończoność seks na stole w jadalni, wykąpani, spakowani i ubrani w letnie stroje wsiedliśmy do camaro. Ruszyliśmy na wschód, pędząc obwodnicą Marek w stronę Białegostoku.

Julian milczał, spoglądając na mnie z nieskrywaną ciekawością, gdy skubałam kraniec sukienki,

czując rosnące z każdym kilometrem podenerwowanie.

– Czym się tak martwisz? – zapytał, gdy zjechaliśmy z trasy, lawirując krętą drogą w ciemnym, gęstym lesie.

– Moja matka jest trochę neurotyczna – powiedziałam, marszcząc nos. – Będzie zadawać dużo pytań, w większości nietaktownych.

– Myślę, że sobie z nią poradzę. – Poklepał mnie po kolanie. – A twój ojciec?

– O niego się nie martwię. – Pokręciłam głową. – On nigdy nic nie mówi. Moja mama robi to za nich oboje.

Julian zagwizdał, gdy wyjechaliśmy z lasu. Naszym oczom ukazały się niekończące się zielone polany, okraszone różowymi akcentami firletek, a na horyzoncie majaczyło w pełnym słońcu gospodarstwo rodziców.

– Robi wrażenie – stwierdził, po czym zwolecił, by móc podziwiać mijane przez nas drzewa, rosłe brzozy i dęby, rosnące na skrajach pól, których korzenie wgryzały się w szutrową drogę.

– Nie myślałam, że aż tak spodobają ci się wiejskie klimaty. – Poglaskałam go po policzku.

– Tu nie chodzi o wieś. – Uchylił okno, wpuszczając do środka ciepłe, pachnące trawą powietrze. – Lubię dzicz. Naturę.

Zaparkował pod bramą i wysiadł, wodząc wzrokiem po wyremontowanej stajni, drewnianym domku moich dziadków i starodawnej stodole. Podeszłam do niego, dotykając ręką jego spiętych pleców. Dlaczego był tak sztywny, tak napięty, jakby zaraz miał wybuchnąć?

– Denerwujesz się? – zapytałam go, ściskając jego dłoń.

– Nie. – Potrząsnął głową, spoglądając na mnie. – Skąd taki wniosek?

– Jesteś spięty. – Zmarszczyłam czoło. – Boisz się moich rodziców?

– Ja się niczego nie boję – zachnął się, po czym ciągnąc mnie za sobą, ruszył w stronę furtki.

Moi rodzice nie wyszli przywitać nas na podwórku, pomimo że widziałam głowę mojej matki chowającej się za firanką w oknie. Musiała nas widzieć, postanowiła jednak nie wychodzić nam naprzeciw. Przywitały nas za to koty, pojawiając się znienacka, gdy tylko przekroczyliśmy granicę działki. Jako pierwszy podbiegł do nas grubaśny, rudy kocur, miaucząc wściekle, a za nim podążyły dwie prążkowane kocice, ocierając się o kostki Juliana tak, że musiał podskoczyć, by nie potknąć się o ich ogony.

Otworzyłam drzwi wejściowe, przytrzymując zwierzaki stopą, by nie weszły za nami do środka. Słyszałam przyciszony, rozemocjonowany głos mojej rodzicielki, która szeptała coś do ojca, ucichła jednak, gdy zatrzasnęłam drzwi, oznajmiając, że oto przybyliśmy.

– Mamo, tato! Jesteśmy! – krzyknęłam, prowadząc Juliana do salonu. Ścisnęłam go za rękę tak mocno, jak tylko potrafiłam.

Moi rodzice stali przy kominku ramię w ramię, witając nas szeroko otwartymi oczami, skierowanymi na rosnącą posturę Juliana.

– Dzień dobry – zagrzmiał trochę za głośno, a jego donośny głos poniósł się echem po salonie.

– To jest Julian, o którym ci mówiłam, mamo.

Ojciec skinął mu głową, matka jednak nie poruszyła się nawet o milimetr. Widząc ich nietęgę miny i zaciśnięte w pięści dłonie, zapytałam:

– Wszystko w porządku?

Moje pytanie przywitała cisza, przerywana tylko pomiaukiwaniem kotów, które dochodziło do nas z dworu przez uchylone okno. Miałam wrażenie, że wpadliśmy właśnie w środek kłótni, o której żadne z nas nie miało pojęcia: okopani po dwóch stronach salonu, mierzyliśmy się podejrzliwym wzrokiem.

– Czy wszystko jest w porządku? – powtórzyłam poirytowana nieuprzejmością rodziców.

– Tak, tak... – wyjąkała w końcu matka, wpatrując się w Juliana jak w ducha, po czym zaczęła nerwowo trajkotać. – Dzień dobry panu. Może usiądziecie? Przyniosę herbatę. Staszek, chodź mi pomóc. – Pociągnęła ojca za rękaw.

Julian uśmiechnął się i usiadł na kanapie, gdy moi rodzice wychodzili z salonu przygarbieni, sunąc przy ścianie. Przycupnęłam koło mojego Despoty, kładąc mu rękę na kolanie.

– Co to było? – wyszeptałam, gdy zostaliśmy sami. – W życiu się tak nie zachowywali.

– Twoi rodzice to zwykli ludzie – powiedział cicho, a w głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

– Co znaczy „zwykli ludzie”? – syknęłam. – A co się spodziewałeś? Noblistki i prezydenta?

Zaśmiał się, kręcąc głową, po czym pocałował mnie w czoło.

– Jesteś pewna, że nie jesteś adoptowana?

– Julian, co ty wygadujesz?

Wzruszył ramionami, lecz nie odpowiedział, gdyż do salonu wkroczył mój ojciec, niosąc tacę z finezyjnym czajnikiem na herbatę i czterema filiżankami. Postawił ją na stoliku kawowym, po czym usiadł, zajmując jeden z dwóch foteli naprzeciwko nas. Wziął głęboki oddech i przyglądał się Julianowi nieco zbyt intensywnie. Zaciskał przy tym dłonie na krawędziach podłokietników tak mocno, że po chwili zbieleły mu knykcie.

– Tata jest byłym wojskowym – powiedziałam, próbując zagłuszyć koncert wściekłych kocich pomruków, dochodzących z zewnątrz. Domagały się jak nigdy, by wpuścić je do środka. – Stacjonował trochę w Iraku.

Julian uniósł brwi, pokiwał głową, jednak nie odezwał się. Wziął mnie za to za rękę, ostentacyjnie zaznaczając charakter naszej relacji.

Ojciec odwrócił wzrok, po czym zapytał napastliwym tonem:

– A pan? Służył pan w wojsku?

Julian pokręcił głową, zaprzeczając.

– Jest pan pacyfistą? – dopytywał mojego Despota. – Nie wygląda pan na takiego.

– W żadnym wypadku. – Julian uśmiechnął się szeroko, zakładając nogę na nogę. – Po prostu nie mógłbym pod kimś służyć. Nie uznaję zwierzchnictwa nad sobą, w żadnej postaci – mówiąc to, Julian objął mnie ramieniem.

– To wybrał pan sobie nie tę dziewczynę, co trzeba – odparł oschle mój ojciec.

– Tato! – skarciłam go, lecz zagłuszył mnie śmiech Juliana. Szczery, radosny śmiech, jakiego jeszcze nie słyszałam z jego ust.

– Nie jest tak źle – stwierdził mój Despot, całując mnie w skroń. – Prawda, Mal?

Przewróciłam oczami i wyrwałam się z objęć Juliana, by nalać nam herbaty. Moja mama pojawiła się w drzwiach, gdy podawałam filiżankę ojcu. Szła, drobiaz kroki, i niosła w rękach półmisek z kruchymi ciastkami. Zbliżała się do nas powoli, z rezerwą, pełna niepewności, jakby cały neurotyzm, cała jej gorączkowość ulotniły się wraz z naszym przybyciem.

Usiadła w fotelu i zupełnie bezmyślnie położyła sobie półmisek na kolanach. W milczeniu lustrowała Juliana od stóp aż po czubek jego głowy, nie mrugnawszy przy tym ani razu, a jej płytki, urywany oddech zdradzał bezradność. Gdy Julian poruszył się, chociażby tylko po to, by podrapać się po nosie, przymykała oczy, jakby każdy jego ruch miał zwiastować wybuch bomby.

– Mamo, odłóż może ten talerz na stół – zaproponowałam, widząc, jak ciastka zsuwają się z naczynia i kruszą się na jej kolanach.

– Tak, tak – wydusiła z siebie, nawet na mnie nie patrząc. Nie ruszyła się jednak o milimetr, otwierając szeroko oczy, gdy Julian położył mi rękę na kolanie.

– Mamo! – zawołałam, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Ciastka spadają ci na spodnie.

Nie drgnęła. Oczy miała utkwione w dłoni mojego towarzysza ślizgającej się po mojej nodze.

– Czy ktoś mi wytłumaczy, co się dzieje? – Spojrzałam pytająco na ojca. Szczęki miał zaciśnięte, przenoślił rozbiegany wzrok z matki na Juliana.

– Dajmy twojej mamie chwilę – powiedział w końcu, wyjmując jej na siłę półmisek z rąk. Ciastka rozsypały się po fotelu, wpadając pomiędzy poręcz a poduszki. – Może pójdziecie na spacer? Oprowadź gościa po posesji.

Wypuściłam głośno powietrze i poklepałam Juliana po udzie.

– Chodź – szepnęłam do niego i zważym krokiem wyszliśmy na powietrze. – Co to było?

Uniósł barki lekceważąco.

– Nie wzruszaj mi tu ramionami! – krzyknęłam na niego, gdy tylko zamknęły się za nami drzwi.

Koci komitet powitalny powiększył się o dwa kolejne kocury, które dopadły nas od razu, gdy tylko stopy Juliana dotknęły ziemi. Pałętały się pod naszymi nogami, ocierając się o nie i wściekle przy tym mrużąc. Co, u licha, w nie wstąpiło?

– Mal, uspokój się – skarcił mnie, szepcząc i delikatnie przytrzymując mnie za ramiona. Butem odsunął od siebie jednego z kocurów, który próbował wspiąć się na jego łydkę. – Nie jesteśmy tu sami. –

Kiwnął głową w stronę okna, gdzie za szybą majaczyła bacznie nas obserwująca, pociągła, sucha twarz mojego ojca.

Przymknęłam oczy, kręcąc nerwowo głową, i pociągnęłam go w stronę domku po moich dziadkach. Gdy ukryliśmy się za rogiem, pomiędzy drewnianą elewacją a krzakami aronii, przyparłam go do ściany, na co zareagował gromkim śmiechem. Koty podążyły za nami.

– Co to, do cholery, było? – Staralam się mówić na tyle cicho, by wiatr nie poniósł moich słów w stronę starej stajni. – Moja matka... Ona się ciebie boi.

– Dużo osób tak na mnie reaguje.

– Mój ojciec też się boi.

– Bo to mądry gość. – Julian wyszczerzył zęby. – W końcu to wojskowy. Potrafi poznać wroga.

– Nie żartuj sobie teraz! – Uderzyłam go pięścią w ramię tak mocno, że aż zapiekły mnie palce.

Julian złapał moją rękę i przytrzymał, boleśnie ściskając ją w swojej dłoni.

– Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki – wyszeptał mi wprost do ucha, gdy jęknęłam z bólu. – Pozwalasz sobie na zbyt dużo.

– To boli – wydyszałam, gdy chłód jego ściszonego głosu spływał mi po kręgosłupie, przyprowadzając o dreszcze.

Mruknął, przewróciwszy oczyma, po czym puścił moją pięść, łapiąc mnie w pasie. Wprawnym ruchem sprawił, że zamieniliśmy się miejscami. Teraz to on przyparł mnie do ściany i pochylił się, ręce układając na moich biodrach.

– Pamiętaj, że to ty chciałaś, żebyśmy tu przyjechali – mówił spokojnie, trącąc nosem płatek mojego ucha. – Nie obwiniaj mnie za słabe nerwy własnych rodziców.

Fuknęłam na niego, ściskając jego barki obiema rękami.

– Dlaczego wszyscy się ciebie boją?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Nie mówisz mi wszystkiego. – Spojrzałam mu prosto w jego czarne, przepastne oczy. Uśmiechnęłam się, całując moje wargi, wykorzystując swój ulubiony sposób, by odwracać moją uwagę. – O co chodziło z tą adopcją?

– Nie jesteś w żaden sposób do nich podobna.

– Słucham? – Wybałuszyłam oczy, miałam przecież nos jak matka i pociągłe rysy twarzy po ojcu. – Po czym to wnioskujesz?

– Ty się mnie nie boisz.

Odwróciliśmy nagle głowy, słysząc szelest w przydomowym lasku, z którego niepostrzeżenie wyłoniła się młoda łania z białymi cętkami w okolicy zadu. Zbliżała się do nas powolnym, dostojnym krokiem i z opuszczonym łbem.

– Ona tu idzie – wyszeptałam zszokowana. Nigdy nie byłam aż tak blisko dzikiego zwierzęcia.

Julian uśmiechnął się i puścił mnie, ruszając jej naprzeciw.

– Julian, proszę cię, stój.

– Hej, ponoć to twój znak pomyślności.

Wyciągnął rękę w stronę łani. Zwierzę posłusznie, z pełną świadomością tego ruchu, wsunęło głowę pod dłoń Juliana, pozwalając się pogłaskać. Przyglądałam się temu z szeroko otwartymi ustami, nie dowierzając własnym oczom. Palce Juliana ślizgały się po ciele łani stojącej na środku leśnego ogródka moich rodziców. Dotykał jej po łbie, palcami mierzwił sierść, a ona potulnie pozwalała mu na każdy ruch jego rąk.

– Nie mówiłaś, że macie oswojone jelenie – zaśmiał się, drapiąc łanię za uchem.

– Bo nie mamy – powiedziałam absolutnie zdurniała. – Julian, to nie jest możliwe.

– Czyli to jednak ten mój zwierzęcy magnetyzm. – Puścił do mnie oko, głaszcząc dziką łanię z taką pewnością siebie, jakby głaskał znajomego psa. Zwierzę poddało mu się, pozwalając drapać się po swojej sukni, przymknawszy okrągłe ślepie w geście zupełnego oddania. – Nie tylko ty nie możesz mi się oprzeć.

Przewróciłam oczami, choć w głębi ducha oboje wiedzieliśmy, że miał rację.

– Mogę podejść? – zapytałam zachęcona tą bajkową chwilą, niecodziennym widokiem Juliana i dzikiej łani oraz niepowtarzalną możliwością, by choć raz zbliżyć się do tego leśnego zwierzęcia.

Julian skinął głową.

– Podejdz powoli.

Czując, jak rośnie we mnie ekscytacja, ruszyłam w stronę dwóch dzikich ciał, zastanawiając się, które z nich jest bardziej nieokiełznane. Odpowiedź nie była taka trudna, tylko jedno z nich okazywało oznaki apodyktyczności i niepohamowania.

– Wyciągnij rękę – nakazał.

Łania szarpnęła głową, gdy jej dotknęłam. Spłoszona cofnęła się, wbijając kopyta w omszałą ziemię. Julian uspokoił ją, przytrzymując za szyję. Uśmiechnęłam się do niego, przejeżdżając palcem po szorstkiej sierści młodej samiczki.

– Niesamowite – szepnęłam, drugą ręką głaszcząc ją po uchu.

– Widzisz, nie jestem taki zły, jak ci się wydaje – powiedział, a ja westchnęłam, przyglądając się jego wesołym oczom i rozluźnionej szczęce. – Przynajmniej ona to rozumie.

– Odsuńcie się od niej, natychmiast! – Krzyk mojego ojca sprawił, że oboje aż podskoczyliśmy.

Tata biegł do nas, plosząc przy tym łanię. Ta dyskretnie się wycofała, przeciskając się pomiędzy krzewami jałowca, po czym zniknęła w lesie, pozostawiając w wilgotnej ziemi drobne ślady raciczek.

– Czy wy oboje oszaleliście? – Stał w pewnej odległości od nas, czerwony na twarzy. – Od miesiący walczymy tu z wściekłą, przecież to wiesz, Mal!

– Ta łania nie była wściekła – zawyrokował Julian, ostentacyjnie przyciągając mnie do siebie. – To był zdrowy, młody okaz.

– Zdrowe, dzikie zwierzę samo z siebie nigdy by nie podeszło do człowieka – kłócił się z nim mój ojciec, po czym wskazał wejście do drewnianego domku. – Idźcie natychmiast umyć ręce.

Julian zaśmiał się pobłaźliwie, jakby tata opowiedział stary, wyświechtany żart, który wszyscy znają na pamięć.

– Z czego się pan śmieje? – Kipiał ze złości. – Jeśli chce się pan narażać, proszę bardzo, ale nie pozwolę, żeby narażał pan zdrowie mojej córki.

– Nikt tu nikogo nie naraża – odparł spokojnie jaśnie pan Despota, po czym nachylił się, całując mnie w czoło.

– Jest pan ignorantem, skoro tak uważa.

Poczułam, jak w jednej sekundzie ciało Juliana napina się, gotowe do walki. Zacisnął pięści i przymknął powieki, wciągając powoli powietrze do płuc.

– Czy możecie obaj przestać? – wypaliłam, obawiając się, że jeszcze chwila, kilka nierozważnych słów i doszłoby do rękoczynów. – Idź, tato, pomóż mamie, nam nic nie jest.

Odwrociłam się do ojca plecami, stając przodem do Juliana. Poglądziłam go po policzku, położyłam głowę na piersi, licząc na to, że moja bliskość ostudzi buzującą w jego żyłach gorączkę. Kątem oka widziałam, jak ojciec ociąga się, przestępując nerwowo z nogi na nogę, wwiercając swój wzrok w moje plecy, lecz w końcu odchodzi, skrywając się w czeluściach ich domu.

– Julian... – szepnęłam, gdy tata trzasnął drzwiami. – On nie miał nic złego na myśli. Martwi się o mnie na swój własny, pokrętny sposób. W sumie w tym temacie jesteście do siebie podobni.

– Nie porównuj mnie do niego – powiedział ostro.

– Nie przesadzasz? – Odsunęłam się od Juliana. – To mój ojciec.

– Właśnie. – Julian chrząknął, przewracając oczami, i powędrował w stronę zagajnika. – To twój ojciec.

Snując się pomiędzy drzewami, dotykał ich grubych, wieloletnich konarów, jakby były jego przyjaciółmi. Przystawał co chwila, zadzierając głowę do góry, by spojrzeć w gęste, mięsiste listowie, i przysiąc bym mogła, że szeptał coś do nich, lecz melodię tych słów zagłuszały kocie pomruki. Jego ciało rozluźniało się z każdym krokiem, uspokojony wdychał wilgoć wczesnego popołudnia. Ruszając w stronę domku moich dziadków, stwierdził stanowczo:

– Chciałbym zwiedzić to miejsce.

Podreptałam za nim w zupełnym milczeniu, a za nami podążyły namolne koty. Julian wszedł do chaty, ostrożnie stawiając stopy, jakby obawiał się, że podłoga pęknie pod jego ciężarem i pochłonie go w całości, zrzucając jego ciało w czeluści piekieł. Drewniane klepki skrzypiały złowieszczo przy każdym kolejnym kroku, a on rozglądał się uważnie. Wyciągał rękę aż pod sufit i bez trudu dotykał bielonych, drewnianych belek, które dzieliły strop na sekcje. Podeszedł do okna, pocierając w palcach materiał

koronkowych zazdrostek powieszonych przez moją matkę, i znieruchomiał.

– Co do...

Nie zdążyłam dokończyć zdania, a mój własny głos ugrzął mi w gardle, gdy wyminęłam Juliana i stanęłam naprzeciw niego, spoglądając na nieobecną, skamieniałą twarz. Czerń jego tęczęwki rozlewała się po całym oku, by po chwili wrócić do normy i znów się rozlać, topiąc jego oczy w mrocznych falach ciemności.

– Julian! – krzyknęłam i chwyciłam go za przedramię, zaciskając palce na jego rozgrzanej do czerwoności skórze. – Co się dzieje?

Zamrugał powiekami, rozluźnił mięśnie twarzy i spojrzał na mnie, jakby nic się nie stało, jakby zamyślił się tylko na chwilę nad powtarzalnym wzorem wykrochmalonych firanek.

– Co to było? – Dotykałam skóry wokół jego oczu, a on milczał, doprowadzając mnie tym do szału. – Co się dzieje?

– Kim ty jesteś? – zapytał mnie w końcu szeptem, jakby bał się powiedzieć to głośniej. – Czemu mi to robisz?

Zmrużyłam oczy, nie rozumiejąc.

– O co ty mnie pytasz, Julianie? Ja nic nie robię. – Ujęłam jego twarz w swoje dłonie, przyglądając się delikatnym zmarszczkom na utrapionej twarzy. – I wiesz, kim jestem. Znasz mnie. Jestem Mal. Jestem sobą.

Kręcił głową, zaciskając przy tym powieki.

– Tylko ja przy tobie nie jestem już mną.

– To źle? – Moje ciało truchlało na dźwięk gorzkich słów.

– Co ty mi zrobiłaś? – Naciskał na mnie, łapiąc za ramiona. – Mów natychmiast!

Mrugałam skołowana jego wybuchem, nie rozumiejąc, o co pytał.

– Nic ci nie zrobiłam – wyszeptalam.

– Nic? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

Pokręciłam głową, przełykając głośno ślinę.

– To musiałaś być ty. – Puścił mnie, łapiąc się za głowę.

– Julian, ja nic nie rozumiem. O czym ty, do cholery, do mnie mówisz? Co miałabym ci zrobić? Od tygodnia bez słowa sprzeciwu spełniam wszystkie twoje zachcianki, jestem na każde twoje skinienie. Nie zrobiłam nic przeciwko tobie.

Zacisnął usta, przymknął powieki, pocierał dłońmi utrapioną twarz.

– Nic już nie rozumiem – szeptał bardziej do siebie niż do mnie.

Gdzie podział się mój Despota? Gdzie zniknął ten pewny siebie, nieomylny samiec alfa?

– Wyduś to w końcu z siebie. – Złapałam go za dłonie. – Nie zniosę więcej tych półsłówek.

– Myliłem się – stwierdził gorzko, z odrazą, jakby pomyłka znaczyła tyle, co najcięższy z grzechów.

– Co do mnie? – Ścisnęłam jego palce, bojąc się, że wyrwie je z moich rąk, odsunie się, odejdzie, zostawiając mnie samą.

– Co do wszystkiego... – szeptał prosto w moje usta.

– Julian, ludzie się zmieniają, to normalne.

Gładziłam wierzch jego dłoni, próbując dodać mu otuchy. Jęknął wściekły:

– Nie w tym przypadku! Zacząłem podważać własne paradygmaty. – Odrzucił moje dłonie i odwrócił się do mnie plecami, opierając się o drewniany okienny parapet. – To się źle skończy.

– Przestań! – Tupnęłam nogą. – Co się źle skończy?

Nie odpowiedział.

– A twoje oczy? – dopytywałam. – Co z nimi?

– Moje oczy mają się dobrze – odburknął, wzruszając ramionami.

– Nie kłam! – krzyknęłam znów, czując, jak oboje rozpędzamy się na tej diabelskiej karuzeli niedopowiedzeń i sekretów. – Widziałam to wtedy pierwszego dnia w samochodzie. Dzisiaj się powtórzyło.

– To taka choroba. – Wpatrywał się w horyzont za oknem, szerokimi barkami zasłaniając cały widok. – Wędrująca źrenica.

– Oboje wiemy, że nie ma czegoś takiego.

Odwrócił się znów, łapiąc mnie za nadgarstki o wiele, wiele za mocno.

- Skończ już to przesłuchanie – nakazał.
- Co ci jest, do cholery?
- Nie teraz – szepnął, biorąc głęboki wdech.
- To kiedy?

Emocje kipiały we mnie, ulewając się niespodziewanie. Złość mieszała się z obawami, ze strachem o nas, o niego i o przyszłość, którą moglibyśmy razem stworzyć, gdyby nie piętrzące się góry sekretów, którymi uparcie nie chciał się ze mną podzielić.

– Nie możesz mi tak robić, Julianie. Nie możesz ukrywać przede mną wszystkiego, co dotyczy ciebie. Widzę, że coś się dzieje. Słyszę w twoim głosie, że coś jest nie tak. – Pocałowałam go, muskając językiem jego wargi. – Jestem tu. Jestem tu dla ciebie. Nie musisz przez to przechodzić sam. Cokolwiek to jest, pomogę ci. Przejdziemy przez to razem.

- Nie wiesz, o czym mówisz. – Ciskał się rozzłoszczony. – Nic nie rozumiesz!
- To mi wytłumacz! – przekrzykiwałam go ze łzami w oczach.
- Po co? – Lodowate słowa ukłuły serce.
- Bo cię kocham.

Otworzył szeroko oczy, wpatrując się we mnie, jakbym właśnie zbluźniła, miłosnym wyznaniem burząc porządek wszechrzeczy. Puścił moje nadgarstki i przyciągnął mnie do siebie, dusząc w ciasnym objęciu, którego nie rozumiałam. Czy tulił mnie z miłości, której nie potrafił inaczej okazać, czy z obowiązku, który nałożyłam na niego nieoczekiwaną deklaracją uczuć? Oddychał przy tym nierówno, serce łomotało mu jak oszalałe. Czułam, jak drży na całym ciele, nie mogąc opanować własnych reakcji.

- A więc to tak... – powiedział, gładząc moje włosy.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Nie takich słów oczekiwałam. Mimo że owinął mnie szczerze swoimi silnymi ramionami, odczuwałam wstępujący w moje serce smutek. Podłoga skrzypnęła, a w całym domku zaczęło pachnieć tytoniem. Duch dziadka usadowił się na ławce przy ganku, paląc niewidzialnego papierosa w szklanej fífce. Gryzący w nos dym okadzał drgające od nerwów powietrze, ogłaszając tymczasowy rozejm.

Rozdział 6

Nieobecny

Nie zostaliśmy na noc u moich rodziców. Milczeliśmy cały wieczór, snując się po mieszkaniu Juliana jak dwie zjawy. Nieobecni, półprzytomni, rozmyślaliśmy o tym, co się wydarzyło na wsi. Rozbijałam na sylaby jego wypowiedzi, setki razy powtarzając je w myślach, jakby to w jakikolwiek sposób miało pomóc lepiej zrozumieć to, z czym się zmagał. Co się z nim działo – nie rozumiałam. Co czuł do mnie – nie byłam w stanie stwierdzić.

Późnym wieczorem ułożyłam się w jego łóżku. Naga, tak jak tego ode mnie wymagał. Przykryłam się szczelnie kołdrą. Przyszedł do mnie zaledwie kilka chwil później, jakby tylko czekał na ten moment. Zdjął spodnie i rzucił je gdzieś w nogach łóżka, ściągnął koszulkę, ciskając ją niedbale w kąt pokoju, i położył się przy mnie, przytulając do moich pleców, całując po szyi i karku.

– Julian... – szepnęłam do niego. – Jeśli to za wcześnie na takie wyznania...

– Nic nie mów – uciszył mnie, przykładając palec do ust. Drugą ręką błędził po moim brzuchu, gładząc skórę wokół pępka.

Bliskość jego ciała i intymność, którą na powrót tworzył między nami słodkimi pocałunkami, przyniosły mi ulgę, choć na chwilę zacierając widmo tajemnic, które czaiły się pod skórą Juliana jak złowrogie cienie w ciemnym, opuszczonym zaułku. Jego usta majaczyły na granicy mojej skóry, rozniecając na powrót przygaszone pożądanie. Opuszkami palców wodził po brodawkach piersi, dysząc mi do ucha, a ja pozwalałam mu na to, jakby nic nigdy się nie stało. Jakbyśmy nigdy nie wyszli z sypialni. Jakbyśmy na powrót byli tylko ja i on, i nasza niczym niezmacona namiętność.

Odwrociłam się i pocałowałam go w usta, chcąc na powrót poczuć ich żarliwość. Owinęłam mu nogi wokół bioder, pozwoliłam rękom błędzić po szyi i ramionach.

– Kochasz mnie.

Coś drgnęło w moim sercu. Nie był zły, nie był zawiedziony. Był zaskoczony.

– Kocham cię – powiedziałam głośno i wyraźnie, po czym zaczepnie przygryzłam jego dolną wargę.

Całował mnie łapczywie, ścisnął za pośladek, a nabrzmiętym przyrodzeniem ocierał się o uda.

– Czy to źle?

W odpowiedzi spojrzał prosto w moje rozszerzone źrenice i wszedł we mnie mocnym pchnięciem, głęboko, z wycuciem. Jęknęłam cicho, ukrywając twarz w burzy jego loków. Złapał mnie jednak za podbródek, przytrzymując go tak, bym nie mogła odwrócić wzroku.

– Patrz na mnie – nakazał. – Aż do samego końca.

Pocałowałam go, wwiercając w niego niewolnicze wręcz spojrzenie. Uśmiechnął się, puszczać moją brodę, i zatopił rękę między nogami. Kolejne pchnięcia zrównał z rytmem palców masujących nabrzmiętą i drżącą na samą myśl o jego dotyku lechtaczkę. Penetrował mnie powoli, kontemplując każdy ruch, każdy centymetr mojego wnętrza. Rękami ugniatał pośladki, a ja w niemym wyczekiwaniu coraz mocniej zaciskałam palce na jego ramionach, drżąc przy każdym kolejnym dogłębnym ruchu. Jęknęłam i przymknęłam na chwilę powieki, gdy przyśpieszył.

– Patrz na mnie – nakazał, wymierzając siarczystego klapsa w lewy pośladek.

Otworzyłam szeroko oczy i rozchyliłam usta, a na mojej skórze pojawiła się gęsia skórka. Zdominował mnie, władał nawet moim spojrzeniem. Widziałam już tylko jego, czułam tylko jego, byłam tylko jego.

– Tak lepiej. – Nadal nie spuszczał ze mnie wzroku, zsunął się, liżąc moją pierś. Rytmicznie ssał sutek i przygryzał jego koniuszek.

– Julian... – wysapałam, czując, jak zbliża się kulminacja.

Mój Despota również to wyczuł, więc puścił pierś i przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej. Zetknęliśmy się nosami, a Julian skradł mi szybki, słodki pocałunek. Jego dzikie palce bawiły się moim guziczkiem, a kolejne pchnięcia bioder sprowadzały na mnie fale ekstazy.

Krzyczałam wprost w jego usta, oszalała z rozkoszy, wpatrzona w błyszczące, czarne oczy, które ponownie się rozlały, gdy orgazm szarpnął jego ciałem. Wyciągnął penisa, kończąc na moim podbrzuszu, cały czas wwiercając we mnie swe mroczne spojrzenie, choć nie byłam nawet pewna, czy widzi cokolwiek tymi bezkresnymi, szatańskimi oczami. Drżeliśmy oboje, dysząc i sapiąc. Nie śmiałam odwrócić wzroku.

Przez długie minuty patrzyłam na niego, gdy milczał, a jego przepastne, szerniałe oczy powoli powracały do normalności.

– To mnie nie przeraża – szepnęłam, gładząc jego policzek.

– To mnie nie dziwi – zaśmiał się, wtłaczając w moje serce spokój.

Delikatna wibracja gdzieś w nogach łóżka wyrwała mnie jednak z tego błogiego stanu. Julian ignorował to i trzymał mnie w ramionach. Przyrykując oczy, mruczał jak drapany za uchem kot. Drgania ucihły, lecz kilka sekund później ponownie się odezwały, przywołując nas oboje do szarej rzeczywistości.

– To chyba twój telefon – powiedziałam do Despoty, zastanawiając się, kto może dzwonić o tak późnej godzinie.

– Zignoruj to, zaraz przestanie. – Telefon jednak nadal konsekwentnie wibrował raz za razem, nachalnie i niecierpliwie.

Za czwartym razem Julian wypuścił mnie z ramion, sięgnął po spodnie i wyciągnął z kieszeni swojego smartfona. Spoglądał przez chwilę raz na mnie, raz na ekran, aż w końcu odebrał połączenie i bez słowa, tak jak stał, nagi, rozgrzany naszą bliskością, wyszedł z sypialni.

Usiadłam na łóżku zdezorientowana. Zamknął za sobą drzwi. Ktokolwiek dzwonił, nie była to rozmowa przeznaczona dla moich uszu. Słyszałam jedynie, jak podniesionym głosem dyskutował z kimś po drugiej stronie. Słowa jednak rozmywały się i nie rozumiałam ich znaczenia. Owinęłam się kołdrą, czując, jak nagość przestaje być tak naturalna, jak jeszcze kilka minut wcześniej. Po chwili Julian wrócił do sypialni i od razu podszedł do komody, wyciągając z niej parę dresowych spodni i koszulkę. Jego nagie ciało napięło się, jakby gotował się do ucieczki. Widziałam żyłki na przedramionach i zaciśnięte mięśnie pośladków. Ubrał się w ciszy. Zachowywał się, jakby mnie tam nie było.

– Julian, co się dzieje?

Nie odpowiedział. Wstałam i złapałam go za rękę. Odwrócił się, zaciskając szczęki.

– Ubierz się – wydał rozkaz, wrywając ręce z mojego zbyt słabego uścisku. – Szybko.

– Co się dzieje? – naciskałam na niego, mając coraz większą gulę w gardle.

– Nie dyskutuj ze mną! – krzyknął, zirytowany.

– Jesteś zły? – Nie rozumiałam tej nagłej zmiany w jego zachowaniu. – Co się dzieje? Zaczynam się bać.

Westchnął i na chwilę oprzytomniał, jakby moje słowa wyrwały go z tego dzikiego transu. Podszedł do mnie, przytulając do siebie.

– Musisz zrobić to, co ci powiem. Dokładnie to, co ci powiem – mówił powoli, stanowczo i nieustępliwie. – Nie mamy za dużo czasu. Ubierz się i schowaj w łazience, najlepiej pod prysznicem. Zamknij za sobą drzwi i pod żadnym pozorem, cokolwiek się stanie i bez względu na to, co usłyszysz, nie wychodź. Przyjdę po ciebie, gdy będzie już bezpiecznie.

Patrzyłam na niego przerażona słowami, które wypowiadał.

– Co się dzieje? – wyszeptalam, patrząc w jego umęczone oczy.

– Nikt nie wie, że tu jesteś. Nic ci nie będzie. – Pocałował mnie, przytrzymując tak mocno, że na chwilę straciłam oddech. – Nie wychodź, rozumiesz?

Nie czekając na odpowiedź, Julian wybiegł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Oddychałam szybko, czując, jak moje ręce i nogi robią się coraz cięższe. Strach wypełniał żyły, spowalniając każdy ruch.

Ostatkiem sił chwyciłam sukienkę, którą miałam na sobie w ciągu dnia, i zarzuciłam ją na siebie. Słyszałam trzaskanie drzwiami w salonie i nerwowe kroki, tak silne, że aż drżała podłoga. Dźwięki kłótni dwóch mężczyzn przebijały się do sypialni. Julian pokrzykiwał do nich niewyraźne słowa. Co się działo? Kto tam był?

Odwróciłam się, ruszając w stronę łazienki. Nie zdążyłam jednak tam dotrzeć, bo nagle usłyszałam przeraźliwy krzyk, który przeszedł w piskliwy jęk. Ten dźwięk sprawił, że zamarłam, stojąc na środku pokoju. To nie był głos Juliana, tego byłam pewna, jednak świadomość, że komuś tuż za drzwiami dzieje się krzywda, zablokowała mnie, nie pozwalając się ruszyć. Stałam nieruchomo, moje kończyny zamarły

w nienaturalnej pozycji. Nasłuchiwałam. Nieznany męski głos wyrzucał z siebie jakieś niezrozumiałe słowa, mieszał się z coraz bardziej żalonymi jękami kogoś innego. Ktoś coś krzyknął, Julian przekrzykując narastające stęknienia, odpowiedział, żeby się nie zbliżał.

Pomimo jasnych poleceń nie potrafiłam się schować, a stopy same zawiodły mnie w stronę drzwi do salonu. Bezmyślnie przyłożyłam do nich ucho, żeby słyszeć więcej. Nie minęło kilka sekund, gdy po drugiej stronie usłyszałam kroki. Ktoś zbliżył się do sypialni i złapał za klamkę. Przywarłam do ściany, licząc, że nawet jeśli drzwi się otworzą, ktokolwiek tam był, nie zauważy mnie.

– Tam jest człowiek. Czuję ten zapach! – krzyknął mężczyzna za drzwiami, szarpiąc za klamkę. Julian, wychodząc, musiał zamknąć mnie od zewnątrz na klucz. – Mówiłeś, że jesteś sam.

– Nie zbliżaj się do tych drzwi! – Julian ostrzegł mężczyznę, ale jego głos urwał się nagle, zastąpiony serią jęków kogoś innego.

Kobiecy głos. Tam była jakaś kobieta. Serce waliło mi jak szalone. Mężczyzna nadal szarpał się z drzwiami, wyłamując klamkę, napierał na nie z taką siłą, aż wypadły z zawiasów i z hukiem uderzyły o podłogę.

Napastnik, blady, zupełnie łysy mężczyzna o ziemistej cerze i głęboko osadzonych oczach, niewiele ode mnie wyższy, dopadł do mnie, chwycił za przedramiona, wykręcając mi ręce, i wyprowadził do salonu. Krzyk ugrzązł mi w gardle, gdy omiotłam wzrokiem to, co działo się w salonie. Na samym środku pokoju Julian pochylał się nad zakrwawionym ciałem, grzebiąc we wnętrznościach stękającego olbrzyma, który wielkością dorównywał mojemu mężczyźnie, a może nawet, gdyby nie leżał na ziemi, mógłby przewyższyć go o głowę. W kącie salonu, pod wielkim, starym lustrem, wiła się w konwulsjach młoda, chudziutka dziewczyna z rudawą burzą loków. Wokół nich stały czarne i czerwone świece, a na blacie kuchennym były rozstawione kadzidła. Powietrze przesiąkło zapachem popiołu i jałowca, które gryzły mnie w nozdrza i drapały w gardło.

Julian podniósł głowę znad krwawiącego mężczyzny, a ja zamarłam, zobaczywszy jego twarz. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, a oczy, te jego diabelskie oczy bez krzty bieli, dwie czarne, bezbrzeżne kule na rozwścieczonej twarzy, przyglądały mi się bezdusznie, mroząc krew w żyłach. To nie był mój Julian, mój Despota, mój niecierpiący sprzeciwu kochanek. Pograżył się w ciemności i mroku, urósł, napęczniał, przypominając demona, diabła, upadłą duszę, wszystkich ich naraz i każde z osobna.

Gdy zobaczył mnie zgiętą w pół, przytrzymywaną wbrew mojej woli, zerwał się na równe nogi. Dopadł do nas w ułamku sekundy, zwinnie wyłamując przeciwnikowi ręce, i przyłożył mu w brzuch z taką siłą, że mężczyzna uderzył głową w futrynę wyważonych drzwi, a z nosa trysnęła mu krew. Jego ciało opadło z impetem na podłogę. Nie żył czy tylko zemdlał? Nie potrafiłam stwierdzić.

– Miałas siedzieć w łazience – szepnął do mnie, przyciągając do siebie.

– Te krzyki... – zaczęłam się tłumaczyć. – Nie mogłam... Nie potrafiłam...

Julian pokręcił tylko głową i dotknął swoją zakrwawioną dłońią mojego czoła.

– Wybacz mi to.

Kolejne jego słowa rozmyły się, jakbym nagle ogłuchła, a ja straciłam przytomność, odpływając w niebyt.

*

W pokoju było jasno. Światło raziło mnie przez zamknięte powieki, brutalnie wyzwalając ze szponów okropnego koszmaru. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się dookoła. Leżałam w łóżku, w swoim mieszkaniu, naga, mokra i spocona, sukienka rzucona była niedbale na komodę. Tępy, pulsujący ból rozdzierał mi czaszkę. Zamrugałam jeszcze kilka razy. Czy ja nadal śnię kolejny bezsensowny sen? Co ja tu robię?

Przed oczami, niczym film, przewijały mi się sceny z wczorajszego wieczora. Wstrzymałam oddech, siadając na łóżku. Byliśmy u moich rodziców. Pokłóciliśmy się. Wróciliśmy do mieszkania. Julian przyszedł do mnie do łóżka. A potem...?

Pobiegłam do toalety i zwróciłam całą zawartość żołądka, gdy zaczęły do mnie powracać obrazy tej mrocznej nocy. Demoniczna wersja Juliana klęczącego nad zakrwawionym mężczyzną, kobieta w konwulsjach i zapach jałowca wracały do mnie, powodując, że świat wirował przed moimi oczami.

Jakim cudem znalazłam się we własnym mieszkaniu? Gdzie jest Julian? Co się stało? Coraz bardziej rozpaczliwe pytania pojawiały się w mojej głowie. Owinęłam się szlafrokiem i wyplukałam usta. Zegar

w przedpokoju pokazywał kilka minut po dziewiątej. Jaki to dzień? Wróciłam do sypialni, szukając torebki. Leżała pod sukienką. Wyjęłam z niej telefon i spojrzałam na datę. Była niedziela. Wybrałam szybko numer Juliana i zadzwoniłam. Po kilku głuchych sygnałach usłyszałam w słuchawce głos automatu:

– Abonent czasowo niedostępny.

Zakłęłam pod nosem i napisałam, żeby zadzwonił do mnie, jak tylko odczyta tę wiadomość, po czym odłożyłam telefon, cała się trzęsąc. Czułam, jak emocje przejmowały nade mną kontrolę. Usiadłam na skraju łóżka, a po moich policzkach spływały pojedyncze, słone łzy.

Powinam się bać. Powinam być przerażona tymi scenami. Powinam chcieć uciekać, cieszyć się, że nie biorę w tym udziału. Cokolwiek się tam działo, nie było legalne, chociaż wątpię, że na takie działania znalazłby się jakikolwiek paragraf. Czy Julian jednak miał się okazać gangsterem-satanistą? Ustawione w kręgu świece i kadzidła właśnie na to by wskazywały. On sam na to wskazywał, on i jego mroczny sobowtór, przepełniony ciemnością demon. Jego nieproszeni, późni goście, choć ubrani zupełnie zwyczajnie, także nie zachowywali się, jakby byli zwykłymi ludźmi. Jakim cudem tamten łysy mężczyzna wyczuł mnie stojącą za drzwiami sypialni? Skąd miał tyle siły, by gołymi rękami wyważyć drzwi?

Westchnęłam, ocierając łzy. Powinam się bać i rzeczywiście odczuwałam obawę, lecz nie o siebie. Bałam się o niego. Podświadomie czułam, że jest w niebezpieczeństwie. Wiedziałam, że cokolwiek się wydarzyło, będzie dla niego fatalne w skutkach. Musiałam coś z tym zrobić. Uczucie, którym go obdarzyłam, wzięło górę nad rozsądkiem i było dla mnie jasne, że za wszelką cenę muszę mu pomóc, bez względu na to, z czym miałam się zmierzyć.

Wyciągnęłam z szafy pierwsze lepsze ubrania, wsunęłam je na gołe ciało i wypadłam z mieszkania. Zjechałam windą do garażu i szybko odpaliłam samochód. Palce zaciskałam mocno na krawędziach kierownicy. To i tak prawdopodobnie jedyne wsparcie, jakie mi pozostało.

Jadąc do Juliana, jeszcze kilka razy próbowałam się do niego dodzwonić, lecz jego telefon pozostawał wyłączony. Kilkanaście minut później zaparkowałam pod samym wejściem do jego budynku, tarasując pół chodnika. Dopadłam do drzwi wejściowych, szarpiąc je najmocniej, jak potrafiłam. Tym razem portier nie pojawił się, by wpuścić mnie do środka, więc podeszłam do jego okna i zastukałam na tyle delikatnie, na ile pozwalały mi rozdygotane palce. Brak jakiegokolwiek reakcji sprawił, że zaczęłam stanowczo walić w okno pięściami. Starszy pan, ten sam, który jeszcze tak niedawno bez problemów i z szerokim uśmiechem na twarzy otwierał mi drzwi, gdy wracałam z pracy prosto w ramiona Juliana, uchylił je w końcu, rzucając mi wściekłe spojrzenie.

– Czy pani oszalała? – Nie było to stwierdzenie dalekie od prawdy. – Proszę odejść albo wezwąć policję.

– Ja do Juliana – wydusiłam z siebie. – Proszę mnie wpuścić.

– Nie znam nikogo takiego – powiedział i zaczął zamykać okno. Widząc to, wsadziłam swoją dłoń pomiędzy ramę szyby a framugę.

– Co pan opowiada? – zdziwiłam się, siłując się z nim, by nie zamknął okna. – Przychodzę tu przecież codziennie! Sam pan mnie wpuszczał!

– Nie wiem, o czym pani mówi. To budynek biurowy, tu nie ma mieszkań prywatnych! – krzyknął, szarpiąc się ze mną zawzięcie. – Niech pani natychmiast zabierze tę rękę!

– Ale ja muszę tam wejść – wysapałam.

– Nie mogę pani pomóc. – Odepchnął w końcu moją dłoń i zatrzasnął okno tuż przed moim nosem.

Stałam tam jeszcze chwilę zdezorientowana. Miałam szeroko otwarte usta i oczy, a ręce drżały mi z nerwów. Zadzierałam głowę do góry i rozglądałam się dookoła, licząc na cud. Licząc na to, że Julian nagle pojawi się na chodniku i wyjaśni mi wszystko, że w końcu zacznę to rozumieć. Lecz nic takiego się nie wydarzało.

Wsiadłam do samochodu i ukryłam twarz w dłoniach, wybuchając płaczem. Jak to Julian tu nie mieszkał? Przecież spędziłam tu cały zeszły tydzień! Chodziłam po hallu, jeździłam windą, witałam się z portierem. Przecież nie oszalałam. Nie postradałam zmysłów. Julian był prawdziwy, tak samo jak wszystko, co się wydarzyło. Dlaczego więc miał wyłączony telefon? Czemu zmusił starszego pana, by mnie okłamał? Jakim cudem w ciągu jednej nocy zniknął z mojego życia, ot tak ulotnił się jak duch, rozplynął jak koszmar na granicy jaśniejącego poranka? Łzy spływające po policzkach zamieniały się w kolejne znaki zapytania.

Mój telefon nagle zaczął wibrować. Pełna nadziei spojrzałam na ekran, jednak szybko wyzbyłam się złudzeń. Dzwoniła Anka. Czego ode mnie chciała? Nie odzywała się do mnie cały tydzień, ja zresztą też nie szukałam kontaktu.

– Co się tam wczoraj wydarzyło?

Skąd wiedziała, że cokolwiek się wczoraj wydarzyło? Otarłam jedną ręką łzy z policzków i brody, po czym odchrząknęłam, nie chcąc, by słyszała, że płaczę.

– A o co pytasz? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, starając się, by nie słyszała w moim głosie rozpacz.

– Mal, twoja matka dzwoniła do mnie dzisiaj rano cała zapłakana, pytała, kim jest ten Julian, co on właściwe z tobą robi i jak długo jesteście razem. Była roztrzęsiona i przerażona. Rozumiesz, Mal? Przerażona! – powiedziała, nie kryjąc nawet irytacji w swoim głosie. – Błagała mnie, żebym coś zrobiła. Żebym ci pomogła. Po tym, jak mnie ostatnio potraktowaliście z tym twoim Julianem, powinnam to olać. Ale przez wzgląd na twoją matkę po prostu nie mogę. Dlatego dzwonię. Możesz mi wytłumaczyć, co się wydarzyło, że doprowadziłaś ją do tego stanu?

Wzięłam głęboki oddech, przytrzymując się kierownicy. Kręciło mi się w głowie. Czułam się, jakbym nieświadomie wsiadła na rozpędzoną do granic możliwości karuzelę. Jechałam na niej bez trzymanki i nie wyglądało na to, że uda mi się z niej szybko zeskoczyć.

– Co on ci zrobił? – zapytała, gdy nie odpowiadałam przez dłuższą chwilę. – Mówiłam ci, żebyś trzymała się od tego Juliana z daleka.

– Nic – wyszeptałam, czując, jak dygocze mi podbródek.

– Rozumiem – chrząknęła. – W takim razie wytłumacz mi, proszę, dlaczego teraz płaczesz?

Nie wiedziałam, jak jej to powiedzieć. Nie wiedziałam, czy powinnam jej cokolwiek mówić. Westchnęłam. Przecież i tak by nie uwierzyła. Ja sama nie wiedziałam już, w co mam wierzyć.

– Nie mogę... – odparłam, połykając łzy. – Nie wiem, co się dzieje.

– Gdzie teraz jesteś?

– W samochodzie.

– Przyjedź do mnie. Pracuję dopiero wieczorem.

– Zaraz będę – odpowiedziałam. Zdecydowanie potrzebowałam teraz wsparcia.

Rozłączyłam się i odpaliłam silnik, by kilka minut później zaparkować niedaleko kamienicy, w której mieszkała Anka. Ruszyłam chwiejnym krokiem przed siebie. Moje nogi zaczynały powoli odmawiać mi posłuszeństwa.

– Jak ty wyglądasz? – Anka aż zakryła usta rękami, gdy zobaczyła mnie w drzwiach wejściowych. – O niebiosa, usiądź lepiej, bo zaraz się przewrócisz.

Złapała mnie za ramię i poprowadziła do salonu, siłą sadzając na kanapie. Spojrzałam na swoje odbicie w wielkiej tafli nieoprawionego lustra, które stało w rogu pokoju. Byłam blada jak papier, włosy miałam w nieładzie, oczy podkrążone i czerwone od płaczu. Obraz nędzy i rozpacz. Moje ciało idealnie odzwierciedlało stan emocjonalny.

– Mal, co się dzieje? – Przyjaciółka przyniosła mi z kuchni kubek letniej, zielonej herbaty i wcisnęła mi go w ręce. – Co on ci zrobił?

– Nic mi nie zrobił. – Utkwiłam wzrok w podłodze.

– Ty nie umiesz kłamać, dziewczyno. – Anka cmoknęła, usiadła koło mnie i położyła mi rękę na kolanie. – Co się stało? Mam zadzwonić na policję?

– Co? Nie! – wybuchłam nagle, wylewając na siebie herbatę.

– To weź się w garść i wyrzuć to z siebie! – nakazała.

Patrzyłam na nią bez słowa, a ona bacznie przyglądała się mojej twarzy. Czego w niej szukała?

– Zgwałcił cię... – powiedziała pełna powagi. Te słowa sprawiły, że aż wstałam z kanapy.

– Julian nie zrobił mi nic takiego! – Ze złością odstawiłam kubek na hipsterski stolik kawowy zrobiony z palety i pomalowanej na pomarańczowo sklejki.

– To co zrobił? – Uniosła brwi.

– Mówiłam ci, że nic!

– Jesteś niemożliwa, wiesz? – Anka przymknęła oczy, masując palcami skronie. – To może powiedz, co się stało u twojej matki?

– Nie wiem. – Gdy zobaczyłam, jak moja przyjaciółka unosi wysoko brwi, dodałam: – Chyba go nie polubili.

– Podobno słyszeli krzyki w domku po dziadkach.

– Pokłóciliśmy się. – Wzruszyłam ramionami. – To normalne, że ludzie się czasami kłócą.

– A potem wyjechaliście? – zapytała, a ja kiwnęłam głową. – I wszystko było w porządku?

– Tak.

– Więc czemu stoisz teraz tutaj, w moim mieszkaniu, w totalnej rozsypce?

Wzięłam głęboki wdech i podeszłam do otwartego okna, które wychodziło na wewnętrzne patio skapane w zieleni i okraszone białymi akcentami kwitnącego jaśminu. Powietrze było słodkie, aż mdłe. Zapach kwiatów roznosił się w otoczeniu tak intensywnie, aż szczypał w nozdrza. Do tej pory bezchmurne niebo ciemniało z każdą chwilą, a burzę dało się wyczuć w powietrzu.

– Wróciliśmy do domu, do niego... i wieczorem... – zawahałam się.

– Zgwałcił cię.

– Nie, Anka, przestań to powtarzać! – Odwróciłam się w jej stronę oburzona. – Nie zrobił nic wbrew mojej woli!

– Więc o co chodzi? – dopytywała. – Powiedz mi w końcu, co się stało!

W tej jednej krótkiej chwili, wpatrując się w jej rozeźloną twarz, w jej żądające wyjaśnień oczy, zaczęłam rozumieć Juliana, jego zdawkowe odpowiedzi i aż nadto wymowne milczenie, którym raczył mnie, gdy przyciskałam go, by tłumaczył mi coś, czego nie mógł lub nie chciał wytłumaczyć. Jak miałam powiedzieć Ance cokolwiek bez narażania jej na niebezpieczeństwo? Czy miałam prawo wciągać ją w coś, czego sama nie rozumiałam?

– Po prostu zemdlałam i wiem, że zabrzmiało to absurdalnie, ale obudziłam się u siebie w łóżku, w swoim mieszkaniu, zupełnie sama.

– Ale... jak to? – Moja przyjaciółka była dokładnie tak samo zdziwiona jak ja, gdy rano otworzyłam oczy.

– Nie mam pojęcia jak – przyznałam, kompulsywnie pocierając twarz dłońmi. – Nie wiem, jak to się stało. Nic nie pamiętam.

– Może cię otruła? Dosypał ci coś do picia?

Pokręciłam głową. Anka milczała przez chwilę, rozważając moje słowa.

– Nie zostawił ci chociaż jakiejś kartki? – spytała, drapiąc się po głowie.

– Nie zostawił nic. Nie odbiera też telefonu. Nie odpisuje na wiadomości. – Wzięłam głęboki oddech. – Byłam u niego pod blokiem, akurat wtedy, gdy zadzwoniłaś. Nie wpuścił mnie do środka. Portier twierdzi, że nikt taki jak Julian tam nie mieszka.

– Mal, nie obraż się, ale to brzmi, jakby gość cię wykorzystał i zerwał kontakt.

– To nie tak. – Kręciłam głową. – Jemu coś się stało, czuję to. Muszę się z nim jakoś skontaktować!

– Po jaką cholere ty chcesz się z nim kontaktować? Mal, skoro on nie odbiera telefonu i kazał portierowi wmówić ci, że tam nie mieszka, to znaczy, że nie chce cię widzieć! Oprzytomnij w końcu! On pobił Zbyszka, a potem, jakby tego było mało, naszedł go jeszcze w jego własnym domu z jakąś podejrzaną bandą!

Pokręciłam głową.

– Należało mu się, mówiłam ci już – powiedziałam ostro, tupiąc nogą.

– Mal, do jasnej cholery! Zbyszek ma złamany nos. Julian mógłby odpowiadać za to przed sądem... – Anka była poważniejsza niż zwykle. Patrzyła mi prosto w oczy, ważąc słowa. – Zaczynam poważnie się o ciebie martwić. To nie jest facet, z którym powinnaś się zadawać, i uważam, że najlepsze, co zrobił, odkąd go poznałaś, to fakt, że zerwał z tobą kontakt.

– Czyli mi nie pomożesz?

– Pomogę ci, ale nie tak, jak oczekujesz. – Wyciągnęła do mnie rękę, wstając z kanapy. – Na pewno nie będę wspierać tej twojej szaleńczej obsesji na punkcie gościa, który cię wykorzystał i zostawił...

Przełknęłam ślinę i wymijając Ankę, ruszyłam bez słowa w stronę wyjścia. Wybiegła za mną na korytarz, krzycząc, żebym wróciła, jednak nie zatrzymałam się ani nawet nie odwróciłam, by jej odpowiedzieć. Drzwi wejściowe do kamienicy zatrzasnęły się za mną z hukiem.

Wsiadłam do samochodu, dygocząc na całym ciele. Nie odpaliłam jednak silnika, tylko ponownie

wybrałam numer Juliana. Automat nadal powiadamiał o wyłączonym numerze.

Jadąc do domu, przypomiinałam sobie wszystkie, nawet najbardziej nieistotne szczegóły, które mogłyby mi teraz pomóc poukładać wszystkie wydarzenia. Potrzebowałam stworzyć plan, który pozwoli mi dotrzeć do Juliana. Anka mówiła, że widziała go w knajpie z jakimś łysym mężczyzną. Czy to możliwe, że był to ten sam facet, który wyważył drzwi i wyciągnął mnie siłą z sypialni? Co robił późnym wieczorem w mieszkaniu Juliana z rannym olbrzymem i rudą kobietą? Czy w ogóle przeżył po tym, jak mój Despota cisnął nim o framugę? Kim była ta dziewczyna? Co stało się tamtemu wielkiemu mężczyźnie?

Liczba nawarstwiających się pytań przytłaczała, przysypując mnie jak śnieżna lawina. Brodziłam w nich, potykałam się o kolejne, moje myśli utykały na zakręconych znakach zapytania. Gdzie zacząć? Jak szukać?

Nim wjechałam do garażu, wiedziałam już, że odpowiedzi mogą czekać na mnie w tamtym barze.

*

Prysznic brutalnie zmył z mojej skóry resztki zapachu Juliana. Wycierając się ręcznikiem, zastanawiałam się, czy dobrze robię, drążąc ten temat. Słowa Anki odbijały się echem w mojej głowie, wierząc w niej dziury jak kret, którego trudno się pozbyć z ogrodu. Powracały ze zdwojoną siłą, spychając mnie na skraj obłędu. W piekarniku zagrzała się już mamina zapiekanka z papryką, którą wygrzebałam z czeluści zamrażarki. Musiała zostać po jednej z niezapowiedzianych wizyt mamy.

Jadłam posiłek zawinięta w ręcznik i z mokrymi włosami. Szukałam w Internecie jakichkolwiek informacji o Julianie. Przeklinałam sama siebie, zdając sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie długie godziny, które spędzałam w jego ramionach, nie zapytałam nawet o jego nazwisko. A musiał przecież jakieś mieć.

Wpisałam w wyszukiwarkę po prostu „Julian” – listę wyników mogłam przewidzieć: strona o znaczeniu imion, sklep zoologiczny Julianek, krótka notatka w Wikipedii o sławnych Julianach z przeszłości. Zawężenie wyszukiwania do „Julian Warszawa” nie zrobiło różnicy. Co ja sobie myślałam? Że jego metryka i galeria zdjęć tej dzikiej, szatańskiej twarzy pojawi się nagle na moim ekranie? Jęknęłam, wznosząc oczy ku niebu. Wiedziałam tak mało, rozumiałam jeszcze mniej. Sprawdziłam, od której czynna jest restauracja, w której Anka widziała ostatni raz mojego tajemniczego Despotę. Kuchnia otwierała się w południe, na otwarcie podziemnego baru musiałam poczekać do osiemnastej. Miałam jeszcze sporo czasu.

Gdy wysuszyłam włosy, zaczęłam grzebać w szafie w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do ubrania. Otworzyłam na oścież drzwi i wtedy mnie olśniło! Wciśnięta w rogu dolnej półki, na której trzymałam rzeczy z sezonu zimowego, leżała skórzana kurtka Juliana. Jedyne dowód na to, że jeszcze nie oszalałam. Jedyna rzecz, która mi po nim została.

Wzięłam ją w ramiona, wdychając jej zapach. Nadal nim pachniała, pomimo tak wielu dni spędzonych w mojej szafie. Mieszanka ulotnych aromatów łaskotała mnie w nozdrza. Przeszukałam kieszenie, najpierw zewnętrzne, lecz były puste, a potem wewnętrzne. Znalazłam tylko kilka ziarenek goździków i garść drobniaków. Zostawiłam znaleziska na swoim miejscu, żałując, że nie ma tam nic więcej, co mogłoby mi pomóc w zlokalizowaniu Juliana. Westchnęłam, wyciągając z szafy długą, czarną spódnice i białą bluzkę z głębokim dekoltem. Kurtkę, pomimo że była na mnie o wiele za duża, zarzuciłam na plecy.

Wychodząc z domu, układałam w głowie słowa, one zamieniały się w zdania, te zaś w niespokojne oczekiwanie na jego miękkie usta, gdy planowałam, co mu powiem, gdy go w końcu zobaczę. Wyobrażałam go sobie, stojącego przy miedzianym barze, jakby nic się nie stało, sączącego piwo prosto z butelki. Oczami wyobraźni widziałam, jak do niego podchodzę. Jedno oko będę miała wściekłe, drugie pobłażliwe. Jedną ręką karcąco ścisnę go za dłoń, drugą z miłością pogładzę aksamit skóry na jego policzku. A potem zaleję go pytaniami, utopię go w nich, a potem ocucę, by zadawać je znów, w kółko, bez ustanku, aż wszystkie uzyskają wyjaśnienie. Kim był? Co się z nim działo? Co to była za scena wtedy w jego salonie? Co to byli za ludzie? Co robił temu olbrzymowi? Czy łysy jeszcze żyje? Jak przeniósł mnie do mojego mieszkania? Skąd wiedział, że to moje mieszkanie? Nigdy nie wszedł przecież na teren osiedla, a ja nie podawałam mu numeru, pod którym mieszkam.

Gdy zjechałam na miejsce, restauracja tętniła życiem. Klucząc powoli, snułam się pomiędzy stolikami, bezskutecznie szukając wśród gości jego twarzy. Zeszłam na dół. W podziemiach było jeszcze pusto – oprócz mnie nie było tam nikogo. Dwaj barmani przecierali blat, rozmawiając między sobą

o zaliczeniach egzaminów na studiach.

– Dzień dobry. – Podeszłam i usiadłam na wysokim krześle. Dziwne uczucie nie musieć przekrzykiwać się przez hałas, który zazwyczaj panował w takich miejscach.

Obaj mężczyźni, mogłabym powiedzieć nawet chłopcy, wyglądali, jakby dopiero co skończyli po osiemnaście lat. Ubrani w czarne koszulki i obcisłe dżinsy, przyozdobieni wystającymi spod ubrań tatuażami. Spojrzeli na mnie podejrzliwie, nieprzyzwyczajeni chyba do widoku samotnych kobiet w pustym barze. A może to była kwestia zbyt obszernej kurtki Juliana, którą cały czas miałam na plecach?

– Co podać? – Jeden z nich podszedł do mnie bliżej, uśmiechając się sztucznie.

– Poproszę kawę.

– Jaką konkretną kawę? – dopytał, podchodząc do ekspresu, który stał pod ścianą za barem, ustawiony pomiędzy półkami, uginającymi się od różnych rodzajów trunków.

– Czarną.

Czarną jak jego oczy – odpowiedziałam w myślach.

Usadowiłam się na krześle, sprawdzając, czy z tego miejsca będę mogła obserwować całe pomieszczenie. Chwilę później kawa pojawiła się na blacie.

– To wszystko?

Kiwnęłam głową.

– To będzie dziewięć złotych.

Wyciągnęłam monety z torebki i podałam mu je do ręki.

– Czy mogę mieć pytanie? – Skorzystałam z okazji, zanim zdążył odejść. Chrząknął pod nosem coś, co uznałam za zgodę. – Szukam kogoś. Bardzo wysoki, barczysty mężczyzna. Czarne, długie włosy. Bywa tu czasami.

Barman patrzył na mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

– A gdzie to pytanie? – powiedział, przeczesując palcami swoją przydługą grzywkę.

– Czy kojarzy go pan? Był tu ostatnio?

– Tu się przewijają dziesiątki osób dziennie... – zaśmiał się. – Nie ma szansy, abym ich spamiętał.

– Ale ten człowiek, którego szukam, jest bardzo charakterystyczny. Ma czarne oczy. Jest dużo wyższy od większości ludzi. – Chciałam podać mu jak najwięcej szczegółów. – Czasami przychodzi tu z takim drugim, łysym mężczyzną.

Młodzieniec pokręcił głową.

– Przykro mi, nie jestem w stanie pani pomóc. Nie wiem, o kim pani mówi.

Westchnęłam i podziękowałam barmanowi. Chłopak podszedł do swojego kolegi, rozmawiał z nim ściszone głosem. Wyszli na chwilę na zaplecze, by zaraz wrócić z ogromnym kegiem piwa, który podłączali przez kolejne pół godziny.

Popijałam kawę, patrząc, jak z każdą minutą robi się coraz bardziej tłoczno. Koło dziewiętnastej przy barze kłębiło się już sporo ludzi. Zamówiłam jeszcze wodę i miseczkę orzechów, przy których zamierzałam spędzić resztę wieczoru. Znużona wypatrywaniem w tłumie twarzy Juliana, zaczęłam mimowolnie bawić się znaleźskami z kieszeni kurtki, kładąc je na blacie. Obracałam w palcach goździki, bawiłam się monetami, wodząc opuszkami po wybitych na nich wzorach. Jedna z monet, z pozoru niewinna jednozłotówka, na awersie zamiast postaci orła białego miała odcisniętą głowę mężczyzny o dwóch identycznych, symetrycznych twarzach. Przyglądałam się jej z zaciekawieniem, obracałam powoli w dłoniach. Zafascynowana tym odkryciem, nie zauważyłam, że koło mnie nagle pojawił się barman, ten sam, który wcześniej parzył dla mnie kawę. Gdy się odezwał, byłam tak zaskoczona, że aż podskoczyłam na krześle.

– Niech pani to stąd zabierze – mówił na tyle cicho, jak się da, nachylając się nade mną. – I niech pani lepiej już stąd pójdzie.

Spojrzałam na niego uradowana, uśmiechając się coraz szerzej. Czyli to był jakiś trop. Szybko zgarnęłam z blatu wszystkie drobiazgi i wsadziłam do kieszeni kurtki, nie warto kusić losu i denerwować ludzi.

– Wie pan, co to jest?

Zamrugnął zaskoczony.

– Ja się w to nie mieszam. Pani też nie powinna.

– Ale pan coś wie! – powiedziałam na tyle głośno, że kilka osób stojących koło mnie przy barze

odwróciło się w moją stronę, aby sprawdzić, co się stało.

Złapałam go za rękę, którą położył na blacie. Wyrwał ją natychmiast, rzucając w moją stronę złowrogie spojrzenie.

– Musi mi pan powiedzieć – dodałam ściszym głosem.

– Nic nie muszę. Niech pani już stąd idzie. – Barman zabrał moją szklankę i miskę z orzeszkami. – Mamy prawo odmówić obsługi.

Siedziałam jeszcze chwilę zdezorientowana, jednak gdy zobaczyłam, że zbliża się do mnie dwóch umięśnionych ochroniarzy, zebrałam się z miejsca i udałam w stronę wyjścia. Podążyli za mną, aż do samych drzwi, upewniając się, czy opuściłam lokal i czy przypadkiem za chwilę nie wrócę bocznym wejściem, przemykając przez restauracyjny ogródek.

Ruszyłam szybkim krokiem i zatrzymałam się dopiero przy wejściu do metra. Powietrze było ciężkie, duszące, lada moment miało się rozpaść. Cały dzień zanosilo się na deszcz – zaduch wisiał w powietrzu, oblepiając ciepłym potem skóry przechodniów – a jednak opad nadal nie nadchodził.

Wyciągnęłam z kieszeni kurtki monetę, przez którą wyproszono mnie z baru, i przyjrzałam się jej jeszcze uważniej. Żadnych innych napisów, żadnych dodatkowych wskazówek. Przez chwilę pomyślałam nawet, że będę z nią chodzić od baru do baru, wykladać na blat, czekając, aż w końcu ktoś mi powie, co to jest i gdzie jest Julian, ale byłoby to jak szukanie igły w stogu siana.

Trzymając monetę w zaciśniętej dłoni, ruszyłam po schodach w dół, wchodząc do metra, by wrócić do domu. Pociąg jechał zbyt wolno, tłum w wagonie był zbyt wielki. Wysiadłam na swojej stacji i ruszyłam. Byle szybciej do domu. Deszcz zaczął siąpić pierwsze krople, rozbijając mi je na czole i włosach, gdy rażnym krokiem pokonywałam ostatnie metry dzielące mnie od mojego osiedla. Ciepła, wiosenna mżawka z każdą minutą zamieniała się w coraz mocniejszą ulewę, mocząc ubrania. Ochłodziło się, jednak było to miłą odmianą po kilkudniowych upałach. Wiatr zagłuszał dźwięk moich kroków i coraz mocniejszymi podmuchami zrywał liście z drzew. Szłam szybko, jedną ręką osłaniając oczy, w drugiej nadal trzymałam jednozłotówkę.

W przeciągu kilku chwil zrobiło się ciemno, całe niebo zaszło chmurami, deszcz zaczął, sprawiając, że prawie nic nie widziałam. Próbowałam się przedrzeć przez tę wichurę, byłam już dwie ulice od mieszkania, gdy nagle kilkanaście metrów przede mną wyrósł on. Postać Juliana majaczyła w zawierusze, nie widziałam go dokładnie, jednak byłam pewna, że to on. Wszędzie bym poznała tę sylwetkę, barczyste ramiona i wąskie biodra.

– Julian! – krzyknęłam, biegnąc w jego stronę, wstrzymywana przez podmuchy wiatru. – Julian! Zaczekaj!

Zniknął za rogiem. Gdy tam dobiegłam, nikogo już nie było. Ulica była pusta, tak samo jak ja. Czulałam ogarniającą mnie nicość, gdy jego sylwetka rozplywała się w niebyt. Stałam tak, obmywana chłodnymi kroplami przez letnią ulewę, w za dużej kurtce, z tajemniczą monetą w rękę, zaczynając rozumieć korzenie mojego obłędu. Kochałam go. I nie były to zwykłe, puste słowa. Kochałam go do szaleństwa. Tępy ból w okolicy klatki piersiowej oznajmiał, że oto właśnie moje serce rozpadało się na miriady odłamków. Ten ból i siła uczuć do Juliana pochłonięły mnie w całości. Wiedziałam, że muszę się dowiedzieć całej prawdy, odszukać go i uratować, nawet jeśli miałyby mnie to kosztować życie.

Rozdział 7

Decyzje

Wróciłam do domu przemoczona do ostatniej nitki z mocnym postanowieniem, że odnajdę Juliana i poznam jego tajemnicę. Stojąc mokra na środku salonu, z wilgotnymi włosami i w przesiąkniętych deszczem ubraniach, ostrożnie wyciągnęłam smartfona z torebki, na szczęście wystarczająco nieprzemakalnej, by ochronić telefon przed ulewą, i zrobiłam monecie zdjęcie. Usiadłam na kanapie, mocząc przy okazji poduszki, i wrzuciłam fotografię jednozłotówki na kilka internetowych grup fascynatów numizmatyki z pytaniem, czy ktoś kojarzy ten znak. Może ktokolwiek zdradzi mi ten sekret albo co najmniej wskaże mi właściwą drogę.

Chłód mokrego materiału bluzki przyklejającej się do pleców zmusił mnie jednak, bym wstała i wzięła szybki, ciepły prysznic. Szykując się do snu, kompulsywnie sprawdzałam, czy Julian nie oddzwonił, bowiem co chwilę miałam wrażenie, że mój telefon wibruje, lecz były to co najwyżej wibracje wyimaginowane.

Sen zmorzył mnie dopiero kilka minut po północy, a wraz z nim w moim pokoju pojawił się Julian, wyłaniając się z ciemności nocy. Stał oparty o ścianę z założonymi na nagich piersiach rękami, pełen smutku, który wkradał się w jego oczy nieproszony. Każdy mój ruch w jego stronę sprawiał, że oddalał się ode mnie, nadal jednak pozostając w bezruchu. To cień zdawał się poruszać za niego, a może to Julian był tym cieniem? Nie potrafiłam tego stwierdzić, gdyż scalił się z czarną mgłą, wydychał ją, a ona opływała coraz to większe połacie mojego mieszkania. Tonęły w niej balkon, salon i kuchnia, maź wdzieriała się do sypialni, wdrapywała na łóżko i kołdrę.

Zwinęłam się w kłębek przerażona.

– Julian, co się dzieje? – zapytałam szeptem.

Milczał, kręcąc głową. Cień pożerał szafę i komodę, zbliżając się do mnie. Szczypał w stopy, chłodnymi liźnięciami wspinając się po podciągniętych pod brodę kolanach. Wciągnęłam powietrze, zaciągając tę mgłę do płuc. Miała zapach popiołu. Dym? Pali się? Spróbowałam wstać, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Nie mogłam poruszyć żadnym mięśniem, palce u stóp nie reagowały na moje polecenia. Uwięziona w pułapce cienia, czułam, że z każdym wdechem coraz bardziej przejmował nade mną kontrolę. Julian patrzył na to wszystko, nie reagując. Widział bezradność w moich oczach. Widział ten strach, który z każdą sekundą pogłębiał się i zagnieżdżał, kotwicząc w moim sercu. Mgła obejmowała mnie, a ja traciłam świadomość, odpływałam w ciemność, ztracałam się w niej cząstka po cząstce, zastanawiając się, czy tak właśnie wygląda śmierć.

Obudziłam się rano z pierwszym dźwiękiem budzika, wyrwana z zupełnej, bezdźwięcznej pustki. Sen trzymał mnie mocno w swych szponach i chwilę zajęło, zanim wróciła mi świadomość. Okno w mojej sypialni, mimo że zamykałam je przed snem, było otwarte na oścież. Wpadał przez nie delikatny, ciepły wiatr, rozwiewając mi włosy. Ukryłam twarz w dłoniach, wydając z siebie umęczony jęk.

Kilkanaście minut później, bez śniadania, ponownie ubierając się w zupełnie przypadkowe ubrania naprędce wyciągnięte z szafy, wyszłam do pracy, chcąc jeszcze przed pierwszymi spotkaniami sprawdzić, kto i co napisał na temat monety Juliana. Biuro było zupełnie puste, gdy wkroczyłam do niego wyposażona w zakupioną po drodze kawę i zbyt dużą, jak na moje potrzeby, kanapkę z twarogiem. Cisza działała kojąco na moje zmysły, od kilkudziesięciu godzin wyostrome do granic możliwości. Cieszyłam się, że jeszcze nikogo nie ma. Nie musiałam się bawić w uprzejmości, tłumaczyć z tak wczesnej obecności w pracy. Otworzyłam na komputerze Facebooka, wypuszczając przez nos powietrze tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie.

Konto zablokowane.

Dwa proste, zwykłe słowa, które znaczyły tak wiele. Ktoś zgłosił moje konto, blokując mnie na podstawie zdjęcia monety, którą wrzuciłam na swoim profilu. Kto? I dlaczego? Wpatrując się w ekran monitora, obracałam w dłoni mój nowy totem – srebrną jednozłotówkę. Pogrążyłam się we własnych

myślach tak mocno, że nie zauważyłam, gdy jeden z współpracowników wszedł do pokoju i ponieważ nie odpowiedziałam mu na żadne pytanie, stanął za moimi plecami, zaciekawiony, co tak bardzo przykuło moją uwagę.

– Coś ty zrobiła, że cię zablokowali? – Poklepał mnie po ramieniu, wrywając z ciemnej chmury szaleńczych myśli.

– Wrzuciłam zdjęcie pewnej nietypowej monety – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Szymon zaśmiał się, podchodząc do swojego stanowiska pracy. Usiadł przy biurku i założył ręce na piersi w identyczny sposób, jak Julian w moim śnie. Ciarki przeszły mnie po plecach, gdy zdałam sobie z tego sprawę.

– Mal, proszę cię. Nie jest aż tak łatwo zostać zablokowanym. – Szymon zaczął bujać się na krześle biurowym. – Co było na tym zdjęciu oprócz monety? Twoje nagie piersi?

Pokręciłam głową i podeszłam do niego, pokazując mu awers jednozłotówki.

– Nie bądź głupi. Chciałam się dowiedzieć, co to za znak. – Palcem wskazałam mu głowę mężczyzny z dwoma bliźniaczymi twarzami.

Mój współpracownik przez chwilę przyglądał się monecie, raz z jednej, raz z drugiej strony.

– Nie mówiłaś, że handlujesz falsyfikatami. – Zaśmiał się, ale potem od razu spoważniał i oddał mi jednozłotówkę. – Mal, to wygląda na jakąś nieudaną podróbkę. Ciesz się, że cię tylko zablokowali. Za to grozi paragraf.

– Szymon, czy ja wyglądam na fałszerza? – Popukałam się ostentacyjnie w głowę, wracając do swojego biurka. – Znalazłam ją i bardzo chcę się dowiedzieć, co ten znak oznacza.

– Równie dobrze może nic nie oznaczać. – Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: – Ale jeśli chcesz, spytaj Adama, tego wysokiego, co siedzi przy windzie, pamiętam, że kiedyś opowiadał o tym, że jego ojciec zbierał stare monety. Może on ci pomoże?

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się do Szymka z wdzięcznością, wstając zza biurka. Krótki spacer na drugi koniec biura wystarczył, by się upewnić, że Adam był już w pracy. Uderzył mnie blask jego kanarkowej koszuli, którą zestawił z marynarką w błękitną kratę. Podeszłam do niego, nachylając się nad jego biurkiem.

Spojrzał na mnie, mrugając kilkakrotnie.

– Dzień dobry, Mal – powiedział, uśmiechając się. – Co cię do mnie sprowadza?

– Tajemnica.

– Jestem zaintrygowany.

Przysiadłam na jego biurku, a on patrzył na mnie wyczekująco. Wyciągnęłam dłoń i podałam mu jednozłotówkę.

– Czy jesteś w stanie powiedzieć mi, co to jest?

– Moneta jednozłotowa – odparł, śmiejąc się. – Idealna do automatu z napojami na dole. To ta tajemnica? Następnym razem musisz się bardziej postarać.

– Odwróć ją – nakazałam.

Serce biło mi jak szalone, gdy z coraz większą ciekawością przyglądał się awersowi monety, gładząc palcami po jej wypukłościach i oglądając ją pod światło.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził. – Ta moneta jest dziwna, z jednej strony zupełnie współczesna, ale ta twarz... Zazwyczaj takie monety wybijane są na jakiejś okazji i są podpisane. A tu nic. To nie jest nic kolekcjonerskiego. Skąd to masz?

– Znalazłam. – Wyszczrzyłam zęby.

– Na strychu u dziadka? – zapytał z przekąsem, jednak nie czekał na odpowiedź. – Nie licz na to, że ma jakąś wartość. Wygląda mi na to, że ktoś to odlał dla zabawy. Nie podrabia się monet w taki sposób. To nie ma najmniejszego sensu.

– A nie znasz może kogoś, kto mógłby mi pomóc się dowiedzieć o niej czegoś więcej?

– Ale po co ci taka wiedza? – Adam uniósł brwi, drapiąc się po czole. Oddał mi monetę, po czym obrócił się w stronę komputera, otwierając przeglądarkę stron internetowych.

– Nigdy nie zrozumiesz kobiet i ich zachcianek, Adasiu – próbowałam zażartować.

Pokręciłam głową.

– Mój ojciec często chadzał w takie jedno miejsce, gdy natrafił na coś nietypowego. Właścicielem był

pan Grzegorz. Nie wiem, czy jeszcze żyje ani czy to miejsce jest jeszcze otwarte, ale spróbuj się tam przejść, może będziesz miała trochę szczęścia. – Pokazał mi adres na mapie, którą właśnie otworzył w przeglądarce.

– Dziękuję ci, Adam. Bardzo. – Uśmiechnęłam się, wracając do swojego pokoju na końcu korytarza.

Pojechałam tam od razu po pracy, a podekscytowanie mieszało się z niepewnością. Powietrze było nieznośnie gorące, przyklejało się do skóry, utrudniało głębszy oddech. Szybkim krokiem przedzierałam się pomiędzy spoconymi przechodniami. Trzy razy pomyliłam drogę, zanim dotarłam na miejsce. Cel mojej podróży znajdował się na Starym Mokotowie, w suterenie jednej z kamienic. Wyższe piętra budynku tonęły w rozkwitniętych koronach starodrzewów, dębów i jesionów, dolne strasyły odpadającym gdzieś tynkiem, który odsłonił nagie, czerwone cegły. Kamienica najlepsze lata miała już za sobą i jedyne, co sprawiało, że jeszcze jakkolwiek się prezentowała, to zieleń, która na skraju lata tchnęła w nią ostatni oddech.

Obdrapana witryna gabinetu numizmatycznego z brudnymi szybami, przez którą tylko wprawne oko mogło wypatrzeć wyłożone na wystawie stare, zaśniedziałe monety, nie zachęcała do wejścia. Na schodach zalegały wyrzucone przez przechodniów śmieci: puste puszki, papierki po batonikach, kilka zgaszonych w pośpiechu papierosów. Z drewnianych drzwi farba odchodziła płatami. Skoro tak wyglądało miejsce, nie chciałam wiedzieć, w jakim stanie jest jego właściciel.

Pełna wątpliwości powoli zeszałam po schodach. Chwyciłam za klamkę, naciskając na nią z niemałą siłą. Drzwi nawet nie drgnęły. Szarpnęłam mocniej, co nie przyniosło żadnego efektu oprócz dźwięku obluźwanej szyby w drzwiach, który odbił się od ścian budynków głuchym echem. Zaklęłam cicho. Przez chwilę kręciłam się pod witryną, przecierając ręką brudną szybę.

– Co pani tam robi? Nie widzi pani, że jest zamknięte?

Zadarłam głowę, by zobaczyć, kto pokrzykiwał na mnie tym wątlym głosikiem. Z okna na pierwszym piętrze wystawała siwa głowa zasuszonej staruszki.

– Szukam pana Grzegorza. Muszę z nim pomówić! – krzyknęłam. Kobieta prychnęła.

– Kto panią tu przysłał? – zapytała.

Zaryzykowałam, stawiając wszystko na jedną kartę. Na jego kartę.

– Julian. – Na dźwięk tego imienia zamarła na chwilę, wpatrując się we mnie okrągłymi oczami.

– Już schodzę. – Zatrzasnęła za sobą okno.

Kilka minut później staruszka pojawiła się w drzwiach. Podpierała się laską, w drugiej ręce trzymała plecioną torbę. Szare włosy upięta w kok tuż nad karkiem, lniana biała bluzka wisiała na jej wychudzonym ciele, brązową spódnicę ścisnęła szerokim pasem. Na pociągłej twarzy, pomimo wielu zmarszczek, tliły się rumieńce emocji. Gdy spojrzała na mnie, ogromne oczy, które straciły z wiekiem kolor, ciskały we mnie piorunami.

– Czego on ode mnie chce? – Głos miała zachrypły, pewnie wypaliła w życiu niejednego papierosa. – Przecież wiecie, że Grzegorz już nie żyje.

– Przepraszam. – Przelknęłam ślinę. Po szyi spłynęła mi kropla zimnego potu, sprawiając, że aż zadrżałam. – Nie chciałam pani przestraszyć. Nie wiedziałam, że pan Grzegorz nie żyje.

– Nie pogrywaj ze mną, kochaniutka! – Pomachała laską w powietrzu, grożąc mi w dość pokraczny sposób. – To, że mój mąż z wami pracował, nie znaczy, że ja będę.

– Nie miałam zamiaru pani zdenerwować. – Odsunęłam się od niej, obawiając się, by nie oberwać w głowę. Jak na tak wątlą osobkę, w rękach nadal miała jeszcze trochę młodzieńczej werwy. – Chciałam tylko porozmawiać.

Staruszka przechyliła głowę, marszcząc brwi. Podeszła do mnie bliżej. Stukając laską w bruk chodnika, przyglądała mi się uważnie, wpatrując się w każdy szczegół mojej twarzy.

– Ty nie jesteś jedną z nich – stwierdziła po chwili, pełna zdziwienia. – Nie mówisz tak jak oni. Czego więc on chce?

– Julian nawet nie wie, że tu jestem, i nic od pani nie chce. To wyłącznie moja inicjatywa. Mam monetę, o której muszę się czegoś dowiedzieć. Może pani mogłaby mi pomóc?

Kobieta przez dłuższą chwilę ważyła moje słowa w milczeniu. Ścisnęła usta, przestępowała z nogi na nogę. Czyżby zastanawiała się, czy może mi zaufać?

– Zrobimy tak... – Starsza pani złapała mnie za łokieć, niespodziewanie skracając dystans. – Przejdź się pani ze mną do sklepu, przyniesie mi do domu zakupy i wtedy porozmawiamy, ale tylko jeśli

obieca mi pani, że gdy powiem dość, po prostu wyjdzie pani z mieszkania.

Skinęłam głową. Staruszka ruszyła w prawo, ciągnąc mnie za sobą.

– Nazywam się Mal – postanowiłam się przedstawić, gdy szliśmy chodnikiem powolnym, wręcz ślimaczym tempem. Na dźwięk mojego imienia kobieta aż uniosła głowę.

– To nietypowe imię dla kobiety. – Cały czas trzymała mnie za łokieć, ściskając go o wiele za mocno. Zestaw jej chudych, pomarszczonych palców wbijał mi się w kości. – Nie kończy się na „a”.

– Tak naprawdę mam na imię Malwina, ale nie używam go w pełnej wersji. Uważam, że rodzice nie mieli wobec mnie litości.

Staruszka zaśmiała się, a śmiech przerodził się w suchy, duszący kaszel. Zatrzymała się na chwilę, łapiąc oddech.

– Rzeczywiście, wyjątkowo niefortunne imię – powiedziała po chwili jeszcze bardziej zachrypnięta i ruszyła dalej. Miałam wrażenie, że jej początkowe zdenerwowanie zastępowała ciekawość. – Ja nazywam się Irena Stankiewicz.

Stanęliśmy pod pobliskim sklepem, niewielkim osiedlowym spożywcziakiem. Pomogłam jej wejść, podtrzymując ją za ramię, gdy pokonywała trzy schodki prowadzące do wejścia. W środku nosiłam za nią koszyk, do którego wrzucała podstawowe produkty. Lawirując pomiędzy półkami, chwyciłam dużą tabliczkę czekolady mlecznej i dorzuciłam do zakupów.

– Ja zapłacę, pani Ireno – powiedziałam stanowczo, gdy podeszliśmy do kasy. – Chociaż tak odwdzięczę się za pani fatygę.

Nie protestowała. Gdy wychodziłyśmy ze sklepu, podziękowała zdawkowo. W milczeniu wracałyśmy do kamienicy, obie czułyśmy narastające z każdym krokiem napięcie. Wniosłam zakupy pani Ireny do jej przestronnego mieszkania, usytuowanego na piętrze budynku. Pokoje były zadbane, lecz tak jak cały budynek zbyt dobrze pamiętały dawne dobre czasy, gdy oboje z panem Grzegorzem byli jeszcze młodzi. Piękny jesionowy parkiet ułożony w całym mieszkaniu w jodełkę polską, delikatnie nierówny, skrzypiał przy każdym kroku, wprawiając w drgania stojący w salonie przedwojenny kredens z frezowanymi drzwiami, na którym ustawiono porcelanową zastawę. Kuchnia witała zapachem suszonych ziół i pięknym widokiem z okna, za którym rosły krzewy białych dereni.

Usiadłyśmy w salonie przy okrągłym stole nakrytym koronkowym, pożółkłym już obrusem. Pani Irena od razu otworzyła kupioną przeze mnie tabliczkę czekolady, delikatnie łamiąc ją na mniejsze kawałki. Położyłam moją jednozłotówkę na obrusie i podsunęłam ją bliżej w stronę siedzącej naprzeciwko mnie staruszki. Pani Irena wzięła najpierw kawałek czekolady, a potem sięgnęła po monetę.

– Latami patrzyłam, jak mój mąż w zupełnej ciszy i skupieniu oglądał każdą sztukę. – Uśmiechnęła się do mnie, gładząc z czułością jednozłotówkę. – Tłumaczył mi, co ciekawego jest w danej monecie. Ikonografia, stop, z którego ją odlano, nawet dźwięk, jaki wydaje. Czytał z każdej z nich jak z otwartej książki. Czasami po samym rancie potrafił poznać, z której mennicy pochodzi dany pieniądz.

Pani Irena w skupieniu oglądała monetę Juliana. Czułam, że napięcie, które unosiło się w powietrzu, z każdą sekundą nabierało mocy. Na moich nagich przedramionach pojawiła się nawet gęsia skórka, zapowiadając zbliżającą się wiosenną burzę i rozwiązanie tajemnicy, tak przynajmniej to sobie tłumaczyłam. Zegarek zawieszony na ścianie obok kredensu, prosty w formie, z rzymskimi cyframi, odliczał kolejne sekundy, tnąc ciszę miarowym tykaniem. Jego dźwięk odbijał się echem w moich uszach. Czemu ona nic nie mówi?

– Pani Ireno... – zaczęłam, czując, jak trzęsą mi się ręce.

Kobieta pokręciła tylko głową i spojrzała na mnie, strapiiona.

– Ty nic nie wiesz. – Kolejne stwierdzenie, którego źródła nie rozumiałam.

W odpowiedzi pokiwałam tylko głową, głośno wciągając powietrze do płuc.

– Więc jeśli nic nie wiesz, to odpuść to, Mal.

Zamknęłam na chwilę oczy, czując, jak rośnie we mnie wściekłość. Dość już tych tajemnic! Pocierając palcami skronie, szukałam właściwych słów.

– Pani Ireno, rozumiem troskę, ale wiem, co ryzykuję.

– Nie wiesz, moja droga, skoro nadal zadajesz pytania – westchnęła staruszka, po czym mocno zakasłała, zakrywając usta dłonią. – Po co tu jesteś?

– Muszę go znaleźć.

Kobieta uniosła ledwo widoczne brwi w geście zdziwienia.

– Muszę znaleźć Juliana.

– Po pierwsze, moja droga, ich się nie szuka, oni sami się pojawiają, gdy tego zechcą. A po drugie, skoro nie masz z nim kontaktu, to tylko lepiej dla ciebie. Zostawił cię w spokoju. Uszanuj to.

– Co pani o nim wie?

– Wiem, że to on zamówił u Grzegorza ten wzór. – Postukała palcem w monetę Juliana. – Tę właśnie jednozłotówkę zrobił własnoręcznie mój mąż niedługo przed swoją śmiercią, pomimo moich protestów. Pomimo że od lat był już na emeryturze, dla nich nigdy nie przestał pracować.

Wstała i podeszła do komody. Wyciągnęła z jednej z szuflad pęk kluczy i otworzyła wybranym dolne drzwi, które aż zaskrzypiały, dając znać, że zbyt długo nie były używane. Uklękła na podłodze, sapiąc przy tym i kaszłąc, po czym sięgnęła ręką w najgłębszą część półki, wyciągając dziwne zawiniątko.

– Sama zobacz. – Położyła ten dziwny przedmiot na stole, rozwijając poszarzały materiał.

– Co to jest?

Wzięłam go do ręki, oglądając dokładnie: wyświechtany stalowy stempel, który przedstawiał podwójną twarz w negatywie.

– To punca. Właśnie nią Grzesz wybił twoją monetę – odparła, siadając na powrót na krześle. Sięgnęła po kolejny kawałek czekolady i gryzła go przez chwilę w ciszy.

– Po co Julian zamawiał u pani męża te monety?

Staruszka zamrugła i podsunęła w moją stronę jednozłotówkę.

– Tu nie chodzi o monety, tylko o ten znak. To ich znak. Grzegorz wybijał go nie tylko na monetach, ale też na medalionach. – Przywoływanie tych wspomnień sprawiało jej ogromną trudność. Drżała coraz mocniej z każdym kolejnym słowem. – Zaczęli przychodzić do nas, gdy byliśmy jeszcze młodzi. Zlecali Grześkowi zadania, odbierali wybite znaki, po czym odchodzili. Robił to, bo dobrze płacili. Nie słuchał mnie, gdy prosiłam, by kolejnym razem im odmówił. Odpowiadał mi, że to praca jak każda inna. Ale ja wiedziałam, że to nie są zwykli klienci. Bałam się ich. Gdy czekali na odbiór, zawsze chowałam się na zapleczu sklepu. Nie mogłam znieść ich wzroku, palił mnie, jakby ktoś polewał mi skórę kwasem. Wyglądali jak my, ale było w nich coś innego. Coś nieuchwytnego i dzikiego. Instykt podpowiadał mi, żeby uciekać od nich jak najdalej.

Staruszka zamyśliła się na chwilę, wpatrując się w przestrzeń za moimi plecami.

– Na początku przychodził do nas młody mężczyzna o imieniu Janik. Pojawiał się raz na kilka lat, zlecając mojemu mężowi produkcję kolejnego medalionu z podwójną twarzą. Nie był Polakiem, mówił z mocnym akcentem i wyglądał egzotycznie. Miał skórę ciemniejszą niż nasza i najczarniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Później zaczął przychodzić w towarzystwie ogromnego, młodego chłopaka, tak wielkiego, że ledwo mieścił się w drzwiach. Wołał na niego Daniel. Julian, najmłodszy z nich, zaczął przychodzić do nas jako ostatni, chyba byli z Danielem braćmi, tak przynajmniej wywnioskowałam z ich rozmów. Ostatnie kilka razy, gdy Grzegorz był już na emeryturze, Julian pojawiał się u nas sam.

– Wie pani, jak mogę znaleźć któregośkolwiek z nich? – zapytałam z nadzieją w głosie, palce zaciskając na krawędzi stołu tak mocno, że aż zbieleły mi knykcie.

Pani Irena westchnęła, zawieszając wzrok na puncy. Zawinęła ją w materiał i wstała, bez pytania wkładając mi ją w ręce. Poklepała mnie po wierzchu dłoni, gdy obejmowałam zawiniątko niczym skarb.

– Nie mam, moja droga, najmniejszego pojęcia. Gdybym była tobą, nie szukałabym ich wcale. Szczególnie Daniela. Trzymaj się, dziecko, od niego z daleka. To nie jest dobry człowiek, o ile w ogóle mogę go tak nazwać. – Spojrzała mi prosto w oczy, jakby sprawdzała, czy ostrzeżenie potraktowałam poważnie. – Jeśli chcesz, weź tę puncę ze sobą, ale pod jednym, jedynym warunkiem. Oddasz ją wyłącznie Julianowi. A jeśli Julian przyjdzie kiedykolwiek do mnie ją odebrać, powiem mu, że będzie musiał udać się do ciebie.

– Tylko to może nigdy nie nastąpić – powiedziałam, ściskając jeszcze mocniej zawiniątko.

– To twoja jedyna szansa. A teraz idź już. Jestem zmęczona.

Pani Irena wyprosiła mnie za drzwi zbyt szybko, bym mogła zadać jeszcze choćby jedno pytanie.

*

To on!

Zamarłam, stając zdezorientowana na środku chodnika, a serce waliło mi w piersiach oszalałe od

nagłego napływu adrenaliny. Wracając od pani Ireny, pogrążona w czarnych myślach, o mały włos przegapiłabym go, opartego plecami o ścianę sąsiedniego budynku i rozglądającego się dookoła z nieskrywaną ciekawością. Byłam już tak blisko domu, zaledwie kilka kroków od wejścia na osiedle, gdy ruszył w moją stronę, a nasze spojrzenia spotkały się.

To on!

Olbrzym, którego ratował Julian! Człowiek, który jeszcze tak niedawno cały we krwi wił się na dywanie w mieszkaniu Juliana, szedł teraz cały i zdrowy, w pełni sił, w moją stronę, tak samo prawdziwy jak ja, jak otaczające nas budynki, jak rozgrzane niebo. Jego ogromne, czarne oczy świdrowały mnie na wskroś, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

To był on. Daniel. Jego brat.

– Daniel! – wykrzyknęłam, gdy stanął naprzeciwko mnie. Uniósł brwi, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Skąd znasz to imię? – Głos miał zimny, oszczędny w brzmieniu.

Nie zamierzałam odpowiadać.

– Gdzie jest Julian? – wypaliłam od razu, zadzierając głowę do góry, by móc przyjrzeć się mu z bliska. Skrzywił się na to pytanie. Mięśnie na jego twarzy napięły się trochę zbyt mocno.

– Prowadź do mieszkania – rozkazał, łapiąc mnie za ramię. – Musimy porozmawiać, a nie chcę robić tego na chodniku.

– Coś mu się stało? – naciskałam coraz bardziej piskliwym głosem, on jednak tylko pokręcił głową.

– W mieszkaniu – uciął rozmowę i ruszył w stronę osiedla, zupełnie nie przejmując się moimi protestami.

– Czemu myślisz, że cię wpuszczę do środka? – Potykałam się, próbując dotrzymać mu kroku. Był jeszcze wyższy od Juliana, a jego kroki jeszcze bardziej zamaszyste.

– Bo chcesz wiedzieć, co się z nim dzieje. – Temu argumentowi nie byłam w stanie zaprzeczyć.

Kilka chwil później, gdy dotarliśmy do mieszkania, Daniel usadowił się na mojej kanapie, przerzucając stos kolorowych poduszek na jej pustą część.

– Przytulnie tu – zaśmiał się sarkastycznie, rozglądając się dookoła.

– Do rzeczy? – zapytałam, stojąc przy wejściu do półotwartej kuchni, opierając ręce na biodrach. – Nie przyszedłeś tu chyba podziwiać wnętrza.

– Narobiłaś nam problemów w Abraksasie. – Spojrzał na mnie, szczerząc zęby. Był rozbawiony. – Musisz mi oddać tę monetę. I musisz przestać wrzucać jej zdjęcia gdzie popadnie...

– Po to przyszedłeś? Po głupią monetę? To ty mnie zablokowałeś?! – Ciało miałam napięte do granic możliwości.

Stojąc na środku salonu, krzyczałam na niego, nie potrafiąc ani nie chcąc nawet opanować emocji. Potrzebowałam wyjaśnień, a nie rozmówek o podrabianych monetach.

– Gdzie jest Julian? Czemu się nie odzywa? Co to było wtedy u niego w mieszkaniu? I jakim cudem ty w ogóle żyjesz?

Daniel wstał rozbawiony moim nagłym wybuchem i podszedł do mnie, wyciągając dłoń.

– Najpierw oddaj mi monetę.

– Najpierw powiedz mi, o co tu chodzi. – Nie dawałam za wygraną. Olbrzym westchnął.

– Julian ma przez ciebie kłopoty – powiedział, podchodząc do drzwi balkonowych. Otworzył je i zaciągnął się powietrzem tak łapczywie, jakby dusił go metraż mojego mieszkania. – Widzisz, nie powinien się z tobą zadawać. To była jego zasada. Mógł przewidzieć, że to się tak skończy, że nie może cię wiecznie ukrywać. A wtedy, tamtego wieczora, ona cię widziała. Była zamroczona, ale to inteligentna bestia. Połączyła wątki.

– Danielu, czy ty możesz mi to wszystko wyjaśnić? – Przeszłam obok niego, wychodząc na balkon. Sięgnęłam po paczkę papierosów i odpaliłam jednego, zaciągając się dymem. Pomimo panującego upału ręce miałam skostniałe i zimne. – Ja nic nie rozumiem. Dlaczego miałby mnie przed kimkolwiek ukrywać? Jaka ona? Mam dość tych tajemnic.

Daniel zaczął się śmiać, drapiąc się po głowie. W przeciwieństwie do Juliana, miał krótko obcięte włosy, wygładzone dodatkowo żelam. Nie nosił też żadnego zarostu, eksponując mocne kości żuchwy, a jego lewy policzek zdobiła głęboka blizna, od oka aż po górną wargę. Podobieństwo między nimi było jednak

bezsprzeczne. Te same zgrabne nosy, wydatne usta i dzikie oczy. To samo przemożne poczucie odrealnienia i nonkonformizmu.

– Zaczniemy od tego, Mal, co wiesz ty.

Patrzyłam na niego bez słowa, wypuszczając papierosowy dym nosem. Czy naprawdę wyglądałam na kogoś, kto wiedział i rozumiał, co się dzieje?

– Nie wiem nic. Może za wyjątkiem tego, że ewidentnie obaj macie kompleks boga i absolutnie za grosz kultury osobistej.

– I nie jesteśmy zwykłymi ludźmi – powiedział Daniel, parszcząc śmiechem.

– Tego zdążyłam się już domyślić – prychnęłam. – Dawaj, powiedz to. Sataniści czy mafia? A może i to, i to?

– Gorzej. Znacznie gorzej, Mal. Insolici. – Uważnie przyglądał się mojej twarzy, obserwując każdy najmniejszy grymas.

Zmarszczyłam brwi. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa.

– Tak okrzyknęli nas twoi przodkowie, gdy zaczęli być świadomi naszego odłamu.

– Odłamu czego? – Oparłam się o poręcz balkonu, zastanawiając się, na jaki poziom absurdu zejdzie ta rozmowa.

– Gatunku.

Bez pytania wyjął mi z dłoni dopalającego się już papierosa, zaciągnął się nim i zgasił w stojącej na balkonowym stoliku popielniczce. Rzuciłam mu skonsternowane spojrzenie, jednak on kontynuował, nie zwracając na to uwagi.

– Historia zna nas pod wieloma innymi nazwami: mamuny, czarownice, odmieńcy. Czasami któryś szczęściarz dorobił się miana wampira czy wilkołaka. Ludzie uwielbiali podkręcać te historie, opowiadać klechdy o demonach, zmorach i upiorach z zaświatów. Byliśmy greckimi bogami, biblijnymi aniołami, jedną z nas ochrztili Lilith.

Zakrztusiłam się własną śliną, słysząc jego ostatnie słowa.

– Lilith? – powtórzyłam, czując, jak zalewa mnie fala nieopanowanego śmiechu. Wydobywał się ze mnie, odbijając się od ścian sąsiednich bloków, i wracał echem. – Pochodzicie od Lilith? Przecież to nonsens.

Gwałtowna wizja ciemności pochłonęła mnie w całości, a w mojej głowie rozbrzmiał głos Daniela: *Dlaczego?* Podskoczyłam, jakby właśnie poraził mnie prąd. Mój śmiech zamienił się w krótki krzyk, piskliwy odgłos przerażenia. Palce zacisnęłam na barierce, którą czułam jeszcze w dłoniach, jej chłód i chropowatą powierzchnię, uziemiające mnie w tej bezbrzeżnej pustce, w której zniknęła balkonowa podłoga, niebo nade mną i skrzeczące na pobliskim drzewie gawrony.

– Co to było?! – krzyknęłam, gdy ciemność zniknęła sprzed moich oczu tak szybko, jak się pojawiła.

Olbrzym rozbawiony poklepał mnie po ramieniu.

– Twój nonsens. – Wyszczrzył zęby, zadowolony z mojej gwałtownej reakcji, z przerażenia malującego się na mojej twarzy. – Ale nie martw się, nie czytam w myślach, to tylko taka mała sztuczka dla niedowiarków.

Wzięłam głęboki oddech, próbując się uspokoić. Poczucie pustki tego dziwnego miejsca, do którego przeniósł mnie w niezrozumiały sposób, nie chciało opuścić kończyn, powodując delikatne mrowienie w opuszkach palców.

– Muszę usiąść – powiedziałam, osuwając się na podłogę balkonu. Łykałam powietrze jak ryba wyciągnięta z wody na brzeg, wsadzając głowę między kolana. – Co mi zrobiłeś?

– Mam taką specjalną zdolność. Mogę zablokować twoją wolę i przenieść cię do konstruktu, który nazywam abulią.

– Abulią? – powtórzyłam. – Co to jest abulia?

– Julian lubi mówić, że to miejsce to próżnia, coś pomiędzy życiem a śmiercią. Mam tam nad każdym pełną, zupełną i absolutną kontrolę.

Mrugałam po stokroć, nic nie rozumiejąc. Zadarłam w końcu głowę, oczy ciskały w niego znakami zapytania.

Daniel uśmiechnął się, siadając obok mnie ramię w ramię, i powiedział:

– Pozwól mi dokończyć historię, a wszystko stanie się jasne.

Skinęłam powoli głową.

– Kiedyś żyliśmy osobno, każdy sobie, nie rozumiejąc tego, co się z nami działo. Najczęściej nasze moce są dziedziczne, ale czasami Insolita rodził się w zwykłej rodzinie, latami nie wiedząc o tym, że może więcej niż zwykły człowiek. Albo, co gorsza, zostawał porzucany lub oddawany do zakładów dla obłąkanych, jeśli moce manifestowały się bez jego kontroli. Niektórzy płonęli przez to na stosie. – Daniel zawiesił na chwilę głos. – Różnimy się między sobą tymi cechami. Niektórzy z nas nigdy nie będą wiedzieć, jak bardzo są wyjątkowi, tak subtelne mają dary. Inni natomiast, tak jak ja i Julian, mają pewne moce, których nie da się nie zauważyć. W dawnych czasach posądzono by nas w najlepszym przypadku o czary, w najgorszym o bycie diabłem wcielonym.

– O jakich ty cechach mówisz?

– Ta ruda dziewczyna, na przykład, którą widziałas w mieszkaniu Juliana, ma na imię Lena i potrafi rzucać uroki.

– Ale jak? W sensie czaruje? Czary-mary? – przerwałam mu, krzywiąc się. – To nie ma najmniejszego sensu. Gdyby tak było, współczesna nauka...

– Współcześni wiedzą tyle, ile pozwalamy im wiedzieć – wtrącił się w pół zdania, kręcąc głową. – Od kilku stuleci działamy w strukturach, wyłapujemy pobratymców, pilnujemy się nawzajem. Nie wychylamy się, gdy nie trzeba. I nie zbliżamy się do zwykłych ludzi.

– Takich jak ja – podsumowałam. – Dlaczego?

– Są dwa powody. Pierwszy jest taki, że i tak instynktownie się nas boicie. Niewiele jest osób takich jak ty, które zamiast się bać, wskazują jednemu z nas do łóżka.

– Wypraszam sobie! – krzyknęłam na niego, odsuwając się gwałtownie w róg balkonu, przesuając pośladkami po rozgrzanych płytkach.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Poklepał mnie po kolanie z kpiącym uśmiechem na ustach. – Nie martw się, nie oceniam cię.

Odruchowo zacisnęłam pięści, czując, jak rośnie moje zdenerwowanie. Daniel widząc to, zacmokał i pokręcił głową w rozbawieniu.

– A drugi powód? – zapytałam olbrzyma.

– To jedna z zasad, którą wprowadził Julian, gdy objął władzę. Nie ingerujemy w życie ludzi, o ile nie jest to bezwzględnie konieczne. Zawsze bardzo pilnował tej jednej, konkretnej zasady. Wielu z nas straciło życie, ignorując to polecenie. W sumie to głównie dlatego, że wykorzystywaliśmy ludzi w... nie do końca właściwy sposób. – Wyszczrzył zęby. – Dlatego możesz sobie wyobrazić, w jak bardzo niekomfortowej sytuacji go postawiłaś?

Lodowate żądło tych słów wbiło się w moje serce.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wielu straciło przez to życie?

– Julian bywa bezwzględny, gdy chodzi o nieposłuszeństwo wobec jego zasad.

Zamknęłam oczy i ukryłam twarz w dłoniach.

– Teraz to oni chcą go obalić. – Daniel nie dał mi nawet chwili wytchnienia, zarzucając mnie kolejnymi rewelacjami. – A w naszym świecie oznacza to tylko jedno: zabiją go przy pierwszej możliwej okazji.

Przestałam oddychać. Słowa olbrzyma przebiły mnie na wylot, przedziurawiły serce i rozbiły w drobny mak resztki nadziei. Zabiją go? Przeze mnie?

– Musisz mu pomóc – wyszeptalam, czując, jak oczy zachodzą mi łzami. Powstrzymywałam je pod powiekami, a one piekły mnie i paliły od środka.

– My musimy mu pomóc.

Daniel wziął mnie za rękę, rozmasowując moje zaciśnięte pięści, patrzył mi przy tym prosto w oczy. Skórę dłoni miał suchą, pokrytą licznymi drobnymi bliznami, zapewne od zbyt częstych bójek, o których kiedyś wspominał mi Julian. Jego dotyk nie miał nic wspólnego z delikatnością, do której przyzwyczaiał mnie mój Despota. Daniel był szorstki i aż nazbyt silny.

– To, o co cię proszę, wymaga pewnych poświęceń. – Daniel ważył każde słowo, mówiąc spokojnie i powoli.

– Co mam zrobić?

– Wejść w nasze struktury. Stać się częścią Monasterium.

Zamrugałam kilka razy, próbując otrząsnąć się z szoku.

– Jak miałabym to zrobić? – wyszeptałam, mając wrażenie, że tracę zmysły. Część mnie chciała, żeby Daniel już przestał, żeby wyszedł i nigdy nie wrócił. Ale druga część mnie pragnęła być blisko niego, bo tylko tak mogłam być bliżej Juliana. – Przecież jestem tylko człowiekiem. Nie jestem jedną z was.

Gorycz w moim głosie zaskoczyła chyba nas oboje.

– Mam poważne podstawy, aby sądzić, że skoro się nas nie boisz, możesz mieć z nami więcej wspólnego, niż ci się wydaje – powiedział Daniel.

– Nie rozumiem. – Poderwałam głowę, świdrując go okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– To jedyne wytłumaczenie. – Olbrzym wrzucił ramionami. – I dlatego uważam, że będziesz w stanie w tym funkcjonować jako jedna z nas, nawet jeśli ten twój patologiczny pociąg do Juliana jest wyłącznie zachowaniem autodestrukcyjnym.

– Ale gdybym była jedną z was, Julian by to poznał, czyż nie?

– Niewykluczone, że dlatego poświęcił ci tyle czasu. Myślę, że próbował zrozumieć, kim tak naprawdę jesteś. Widzisz, Mal, na to nie ma testów ani z krwi, ani żadnych innych. Tak jak mówiłem, niektóre moce są dyskretne. Może jesteś takim przypadkiem? Pomyśl o tym. Czemu inaczej byś się nas nie bała? To nie jest w ludzkiej naturze, by stawać naprzeciwko dzikiego zwierza i pragnąć być blisko, bez strachu i zawahania.

Westchnęłam, przeczesałam palcami sklezione gorącym wczesnego lata włosy. Z każdym słowem Daniela czułam, że na moje ramiona spada coraz większy ciężar, jednak miały one sens. Anka, gdy zobaczyła Juliana, była przerażona. Zbyszek kulił się w sobie, wyzywając go od potworów. Moja matka wpadła przy nim w katatonię. A ja kochałam go i pragnęłam go całą sobą, bez względu na konsekwencje. I jeśli to jest jedyne wyjście, byłam gotowa podjąć to ryzyko.

Powoli pokiwałam głową. Daniel uniósł brwi.

– Nie spodziewałem się tak szybkiej zgody z twojej strony – powiedział. – Ale tu zaczyna się to poświęcenie, o którym mówiłem. Żeby wejść do Monasterium, musisz zniknąć z tego świata. Zostawić to wszystko... – Machnął ręką w stronę mieszkania. – Pracę, dom, przyjaciół. Nawet rodziców. To cena, którą każdy z nas musiał ponieść w zamian za bycie wśród podobnych sobie.

– Rozumiem – powiedziałam bez wahania.

– O nic więcej nie spytasz?

– Dopytam się po drodze. A teraz idę się pakować.

Zerwałam się na równe nogi i wróciłam do mieszkania. Olbrzym ruszył za mną.

– Ale jak to?! – wrzasnęła i spróbował mnie złapać, chwycił nawet za łokieć, jednak wyrwałam go, zanim zacisnął palce.

– Nie oczekujesz chyba, że będę tu siedzieć i czekać, aż znów któryś z was się do mnie łaskawie odezwie?

Mówiąc to, wyciągnęłam z szafy torbę podróżną i zaczęłam wrzucać do niej zupełnie przypadkowe ubrania.

– Nie mogę cię teraz zabrać ze sobą. – Ostry ton Daniela wcale mnie nie zraził.

– Nie masz wyjścia – stwierdziłam, spoglądając na niego kątem oka. – Zabierzesz mnie do Juliana i zrobisz to teraz.

Daniel potarł czubek swojej głowy dłońmi, jęcząc ochryple. Oparł się o ścianę, tuż przy drzwiach wejściowych do sypialni.

– Nie mogę cię do niego zabrać. Jeśli cię zobaczy, rozpęta piekło. Dostałem bezpośredni nakaz, żeby cię nie szukać i żeby cię w to nie wciągać.

– To po cholere tu jesteś?! – krzyczałam na niego, w amoku dorzucając do torby dwie pary butów, chyba trochę zbyt mocno, gdyż odbiły się od pakowanych w pośpiechu ubrań i spadły na podłogę.

– Mal, ty mnie nie rozumiesz. To on rządzi, nie ja. Ja nie mogę mu się oficjalnie sprzeciwić.

– Ale ja mogę!

– Do jasnej cholery! – Uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że jedna z ramek na zdjęcia, powieszona kilka metrów dalej, spadła na podłogę. – Odeśle cię znów i wtedy nic już nie zrobimy.

Wzięłam głęboki oddech. Zebrałam buty z podłogi i wcisnęłam je do torby pomiędzy ubrania, zamykając suwak. I tak w niecałe trzy minuty spakowałam się na resztę swojego życia.

– W takim razie pójdziemy do ciebie. Nie dam się więcej odstawić na bok. – Cisnęłam w niego torbą. – Bierz ją i chodźmy.

Daniel nie ruszył się o krok, pomimo że ja wybiegłam już z sypialni.

– Mówię serio! – krzyknęłam, stojąc w przedpokoju i wkładając na nogi kolorowe sandały.

– Poczekaj. – Olbrzym powlókł się za mną, wyciągając rękę. – Najpierw oddaj mi monetę. I telefon.

– Wydaje mi się, że mamy ważniejsze rzeczy na głowie – prychnęłam.

Daniel zamarł nagle, a na jego twarzy zawitał mrok. Ruszył w moją stronę, ciskając we mnie rozjuszonymi spojrzeniami, napędzony wściekłością, zmuszając mnie do cofnięcia się pod ścianę. Przysunął się do mnie na tyle blisko, by nie pozwolić mi się ruszyć, lecz na tyle daleko, żeby mnie nie dotykać. Rękami zablokował mi drogę ucieczki, zamykając mnie w klatce swojego ciała. Patrzył mi prosto w oczy, rozszoszczony jak głodny niedźwiedź, kipiący od emocji na chwilę przed tym, jak zatopi swe zęby w kolejnym, żywym jeszcze posiłku. Czułam, jak się trzęsie, powstrzymując się od zrobienia mi krzywdy.

– Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie. – Jego szorstki głos rezonował w moim ciele. – Najpierw oddasz mi monetę. Bez ociągania się i bez komentowania. Potem grzecznie rozpakujesz swoją torbę i będziesz siedzieć tu i czekać na kolejne instrukcje.

– Albo co?

Moja pyskówka spowodowała, że warknął i uderzył pięścią w ścianę obok mojej głowy. Farba posypała się na podłogę, przyjmując uderzenie z oburzeniem godnym ściany. Krzyknęłam, nie spodziewając się tej szarży.

Patrząc w jego mroczne oczy, połowicznie przerażona, zapytałam:

– Zabijesz mnie?

– Nie będziesz wyjątkiem.

Uśmiechnął się, widząc, że te słowa podcięły trochę moją pewność siebie.

– Moneta? – wyszeptał.

Pokręciłam głową z rezygnacją. Powoli sięgnęłam do kieszonki ukrytej w połaciach materiału mojej spódnicy i wyciągnęłam z niej jednozłotówkę. Trzymając monetę w palcach, podsunęłam mu ją pod nos. Chwycił, wyszarpując mi ją z ręki jak hiena. Obejrzał z obu stron, po czym westchnął z ulgą i wsunął do tylnej kieszeni spodni.

– Odsuniesz się teraz? – Spróbowałam go odepchnąć od siebie, jednak nawet nie drgnął.

– A rozpakujesz tę torbę? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Na to się nie zgadzam. – Pokręciłam głową. – Idę z tobą.

– Ty się mnie naprawdę nie boisz? – Zaskoczony zbliżył się jeszcze bardziej, przyciskając mnie swoim ciałem do ściany. Schylił głowę, a jego oddech sływał po moim policzku i szyi.

– To zupełnie na mnie nie działa – wyszeptałam. – Nic a nic.

Daniel, słysząc to, odsunął się raptownie, uwalniając mnie z tej pułapki, i pokręcił głową. Zaklął pod nosem i odwrócił się do mnie plecami.

– Jesteś niemożliwa, wiesz? – Sięgnął po moją torbę podróżną. – A teraz oddaj telefon.

– Nie – powiedziałam stanowczo.

– To nie było pytanie. Oddasz telefon albo zostajesz tutaj.

Przygryzłam dolną wargę, patrząc na niego spođe łba.

– Nie żartuję.

Z uśmiechem na ustach obserwował, jak wyciągnęłam telefon z torebki, którą wcześniej rzuciłam na stolik przy drzwiach.

– Proszę. – Oddałam mu urządzenie, przewieszając sobie torebkę przez ramię. – Teraz możemy iść?

Kiwnął głową. Ruszyłam do drzwi, biorąc pod pachę skórzaną kurtkę Juliana, jednak Daniel nie ruszył dalej.

– Poczekaj na mnie na dole.

– Co zamierzasz tu zrobić?

– Będą cię szukać, nie sądzisz? – Uśmiechnął się, cmokając. – Muszę tu trochę posprzątać. Nie martw się, mam wprawę w zacieraniu śladów.

Wiedziałam, że muszę mu zaufać, choć całe ciało krzychało, żeby nie zostawiać go samego w mieszkaniu. Zmusiłam się jednak, by nie oglądać się za siebie, i ruszyłam w stronę wyjścia z bloku,

zbiegając po stromych schodach, schodek po schodku, machinalnie, byleby tylko wyjść na powietrze. Ciepły wiatr omiół moją twarz, gdy wyszłam z budynku na zielone patio i stanęłam pomiędzy drzewami. Słowa Daniela i pani Ireny szumiały mi w głowie, wywołując wyjątkowo nieznośny chaos.

Dlaczego tak łatwo przyszło mi uwierzyć w słowa olbrzyma? Bez krzty negacji przyjął historię o Insolitach, o moim Julianie, władcy podziemnego kręgu ludzi z jakimiś bliżej nieokreślonymi mocami. Na słowo uwierzyłam w ludzi będących genetyczną anomalią. Bez przemyślenia pozwoliłam sobie uwierzyć, że Julian był zabójcą. I świadomie wplątałam się w to wszystko, bez zawahania oddając swoje życie w zamian za życie Juliana.

Usiadłam na ławce pod niewyrośniętą brzozą, czując, jak robi mi się słabo. W najśmielszych fantazjach nie zakładałam takiego obrotu spraw. Kręciło mi się w głowie.

Czemu Julian nic mi nie powiedział? Kim dla niego byłam, skoro zataił tak istotne rzeczy, a potem pozbył się mnie bez słowa wyjaśnienia? „Wybacz” – powiedział tylko, jakby moje wybaczenie miało dla niego jakąś wartość. A jeśli było tak, jak mówił Daniel, dlaczego w ogóle się ze mną zadawał? Czemu łamał swoje własne zasady, robiąc coś, za co inni tracili życie? Czy wiedział, że naraża się tym na śmierć? Czy rzeczywiście próbował mnie poznać, nie wiedząc, kim jestem? Nie mogąc znieść tych niedopowiedzeń, wróciłam, kierując się w stronę budynku. Stanęłam w korytarzu prowadzącym do mojego mieszkania, gdy olbrzym zamykał właśnie drzwi wejściowe.

– Co ty tu robisz? Kazałem ci czekać na dole.

Nie oddał mi klucza do mieszkania, tylko schował go do kieszeni spodni, pomimo że wyciągnęłam po niego dłoń. Zrobił to z premedytacją, patrząc mi przy tym prosto w oczy i uśmiechając się szeroko.

– Po co on to zrobił? – wypaliłam, czerwieniąc się na twarzy. – Po co się ze mną zadawał?

Daniel zaśmiał się, złapał mnie za przegub i pociągnął za sobą. Moja wypchana po brzegi torba wydawała się nie sprawiać mu najmniejszego problemu.

– Też się zastanawiam – rzucił, gdy wychodziliśmy z bloku. – Jesteś całkiem nieznośna. Nawet jak na Insolitkę.

– Mów! – krzyknęłam czerwona na twarzy, zatrzymując się nagle.

Staął koło mnie jak wryty, unosząc brwi.

– Mów natychmiast!

– Uspokój się, Mal. Nie rób scen... – szepnął przez zaciśnięte zęby, rozglądając się dookoła. – Nie chcesz teraz zwracać na siebie uwagi, uwierz mi.

– To mi to wytłumacz!

Ciskałam się w amoku. Tupałam nogami, pizczałam, szarpałam się z nim, zupełnie bezsensownie. Był przecież dla mnie zbyt silny, bym mogła cokolwiek uzyskać fizycznym buntem.

– Nie mogę odpowiadać za czyny swojego brata – powiedział ostro, potrząsając mną. – A teraz idziemy. Już!

Ciągnął mnie za sobą jak szmacianą lalkę, idąc żwawo środkiem chodnika, a ja biegłam, próbując dotrzymać mu kroku. Potykałam się przy tym o wystające spomiędzy kostki brukowej kępki trawy. Przy wyjściu z osiedlowej bramy minęliśmy mojego sąsiada, który aż przystanął, zawieszając wzrok na Danielu, lustrując jego olbrzymie, umięśnione ciało, bliźnię na policzku, zamaszyste kroki. Kątem oka zauważyłam, że stał tak jeszcze chwilę, oparty o otwartą furtkę, zszokowany posturą olbrzyma, gdy my znikaliśmy za rogiem budynku. Przeszliśmy na drugą stronę lokalnej uliczki i zatrzymaliśmy się przy szarym, matowym bmw.

– Wsiadaj – polecił mi Daniel.

Wrzucił moją torbę do bagażnika i usiadł za kierownicą. Gdy wsiadłam i trzasnęłam drzwiami, nie zaczekał nawet, aż zapnę pasy. Ruszył ostro, z piskiem opon oddalając się od mojego osiedla w stronę centrum. Przemierzał ulice w wariackim tempie, lawirując pomiędzy samochodami. Silnik wyłączył, duszony zbyt dużą dawką gazu, a ja ścisiskałam rant fotela tak mocno, że przestałam czuć palce.

– Zwolnij trochę! – krzyknęłam, gdy tuż po tym, jak zapaliło się czerwone światło, przejechaliliśmy przez przejście dla pieszych.

– O co ci chodzi? – Wymachiwał rękami, nie trzymając nawet kierownicy. – Zawsze tak jeżdżę.

– I jeszcze żyjesz? – Oparłam głowę na zagłówek i zamknęłam oczy, wołając nie uczestniczyć świadomie w serii tych pirackich manewrów.

Olbrzym w odpowiedzi zaśmiał się tylko i poklepał mnie po kolanie. Każdy jego dotyk sprawiał, że

czułam się nieswojo. Jego wielka łapa przy zbliżeniu objęła mi kości, nie znając do końca swojej siły i możliwości zadawania bólu.

– Jesteście braćmi – stwierdziłam, chcąc zająć czymś myśli, by nie myśleć o tym, że oto zaraz dachujemy. Daniel zamruczał twierdząco. – I ty jesteś starszy?

– Aż tak to widać? – zażartował.

– To czemu to Julian rządzi?

Cisza, która zapadła po tym pytaniu, sprawiła, że z ciekawości otworzyłam oczy. Kwaśna mina Daniela mówiła aż za wiele. Usta zacisnęła w wąską linię, nadał policzki.

– Temat tabu? – Rozbawiła mnie ta reakcja, wyglądał jak wielkie, niezadowolone dziecko, któremu kolega z piaskownicy zabrał ulubioną łopatkę.

– Mówiłem ci już, że jesteś nieznośna? – odgryzł się, po czym westchnął i dodał: – Nasza hierarchia rządzi się innymi zasadami. To nie jest tak, jak w bajkach o magicznych królestwach, że pierworodny króla obejmuje tron. W sumie to my nawet nie znaliśmy swojego ojca...

– A Janik? – wyrwało mi się, nim zdążyłam ugryźć się w język. Pożałowałam tych słów, gdy tylko skończyłam je wypowiadać.

– Skąd ty znasz to imię? – Daniel nagle ostro zahamował i zjechał na buspas. Stanęliśmy na światłach awaryjnych na środku mostu Łazienkowskiego. Samochód jadący za nami zatrąbił kilkukrotnie, lecz mój towarzysz zareagował na to, pokazując kierowcy środkowy palec.

– Powtórzę pytanie. Skąd znasz to imię? I skąd, do cholery, znasz moje imię? – Daniel był czerwony na twarzy, oddychał szybko.

Zamrugałam kilka razy, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Czuałam, że opowieść o odwiedzinach u pani Ireny nie jest najlepszym pomysłem.

– Odpowiesz czy nie? – krzyknął na mnie, waląc pięścią w kierownicę.

– Uspokój się – powiedziałam powoli, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. – Julian kiedyś wspominał mi o was.

– Bzdura! – Pieklił się niewiarygodnie. – Mów natychmiast.

Milczenie było jedyną rzeczą, która mi pozostała, jeśli nie chciałam narazić się na odkrycie moich sekretów. Bez względu na to, jak mało rozumiałam, wiedziałam jedno: Daniel nie może się dowiedzieć, co spoczywało na dnie mojej torebki. Założyłam więc ręce na piersi i pokręciłam głową, dając mu znak, że nie będę odpowiadać. Daniel kręcił się nerwowo w fotelu kierowcy, rzucając mi gniewne spojrzenia.

– Jesteś doprawdy niemożliwa. – Wziął głęboki oddech i ruszył w stronę Pragi, wciskając się na zaparkę pomiędzy dwa rozpędzone samochody.

Słońce powoli zachodziło, barwiąc horyzont Wisły na pomarańczowo. Warszawa wyglądała dziko, topiąc się w rozkwitniętej zieleni, muskana promieniami kończącej się wiosny. Albo, co bardzo prawdopodobne, obecność Daniela sprawiała, że wszystko inne wydawało się bardziej nieokiełznane. Jechaliśmy dalej, milcząc, pomimo że korciło mnie, by wypytać Daniela o każdy szczegół życia Juliana. Życia, z którego tak brutalnie zostałam wycięta.

Gdy kluczyliśmy pomiędzy wąskimi, brukowanymi ulicami Pragi, Daniel sam się odezwał.

– Tu chodzi o siłę.

– Słucham? – Nie do końca rozumiałam, o czym mówił.

– Hierarchię w Monasterium ustala się siłą. – W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie. – Władzę dostaje ten, który ją sobie wywalczy. Władza najsilniejszy aż do momentu, gdy przyjdzie ktoś nowy, kto go zdetronizuje. I stąd wiem, że Julian nigdy nie wspomniałby ci o Janiku.

– Bo go pokonał, by przejąć władzę? – To było aż nazbyt oczywiste, jednak olbrzym już nie odpowiedział.

Zajechaliśmy na parking podziemny przy placu Konesera, gdzie w miejscu starej wytwórni wódek wybudowano nowy kompleks z cegły i szkła, odczarowując mroczne rejony praskiej części Warszawy. Bywałam tam kiedyś na darmowych koncertach, zastanawiając się, kto chciałby mieszkać w tym molochu. Betonowe patio obstawione biurami, sklepikami i restauracjami, z nikłą ilością zieleni, zamiast zachwycać, wywoływało u mnie przygnębienie. Beton i szkło. Mdła czerwień cegły gryzła się z niebieskim odcieniem ogromnych szyb.

Wysiedliśmy na przepastnym parkingu. Obszerną, wyłożoną lustrami windą wjechaliśmy na ostatnie

piętro, obserwując w nich nasze odbicia. Stałam w przeciwległym kącie, czując się przy nim jak żuczek, zbyt mała i zbyt nieistotna w obliczu jego obojętnego, zblazowanego spojrzenia i postury niedźwiedzia.

Mieszkanie Daniela było ogromne i przeraźliwie puste, przypominało swego właściciela bardziej, niż wydawać się mogło na pierwszy rzut oka. Neonowy napis na głównej ścianie witał gości dość pokrętnym tłumaczeniem cytatu z *Boskiej Komedii*: „Porzuć nadzieję, gdy stajesz w te progi”. Całe mieszkanie wyłożone było ciemną, prawie czarną deską podłogową, skórzany narożnik stał samotnie w przestronnym, pustawym salonie, skierowany w stronę okazałego tarasu, który nawet mógłby robić wrażenie, gdyby tylko ktoś postarał się go zagospodarować.

– Przytulnie – zaśmiałam się.

Daniel odchrząknął tylko, rzucając moją torbę w kąt tuż przy wejściu. Sam poszedł do kuchni. Wyciągnął z jednej z półek butelkę whisky, nalał sobie porcję i wypił ją duszkiem.

– Zamierzasz teraz pić? – zapytałam go, unosząc brwi.

Pokręcił głową i podał mi drugą szklankę. Oparłam się o blat kuchenny, odstawiając ją ostentacyjnie.

– Ty też powinnaś. Musimy omówić kilka spraw. – Podał mi kolejną porcję alkoholu.

– Masz już plan?

– Plan miałem, jeszcze zanim złożyłem ci wizytę. Dziwię się w sumie, że wcześniej nie spytałaś o szczegóły.

Nie ukrywałam nawet, że bardziej niż szczegóły naszych działań interesowały mnie szczegóły mojego kolejnego spotkania z Julianem. Wyobrażałam sobie, jak przyciąga mnie do siebie, szepcze do ucha słowa zachwytu, stęskniony i pożądliwy. Jego ręce błądzące po moich plecach, moje dłonie zanurzone w czerni jego loków. Nasze usta...

– Mal, czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – Daniel musiał krzyknąć, żeby wyrwać mnie z tych myśli.

Potrząsnęłam głową, patrząc na niego zdeorientowana.

– Tak, tak – wyszeptałam, biorąc do ręki szklankę, którą wcześniej odstawiłam na blat.

– Nie wydaje mi się. – Bez pytania wlał mi solidną porcję. Upiłam łyk, alkohol zapiekł mnie w gardło. – Ale skoro zdobyłem chociaż na chwilę twoją uwagę, powiem ci, jak zrobimy.

Kiwnęłam głową.

– Julian nie będzie mieć wyjścia i będzie musiał zwołać Monasterium w najbliższą środę. Za dwa dni.

– Dlaczego? – Upiłam kolejny łyk trunku. – Przecież jeśli je zwoła...

– Najkrótsza noc w roku, Mal. To tradycja. Wtedy będą próbować go zabić.

Zamknęłam oczy, słysząc te słowa.

– Ale jeśli dobrze to rozegramy i wykorzystamy efekt zaskoczenia, nim ktokolwiek zauważy, zabijesz Lenę i będzie po wszystkim.

Szklanka z niedopitą whisky wypadła mi z ręki, rozbijając się na tysiące drobinek. Serce waliło mi, próbując wyskoczyć z ciała, nogi zdrętwiały.

– Cholera! – ryknął Daniel, waląc pięścią w blat. – To był prawdziwy kryształ! Co ty wyprawiasz?

– Nie było mowy o zabijaniu! – odpowiedziałam mu.

– A co ty sobie myślałaś?! – krzyknął. – Że podejdziesz do Leny i grzecznie poprosisz o to, żeby zapomniała, co widziała? Chcesz uratować Juliana, to niestety jest to jedyne wyjście.

Daniel pochylił się i wyjął z szafki pod zlewem zieloną zmiotkę i szufelkę, zbierając szczątki szklanki z podłogi. Chciałam mu pomóc, jednak polecił mi, żebym nie ruszała się z miejsca. Patrząc, jak sprząta kawałki mieniących się kawałków kryształu, miałam wrażenie, że oprócz szklanki rozbiły się także moje serce i dusza, a wątpliwości zaczęły nachodzić mnie z siłą tak mocną, że na chwilę straciłam władzę nad swoim ciałem i umysłem i osunęłam się z krzesła barowego wprost na podłogę.

Rozdział 8

Kyrie, pan i władca

Ciemność nocy sprawiła, że gdy otworzyłam oczy, przez chwilę nie widziałam nic, jakbym na powrót znalazła się w abulii Daniela. Leżałam samotnie na czarnej skórze narożnika w jego zionącym pustką salonie. Po chwili moje oczy przyzwyczyły się jednak do mroku, z którego stopniowo wyłaniały się zarysy okien i ścian, wyłączzonego dantejskiego neonu i granice przepastnego tarasu. Oddychając miarowo, szukałam w ciemności sylwetki olbrzyma, lecz nie było go w pobliżu.

– Gdzie jesteś?! – zawołałam, siadając powoli, badając odczucia z ciała, które niedawno zaliczyło kolejny upadek. Pobolewały mnie łokieć i prawe kolano. Niewielka zapłata za nagłą niedyspozycję. Przetarłam zmęczone oczy i wygładziłam potargane włosy.

Podniosłam się i ruszyłam na poszukiwania Daniela, kierując się korytarzem w głąb mieszkania. Ściany były puste, ich czysta biel aż kłuła w oczy, nawet pod osnową nocy. Pojedyncze, samotne meble ustawione na baczność sprawiały wrażenie, jakby ktoś postawił je tam tylko po to, by łapały kurz. Nie ustawiono na nich książek, doniczek z kwiatami, nie ozdobiono półek ramkami na zdjęcia. Nie było tam życia. Mieszkanie było wydmuszką, fasadą, kłamstwem.

Sypialnia, w której odnalazłam Daniela, była równie pusta. Oprócz rzuconego od niechcenia na podłogę materaca i płaskiego telewizora, który migał nachalnie, oświetlając twarz olbrzyma niebieskim światłem, nie było tam nic więcej. Na mój widok Daniel przewrócił oczami i ściszył dudniącą muzykę, która wydobywała się z głośników.

– Czyli jednak żyjesz...

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy był to żart, czy nie.

Leżał w samych bokserkach na prowizorycznym łóżku, w skotłowanej pościeli, gładząc się po nagim brzuchu i lubieżnie oblizując wargi. Westchnęłam, kręcąc głową, by za chwilę wybałuszyć oczy, gdy mój wzrok prześlizgnął się po jego ciele. Skórę na torsie, brzuchu i kończynach pokrywały różnego rozmiaru i różnej głębokości blizny. Niektóre były wklęsłe, jakby ktoś wyciął mu kawałek ciała, część z nich wypukła, jaśniejsza niż jego ciemna skóra. Na lewym boku miał świeżą, jeszcze nie zabliznioną, sporych rozmiarów ranę, mieniającą się szkarłatną poświatą w niebieskim świetle telewizora. Obok niego, na podłodze leżał szeroki, prostokątny opatrunek, który musiał odkleić, by dać ranie poddychać.

– Kto ci to zrobił...? – wyszeptalam w przypiływie chwilowego współczucia, podchodząc bliżej. Uklękałam koło niego, nieświadomie dotykając jego ramienia, i pochyliłam głowę nad raną.

– Nie sposób ich wszystkich wymienić – zaśmiał się, przekrzywiając głowę. – To nie to, co mój śliczny braciszek, co nie?

Uniosłam brwi zdziwiona tą kąśliwą uwagą.

– A co ci do tego? – zachnęłam się, odsuwając rękę, którą jeszcze chwilę temu gładziłam wypukłość jego blizn na obojczyku.

– Oj, Mal, nie bądź taka. Oboje wiemy, że to Julian zawsze był tym przystojniejszym, seksownym żigolakiem. Gładka skóra, umięśniony brzuch i ta gęsta broda! Zdradz mi sekret. Jaki jest w łóżku?

– Jak ty śmiesz... – wypaliłam, czując, jak czerwienię się ze złości, a całe współczucie dla przypaleń i blizn wyparowuje z mojego serca.

– Mal, proszę cię, nie mów, że interesował cię w Julianie jego absolutnie okropny charakter? – Daniel chichotał pod nosem. – A może ty po prostu lubisz tyranów? Takich bezwzględnych, autokratycznych, ociekających testosteronem samców alfa? Jesteś z tych uległych? Powiniennem się domyślić, Julian lubi to w kobietach.

– Przestań! – krzyknęłam, zakrywając uszy i zaciskając oczy. – Przestań natychmiast! On nie jest taki!

Naśmiewał się ze mnie i moich reakcji, a jego śmiech odbijał się od pustych ścian i niósł echem po mieszkaniu.

– No dobrze. – Złapał moje dłonie, siłą odciągając je od uszu. – Już nie będę. Wyłumacz mi tylko, czemu, skoro masz o nim tak dobre mniemanie, ślepo zaprzeczasz faktom, nie chcesz mu pomóc i zabić Leny, przywódczyni buntu, który wybuchł przeciw niemu z twojego powodu?

Zacisnęłam usta, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie chcę – potwierdziłam. – Ale to nie znaczy, że tego nie zrobię.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Podskoczył na łóżku jak dziecko na trampolinie i puścił mnie, klaszcząc w ręce.

– O to właśnie chodzi! Czasami, aby zrobić to, co słuszne, musimy zrobić coś, co nie do końca się nam podoba. – Chwycił mnie za ramiona, potrząsając mną z przejęciem. – Ale nie myśl o tym za dużo, bo inaczej oszalejesz. A tego, oczywiście, nie chcemy.

– Po pierwsze, przestań mnie pocieszać – powiedziałam ostro, odpychając jego ręce. – A po drugie, ubierz się. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– Jak sobie życzysz! – Daniel wyszczerzył zęby i schylił się, podnosząc opatrunek.

Delikatnie przykleił go do rany, a potem naciągnął na siebie koszulkę. Gdy ją wkładał, wyszłam z sypialni, po raz kolejny zupełnie oszołomiona. Decyzję o tym, że zrobię wszystko, by odnaleźć Juliana, podjęłam już wcześniej, jednak ciężar tego zobowiązania docierał do mnie dopiero teraz, spływając na moje barki i ramiona. Zastanawiałam się, czy podołam zadaniom, które zostały mi przeznaczone.

Chwilę później Daniel dogonił mnie, gdy wchodziłam do kuchni.

– Dlaczego Julian nie ma tylu blizn, co ty? – spytałam go, gdy przygotowywał dość nietypową i nieco zbyt późną kolację: zmiksowane z jogurtem i odżywką białkową banany.

– Ciężko jest się do niego... zbliżyć. – Daniel żonglował słowami.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Ja wiem, że tobie, szczególnie tobie, może się to wydawać dziwne. – Zaśmiał się, licząc chyba na to, że jego komentarz znów zawstydzi mnie do tego stopnia, że zacznę ciskać się i krzyżeć.

– Danielu, dlaczego mam wrażenie, że nie chcesz powiedzieć mi, jaką moc ma twój brat? – zapytałam.

– Jeśli wszystko się uda, zapewne sam ci o tym opowie. Nie będę odbierał mu tej przyjemności.

Naszą rozmowę przerwał huk miksera. Olbrzym przyglądał mi się w czasie tej wymuszonej przerwy w rozmowie, przygryzając dolną wargę.

– Nie sądzisz, że powinnam wiedzieć? – odezwałam się, gdy wyłączył sprzęt.

– Po co ci ta wiedza? – odpowiedział poirytowany. – Przecież on ci nic nie zrobi. Nie masz chyba co do tego wątpliwości?

Zmarszczyłam czoło.

– Ale w razie, gdyby coś poszło nie tak...

Daniel przelał białawą breję do dwóch dużych szklanek i podał mi moją porcję. Swoją wypił praktycznie na raz.

– Uwierz mi, jeśli coś pójdzie nie tak, to ta wiedza w niczym ci nie pomoże – powiedział, ruszając w stronę salonu. Podreptałam za nim i stanęłam w pobliżu narożnika. – Bo zapewne będziesz wtedy martwa. Tak samo jak i on.

– Będę martwa – powtórzyłam głucho, jakbym nagle stała się echem.

– Martwa. Jak trup – potwierdził, jakby była to oczywista kolej rzeczy.

Osunęłam się na kanapę, zastanawiając się, jak bardzo trzeba było być przyzwyczajonym do widoku i obecności śmierci, by tak beznamiętnym tonem ogłaszać ten ostateczny, tragiczny scenariusz. Czy Julian, gdy byliśmy razem, nauczył się tak dobrze maskować mroczną stronę swojej duszy, że nie zauważyłam w nim tej bezwzględnej ciemności, która snuła się za jego bratem jak cień? Czy może to inni załatwiali za niego niewygodne sprawunki?

Mal, mówię do ciebie.

Znów krzyknęłam, usłyszawszy głos Daniela w mojej głowie, a wszystko dookoła mnie pociemniało.

– Nie rób tak więcej! – poleciłam, wściekła, że wdzierał się nieproszony w moje myśli.

– To zacznij mnie słuchać. Nie rozmawiamy o błahostkach – skarcił mnie, jednak po chwili zaśmiał się, drapiąc po szyi. – Poza tym to całkiem zabawne, gdy tak piszczysz.

Rzuciłam mu rozjuszone spojrzenie, po czym upiłam łyk koktajlu białkowego. Słodki, trochę

chemiczny posmak pozostawał na języku i szczypał w podniebienie.

– Mówiłeś, że Julian musi zebrać wszystkich w najkrótszą noc w roku. Za dwa dni – powiedziałam, a Daniel pokiwał głową. – Mówiłeś, że wtedy będą próbowali go zabić. – Ponownie potwierdził. – Po co to robi? Nie może tego odpuścić? Odejść? Zabronić tego spotkania?

– Mój brat jest związany wielowiekową tradycją i z zasady nie łamie konwenansów – odchrząknął, patrząc na mnie. – Przynajmniej nie w większości przypadków. Poza tym mam wrażenie, że nadal wierzy, że nawet jeśli wszyscy staną przeciwko niemu, zbuntowani Insolici nie mają szans w starciu z nim i jego mocą.

Próbowałam wyobrazić sobie tę walkę. Julian stojący na środku swojego mieszkania, otoczony przez wściekły tłum jemu podobnych osobników, atakujących go z każdej strony. Kolejni napastnicy odbijają się od niego, jakby był otoczony niewidzialnym polem siłowym, wpadają na krzesła w jadalni, obijają się o kuchenne szafki. Nie ma w tym zagrożenia dla niego, nie ma szans, by go dopadli. W głębi serca pragnęłam, żeby tak to wyglądało, choć intuicja podpowiadała, że to tylko mrzonki.

– A mają szansę? – zapytałam.

– Przewodzi im Lena i bez niej rzeczywiście nie będą mieli najmniejszej szansy – odparł. – Ona jest na ten moment jedyną osobą, która, gdy przyjdzie czas, będzie w stanie zbliżyć się do Juliana na tyle, by go zabić. Widzisz, chodzi o to, że Lena czerpie swoją moc z natury, a przesilenie tylko ją wzmocni. Była w stanie zrobić mi krzywdę, a jestem jej praktycznie równy. – Wskazał na swój bok, dając mi do zrozumienia, że to właśnie ruda wiedźma zadała mu te okrutne rany.

– Danielu, jak ty chcesz w takim razie, żebym ja ją zabiła?

– Skutecznie – zaśmiał się i popatrzył na mnie z pobłażaniem. – I z zaskoczenia. Nikt nie będzie się tam ciebie spodziewał.

– Ktoś na pewno mnie zauważy – szepnęłam. Zimne igły przerażenia, że coś pójdzie nie tak, wbijały się w moje ciało.

– To zostaw mnie, zajmę ich uwagę, a ty zrobisz swoje, gdy ona będzie przygotowywać się do ataku.

– Daniel, ale jak? Kiedy? – Nie wytrzymałam, wybuchając nagle. Łzy płynęły mi strugami, łaskocząc w szyję. – Nie jestem do tego przygotowana. Jeśli zrobię coś złe, zawaham się... Ryzykujemy życiem nas wszystkich.

– Dlatego nie możesz się zawahać. Nic innego nie mogę ci poradzić. To jedyny sposób.

Wzięłam głęboki wdech, wycierając mokre plamy na twarzy i szyi. Telefon Daniela zawibrował. Spojrzał na ekran i cmoknął.

– A teraz musisz iść do mojej sypialni i nie wychodzić – powiedział szorstkim głosem. Złapał mnie za rękę i nie czekając na moją reakcję, po prostu pociągnął za sobą.

– Hej! Poczekaj! – krzyczałam, ciągnięta korytarzem wbrew mojej woli. – Dlaczego? Co się dzieje?

Zaparłam się, próbując go zatrzymać lub chociaż wyrwać dłoń z jego uścisku, jednak szybko zrozumiałam, że siłowanie się z tym olbrzymem nie ma najmniejszego sensu. Mój opór nie zrobił na nim żadnego wrażenia, a on nadal ciągnął mnie w głąb mieszkania, po czym targnął mną, bezceremonialnie wpychając mnie do sypialni z taką siłą, że poleciałam wprost na materac. Nim zdążyłam się odwrócić, by coś mu powiedzieć, Daniel zniknął i zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszałam kroki w korytarzu, które najpierw się oddaliły, by za chwilę powrócić. Drzwi do sypialni ponownie się otworzyły, a w nich najpierw pojawiła się moja torba z rzeczami, później torebka, a dopiero na końcu Daniel.

– Co ty robisz?! – darłam się, wstając z materaca. – Nie możesz mną tak rzucać.

Daniel podszedł do mnie na tyle blisko, że stykaliśmy się nosami. Wściekłość buzowała w nim, objawiając się czerwienią policzków, a czarne, przepełnione nicością oczy wwierały się prosto we mnie.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo nie będę powtarzał – przerwał mi, zagłuszając moje krzyki. Gdy zaczęłam okładać go pięściami, równie wściekła, złapał mnie za przedramiona, unieruchamiając moje ciało. – Ostatni raz, gdy Julian kazał siedzieć ci w pokoju, dla nikogo nie skończyło się to dobrze. Nie zamierzam dzielić jego losu. Nie zbliżaj się do tych drzwi, rozumiesz?

Przytrzymał mnie nadal, oczekując odpowiedzi.

– Zadałem ci pytanie.

Byłam tak wściekła, że zignorowałam go, ciskając epitety pod jego adresem.

– Kto tu przyjdzie?! Kto do ciebie pisał?! – krzyczałam.

– Lena – odpowiedział nad wyraz spokojnie zimnym, przenikliwym głosem. Serce zabiło mi mocniej.

– Czego ona chce? Po co tu przychodzi? – Próbowałam wyszarpać rękę z jego uścisku, lecz on tylko wzmocnił chwyt, aż zawylałam z bólu. – Zabiję ją teraz! – wrzasnęłam. – Teraz się tego nie spodziewa!

– Nie, do cholery!

Daniel nie wytrzymał i podniósł mnie kilka centymetrów nad ziemię, po czym ruszył ze mną przed siebie, aż moje plecy uderzyły w ścianę. Przyparł mnie do niej tuż przy oknie, blokując jakikolwiek mój ruch swoim ciałem. Puścił jedną rękę i zasłonił mi usta dłonią, żebym nie krzyczała.

– Jeśli się w tej chwili nie uspokoisz, wszystko zniszczysz – wyszeptał mi powoli do ucha, nachylając się nade mną.

Był za blisko. Czułam jego oddech na szyi, wielkie palce zamknięte na moich ustach, tors przyciśnięty do piersi. Robił to specjalnie, przytrzymując mnie coraz mocniej, gdy tylko poczuł, że wiłam się, próbując się od niego uwolnić. Szeptał dalej, choć wydawało mi się, jakby krzyczał.

– Lena niedługo tu będzie, o ile już nie stoi pod drzwiami. Zostaniesz tu teraz i będziesz cicho jak mała, przerażona myszka, która próbuje zniknąć w kącie pokoju. Będziesz tu siedzieć posłuszenie, aż po ciebie przyjdę. Jeśli wyjdiesz, możesz od razu pożegnać się z życiem.

Puścił mnie, a ja osunęłam się na ziemię, wykończona szarpaniną, patrząc z przerażeniem, jak wychodził z pokoju, trzaskając drzwiami. Usłyszałam tylko dźwięk klucza przekręcanego w zamku i jego kroki, gdy oddalał się w stronę salonu.

Zostałam sama w jego sypialni, zamknięta jak dzikie zwierzę w klatce, kuląc się pod oknem z nerwów i zmęczenia. Resztką sił sięgnęłam po swoje rzeczy. Torebka była ciężka, cięższa niż zwykle, gdyż na jej dnie nadal zalegała punca od pani Ireny. Przełożyłam ją szybko do torby podróżnej, na samo jej dno, owijając dodatkowo w ubrania. Przy okazji wyciągnęłam dla siebie piżamę, którą szybko założyłam, porzucając w pustym kącie pokoju spódnice i bluzkę. I choć kipiałam ze złości, wiedziałam, że nie mam wyboru: musiałam zostać i przeczekać tę samotność aż do powrotu olbrzyma.

Położyłam się na materacu, zarzucając kołdrę na ramiona. Pościel, zaskakująco przyjemna w dotyku, miękka bawełna w płowym odcieniu beżu, przesiąknięta zapachem Daniela. Niechętnie zatopiłam się w tę mieszanekę żywicy i cygara, w zapach nieokrzesanego, opętanego żądźkami drania. Woń tę zdążyłam już znienawidzić i żeby nie oszaleć, wmawiałam sobie, że każdy jej wdech przybliżył mnie do Juliana.

Leżałam zwinięta w kłębek z kolanami podciągniętymi pod brodę, otoczona aromatem Daniela i nasłuchiwałam, licząc na to, że dotrą do mnie chociaż skrawki jego rozmowy z Leną, jednak w całym mieszkaniu panowała cisza. Może wyszli? Może Daniel, nie ufając mi wystarczająco, wolał wywabić rudą wiedźmę z mieszkania? Niewiedza sprawiała, że leżałam jak w malinie, wsłuchując się w monotonię nocnych dźwięków budynku, a moje myśli odbijały się od pustych ścian, utrapione dramatem ostatnich chwil. Co tam robili? Cemu Daniel się z nią zadawał? Czy był na tyle przebiegły, że grał na dwa fronty? Czyżby starszy z braci zdradził młodszego? Jego nieokrzesanie, te nagłe wybuchy agresji, nieokiełznana dzikość i niedorzeczność niektórych jego zachowań sprawiała, że nie mogłam mu w pełni zaufać. A pojawienie się Leny tylko wzmocniło moje wątpliwości.

Długie minuty bezsenności okraszone były zawziętą ciszą i niepokojem. W otchłani tej surowej i obcej sypialni nawet myśl o Julianie nie przynosiła ukojenia. Gdzie on teraz był? Co robił? Czy szykował się na to, co nieuniknione? Czy myślał o mnie? Czy może żałował relacji, która skazała go na śmierć? Całą sobą tęskniłam za nim i za spokojem, który czułam, gdy leżałam w jego ramionach. Rozpamiętując jego dotyk, poczułam jednak coś innego. Kłujące uczucie wlewało się w obrazy ze wspomnień, malując na nich krwawe cienie. Poczucie winy napełniało mnie i dusiło, gnieźdząc się w piersi.

Jeśli jemu coś się stanie, będzie to moją winą.

Pogłos tej myśli, zamiast wyciszyć się z czasem, ułożył się obok, na pachnącej cygarami poduszce, i nie opuścił mnie aż do rana.

*

Zasnęłam późno, śniąc niespokojne sny, pełne dymu i mglistych cieni. Wychodziły z pustych kątów pokoju, pełzły po zalanej mrokiem podłodze. Lizały mnie ich długie, popielate języki, szczypały zgrabiałe, przezroczyste paluchy. Krzyk grzął mi w gardle, słowa sprzeciwu nie miały prawa wybrzmieć. Okryta kołdrą kurczyłam się w sobie, chcąc umknąć tym napastliwym czułościom. Nie płoszyły ich jednak moje nieme jęki, nie zniechęcały kopnięcia pięt. Dusza wołała Juliana, mojego Pana Cieni, mojego Despotę, lecz

on nie nadchodził.

Nagły szmer i dudnienie rezonujące w podłodze sprawiły, że cienie, ociągając się, porzuciły swe tortury i wpełzły na powrót w zacienione kąty. Dudnienie narastało, rytmiczny stukot, coraz bliższy, coraz głośniejszy i raptem – cisza. Silne dłonie przesunęły mnie zniechęca na materacu, robiąc miejsce dla kogoś jeszcze. Dla niego. Dla Juliana. Nieustępliwie owinał ręce wokół mojej talii, pozwalając ciału przylgnąć do moich pleców.

Przyszedł. Serce zabiło mi mocniej, wrywając cząstki mnie z resztek koszmaru. Jest tu. Czułam, jak oddychał, czułam, jak mocno bije jego serce.

– Julian... – jęknęłam nieprzytomnie. – Julian, mój kochany.

Źle osądziłam zamiary Daniela. Przyprowadził w końcu do mnie Juliana, a może nawet zabił Lenę. Już było po wszystkim. Już nic nam nie groziło. Eksplozja nadziei wybudziła mnie do reszty, choć nadal miałam zamknięte oczy, kontemplując bliskość mężczyzny, za którym tak bardzo tęskniłam. Rozochoczone dłonie Juliana zsunęły się po materiale mojej piżamy, muskając skórę na żebrach. Szorstki, rozpuszny dotyk jego palców wrócił mi racjonalne myślenie.

– Nie! – krzyknęłam, odsuwając się od niego na skraj materaca. – Nie!

Odepchnęłam od siebie wielkie cielsko Daniela i zabrałam kódrę, zakrywając się nią jak tarczą.

– Bezczelny! – Kipiałam ze złości, klnąc pod nosem i rzucając wyzwiskami w jego stronę. – Co ty wyprawiasz? Co ty sobie myślisz?

Daniel śmiał się ze mnie, prowokacyjnie leżąc w samych bokserkach na środku materaca. Zachowywał się, jakby ta sytuacja była dla niego powszednia. Oto on, arogancki olbrzym, napastuje przez sen partnerkę swojego brata i jest to dla niego zupełnie w porządku.

– A już myślałem, że ci się podoba – wydusił z siebie, śmiejąc się dalej.

– Co ty w ogóle robisz ze mną w jednym łóżku? – zapytałam czerwona na twarzy.

– Przecież to moje łóżko – przyznał rozbijając. – Gdzie mam niby spać?

– Na kanapie? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Sama śpij na kanapie – zachnął się, wskazując mi drzwi. – To ty chciałaś tu przyjechać, pamiętasz?

– Ale to ty mnie tu zamknęłaś! Pamiętasz? Poza tym nic, absolutnie nic, nie daje ci prawa, aby się do mnie przystawiać!

Daniel wstał i podszedł do mnie, nachylając się. Spojrzał mi głęboko w oczy i teatralnym szeptem powiedział:

– A co, jeśli powiem ci, że to ty przystawiałaś się do mnie przez sen?

– Bzdura! – wybuchłam. – Nic od ciebie nie chcę!

Jego twarz się zmieniła. Zniknął z niej uśmiech i rozbawienie, ustępując miejsca obojętności. Czarne oczy Daniela błyszczały smutkiem w przytłumionym świetle poranka.

– To wyjdź – rozkazał, a nieprzenikniony ton jego głosu pobrzmiwał jeszcze chwilę jak echo. – Idź stąd i zostaw mnie w spokoju.

– Wiesz, że nie mogę – wyszeptałam. – Muszę go uratować. On mnie potrzebuje.

– On cię zostawił! – krzyknął, odskakując ode mnie jak zdziczały kot. – Nie chciał cię! Zostawił cię jak psa! A teraz ja muszę się z tobą użerać. Myślisz, że wiesz już wszystko, że rozumiesz, ale powiem ci, Mał, że rozumiesz tyle, co nic. On cię potrzebuje? – Prychnął, ciskając się od ściany do ściany jak rozjuszony jaskiniowiec. – On nigdy nie potrzebował nikogo. Kyrie, pan i władca, tak kazał się tytułować, nieznosny dzieciak! Łamał nas wszystkich, jednego po drugim, używając na nas naszych własnych mocy, aż poddaliśmy się mu bez słowa sprzeciwu. Myślisz, że go znasz? – Rzucał mi wściekłe spojrzenia, wymachując rękami w powietrzu. – Myślisz, że go kochasz? Kochasz iluzję. Tyrana w przebraniu, który udawał, że jest człowiekiem! On nie jest kimś, kogo się kocha. Nie jest dobry. Nie jest delikatny. To bezwzględny władca podziemi tego świata, z krwią na rękach i duszą skazaną na potępienie!

Daniel strzelał we mnie słowami, wbijając je w moje serce, które z każdą chwilą krwawiło coraz mocniej. Oczy ronily łzy udęczenia do tego stopnia, że miałam wrażenie, iż przez ostatnie dni wryły mi na policzkach głębokie koryta słonych strumieni. Nie chciałam mu wierzyć w ani jedno słowo, lecz w głębi wiedziałam, że po raz pierwszy mówi mi dokładnie to, co myśli.

– To czemu chcesz go uratować? – Z ogromnym trudem wycisnęłam z siebie te słowa, łykając słony potok łez. – Po co to wszystko?

Złapał się za głowę i zamarł. Jęknął cicho, patrząc przed siebie, przez okno, jakby chciał uciec i być daleko, daleko stąd.

– Bo ten pieprzony degenerat jest moim bratem – powiedział w końcu, powoli sylabizując każde słowo. – I jestem mu to winien. Życie za życie. Nigdy nie zrozumiesz, jak wielkie ma to dla nas znaczenie.

Wpatrywałam się w niego z szeroko otwartymi oczami i mętlikiem w głowie i w sercu, nie wiedząc, co mam powiedzieć ani jak to podsumować. Daniel potrząsnął głową, odpędzając od siebie emocje, które z tak ogromną siłą wybuchły w nas obojgu.

– A teraz, jeśli pozwolisz, chodźmy zjeść śniadanie.

– Skorzystam z toalety i zaraz przyjdę.

Daniel przytaknął i wyszedł z pokoju.

Odetchnęłam, gdy zniknął w korytarzu. Pomimo że było dopiero rano, czułam się, jakbym nie spała tygodniami. Noc nie przyniosła ukojenia, nie dał mi go także dzisiejszy poranek. Wyciągając z torby czyste ubrania i kosmetyczkę z przyborami higienicznymi, zastanawiałam się, czy tak już to teraz będzie wyglądać. Czy dzikość natury Insolitów wlała się w moje serce i pochłonęła myśli, sprawiając, że już nigdy nie zaznam spokoju? Słowa Daniela, te wszystkie epitety rzucane pod adresem Juliana, wracały do mnie falami.

Tytułował się *Kyrie, Kyrie Eleison*. Melodia sama pojawiła się w mojej głowie. Kościelna pieśń z dawnych lat, gdy uczestniczyłam z dziadkami w liturgii w wiejskim kościele.

Panie, zmiłuj się nad nami.

Boże, zmiłuj się nade mną.

Przypomniały mi się zagmatwane obrazy, repliki Boscha wiszące w jego mieszkaniu. Przerażające surrealistyczne sceny orgii i potępienia, pociągające i ponure naprzemiennie, zupełnie jak on sam. Potępienci rozrywani na pół, krwawiący, przerażeni, gotujący się w kotłach. Szczęśliwcy, doznający uciech w zainscenizowanym niebie, błodzy, radośni. Czy taki właśnie był? Rozsądzał jednogłośnie, kto zgrzeszył, a kto ma żyć dalej? Decydował o wszystkim i wszystkich? Rządził bez zawahania i refleksji? I czy miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

Stojąc na środku sypialni Daniela, zdałam sobie sprawę z tego, że nie przerażało mnie to, kim Julian mógł być. Przerażało mnie jedynie to, że nie miałam możliwości poznać go w całości. Niech będzie zły dla świata, niech będzie podły dla jemu podobnych. Niech będzie tym wszystkim, za co nienawidził go jego brat. Zniosę to, a może nawet pokocham, o ile będzie w tym ze mną. Egoistycznie, wbrew wszystkiemu i wszystkim, zapragnęłam wskoczyć jeszcze głębiej w mroki jego życia, mając nadzieję, że z czasem powrócimy wspólnie do świata i do światła. Lecz najpierw musiałam go uratować.

Po szybkim prysznicu wyszłam z łazienki z mokrymi jeszcze włosami. Krople spływały mi po ramionach na białą, dopasowaną bluzkę, zostawiając na niej wilgotne plamy. Szłam korytarzem, prowadzona zapachem świeżo zaparzonej kawy, aż dotarłam do kuchni. Daniel stał oparty o blat i sący ją z dużego białego kubka. Drugie naczynie pełne parującego napoju stało przy ekspresie, czekając na mnie.

– Czyżby kawa w ramach przeprosin? – zażartowałam, upijając łyk.

– Nie schlebiaj sobie. Nie mam za co cię przeproszać. – Cmoknął, przyglądając mi się. – Tak idziesz na śniadanie?

Spojrzałam na siebie. Oprócz białej bluzki, krótkich, dzinsowych spodenek i japonek nie miałam na sobie nic. Pomimo że godzina była wczesna, było też już wystarczająco gorąco, by uznać to za jedyny właściwy strój na taką pogodę.

– O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Szczujesz tą nagością. Mam nadzieję, że nieumyślnie. – Odstawił kubek z niedopitą kawą i ruszył do wyjścia. – Idziemy.

– Ale jak to?! – krzyknęłam zdziwiona, podążając za nim.

Zatrzymał się przy drzwiach, zniecierpliwiony.

– Głodny jestem, a nie mam w lodówce nic do jedzenia. Zejdziemy na dół, dają tam świetne śniadania.

– Chcesz się pokazać ze mną wśród ludzi? – Ruszyłam za nim, gdy zdążył już wyjść na korytarz i zawołać windę, skutecznie ignorując moje pytanie. – Nie zamykasz drzwi na klucz?

– A po jakie lichy? – zaśmiał się. – Miałbym się bać złodzieja? To ja tu jestem najgroźniejszy. Poza

tym nie ma tam nic cennego, co ktokolwiek mógłby ukraść.

– Bo to mieszkanie jest prawie puste – podsumowałam, wchodząc do windy.

– Lubię przestrzeń – uciął temat.

Szliśmy w ciszy brukowanym chodnikiem skąpanym w czerwcowym porannym słońcu. Pracownicy kafejek i restauracji rozstawiali stoliki w ogródkach, niemiłosiernie przy tym hałasując. Zapach pieczonego chleba, wydobywający się z otwartych drzwi i okien, zachęcał przechodniów, by w razie głodu zawitać i skosztować wymyślnej kanapki w stylu nowej awangardy: żytniej bułki z rukolą, hummusem, szynką parmeńską i sosem na bazie żurawiny i francuskiej musztardy. Do tego obowiązkowe latte, koniecznie powiększone, stuprocentowa arabica, w promocji z sandwichem tylko za dwadzieścia dziewięć złotych. W głębi serca zatęskniłam za zielenią Starego Mokotowa i oczywistością starych piekarni, gdzie było prawdziwie, a nie wymyślnie – i dużo taniej.

Daniel wskazał jedną z restauracji, którą pobliskie budynki skutecznie osłaniały od porannego upału. Wybrał stolik na powietrzu, skąpany w cieniu, tuż przy ścianie. Usiedliśmy, przeglądając menu śniadaniowe, które leżało na stoliku. Kątem oka obserwowałam, jak dwie kelnerki nerwowo o czymś dyskutują, stojąc przy wejściu do wnętrza restauracji. Zerknęły co chwilę w naszą stronę i kręciły głowami. Po żywiołowej naradzie jedna z nich westchnęła dość głośno i ruszyła, niepewnie się do nas zbliżając, jakby robiła to za karę.

– Dzień dobry – wyjąkała, wyjmując notes z kieszeni czarnego fartucha, przewiązanego na wąskich biodrach. – Czy mogę coś polecić?

Ręce trzęsły jej się tak, że maznęła się długopisem po dłoni.

Daniel spojrzał na nią rozbawiony, uśmiechając się szeroko. To tylko bardziej ją speszyło. Odsunęła się gwałtownie, wpadając na stolik stojący tuż obok nas.

– Poproszę jajecznicę i czarną herbatę – powiedziałam od razu, chcąc jak najszybciej skończyć męki tej dziewczyny.

– A ja jeszcze nie wiem... – Daniel ewidentnie droczył się z nią, przeciągając słowa. – Powiedz, maleńka, co proponujesz?

Kelnerka głośno przełknęła ślinę, po czym wzięła głęboki oddech. Zieleniała i bladła na twarzy, kołysząc się z nogi na nogę.

– Mamy... – zaczęła, lecz nie mogła wydusić z siebie słowa, wpatrując się tępo szeroko otwartymi oczami w Daniela. Zawiesiła głos i zamarła, stając bez ruchu, praktycznie nie oddychając.

Zażenowanie mieszało się z niesmakiem, gdy zauważyłam, jak Daniel bez skrępowania przyglądał się jej dekoltowi, zgrabnym piersiom i płaskiemu brzuchowi.

– Danielu! – skarciłam go, uderzając ręką w stolik.

Olbrzym spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami i pokręcił głową. Gwałtownie zatrzasnął kartę śniadań, tak mocno, że i ja, i kelnerka podskoczyłyśmy w miejscu.

– Wezmę to, co ona. – Wskazał na mnie, wzdychając.

Dziewczyna natychmiast odwróciła się na pięcie i bez słowa pobiegła do środka, potykając się przy tym o nogę od krzesła ustawionego dwa stoliki dalej.

– Tak to powinno wyglądać – powiedział do mnie Daniel, gdy kelnerka zniknęła we wnętrzu restauracji. – Tak powinnaś się zachowywać. Jak otoczona przez stado wilków sarna, która rozumie, że tym razem nie uda jej się uciec. Tak jak ta małolata.

Jego duma z tego, jak reagowała na niego kelnerka, była dla mnie trudna do zniesienia.

– Widziałaś to, jak kłóciły się z koleżanką, która ma tu podejść? Jak ta mała bladła, jakie miała mdłości ze strachu? I jak bardzo nie mogła oderwać ode mnie wzroku?

– Przestań – szepnęłam do niego. Pochyliłam się nad stolikiem i oparłam głowę na rękach. – Ciebie to bawi!

– A ciebie nie bawi, gdy mały żuczek ucieka w trawę, bojąc się twoich kroków?

– Nie. Nie zastanawiam się nad takimi rzeczami – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – A nawet jeśli, to nie czerpię z tego przyjemności.

Daniel westchnął i pochylił się w moją stronę.

– Wiesz, czym powinienem dla ciebie być?

– Zarozumiałym i niewychowanym pacanem? – Wyszczrzyłam do niego zęby, zakładając ręce na

piersiach.

– Najgorszym koszmarem. I może odrobiną fascynacji. Tak jak dla tej małej, niby trochę chciała, a jednak trochę za bardzo się bała. Ale ty... Ty nie boisz się nikogo, ani Juliana, ani nawet mnie. W przeciagu ostatniej doby dałem ci co najmniej pięć powodów, dla których powinnaś chcieć teraz uciekać, ale zamiast tego ty mi się jeszcze stawiasz.

– Czy ty mnie testujesz tymi napadami agresji? – Ukryłam twarz w dłoniach. – Chcesz, żebym przyznała, że jesteś straszny? Żeby kolana drżały mi, gdy tylko na ciebie spojrzę, tak jak tej biednej dziewczynie? Ja się ciebie nie boję i nigdy nie będę się bać.

Daniel zaśmiał się, rozsiadając się na metalowym krześle.

– A szkoda – powiedział, uśmiechając się do mnie.

– Wcale nie – zachnęłam się. – Wydaje ci się, że to, że jesteś inny, daje ci prawo pastwić się nad nami, ale tak nie jest. To, że ktoś się ciebie boi, nie jest powodem do dumy. Na strachu nikt jeszcze nie zbudował trwałych fundamentów.

– Fundamentów pod co? – Olbrzym podrapał się po czole teatralnie. – Chyba nie rozumiem...

– Przecież moglibyśmy żyć razem.

Daniel parsknął śmiechem tak gromkim, że echo jego głosu odbijało się od ścian pobliskich budynków. Spojrzał na mnie, jakby patrzył na małego, osieroconego kotka.

– Ty chcesz go nawrócić? – zapytał retorycznie, nie czekając na odpowiedź. – Jeśli gdzieś w tobie tli się jeszcze nadzieja na to, że przekonasz naszego Kyrie, byśmy kroczyli ramię w ramię, my i wy, to zgaś ją jak najszybciej. Oszczędzisz sobie rozczarowań.

– Julian nie jest taki, jakim go rysujesz – powiedziałam powoli.

– Jest gorszy – odpowiedział mi, nachylając się nad stołem. – Niedługo się o tym przekonasz. Nie znosi sprzeciwu i nie toleruje nieposłuszeństwa.

– A jednak wobec mnie nigdy nie zachował się w ten sposób. – Trzymałam się mojej wersji Juliana tak mocno, jak tylko pozwalały mi na to moje wspomnienia.

Daniel chciał mi coś odpowiedzieć, jednak widząc, że zbliżają się do nas kelnerki z zamówionym śniadaniem, przyłożył do ust palec.

Dziewczyny podeszły do nas, obserwując uważnie olbrzyma. Rozkładały sztuce, podając mu talerz i dzbanek z herbatą, delikatnie wyciągały drżące palce w jego stronę, zabierając je prędko, gdy tylko poszczególne naczynia dotknęły stolika. Bez słowa okrążały nas, by jak najszybciej zniknąć z powrotem w bezpiecznym wnętrzu restauracji.

Gdy odeszły, Daniel zaczął pałaszować swoją jajecnicę, zagryzając ją jeszcze ciepłą bułką razową.

– To typowe – powiedział, połknąwszy spory kęs śniadania. – Gdy się boją, przychodzą stadnie.

– Mówisz o nas jak o jakimś bydło – skrytykowałam go, dziobiąc jajecnicę widelcem. Rozmowa z Danielem psuła mi apetyt.

– Nie odbieraj tego aż tak personalnie. To jest instynkt, a biologicznie ani nam, ani wam nie jest wcale aż tak daleko do innych zwierząt. W tym łańcuchu pokarmowym na końcu zawsze ktoś zostaje zjedzony.

Zamknęłam oczy, oddychając głęboko.

– Co ci jest? – zapytał, przeżuując kolejny kęs jajecnicy.

– Modłę się o zmiłowanie nad tobą. Albo nade mną. W sumie obojętne, o ile przestaniesz gadać.

– Marna sprawa, tam na górze nikogo nie ma. – Wskazał palcem chmury. – Na dole zresztą też. Nie licząc oczywiście mnie i twojego kochasia.

– Nie możesz mieć tej pewności.

– Jak tam sobie chcesz... – Machnął ręką. – Ale proszę cię, chociaż zjedz to, co zamówiłaś.

Westchnęłam i ugryzłam kawałek bułki. Jedzenie rosło mi w ustach, gdy przeżuwałam kolejne kęsy.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – powiedziałam, popijając herbatę. Spojrzał na mnie zaskoczony. – Dlaczego pokazałeś się tutaj ze mną?

Odłożył sztuce na talerz.

– Po pierwsze, to moje terytorium i żaden Insolita bez mojej wyraźnej zgody nie ma prawa się tu pojawić. A po drugie, nie mamy zakazu widywania się z ludźmi. Julian zakazał nam, jak by to powiedzieć, bliższych kontaktów.

– Ale jeśli ktoś zobaczy mnie z tobą...

– Nikt, oprócz mnie, Leny i Franka, który tamtej sławetnej nocy wyciągnął cię z sypialni, nie wie, kim jesteś i jak wyglądasz. Lenę wczoraj skutecznie spławiłem, a Franek, cóż, on już nie będzie dla nikogo problemem.

Otworzyłam szeroko oczy, czując, jak kawałek jajecznicy utyka mi w gardle.

– O czym ty mówisz? – wydyszałam, krztusząc się.

– Nie myślisz chyba, że Julian pozostawił tę sprawę samą sobie i pozwolił Insolitom, którzy widzieli twoją twarz, tak po prostu chodzić po ziemi? Franuś bardzo szybko zrozumiał, co znaczy znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i o nieodpowiednim czasie. – Spojrzał na mnie, sprawdzając, jak daleko może się posunąć, zanim wybuchnę. – Widzisz, biedak chciał mi pomóc po tym, jak Lena rzuciła na mnie ten cholerny urok. Jakimś cudem, w sumie do tej pory sam nie wiem jak, udało mu się ją złapać i doprowadzić do Juliana. Pewnie wszystko poszłoby gładko, gdybyś...

– Gdybym nie stała wtedy pod drzwiami sypialni? – dokończyłam za niego, zrezygnowana.

– Dokładnie tak. Lena uciekła w trakcie zamieszania, które spowodowałaś, i nie udało nam się jej ponownie złapać. Dlatego też moje rany, które widziałaś, nadal się jątrzą. Julian nie zdołał mi do końca pomóc. Zaleczył je, lecz póki Lena żyje, pozostaną otwarte.

Zacisnęłam usta, rozważając słowa Daniela. Z nieba lał się niemożliwy wręcz do wytrzymania żar, sprawiając, że moje włosy zdążyły już wyschnąć, a po czole spływały mi krople potu.

– Jedz, proszę – ponaglił mnie znad swojego pustego talerza. Zignorowałam go. Mój brzuch karmił się adrenaliną.

– Nie udało się wam jej złapać, a jednak wczoraj sama zawitała pod twoje drzwi. – Zamknęłam oczy, pocierając dłońmi twarz. – Co ty planujesz, Danielu? Grasz na dwa fronty?

– Mal, proszę cię. Ona nie może wiedzieć, że coś knujemy. Musiałem udawać, że jestem po jej stronie. Gdybym ją zignorował, zaczęłaby się czegoś domyślać. A wtedy obawiam się, że nie siedziałbym tu teraz razem z tobą, jedząc wesoło śniadanie.

– Jest silniejsza od ciebie? – zdziwiłam się. – Daniel, ten, którego boją się młode kelnerki, przegrałby z jakąś rudą wiedźmą?

Olbrzym uśmiechnął się i pogroził mi palcem.

– Uważaj, co mówisz. To nie jest zwykła wiedźma. Jej rodzina nauczyła się czerpać moc z przyrody w sposób, którego nigdy nie będziesz w stanie zrozumieć, a ja nie będę w stanie pokonać. Do tej pory tylko Janik i Julian zdołali stanąć przeciwko niej. Dla mnie ostatnia potyczka skończyła się pokiereszowanym brzuchem.

– A o co poszło między wami?

– Takie drobne nieporozumienie... – Daniel wzruszył ramionami. – Ważniejsze pytanie, to dlaczego Lena chce zabić Juliana.

Przewróciłam oczami.

– Bo Julian zadawał się ze mną. A ja jestem człowiekiem.

– I do tego jesteś kobietą. Całkiem ładną kobietą. – Daniel pokręcił głową i zabrał mi spod nosa talerz z niedojedzoną jajecznicą.

Zmrużyłam oczy, nie rozumiejąc.

– Co to ma do rzeczy?

– Czy ty myślisz, że byłaś pierwszą, że to tak ujmę, dziewczyną Juliana? – Z nieukrywaną satysfakcją, dokańczając po mnie posiłek, patrzył, jak moja twarz z każdą sekundą tężała, zamieniając się w obojętny posąg.

– O czym ty mówisz? – rzuciłam pytanie tonem tak zimnym, jak tylko potrafiłam, niemal nie ruszając przy tym ustami.

– Lena długo zabiegała o względy Juliana, kokietowała go na każdym kroku, była na każde jego zawołanie i przez chwilę wszystkim, nawet mnie, wydawało się, że coś z tego będzie. Wyobraź sobie dwie tak silne jednostki żyjące razem, płodzące potężnego potomka. Co za potencjał, co za możliwości... Ale to nie trwało długo. Julian zadowolony się nią wyjątkowo szybko i rzucił, gdy tylko zaczęła zapominać, gdzie jest jej miejsce w hierarchii. On nigdy nie pozwoliłby jej rządzić. Samo odrzucenie skierowało ją przeciwko Julianowi, choć brakowało jej powodów, by oficjalnie mu się sprzeciwić. Nadal był silniejszy, nadal miał

poparcie innych Insolitów. Ale gdy zobaczyła ciebie ukrywającą się w jego sypialni, zwykłą, wątłą dziewczynę i do tego człowieka, coś musiało w niej pęknąć. Ona przegrała z kimś takim? Kobiety to strasznie zazdrosne stworzenia.

Zaciskałam zęby, zaciskałam usta, a moje palce na krawędzi stołu zacisnęły się już same. Czułam, jak z każdym jego słowem napina się całe moje ciało. Julian i Lena? Julian i... ktokolwiek? Do tej pory nie wizualizowałam sobie takiego scenariusza i świadomość, że ktoś przede mną zatapiał się w jego ramionach, całował te słodkie usta i słuchał jego głosu, okrutnie bolała.

Oddychaj, Mal – usłyszałam głos Daniela w mojej głowie, a oczy zaszyły mi ciemną mgłą. Krzesło, stół i bruk podpierający stopy zniknęły w nagłej nieustępliwej nicości, by za chwilę powrócić, przyprawiając mnie o mdłości. Spojrzałam wściekle na Daniela, podrywając się z krzesła tak szybko, że przewróciło się, a huk uderzającego o kostkę brukową metalu odbił się echem po Placu Konesera.

– Nie. Rób. Tak. Więcej – rozkazałam, grożąc mu palcem.

– Idziemy? – zapytał, ignorując mój wybuch.

– A kto zapłaci? – Uniosłam brwi.

– Już idę. – Wyciągnął portfel z kieszeni spodni i ruszył w stronę restauracji.

– Nie, poczekaj, ja pójdę! – Zanim zdążył zareagować, wyrwałam mu portfel z ręki. – I ani się waż wejść ze mną do środka.

Nie chciałam, żeby pastwił się nad tymi dziewczynami, żeby dusił je swoją dzikością w zamkniętym pomieszczeniu.

Weszłam do restauracji, zdziwiona, że mnie posłuchał. Oparł się o ścianę koło drzwi i założył ręce na piersi. Kelnerki widząc, że się zbliżam, stanęły na baczność, zerkając na mnie niepewnie, jednak z każdym moim krokiem rozluźniały się i zaczynały uśmiechać.

– My już skończyliśmy, ile płacę? – zapytałam, otwierając portfel Daniela, w którym, na szczęście, oprócz kilku kart kredytowych było trochę gotówki.

– Sześćdziesiąt pięć złotych, proszę pani – odpowiedziała jedna z nich, podczas gdy druga, przestępując z nogi na nogę, wpatrywała się w Daniela, stojącego za szybą tuż przy wejściu do środka.

Gdy podawałam im gotówkę z dość dużym napiwkem, upewniłam się, że Daniel to widzi.

– Jak pani to znosi? – wypaliła niespodziewanie dziewczyna wpatrzona w olbrzyma. – Ja bym nie mogła się przy nim skupić.

– Często na niego krzyczę. – Przewróciłam teatralnie oczami, a obie dziewczyny zaśmiały się pod nosem. – Do widzenia!

Gdy wyszłam na powietrze, Daniel ciskał się, chodząc w koło po chodniku, z przyciśniętym do ucha telefonem.

– Jak to nie ma?! – krzyczał cały czerwony na twarzy. – Sprawdziłaś całe mieszkanie?

Głos w telefonie zabełkotał coś w odpowiedzi.

– A ona? Zajął się nią?

Znow bełkot. Kobiety głos w słuchawce wykrzykiwał jakieś słowa. Lena?

– Szukaj dalej. Może jest schowana. Pod podłogą? W ścianach? Pod obrazami? – Daniel zauważył, że stoję i przysłuchuję się jego rozmowie. – Szukaj jej. Muszę kończyć.

Rozłączył się od razu, nie czekając na odpowiedź.

– Kto dzwonił? – wypaliłam od razu, oddając mu portfel.

– Nie twój interes. – Wściekły jak osa ruszył w stronę wyjścia na ulicę Ząbkowską. – Idziemy!

– To była Lena, tak? – dopytywałam, podążając za nim szybkim krokiem. – Czego ma szukać? Co ty planujesz?

Stał nagle, po czym odwrócił się gwałtownie i złapał mnie dłonią za żuchwę. Jego kościste, szorstkie palce objęły moją twarz tak mocno, że aż krzyknęłam z bólu. Drugą ręką chwycił dłonie i wygiął mi je za plecami, abym nie mogła się ruszyć. Przycisnął mnie do siebie tak mocno, że zmuszona byłam ugiąć nogi i przechylić się w tył. Dla postronnych przechodniów mogliśmy wyglądać jak para w miłosnym uścisku, lecz wprawne oko widziałoby, jak ścieraliśmy się w tym niemym pojedynku na nasze charaktery. On pragnął mnie w końcu złamać, a ja nie mogłam mu na to pozwolić.

– Jeśli nie przestaniesz tyle gadać, z chęcią przetrącę ci tę chudą jadaczkę – wyszeptał do mnie, podczas gdy nasze nosy praktycznie się ze sobą stykały. – Powiedz tylko słowo.

– Nic nie możesz mi zrobić. – Patrzyłam mu prosto w oczy, gdy jego źrenice wykonywały szaleńczy taniec, rozszerzając się i kurcząc. – Potrzebujecie mnie obaj.

Wpatrywał się we mnie jeszcze chwilę, a ja widziałam, jak walczy sam ze sobą. Czułam, jak drżą mu palce oplecione wokół mojej twarzy, jak zaciska drugą rękę na przegubach, by w końcu puścić mnie i bez słowa ruszyć dalej, ściskając mnie za nadgarstek i ciągnąc za sobą.

– Nie odpuszczę ci tego – wydusiłam z siebie, łapiąc oddech, gdy tylko wyzwolił mnie z uścisku. – Kto dzwonił i czego szukał?

Odpowiedziało mi jego milczenie. Obrzuciłam go więc pytaniami – kto, po co, dlaczego, czemu milczysz – wyglądając przy tym jak mały, szczekający na wszystko ratlerek, przekonany o bezwzględnej zasadności hałasu, jaki wokół siebie robił. Daniel ignorował wypływające ze mnie dźwięki, ogłuchł wręcz zupełnie, konsekwentnie ciągnąc mnie za sobą i zmuszając do truchtu. Zamilkłam w końcu, zasapana, zatykana co chwilę przez duszące podmuchy upalnego wiatru.

Mijaliśmy kolejne ulice. Śmierdzące moczem bramy starszych, praskich kamienic odstawały od odnowionych witryn sklepików w lepiej zarządzanych budynkach. Mijały nas dyszące ciężko ciężarne kobiety z zakupami, spóźnieni do pracy spoceni mężczyźni w letnich garniturach, dzieci na wagarach i umęczone upałem psy na smyczach zakończonych ich wiekowymi właścicielami. Samochody trąbiły, obcasy stukały o brukowane chodniki, stary menel w jednej z bram rechotał ochryplym głosem, zbijając szklane butelki po spirytusie jedna po drugiej.

Daniel kierował nas w stronę Wisły, nawet na chwilę nie zwalniając kroku. Zatrzymał się dopiero, gdy doszliśmy do przystanku przy ZOO. Dyszałam ciężko, marząc o łyku wody, wymęczona intensywnym sprintem przez miasto. Przyciągnął mnie na chwilę do siebie, przytykając swoje usta do mojego ucha.

– Usiądź na ławce i udawaj, że się nie znamy – wyszeptał szybko. – Już.

Ruszyłam w stronę ławek ustawionych pod plastikowymi wiatami i usiadłam na jednej z nich, wycierając z czoła pot.

Nie minęło kilka chwil, aż na horyzoncie pojawił się autobus. Spod jego kół buchnął kłęb zapachu rozgrzanego oleju i topiącego się asfaltu, drobinki ulicznego pyłu przykleiły się do moich nagich, wilgotnych ramion. Drzwi się otworzyły, wysiadło kilka osób, a wśród nich wychudły dzieciak z czarnymi, kręconymi włosami związanymi na karku w niedbały kucyk. Miał ziemistą twarz, cienie pod głęboko osadzonymi oczami i ostry, trochę krzywy nos. W kościstych, nieproporcjonalnie długich rękach trzymał zawinięty w szary papier sporych rozmiarów pakunek.

Podszedł do Daniela i kiwnął mu głową, delikatnie przekazując paczkę, aż nadto drżącymi rękami. Gdy tylko znalazła się w dłoniach olbrzyma, cofnął się i odwróciwszy plecami do Daniela, skierował się w stronę przejścia dla pieszych.

– Poczekaj – powiedział Daniel do młodzieńca.

Chłopak zamknął na chwilę oczy, przestępując nerwowo z nogi na nogę, po czym powoli, niechętnie odwrócił się w stronę Daniela.

– Podziękuj Kyrie za ten ryzykowny manewr. I powiedz mu, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Kyrie? Julian? Wprostowałam się nagle, wciągając głośno powietrze. Ostatkiem sił powstrzymałam się, by nie pobiec za chłopakiem, który zniknął już w zgiełku ulic po drugiej stronie alei Solidarności. Oczami wyobraźni widziałam, jak łapię go za rękę i zmuszam, by zaprowadził mnie do niego. Wykręcałby się, próbował uciec, ale postawiłabym na swoim, grożąc mu śmiercią. Złapałibyśmy taksówkę. Zabrałby mnie wtedy do wystawnego hotelowego apartamentu w Bristolu, gdzie w eleganckim fotelu z miękkiego aksamitu, wpatrzony w horyzont Krakowskiego Przedmieścia, siedziałby Julian. Spojrzałby na mnie, czarne oczy błysnęłyby jak oszlifowane karbonado, a na twarzy pojawiłaby się mieszanka troski i zdziwienia. Podszedłby do mnie ostrożnie, zastanawiając się, czy to nie fatamorgana, lecz dotykając mojego policzka, z każdą chwilą nabierałby pewności.

– Mal...

Zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści, czując, jak wizja rozplywa się pod moimi powiekami. Daniel usiadł koło mnie na ławce i poklepał po udzie.

– Wracamy do domu – rozkazał.

W drogę powrotną ruszyliśmy już trochę spokojniejszym krokiem, w zupełnym milczeniu, zatykani gorącymi podmuchami najbardziej upalnego w historii Warszawy czerwca.

Rozdział 9

Całopalenie

Daniel położył pakunek na podłodze w salonie i zaczął delikatnie rozrywać kolejne warstwy szarego papieru. Nie spuszczałam z niego wzroku, chodząc od ściany do ściany za jego plecami, a gdy zobaczyłam, że olbrzym otworzył kryjące się pod wierzchnim opakowaniem wieko, przystanęłam przejęta, wstrzymując oddech.

– Żebyś mi tu nie zemdląła. – Spojrzał na mnie rozbawiony.

– Otwórz to w końcu. – Tupnęłam nogą.

– Wątpię, że to, co jest w środku, przypadnie ci do gustu.

Zsunął wieko i wyciągnął z niej połacie czarnego, satynowego materiału, o dojrzałym i głębokim odcieniu nocy, który ciągnął się po podłodze, gdy Daniel wstał i podszedł z nim do mnie. Zarzucił mi go na ramiona, a chłód lejącego materiału, delikatnie muskającego skórę, przyprawił mnie o dreszcze. Z pietyzmem, jakiego nie spodziewałabym się po olbrzymie, zapiął klamrę pod moją szyją i odsunął się, by przyjrzeć mi się z odległości.

Peleryna z kapturem, wykończona jedwabną lamówką ze złotymi przeszyciami, była na mnie za duża. Materiał ciągnął się po podłodze, a ja czułam się w nim jak w namiocie. Spojrzałam na Daniela pytająco.

– Co to za wzrok? To w końcu prezent od twojego lubego! Powiedziałem mu, że zwerbowałem nowego Insolite. – Olbrzym uśmiechnął się, widząc moją dezorientację. – Julian zawsze zbierał szaty tych, których pozbawił życia, a ja nie zdążyłbym zlecić dla ciebie produkcji nowej.

– Ty z nim rozmawiasz?

– Mał, nawet nie zaczynaj. Wiesz, że nie możesz... – Potarł się po czole i westchnął głośno.

– Chcę chociaż usłyszeć jego głos. Zadzwoń do niego i włącz tryb głośnomówiący – nakazałam.

Daniel pokręcił głową.

– Wykluczone. Nie jestem w stanie zaufać ci na tyle, żeby mieć pewność, że nie wykręcisz jakiegoś numeru i nie zaczniesz krzyczeć w słuchawkę.

Naburmuszyłam się i założyłam ręce na piersi. Daniel podszedł do pudełka i wyciągnął z niego coś jeszcze – biały, złożony w kostkę materiał. Rozłożył go, a naszym oczom ukazała się męska, lniana koszula o luźnym kroju, jedna z tych, jakie niektórzy z bardziej eleganckich mężczyzn wkładają, gdy w upał nie wypada wyjść na ulicę z nagim torsem.

– Z tego to będziesz miała chyba sukienkę – zaśmiał się, ignorując moje dąsy.

Podszedł i przyłożył do mnie koszulę, jakbym była manekinem, którego koniecznie trzeba było przebrać.

– Wypraszam sobie! – Wyrwałam mu ubranie z rąk. – Sama przymierzę. A tak w ogóle, po co to wszystko? Po co te przebieranki?

– A jak chcesz, żeby nikt cię nie poznał w trakcie Monasterium? – Uniósł brwi, przyglądając się, jak rzucam z siebie czarny płaszcz i wciągam koszulę na ubranie.

Materiał zaskoczył mnie, gdy zaczęłam go zakładać. Z daleka wyglądał na gładki, jednak dopiero pod palcami wyczułam drobne naszytka, wzory ciągnące się wzdłuż kołnierza, dookoła guzików i przy każdym szwie. Bliźniacza twarz, ta sama, co na jednozłotówce Juliana, ale też więcej: słońce, księżyc, gwiazda, twarz, słońce, księżyc... W tej samej kolejności, jedno za drugim w szeregu. Misterna płatanina jedwabnych nici pieściła opuszki palców, gdy dotykałam jej raz po razie.

– Byliśmy, gdy wschodziło słońce. Jesteśmy, gdy zachodzi księżyc. Będziemy, gdy zaczną spadać gwiazdy.

Daniel przerwał ciszę, intonując słowa i nucąc melodię. Tę melodię, którą Julian nucił mi przed snem. Śpiew przeszedł w ciche mruczenie. Uśmiechnęliśmy się do siebie, ja oczarowana harmonią tych dźwięków, Daniel obserwujący moje zauroczenie tą chwilą.

– Załóż to wreszcie – przerwał nagle, a ja westchnęłam i wciągnęłam na siebie koszulę.

Spojrzałam w dół i aż jęknęłam. Wyglądałam w niej jak w halce. Ręce i dłonie zakryte były zbyt dużymi rękawami, a za krótki dół ledwie osłaniał pośladki.

– Idealnie. – Daniel aż cmoknął. Podszedł do mnie i przejechał palcem po moich ramionach ukrytych pod obszernymi rękawami. – Tu zaraz utniemy, a te guziki rozepniesz. – Dotknął ręką dekoltu, a ja od razu uderzyłam go po wierzchu dłoni. – Będzie cacy.

– Cacy? Przecież będę prawie naga! – Błysk w oczach Daniela powiedział mi więcej niż jego słowa. – Ale rozumiem, że o to właśnie ci chodzi?

– Chodzi mi o to, żebyś wyglądała jak jedna z nas. Niektóre z Insolitek pod peleryną potrafią być zupełnie nagie. Więc i tak idę ci na rękę.

Prychnęłam, marszcząc nos i krzywiąc się dość ostentacyjnie.

– Nie bądź taka pruderyjna. A teraz stój tu i zaczekaj. – Wyszedł na chwilę do kuchni, by powrócić z metalowymi nożycami krawieckimi. – Nie ruszaj się teraz.

– Może jakieś „proszę”?

Zaśmiał się i pokręcił głową. Nachylił się nade mną i delikatnie zaczął obcinać rękawy koszuli wzdłuż szwów okalających bark. Jedną ręką przytrzymał moje ramię, drugą bardzo precyzyjnie prowadził ostrza nożyc, które ślizgały się po skórze. Gdy skończył, rozciął jeden z rękawów wzdłuż, robiąc z niego szarfę, i przewiązał mi ją w pasie. Na koniec rozpiął mi trzy guziki, gdybym nie miała na sobie bluzki, pewnie byłoby mi widać spory kawałek piersi.

– Czy to konieczne? – zapytałam. – Darujmy sobie ten dekolt.

– Masz ładne piersi, nie wstydz się tego.

Zamrugałam kilkakrotnie, zdumiona tym, że jakiegokolwiek słowa Daniela potrafią mnie jeszcze zaskoczyć.

– Tego się nie spodziewałam – powiedziałam, zdejmując z siebie lnianą sukienko-koszulę.

– Stwierdziłem tylko fakt. – Podszedł do mnie i klepnął mnie w pośladek. – Tyłek też masz fajny.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęłam, odskakując od niego. Siarczysty klaps, którego mi wymierzył, piekł mnie i palił. – Chyba Janik zapomniał nauczyć cię dobrych manier.

– Posłuchaj mnie, złociutka. – Pogroził mi palcem. – Janik nauczył mnie wielu innych, o wiele bardziej przydatnych rzeczy. Na przykład, w jaki sposób dać sobie radę z pyskатыmi dziewczynami. I uwierz mi, nie spodobałyby ci się jego metody.

– Daruj sobie, Danielu, to czcze gadanie. Oboje wiemy, że nic nie możesz mi zrobić.

Nim ostatnie moje słowo wybrzmiało, wszystko pociemniało. Oczy przestały widzieć, a uszy słyszeć. Głębia wszechogarniających ciemności pochłonęła mnie, topiąc moje zmysły w swojej lepkiej mazi, połknęła wszelkie dźwięki: nie gruchały już gołębie siedzące za oknem, nie szumiał klimatyzator, nie dźwięczał mój własny głos, gdy próbowałam krzyczeć. Pustka zabierała całe ciepło mojego ciała, mroziła krew, wbijała ostre igielki w zamrożony mózg.

Nie stałam już na ciemnej podłodze w mieszkaniu Daniela: stałam pośrodku nicości, zapadając się w nią jak w bagno. Coś ciągnęło mnie w dół, przewracając na plecy. Poczułam na łydkach chłodne, nachalne palce, długie, kościste, nie do końca ludzkie. Ocierały się o mnie, pełzły ku udom, badając zagłębienia pod kolanami, szczypiąc skórę, a ja nie mogłam nic zrobić. Zewnętrzna siła władała teraz moim ciałem. Diabelskie dłonie rozsunęły moje uda, wędrując coraz wyżej. Muskały pachwiny, ścisnęły pośladki, gładziły dół brzucha. Krzyczałam bezgłośnie i wiłam się w akcie sprzeciwu. Z niewidzących oczu płynęły mi łzy.

– Nadal się mnie nie boisz? – Głos Daniela rozbrzmiewał w próżni ogłuszającym echem.

Chciałam go zabić, skrócić mu kark, chwycić za nożyczki, które chwilę temu rzucił na nieistniejącą już podłogę, i wbić mu je prosto w serce. Pragnęłam, by zniknął, by odszedł, zostawił mnie w spokoju. Lecz w tym świecie byłam tylko marionetką, szmacianą lalką w rękach szaleńca, bezradna, bez możliwości ruchu.

Niespodziewanie olbrzym zwrócił mi wzrok i słuch, pozwalając poczuć realność tego, jak rządził się mną wbrew mojej woli. Leżałam pod nim na kanapie, przyparta jego ciężarem. Czułam jego ręce wpełzające pod materiał spodenek, zaciśnięte na moich pośladkach. Językiem muskał zagłębienie za uchem.

– Nienawidzę cię! – krzyknęłam odzyskanym głosem, uderzając w niego na oślep pięściami, tam, gdzie tylko udało mi się sięgnąć.

Daniel dyszał mi w ucho, patrzył prosto w oczy. Czułam nabrzmiałość w jego spodniach, czułam, jak

z premedytacją napierał nią na mnie. Napawał się satysfakcją, jaką sprawiała mu ta chwilowa władza nad moim ciałem. Uśmiechał się szatańsko, ocierając się swoimi ustami o mój policzek, by chwilę później po prostu odejść, zostawiając mnie zapłakaną na kanapie.

– Chyba już ci wystarczy – odparł, patrząc na mnie pożądliwie. – Kolejnym razem nie będę aż tak grzeczny.

Nie mogąc znieść więcej jego widoku, wstałam z kanapy, odwróciłam się na pięcie i bez słowa pobiegłam do sypialni, zatrzaszkując za sobą drzwi. Łzy płynęły mi po policzkach i szyi. Jego palce zostawiły na ciele niewidzialne rany, palące jak kwas, aż do kości. Rozlewały się na brzuch, plecy, ramiona.

Osunęłam się po ścianie, tracąc na chwilę panowanie nad ciałem. Jęknęłam, a dźwięk ten wydarł się ze mnie zupełnie niekontrolowany. Bluzkę miałam mokną od łez, wilgotny materiał kleił się do piersi, do brzucha, dusząc mnie i uciskając. Był jak o kilka rozmiarów za mały gorset. Ściągnęłam z siebie koszulkę, rzucając ją o ścianę. Rozporek w spodenkach był już rozpięty, dżins w dotyku przypominał jego palce, był szorstki, nachalny. Zsunęłam szorty szybkim ruchem i cisnęłam nimi o drzwi. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je rękami. Kuliłam się, siedząc na podłodze, której nienawidziłam. Tkwiłam tak w samej bieliźnie, która ciążyła jak kajdany, a pot i łzy mieszały się z kurzem na mojej skórze, kąpiąc ciało w błocie pełnym pogardy.

Nie możesz dać się zastraszyć, nie teraz – myślałam. Nie możesz dać mu tego, czego chce. Nie możesz dać mu tej satysfakcji. Cichy głos w głowie, mój głos, nawlekał na mnie słowa otuchy jak koraliki na zerwany łańcuszek. O to mu właśnie chodzi: żeby mnie stłamsić, zgasić, podporządkować. Uderzyć w miejsce, które boli najbardziej. Żądał ode mnie prostracji, służalczego padnięcia na twarz i leżenia krzyżem. Żądał posłuszeństwa, którego nie byłam mu winna. Żądał posłuszeństwa, które było konieczne, by przetrwać.

Otarłam gorzkie krople z policzków i szyi. Strzepałam rozżalenie z czubków moich kościstych kolan. Wstałam i podeszłam do torby z rzeczami, wyciągnęłam z niej krótką, wyzywającą sukienkę, którą kiedyś dostałam od Anki, jedną z tych, których w moim poprzednim życiu nigdy bym nie założyła, a którą miałam w szafie tylko dlatego, że szkoda mi było ją wyrzucić. Przerzuciłam ubranie przez ramię i tak jak stałam, w samej bieliźnie, wyszłam z sypialni, pewnym krokiem maszerując do łazienki. Drzwi zostawiłam otwarte na oścież. Widziałam, jak Daniel wychyla się z kanapy w salonie, podglądając, co robię. Zdejmując biustonosz, czułam na sobie jego palący wzrok. Ściągałam majtki, wypinając przy tym pośladki w jego stronę. Sukienkę natomiast powiesiłam na haczyku na ręczniki.

Weszłam pod prysznic. Woda studziła rozgoryczenie, zmywała ze mnie resztki żarliwości olbrzyma, szykowała na kolejne kręgi piekła. Żałowałam, że nie mogę tam zostać, rozpuścić się, zamienić w lodowate krople, by popłynąć rzeką wprost do Juliana, obmywać jego ręce, zwilżać wydatne usta, niesfornym ruchem łaskocząc go po szyi chłodem mokrego pocałunku. Zakręciłam kran, wytarłam ciało ręcznikiem i wsunęłam na siebie bieliznę.

Wzięłam w rękę sukienkę i ruszyłam do salonu, do Daniela, paradując w negliżu tuż przy oknach. Gdy usłyszał moje kroki, odłożył telefon na kanapę, nie zauważywszy, że smartfon zsunął się pomiędzy siedzisko a oparcie. Ze zmarszczonym czołem i niepewnością w oczach obserwował to przedstawienie.

– Szczujesz mnie? – zapytał, gdy stanęłam przed nim jak rasowa modelka.

– Nie tego chciałeś? – Ostentacyjnie pogładziłam się po nagim brzuchu. Pokręcił głową. – Jak będzie mi lepiej? – Przyłożyłam do siebie prześwitującą sukienkę. – W sukience czy może bez?

– Zejdź mi z oczu. – Machnął na mnie ręką, jakby odganiał uporczywą muchę. – Wszystko psujesz.

– Skąd ta nagła zmiana? – Uniosłam brwi szczerze zaskoczona.

– Irytujesz mnie. – Wstał i wyjął mi z ręki sukienkę, rzucając ją na ziemię. – Przyzwyczajaj się. Julianowi na pewno się to spodoba.

– A więc pamiętasz, że masz brata?

– Kiedy niby o tym zapomniałem? – zapytał obrażonym głosem.

– Chwilę temu, na tej oto kanapie. – Położyłam się na niej, przybierając pozycję, w której przytrzymywał mnie chwilę wcześniej.

– Zrozumiałby to.

– Też tak sądzę – odparłam, machając w powietrzu stopą. – Zrozumiałby, że zgwałciłeś jego dziewczynę, tak samo jak zrozumiał, że Franek wyciągnął mnie na siłę z sypialni tylko po to, by mi pomóc.

Daniel zacisnął pięści, zagryzł zęby i poczerwieniał na twarzy.

– Któraś z tych bajeczek to blaga – kontynuowałam. – Pytanie tylko która?

– Mam cię dosyć – wyszeptał ze złością. – Mam cię serdecznie dosyć.

Ruszył w stronę wyjścia, zabierając z półki przy wejściu kluczyki do mieszkania i do samochodu. Zamknął mnie od zewnątrz i ruszył do windy. Uśmiechnęłam się, czując chłód ekranu jego telefonu na swoich plecach. Po chwili zerwałam się na równe nogi i wyciągnęłam smartfon spod poduchy narożnika.

Telefon nie był chroniony żadnym kodem ani odciskiem palca. Niespotykane w czasach, w których komórka wczepiała się w ciała i dusze właścicieli, pełna sekretów, nagich zdjęć w lustrach i filuternych konwersacji z przystojnym trenerem osobistym. W szczególności ktoś taki jak on, Daniel z piekła rodem, powinien dbać o tę prywatność. Odrzuciłam jednak to zaskoczenie, nie wiedząc, czy olbrzym zaraz nie wróci, wpadając do salonu z całą tą swoją zmienną aurą humorów i much w nosie.

Kliknęłam w ikonkę wiadomości, zaczynając rozumieć, czemu telefon nie był w żaden sposób zabezpieczony. Pustka migotała mi przed oczami: ani jednego SMS-a, ani jednego słowa, nawet jednej małej literki, żadnego J albo L, świadczących skromnie o ich nadawcach. Przecież widziałam, jak pisał do kogoś, nie raz zwieszając głowę nad telefonem! Widziałam, jak palce przesuwają się po tafli ekranu, składały słowa, budowały zdania. Czyżby od razu kasował swoje konwersacje? Nie miało to sensu.

Szukałam dalej. Nie miał wgranych żadnych popularnych komunikatorów, ani jednej aplikacji, która mogłaby mi pomóc prześledzić jego plany. Weszłam w kontakty, wzdychając. Znowu pusto. Czy to w ogóle był jego telefon? Lista połączeń przychodzących – trzy numery, powtarzające się w różnych konstelacjach ciągi cyfr i zaszyfrowani w nich właściciele. Zakłęłam pod nosem, żałując, że nie nauczyłam się numeru Juliana na pamięć, że nie wyryłam w mózgu dziewięciu znaków tak dobrze, jak zapamiętałam mapę jego oczu.

Co miałam zrobić? Dzwonić po kolei pod każdy z numerów? Sprawdzać, kto odbierze, i szybko się rozłączać? Jeden z nich z pewnością należał do Juliana, drugi do Leny, a trzeci...? Westchnęłam i kliknęłam w pierwszy. Telefon nawiązał połączenie. Żołądek podszedł mi do gardła, a ręce zdrętwiały, jakby pogryzły je mrówki.

– Danielu?

Akcent na drugiej sylabie, melodyjne zapytanie. Tembr jego głosu zalał mnie jak ulewa. Wodospad wspomnień uderzył we mnie i pienił się na granicy ciała i umysłu. Kapałam się w nich, na nowo przeżywając palące w gardło pocałunki, zmierzwiłone w miłosnym akcie włosy i zapach goździków na jego skórze.

– Danielu? – powtórzył pytanie zaniepokojony, a ja zamarłam, wpatrując się w ekran. – Słyszę, jak oddychasz. Mów, co się dzieje.

Rozłącz się, głupia!

Palce nie słuchały.

Zakończ połączenie!

Nie mogłam się ruszyć. Ta wredna para niepozornych, zwykłych, pozawijanych chrząstek uszu zawładnęła mną i przejęła kontrolę. Cała byłam nimi, tymi uszami, zamieniłam się w nie nagle, bezboleśnie, niezauważalnie, tak po prostu. Zbierałam drgania powietrza, drgałam cała razem z nim, gdy głośnik wyrzucał z siebie dźwięki czystego akcentu Juliana, głębości jego basu. Cisza pomiędzy słowami była próżnią, bolała mnie, a ja przecież po to byłam, żeby go słuchać, by napawać się każdym jego najcichszym pomrukiem, zanuconą w zamyśleniu melodią, przypadkowym chrząknięciem.

– Mów! – krzyknął, lecz zaraz zmienił ton, jakby nagle zrozumiał, co się właśnie stało. On już wiedział, że to nie Daniel dzwonił do niego z wieściami. – Kto mówi? Kto tam jest?

Mój oddech przyspieszył, a kropla potu spłynęła mi po czole i nosie, rozbryzgując się na ekranie. Zamknęłam oczy i rozkazałam swoim palcom zakończyć połączenie. Zrobiły to niechętnie, obrażone na mnie, że pozbawiam je jedynej możliwości pobycia choć chwilę przy nim. Siedziałam, ja-ucho, ja-palce, wpatrując się w telefon i cyfry jego numeru. Czy przyjdzie tu teraz? Pomyśli przecież, że Danielowi coś się stało. Przybiegnie, wyważy drzwi, zobaczy mnie w bieliźnie, którą tak niedawno sam ochoczo ze mnie ściągał, lub nawet w sukience, przecież zdążę się przebrać, lecz widok ten będzie dla niego tak szokujący, że nie zrobi mu różnicy. Mogłabym nawet siedzieć w dresie, skulona, wpatrzona z miłością w jego sylwetkę, wyłaniającą się z korytarza.

Podbiegnę do niego, lecz zatrzymam się w połowie drogi, widząc, że on nie rozumie, ten mój choleryk, raptus, awanturnik. Przecież zakazał Danielowi kontaktu ze mną. Przecież odrzucił naszą bliskość w imię mojego bezpieczeństwa. Będę widzieć, jak przed zazdrosnymi oczami stają mu obrazy rozkoszy bez jego udziału, ja i brat olbrzym, dwójka zdrajców, złączeni w uciechach, i wryje mu się to w oczy, wypali się w sercu na resztę życia. Usłyszę, jak pęka mu to serce na pół. Pochłonie go zawiść i zemsta. Wpadnie w szał, amok, dostanie gorączki. Nie będzie miejsca na wyjaśnienia. Nie będzie szansy na tłumaczenia. Nie będzie słuchał.

W gniewie zabije Daniela, gdy ten tylko przekroczy próg mieszkania. Złamię mu kark i rozbije głowę o pustą ścianę. Krew przyozdobi mdły kolor murów i biel sufitu. Czy na mnie też podniesie rękę? Złapie mnie za nagie ramiona, spojrzy na mnie, a ja pęknię sama na pół, widząc, jak cierpi. Misterny plan ocalenia Juliana legnie w gruzach, bo moje palce wybrały ten numer. Zginiemy tam wszyscy – umrzemy, choćby w części, umrą nasze serca i nie będzie już szansy na dobre zakończenie.

Musiałam stamtąd wyjść, czym prędzej zniknąć z mieszkania i ukryć się gdzieś, gdzie przeczekaam ten dzień, pozwalając Danielowi zająć się konsekwencjami tego, czego sam zabronił mi robić. Naciągnęłam na siebie sukienkę, która nadal leżała na ziemi, i pobiegłam do sypialni po torebkę i torbę podróżną, przy okazji chowając telefon Daniela do jednej z kieszeni bagażu.

Podeszłam do drzwi wejściowych. Zamknięte. Zakłęłam, uderzając w nie pięścią. Akurat teraz musiał zamknąć drzwi? Teraz? Jak się stąd wydostać?

Wyszłam na taras, rozglądając się w panice. Był przedzielony na pół ścianką z pleksi, druga jego część należała do sąsiedniego mieszkania. Telefon wibrował w wewnętrznej kieszeni mojej torby – to pewnie Julian próbował się dodzwonić, nic nie rozumiejąc, chcąc krzyknąć w słuchawkę, że zaraz tu będzie. Poganiał mnie, bym uciekała.

Wzięłam głęboki oddech i złapałam się barierki, przekładając nogi przez poręcz, czubkami palców stając na gzymsie. Metal był gorący, parzył mnie w dłonie i uda, gdy drobnymi ruchami przesuwalam się w stronę sąsiedniego tarasu. Wiatr rozwiewał mokre włosy, przyklejały mi się do twarzy i wpadały do oczu. Kolejne podmuchy niemiłosiernie targały torbą, którą założyłam na plecy jak plecak, sprawiając, że co chwilę traciłam równowagę. Cała się napięłam, walcząc z kolejnymi podmuchami gorącego powietrza i z żarem nagrzanego, czerwonych cegiełek. Gdy tylko przełożyłam nogi przez barierkę, wylądowałam z hukiem na tarasie sąsiedniego mieszkania. Stukłam sobie przy tym prawe udo i pośladek. Krzyk młodej kobiety i płacz kilkulatka dochodzące ze środka sprawiły jednak, że odetchnęłam z ulgą. Ktoś był w mieszkaniu. Ktoś wypuścił mnie na wolność. Grubiutka, niska dziewczyna wybiegła na taras, trzymając w ramionach małego chłopczyka.

– Co się stało? Kim pani jest? Co pani tu robi? – Dyszała, wytrzeszczając okrągłe oczy.

Podniosłam się z podłogi, obciążając sukienkę i strzepując z łokci kurz. Noga pulsowała w miejscu, które stukłam, gdy upadłam. Kolejny siniak, na szczęście w mniej widocznym miejscu, szykował się, by zabarwić skórę na fioletowo.

– Mój kolega, pani sąsiad, wychodząc, przez przypadek zamknął mnie od środka w mieszkaniu, a ja bardzo śpieszę się na pociąg – uspokajałam dziewczynę, przekrzykując chlapiącego dzieciaczka.

– Tam nikt nie mieszka – zachnęła się, zasłaniając wejście do mieszkania swoim ciałem. – Zaraz wezwę policję!

Jęknęłam w duchu.

– Może pani nie zauważyła, on rzadko bywa w domu. Proszę mnie wypuścić i nie będę więcej pani niepokoić. – Telefon w moim bagażu znów zawibrował.

Patrzyła na mnie, dziewczynę z mokrymi włosami, w kusej sukience, z torbą podróżną zarzuconą przez plecy, zastanawiając się, co zrobić. Kompulsywnie gładziła po głowie szlochającego trzylatka.

– Przestraszyła pani dziecko!

– Przepraszam. Naprawdę. – Uśmiechnęłam się do chłopca najpogodniej, jak tylko w tej sytuacji potrafiłam, przestępując z nogi na nogę. Wytarł mały nosek w bluzkę dziewczyny, nieśmiało zerkając na mnie. – Wypuścił mnie pani?

Westchnęła teatralnie i ze skwaszoną miną w końcu ustąpiła, wskazując mi drzwi tarasowe. Ruszyłam od razu, a ona podreptała za mną, zapewniając chłopca, że pani już wychodzi i że Piotruś nie musi się bać. Cały czas zerkwała na mnie, pilnując każdego mojego ruchu. Gdy wyszłam na korytarz, od razu

zamknęła drzwi do swojego mieszkania.

Kilka minut zajęło mi przedostanie się na ulicę Ząbkowską, stamtąd ruszyłam piechotą prosto na przystanek, na którym Daniel odebrał pakunek od Juliana. Wsiadłam do autobusu, który ruszył przez most w stronę Centrum. Usadawiłam się na końcu niezbyt zatłoczonego pojazdu i wyjęłam telefon, który ponownie wibrował. Myślałam, że to Julian, lecz to nie był jego numer. Cztery nieodebrane połączenia pochodziły z jednego z dwóch pozostałych numerów. Nim zdążyłam odłożyć go z powrotem, zadzwonił ponownie. Odruchowo kliknęłam palcem w zielony guzik, by odebrać połączenie. Nerwowy kobiecy głos, dysząc ze zmęczenia, krzyknął w słuchawkę:

– Daj mi spokój z tą puncą, ty stary cepie, nigdzie jej nie ma! Szukaj jej dalej sam.

I rozłączyła się.

Punca. Włożyłam rękę do torby i wymacałam ją pomiędzy bluzkami. Była tam, bezpieczna i chłodna, przywitała się ze mną, łaskocząc moje opuszki, gdy tylko przejechałam nimi po wzorze dwóch bliźniaczych twarzy. *Więc to ciebie szukał Daniel* – pomyślałam, dziękując swoim palcom, że tym razem odebrały telefon. Teraz to ja miałam coś, czego on potrzebował. Tylko do czego? Tego musiałam się jeszcze dowiedzieć.

Upewniwszy się, że torba jest zamknięta, wstałam ze swojego miejsca i wysiadłam na kolejnym przystanku, kierując się do starej kamienicy, w której mieszkała Anka. Stojąc w bramie przy wejściu, czekając, aż przyjaciółka podejdzie do domofonu i wpuści mnie do środka, obserwowałam grupę spoconych japońskich turystów, którzy drepcząc po brukowanej uliczce, rozglądali się, kierując głowy tam, gdzie wskazał im równie skośnooki przewodnik.

Anka podniosła domofon po czwartym sygnale.

– To ja... – szepnęłam, a ona od razu otworzyła mi wejście na klatkę.

Ogromne drewniane drzwi skrzypnęły, gdy popchnęłam je, wchodząc na ciemny, brudnawy korytarz. Nie zdążyłam dojść do jej mieszkania, gdy zobaczyłam, jak biegnie w moją stronę. Twarz miała napuchniętą, oczy przekrwione, a ręce trzęsły jej się, gdy rzuciła mi się na szyję.

– Gdzieś ty się podziewała, dziewczyno? Szukamy cię całą noc!

Nie odpowiedziałam. Anka zaciągnęła mnie do środka i usadziła na kanapie jak jakieś małe, niegrzeczne dziecko. Sama przysiadła na stoliku naprzeciwko mnie, lustrując mnie od czubka głowy, przez skołtunione włosy, głęboki dekolt, aż po gołe kolana. Ujęła moją rękę w swoją, ściskając ją trochę za mocno. Patrzyłam na nią nieufnie, wolną dłonią przytulając torbę, w której miałam schowaną puncę.

– Cokolwiek się dzieje, możesz mi powiedzieć – zwróciła się do mnie cicho i spokojnie, głosem zarezerwowanym dla niemowląt i małych kotków.

– Muszę przeczekać u ciebie noc – stwierdziłam dość oschle. Anka uniosła brwi.

– Mal, co się dzieje? – Ton miała już trochę ostrzejszy, choć głos jej się łamał. Widziałam, jak walczy ze sobą, żeby nie płakać.

– Wszystko jest dobrze. – Zmusiłam się, żeby nie patrzeć jej prosto w oczy. Wbiłam wzrok w zielone liście drzew za oknem, naprzeciwko którego siedziałam. Delikatnie poruszały się na letnim wietrze, tańczyły, muskając skrzydła ptaków, które przysiadły w ich cieniu, by zebrać siły do dalszego lotu. Byłam jak te ptaki, a Anka była moim liściem. – Naprawdę dobrze. Po prostu potrzebuję tu zostać na jedną, jedyną noc.

– Dobrze? – wybuchła niespodziewanie, puszczając moją rękę. – Zniknęłaś nagle, nie odbierałaś telefonu, nie pojawiłaś się w pracy, zmieniłaś zamki w mieszkaniu... To nie zbliża się nawet do definicji słowa „dobrze”.

Jak, do licha, Daniel zdążył tak szybko wymienić zamki w moim mieszkaniu? I jak miałoby to niby pomóc w zacieraniu śladów po moim zniknięciu?

– Wiem, jak to może wyglądać, ale...

– Odnalazłaś go – przerwała mi. – To przez niego? Mal, trzeba to zgłosić.

– Nie, nie znalazłam jeszcze Juliana – powiedziałam, pocierając dłońmi twarz. – Ale znalazł mnie jego brat.

Oczy jej się powiększyły, czoło uniosło. Wypuściła z siebie głośno powietrze.

– A to mnie mówili, że skaczę z kwiatka na kwiatek... – szepnęła. – Jesteś teraz z jego bratem?

Pokręciłam głową, chyba aż nazbyt gorliwie zaprzeczając jakimkolwiek relacjom z olbrzymem.

– Daniel mi pomaga. Widzisz, Julian wpadł w... tarapaty.

Anka marszczyła nos, słuchając moich słów.

– Ale robimy wszystko, żeby go z tego wyciągnąć.

– Robicie wszystko – powtórzyła.

– Tak. I żeby to zrobić, musiałam się od was odciąć, zostawić telefon i klucze do mieszkania. Nie powinnam się w ogóle tutaj pokazywać, ale muszę gdzieś przeczekać noc. Gdy patrzysz na to z boku, może to rzeczywiście wyglądać źle, ale wiem, co robię. Jutro rano mnie tu nie będzie.

Moja przyjaciółka złapała się za głowę i wydeła napuchnięte policzki, przytrzymując w nich powietrze.

– Dziewczyno! Czy ty sama siebie słyszysz? Ocknij się! To jest jakaś banda oszołomów. Brat twojego zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach kochanka wmawia ci, że porzucając swoje życie, uratujesz kogoś z opresji? To śmierdzi ściemą na odległość!

– Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. – Prawdziwości żalu w moim głosie nie mogła zignorować.

– Dlaczego?

– Dla twojego bezpieczeństwa.

Patrzyła się na mnie bez ruchu, nie dowierzając słowom, które usłyszała.

– Dzwonię po twoją matkę – powiedziała kategorycznie.

Wyciągnęła z kieszeni telefon i odblokowała go. Zerwałam się na równe nogi, rzucając swoje pakunki na kanapę, i wyrwałam jej komórkę z ręki.

– Zapomnij! – krzyknęłam. – Nie mieszaj w to mojej matki.

Odskoczyłam od niej na drugi koniec pokoju i oparłam się o framugę otwartego okna. Rękę, w której trzymałam jej telefon, wystawiłam na zewnątrz.

– Nawet nie próbuj się ruszyć, bo wyrzucę go wprost na jedną z tych pięknych brukowanych alejek na waszym patio – zagroziłam jej, gdy zrobiła krok w moją stronę.

– Tobie trzeba pomóc. – Anka nie wiedziała, co zrobić. Nerwowo kręciła głową, patrząc raz na mnie, raz na telefon. – Nie zostawiasz mi innego wyjścia.

– Już raz pomogliście mi wbrew mojej woli. Pamiętasz, jak to się wtedy skończyło?

– Mal, poczekaj... Porozmawiajmy. – Usiadła, wzięła głęboki oddech i wyciągnęła do mnie dłoń w pojednawczym geście.

Westchnęłam, zaczynając rozumieć, dlaczego Daniel był tak bezwzględny w kwestii konieczności porzucenia dotychczasowego życia. Anka, nawet gdybym opowiedziała jej wszystko, nie uwierzyłaby w żadne słowo, a dziesięć minut później, po jej panicznym telefonie do moich rodziców, matka ustawiłaby się w kolejce do sądu z wnioskiem o moje ubezwłasnowolnienie. Ostatnio, co prawda, tego nie zrobiła, choć miałam wrażenie, że trzyma wypełnione dokumenty gdzieś w szufladzie, gotowe do wyciągnięcia we właściwym momencie.

– Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, rozumiesz?

Pokręciła głową.

– Obawiam się, Mal, że będziesz musiała.

Tak bardzo teraz żałowałam decyzji, by pojawić się w jej drzwiach...

– Chcę tylko przenocować.

– A ja chcę wiedzieć, co się z tobą dzieje – odpowiedziała mi Anka.

– Jem, jeśli o to pytasz.

Moja przyjaciółka jęknęła, wywracając oczami.

– Dobra, zrobimy to małymi krokami. Zostaniesz tutaj, ale co godzinę będziesz odpowiadała na jedno moje pytanie. – Wyciągnęła do mnie otwartą dłoń, prosząc tym samym o oddanie swojej własności. – Daj mi ten telefon.

– Nie oddam ci go. – Pokręciłam głową. – Na resztę mogę się zgodzić.

Anka cmoknęła, wzdychając.

– To mamy umowę – stwierdziła smutno, ruszając w stronę kuchni.

Rozluźniłam się trochę, układając w głowie kłamstwa, którymi mogłabym raczyć Ankę przez resztę dnia. Julian został porwany. Nie, w to nie uwierzy. Siedzi w areszcie? Wtedy z pewnością zadzwoni po moją matkę. Prześladowuje go jego była dziewczyna? Najbliżej prawdy, ale bez zdradzania szczegółów. Anka uwielbiała takie historie.

Chowając jej smartfon do jednej z kieszeni w mojej torbie, zerknęłam na ekran telefonu Daniela.

Oszaleję przez ciebie.

Wiadomość z nieznanego numeru była skierowana do mnie i nie miałam wątpliwości, że pochodziła od Daniela. Uśmiechnęłam się, a delikatne uklucie lęku, który zagnieździł się w żołądku, mieszało się z rozbawieniem. Oto ja, zwykła dziewczyna, marny, słaby człowiek, wykiwała jednego z najsilniejszych na tej planecie. Przysporzyłam mu problemów, zasiałam zamęt, doprowadziłam do szaleństwa, udowadniając, że to nie on miał władzę nade mną, lecz ja nad nim.

– Z czego się tak cieszysz? – Anka wróciła z tacą, przyglądając mi się z ciekawością.

Ciemny chleb, pokrojony na cieniutkie kromki, był ułożony w plecionym, wiklinowym koszyku na pieczywo. Sery pleśniowe, kupowane według zasady: im bardziej wonny, tym lepszy, ułożyła na desce do krojenia, obsypała orzechami włoskimi i przyozdobiła liśćmi sałaty i pokrojonymi w plasterki rzodkiewkami. Pod pachą trzymała butelkę białego wina. Obserwowałam w milczeniu, jak rozkłada to wszystko na stoliku w salonie.

– Jakbyś nie zauważyła, to było moje pierwsze pytanie – upomniała mnie, gdy nie odpowiedziałam.

– Dostałam zabawnego SMS-a. – Wyciągnęłam dłoń po połówkę orzecha włoskiego.

– Jak to możliwe, skoro podobno oddałaś swój telefon? – zapytała, wyczulona na każde moje słowo.

– Powiedzmy, że pożyczyłam telefon od Daniela.

– A on o tym nie wie?

Uśmiechnęłam się, chrupiąc ostentacyjnie orzecha. Anka przyniosła z kuchni kieliszki i otworzyła wino, odkręcając metalową nakrętkę.

– Czy to jest twoje kolejne pytanie? – Uniosłam brwi, biorąc od niej kieliszek do wina wypełniony białym rieslingiem. – Nie minęła jeszcze godzina.

– Nie, chyba w tym przypadku znam odpowiedź – zripostowała szybko. – A jak ty się z tym wszystkim czujesz?

Anka pytająca mnie, jak się czuję, to dopiero była nowość! Zaskoczyła mnie na tyle, że przez chwilę na końcu języka miałam już gotową, zbyt szczerą, odpowiedź. Chciałam jej opisać tę mroczną aurę niepewności okalającą mnie od tygodni, diabelską aureolę, która zaciskała się na głowie, zsuwając się niżej, by finalnie zacząć mnie dusić, zbyt ściśle otulając szyję. Byłam pochłonięta miłością do mężczyzny, z którym nie mam kontaktu. Opętana nienawiścią do jego brata, kanalii, od której byłam chwilowo zależna. Zaplątana w labirynt ich dzikiego świata, którego zasad nie potrafiłam jeszcze pojąć. Odpowiedziałam jednak zupełnie coś innego.

– Dobrze... Czuję, że już niedługo wszystko się ułoży. – Zagryzłam to kłamstewko kawałkiem ziarnistego chleba. Kłuło mnie w zęby, raniąc dziąsła kawałkami słonecznika. – U ciebie wszystko dobrze? Co u Mateusza?

Zaśmiała się, potrząsając grzywą, którą zdążyła przefarbować na srebrzysty odcień szarości.

– Naprawdę chcesz o tym słuchać?

Kiwnęłam głową, jednak jej kolejne słowa przepływały przeze mnie, nie pozostawiając żadnego śladu w mojej świadomości. Opowiadała chyba, że chcą razem zamieszkać, słyszałam coś o wspólnych wakacjach. Oczami wyobraźni widziałam jednak siebie, zamieszkującą z Julianem, otuloną zapachem goździków, odurzona nieprzerwaną bliskością jego ciała. Siedzieliśmy na plaży, chodziliśmy po górach. Trzymał moją dłoń, obwieszczając światu, że jesteśmy razem.

Mrzonki. Skarciłam się sama. Powoli docierało do mnie, że nawet jeśli znów będziemy razem, jeśli przeżyjemy to, co nieuniknione, nigdy nie będziemy normalną parą. Upiłam duży łyk wina, kiwając głową na znak, że słucham mojej przyjaciółki. Anka rozgadała się, snując nietypowe dla jej charakteru plany na przyszłość. Czyżbyśmy przez ostatnie tygodnie zamieniły się życiami?

– Co nic nie mówisz? – zapytała w końcu, dolewając mi wina do opróżnionego przed chwilą kieliszka.

– Jestem zmęczona – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, czując, jak powieki ciążą mi coraz mocniej. – Albo wino zaczęło działać.

– Zdrzemnij się trochę. Ja muszę dokończyć kilka rekwizytów do kolejnej sztuki.

Zarzuciłam na siebie koc, który leżał na kanapie, i odpłynęłam szybciej, niżbym tego oczekiwała, śniąc sen, w którym przemierzałam opustoszałe mieszkanie Juliana, snując się po nim pod postacią

mlecznobiałego ducha.

*

Głośny szloch wyrwał mnie jednak ze snu dość niespodziewanie. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy odkąd zmrużyłam oczy, minęły minuty czy godziny. Na powiekach odbijały się jeszcze resztki obrazów mlecznego ducha i wymarłego mieszkania, rozmazując rzeczywistość.

– Co się dzieje? – wydukałam, pocierając czoło.

Anka klęczała na ziemi, pochylona nad moją torbę, którą musiała wyciągnąć mi z rąk, gdy spałam. Łzy spływały jej po policzkach. W rękach trzymała moją punce.

– To ty mi powiedz, co się dzieje! – wydarła się na mnie czerwona na twarzy. Była wściekła czy załamana? Nie mogłam stwierdzić. – Skąd to masz? I co masz z tym wspólnego?

Serce waliło mi jak oszalałe. Usiadłam na skraju kanapy, czując, jak adrenalina dociera do mózgu.

– Nic nie rozumiem – odpowiedziałam. Przecież Anka nie była jedną z nich. Nie mogła mieć z tym nic wspólnego.

– Ten znak... – Wskazała palcem na bliźniacze twarze na puncy. – Wiesz, co to jest?

Pokręciłam głową.

– Kłamiesz! – Cisnęła we mnie moją otwartą torbę. Łzy płynęły jej po policzkach, pociągała nosem.

– Anka, co się dzieje? Czemu ten znak tak cię poruszył?

Zerwała się z kolan i pobiegła do swojej sypialni. Trzaskała drzwiczkami od szafek, pociągając przy tym nosem na tyle głośno, że słyszałam to przez ścianę. Wróciła po chwili z tekturowym pudełkiem na dokumenty. Znałam to pudło aż za dobrze, choć do tej pory tylko i wyłącznie z zewnątrz, Anka bowiem nigdy nie pozwoliła mi zajrzeć do środka. Jego zawartość, pamiątki po rodzicach zmarłych tragicznie w pożarze teatru, była dostępna tylko dla jej dłoni i oczu.

Rodzice Anki – jej ojciec był reżyserem, matka scenografką – zginęli młodo, obie miałyśmy wtedy po dwanaście lat. Źródła pożaru nigdy nie ustalono, a Anka długo nie mogła pogodzić się z tym faktem. Nikogo nie skazano, choć wyglądało to na podpalenie. Nikt nie odpowiedział za tę tragedię. Oprócz nich tamtego nieszczęsnego dnia zginęli wszyscy aktorzy i pracownicy obecni akurat w teatrze. Pamiętam, jak policja przyjechała do szkoły, wyciągnęli Ankę z lekcji. Zamieszanie, płacz, nie rozumiałam wtedy, co się działo. Spała u nas kolejne miesiące, aż do momentu, gdy ustalono dla niej rodzinę zastępczą, lecz pomimo bliskości, która wytworzyła się między nami w tamtym czasie, niemalże siostrzanej więzi, nigdy nie dopuściła mnie do zawartości tego pudełka. Aż do dziś.

Wyjmowała z niego kolejne rekwizyty, głaszcząc je pieśczośliwie. Układała wszystko obok siebie na miękkim dywanie, tworząc smutną mozaikę wspomnień osieroconego dziecka. Akty zgonu obojga rodziców w przeźroczystrych foliowych koszulkach, stary album ze zdjęciami, haftowana chusteczka z jej inicjałami. Troska, z jaką dotykała tych rzeczy, kłóciła się z furją, którą widziałam w jej oczach. Jako ostatni wyciągnęła zszyty prowizorycznie gruby plik pożółkłych kartek w przeźroczystej okładce: ostatni scenariusz, nad którym pracowali jej rodzice przed śmiercią. Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę, a broda drżała jej od płaczu. Powoli podniosła wzrok, lustrując moją twarz, by widzieć, jak zareaguję, gdy pokaże mi okładkę.

Wypuściłam z płuc powietrze. Przeraził mi chłód pojawił się znikąd, szczypał mnie w gołe stopy i zamazywał wzrok.

Nie, to mi się śni. Zamknęłam oczy. To musi być sen! Obudź się, Mal.

Ale realność łez mojej przyjaciółki zmusiła mnie, aby jeszcze raz spojrzeć na scenariusz. Dwie bliźniacze twarze, narysowane czarnym flamastrem na kartce, były bardzo dokładnie odwzorowane, z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów. Dwie twarze w dużej skali, większe niż moneta Juliana, wyraźniejsze niż punca pani Ireny. Znak Juliana. Znak świata, z którym żadna z nas nie powinna mieć kontaktu. Jakim cudem znalazło się to na dnie tego smutnego pudła?

– Czy teraz masz mi coś do powiedzenia? – zadała pytanie tonem pełnym pretensji.

– Anka, wiem niewiele więcej niż ty.

– Oni przez to nie żyją! – krzyknęła, czerwieniąc na twarzy. – Nie kłam mi w żywe oczy.

Co miałam jej powiedzieć?

– Ktoś podrzucił ten scenariusz do teatru, w którym pracował mój ojciec. Tak po prostu, zostawił go w kopercie, bez znaczka, bez nadawcy. Bez autora – powiedziała po chwili ciszy. Pierwszy raz mówiła

otwarcie. Pierwszy raz dopuszczała mnie do najciemniejszej części swojej duszy. – Ojciec chciał wystawić tę sztukę, mówił, że to świetna historia, legenda o półbogach żyjących na ziemi, bawiących się ludzkim losem. Jakimś cudem dostali grant, dużo większy, niż mogliby się spodziewać... Oni i ich mały teatr, wyobrażasz sobie? Wielki grant z finansowania non-profit! Cieszyli się, zatrudnili aktorów, zaczęły się próby. Sztuka miała być takim hitem, że przenieśli się na deski Teatru Narodowego! Pamiętam, jak mama po nocach przygotowywała dekoracje z tym znakiem, wyszywała go na szatach. A potem ktoś podłożył ogień, dokładnie wtedy, gdy mieli próbę, zresztą jedną z ostatnich przed premierą. Ktoś podpalił teatr, nie zostawiając żadnych śladów.

Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym pretensji.

– I wiesz, co ja sobie myślę? – kontynuowała z narastającą w głosie złością. Tonem pełnym chowanej latami urazy wylewały się z niej oskarżenia. – Że to byli ci półbogowie. I wiesz, co jeszcze myślę? Że ten twój Julian jest w to zamieszany.

Zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści na krawędzi kanapy.

– To jest absurd – wyszeptałam. – Skąd takie wnioski?

Usta wygięły jej się w smutnym półuśmiechu.

– Po pożarze ktoś trzy razy włamywał się do mieszkania. Nigdy nic nie zginęło. W domu nadal pozostały wszystkie kosztowności mojej matki, złote pamiątki po dziadkach. Ale oni czegoś szukali. Za każdym razem plądrowali go na nowo. Złodzieje zrywali podłogę, dziurawili ściany. Myślę, że o to im chodziło. – Pomachała delikatnie scenariuszem. – Ale ja wzięłam to ze sobą, wtedy gdy zabierałam stąd swoje rzeczy, dzień po pożarze. Pamiętasz to, prawda?

Powoli kiwnęłam głową, głośno przełykając ślinę.

– Pamiętasz, jak twoja mama zabrała mnie tu, pod kuratelą policji, żebym wzięła to, co najbardziej potrzebne? Kazała mi zabrać ubrania, buty, kosmetyki. Ale nie mogłam się oprzeć i gdy nikt nie patrzył, po prostu wzięłam ten scenariusz. To jest powód ich śmierci. Od razu to wiedziałam. Komuś nie było na rękę, że ojciec wystawiał sztukę, która miała za dużo zdradzać. I, co gorsza, wystawiał ją w Narodowym! Ten ktoś umiejętnie podłożył ogień tak, żeby nikt z ekipy nie uszedł z życiem. Ktoś włamywał się tu, nie zostawiając nawet jednego odcisku palca. To musieli być oni, ci półbogowie. Kto inny? – westchnęła, kręcąc głową. – A potem, lata później, ty opowiadasz mi historię mężczyzny, który w tajemniczy sposób odzyskuje twoją torebkę, zachowuje się jak dzikus, zwodzi cię, doprowadza do szaleństwa, na koniec wykorzystuje cię, żeby chwilę później zniknąć w niewyjaśnionych okolicznościach, zacierając za sobą ślady? Julian musi być jednym z nich. Ale ty, Mal „Ja wiem lepiej” Brodnicka, nie słuchasz mnie, gdy mówię ci, żebyś o nim zapomniała, szukasz go, zadajesz się z jego bratem, a co gorsza, posługujesz się tym pieprzonym znakiem!

Rzuciła we mnie puncą, uderzając mnie prosto w brzuch. Jęknęłam z bólu, jedną ręką rozmasowując miejsce uderzenia, drugą przytrzymując przy sobie tę kość niezgody, która w przeciągu kilku minut ustawiła nas na wrogich pozycjach.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że śmiesz przyjść do mnie z tym czymś w torbie, z informacjami, które musisz mieć, skoro masz ten piekielny stempelek, i nie mówisz nic.

– Anka, na litość boską, ja nic nie wiem o śmierci twoich rodziców! – Słowa wydarły się ze mnie niekontrolowane. – Skąd mam coś wiedzieć? Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

– Bo chciałam cię przed tym ochronić! – krzyczała przez łzy. – To ty byłaś tą słabszą, delikatniejszą. Twoja matka zawsze mówiła, żebym cię chroniła, przecież przeżyłam śmierć własnych rodziców, więc musiałam być silna za nas obie! A ty? Było ci za dobrze, więc sama wymyślałaś sobie dramaty. I nadal to robisz, bawiąc się w to coś, cokolwiek to jest, z tymi demonami.

Anka wybiegła z pokoju zapłakana i zamknęła się w łazience. Puściłam mimo uszu jej personalne wycieczki. Tę jedną rzecz nauczyłam się ignorować wystarczająco dobrze przez lata psychoterapii fundowanej mi przez moją matkę zawsze wtedy, gdy śmiałam się z nią nie zgodzić. Zsunęłam się z kanapy na kolana, czołgając się do mojej torby najciszej, jak tylko potrafiłam. Wyciągnęłam telefon Daniela.

Przyjedź po mnie. Natychmiast.

Odpisałam na wiadomość, którą wysłał mi wcześniej. W kolejnym SMS-ie wysłałam mu adres, modląc się, by pojawił się tu jak najszybciej.

Sięgnęłam po scenariusz, z ciężkim sercem chowając go do torby. Anka nie była bezpieczna, dopóki

znajdował się w jej mieszkaniu. Cokolwiek się nie stanie, cokolwiek nie powie, nie mogłam pozwolić na to, by zatrzymała go przy sobie. Rozejrzałam się jeszcze po zawartości pudła rozłożonej na dywanie. Nie było tam nic innego, co mogłoby wydać na nią wyrok. Dla pewności przekartkowałam jeszcze album ze zdjęciami, zerkając co chwila, czy Anka nie wychodzi z łazienki. Żadnych zdjęć, żadnych rysunków, żadnych innych śladów znaku bliźniaczej twarzy. Odetchnęłam z ulgą. Mogła być na mnie wściekła, mogła mnie nienawidzić za to, że kradnę jej wspomnienia po rodzicach. Byłam gotowa znieść wszystko, co się z tym wiązało, o ile ona była bezpieczna. A tylko zabierając scenariusz, mogłam uchronić ją przed...

Nie. Jeśli to rzeczywiście była sprawka Insolitów, Anka nie będzie bezpieczniejsza, gdy zabiorę scenariusz ze sobą. Olbrzym będzie zadawał niewygodne pytania. Prędzej czy później domyśli się, skąd to mam. Wróci do niej, ponownie nie zostawiając żadnych śladów. Samotna łza spłynęła mi po policzku. Wyciągnęłam scenariusz z torby i pobiegłam do kuchni w poszukiwaniu zapalniczki. Otwierałam szafki, przeczesałam szuflady. Musiałam go spalić, to było jedyne wyjście. Spopielić jego kartki, patrząc, jak zadrukowane słowa już nie szepczą zabójczych tajemnic, lecz kurczą się i znikają, lizane gorącymi językami ognia. Ten scenariusz powinien być spłonąć razem z teatrem. A ja tylko w ten sposób mogłam zapewnić jej bezpieczeństwo.

Chwyciłam w dłonie dużą zapalarkę na gaz schowaną w jednej z szuflad i trzymając go w gołych palcach, podpaliłam róg scenariusza nad kuchennym zlewem. Ogień szybko zajął suche kartki i błyskawicznie pożerał kolejne milimetry papieru. Anka wybiegła z łazienki, gdy zapach dymu rozniósł się po mieszkaniu.

– Co ty wyprawiasz?! – Rzuciła się na mnie, wytrącając mi kartki z rąk.

Scenariusz spadł częściowo na kuchenny blat z taniej sklejki, a kawałkiem oparł się o metal zlewu. Anka pchnęła mnie na ścianę pełną szafek. Uderzyłam tyłem głowy w kant jednej z nich. Uniosłam się, próbując się lekko podeprzeć. Czułam, jak z potylicy zaczyna sączyć mi się krew. Zamroczyło mnie, ale dołałam utrzymać się na nogach.

– Anka, zostaw to! – wydyszałam. – Daj temu spłonąć!

Nie słuchała mnie, tylko próbowała gołymi rękami ugasić płonące stronicie scenariusza. Ruszyłam w jej stronę, napierając na nią barkiem i łokciem. Zachwiała się i aż usiadła, choć bardziej chyba z zaskoczenia moim atakiem niż od jego siły. Chwyciłam zapalniczkę i podpaliłam kartki z drugiej strony. Anka zawyła, płacząc z żalu.

– Co ty robisz? – zawodziła żałośnie. – Czemu mi to robisz?

– Dopóki to masz, nie będziesz bezpieczna – powiedziałam chłodnym i stanowczym głosem, patrząc jej prosto w oczy.

Scenariusz płonął, wypalając wgłębienie w kuchennym blacie. Kawałki spopielenych stron spadały jak płatki czarnego śniegu na bieloną podłogę. Dym wdzierał się w nozdrza, uciekał przez otwarte okno w salonie. Anka już nie walczyła. Siedziała na ziemi, oparta o szafkę, z kolanami podsuniętymi pod brodę. Twarz ukryła w dłoniach. Płakała, krzyczała i wyła na zmianę, a dźwięki te mieszały się ze sobą, raniąc moje serce.

Patrzyłam z utrapieniem na ten obrazek. Oto paliła się doszczętnie nasza przyjaźń. Paliło się zaufanie, które budowałyśmy latami. Paliły się wspomnienia wszystkich wspólnych chwil, tych dobrych i złych. Ale palił się też dowód winy Insolitów, jedyna rzecz, która mogła doprowadzić do niechybnej śmierci Anki, gdyby znaleziono to przy niej. To wszystko paliło się jak na stosie, a my, wbrew naszej woli, niemo uczestniczyłyśmy w tym całopaleniu. Spontaniczny pogrzeb w nordyckim stylu, pełen gryzącego w gardło dymu i rozżalonych łez.

Gdy scenariusz spopielił się doszczętnie, bez słowa wyszłam z kuchni, zmuszając swoje stopy, by powędrowały do salonu po torbę. Zapakowałam wszystko, co należało do mnie, zostawiając telefon Anki na stoliku kawowym. Wróciłam do kuchni tylko na chwilę. Przykucnęłam przy mojej przyjaciółce. Nie podniosła głowy, nadal płakała, zanosząc się co chwilę spazmami rozpacz. Oparłam dłonie o jej kolana. Wzdrygnęła się, jednak nie odepchnęła mnie od siebie.

– Przepraszam – szepnęłam. – Teraz to ja musiałam obronić cię przed światem. Nie próbujcie mnie więcej szukać. Odpuście ten temat. Dla własnego bezpieczeństwa.

Pocałowałam ją w czubek głowy i nie odwracając się za siebie, wyszłam z mieszkania, zatrzasnąwszy trochę za mocno drzwi.

Rozdział 10

Czy jesteś w stanie zabić człowieka?

Wyszłam z kamienicy, rozglądając się dookoła. Widok Daniela stojącego na krawędzi chodnika i opierającego się o zaparkowane na ulicy bmw zupełnie mnie nie zdziwił. Przez chwilę nawet mnie nieco ucieszył, tak bardzo chciałam znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Nozdrza nadal miałam wypełnione zapachem spalenizny, ręce i przedramiona ubrudzone popiołem, a opuszki palców szczypały, delikatnie sparzone płomieniami.

Olbrzym nie odezwał się, gdy podeszłam do niego i zatrzymałam się zaledwie centymetry obok. Przyglądał mi się z niezadowoleniem, oglądając moje ciało kawałek po kawałku, jak ogląda się zaginioną rzecz. Dotknął palcem świeżej krwi, która spływała mi z karku, wziął moje dłonie w swoje ręce, oglądając przypaloną i brudną skórę, prosząc tym gestem o wyjaśnienia. Uniósł krzaczaste brwi, patrząc mi prosto w oczy.

– Jedźmy już – powiedziałam szybko.

Pokręcił głową w niemej odpowiedzi.

– Dlaczego nie? – zdziwiłam się.

Milczał. Ktoś przeszedł koło nas, potracając mnie delikatnie. Daniel nie zareagował.

– Daniel, odezwij się – poprosiłam, próbując wyrwać ręce z jego uścisku, jednak nie pozwolił mi na to. – Puść mnie.

– Żebyś znów zadzwoniła do Juliana?

Był zły. Miał ku temu dobry powód. Ale skoro tu był, znaczyło to ni mniej, ni więcej, że kryzys został zażegnany.

– Byłam głupia, przepraszam. A teraz chodźmy stąd.

Znów pokręcił głową, puszczał moje ręce. Obszedł mnie dookoła, stając w bramie kamienicy Anki.

– Kto tu mieszka? – Poglądził cyferblat czarnego, zużytego domofonu.

– Nikt ważny – odparłam, przewracając oczami. – Proszę cię, jedźmy już.

– Nie, nie. Powiesz mi teraz, kto tu mieszka i co tu robiłaś, albo sam się tego dowiem. – Jego palec zawisł nad klawiszami.

– Moja... koleżanka – wydukałam. – Chciałam u niej przenocować, ale pokłóciłyśmy się i... ona nie chce mnie już widzieć.

– Wydaje mi się, że kłamiesz. – Pukał palcem w cyferki domofonu, wystukując rytmiczną melodyjkę. – Które to mieszkanie? Numer cztery?

Zacisnęłam usta. Skąd wiedział?

– Miałaś rację – powiedziałam szybko. Daniel uśmiechnął się z satysfakcją. – Nie powinnam kontaktować się z ludźmi z mojego poprzedniego życia.

– A jednak to zrobiłaś.

– I to był błąd. Szukają mnie od wczoraj. Wszyscy. Moi rodzice, przyjaciele, znajomi. Przychodzą do tej koleżanki, tylko pogorszyłam sprawę.

Podeszłam do niego, próbując zrobić wszystko, co mogłam, by tylko odciągnąć go od tego domofonu. Wzięłam go za rękę, którą nadal wybijał rytmiczne dźwięki na cyferblacie. Pozwolił mi na to, jednak nie odsunął się od drzwi nawet o centymetr.

– Mówiłem ci – wyszeptał mi do ucha. – Nie powinnaś była się tu pokazywać.

– Teraz to wiem. – Oparłam się czołem o jego obojczyk. Całe moje ciało krzyczało, wzdrygając się od tej wymuszonej bliskości. – Chodźmy stąd...

– Ale ja chcę poznać bliżej tę twoją... koleżankę. – Uśmiechał się do mnie, szczerząc białe, równe zęby. – Musimy jej wszystko wytłumaczyć.

– Nie! – zaprotestowałam ostro.

– Tak myślałem – zaśmiał się. – Tylko widzisz... Ty pewnie myślisz, że ja nie wiem, kto tu mieszka.

A ja całkiem dobrze znam tę kamienicę. A mieszkanie numer cztery miałem kiedyś okazję kilkakrotnie... zwiedzić.

Mierzyliśmy się wzrokiem. Czułam, jak serce wyrywa mi się z klatki piersiowej, słyszałam jego dudnienie w uszach, czułam, jak żyłami przepływa o wiele za dużo krwi. To Daniel. To on. To prawda. Mój umysł oszalał, zalewał mnie lawiną myśli, które bałam się wypowiedzieć na głos. Morderca. Degenerat.

– I wiem, Mal, że ty też znasz to mieszkanie.

Milczałam. Nie pozostało mi nic innego.

– Myślisz, że nie przejrzałem twoich zdjęć w Internecie i nie wiem, że znasz się z córką pewnego pechowego reżysera?

– To nie jest możliwe... – szepnęłam.

– Dlaczego?

– Jesteś za młody...

– Miałem wtedy czternaście lat, Mal.

Szeroko rozwartymi oczami wpatrywałam się w jego twarz.

– Wy obie byliście chyba w podobnym wieku.

– Co zamierzasz? – Miałam ochotę splunąć mu w twarz.

– Skoro już tu jestem, to chciałbym tylko sprawdzić, czy nie chowa tam czegoś, co do niej nie należy. Myślisz, że to ma?

– Nie. – Zasłoniłam drzwi swoim ciałem.

– Skąd ta pewność? – Bawiło go to, że próbowałam mu się stawiać.

Nierówna walka: olbrzym napierający na drzwi i drobna dziewczyna w kusej sukience, broniąca dostępu do klatki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie miałam z nim żadnych szans.

– Bo sama spaliłam ten scenariusz jakieś dziesięć minut temu – powiedziałam, wydychając powietrze prosto w jego usta.

Daniel ryknął nagle gromkim śmiechem, który odbijał się od ścian w podcieniu bramy.

– Spaliłaś go? – nie dowierzał.

Pokazałam mu ręce i coraz mocniej czerwieniejące opuszki.

– Przypaliłam sobie przy tym palce...

– Ale poczekaj, skąd wiedziałaś, że...

– Miał na okładce ten sam znak, który był wybity na jednozłotówce Juliana. Nie mogłam pozwolić, żeby tam został.

Uśmiechał się, kiwając głową z aprobatą.

– Jestem pod wrażeniem. Naprawdę – odparł. – Czyli inicjację masz już za sobą.

– Czy teraz możemy już iść? – Ruszyłam w stronę samochodu.

– A twoja koleżaneczka? – Daniel cmoknął, zasłaniając mi drogę.

– Co z nią? – Tupnęłam nogą. – Nie stanowi żadnego zagrożenia.

– Po pierwsze, jest człowiekiem, a po drugie, pewnie zna treść tego scenariusza.

– Daniel, odpuść jej – jęknęłam.

– Dlaczego?

– Bo cię o to proszę. – Dotknęłam ręką jego torsu. Uniósł brwi zdziwiony tym ruchem. – Wystarczająco wycierpiała przez wasze rozgrywki.

– Wiesz, że nie mogę tego zignorować.

– Możesz. Ignorowałeś to przez lata, skoro dopiero dzisiaj chciałeś ponownie poszukać tego scenariusza. A ona przez lata wiedziała i nie powiedziała nic. To chyba coś znaczy, nie sądzisz? Poza tym kto jej uwierzy w te bzdury? Scenariusza już nie ma. Został właśnie spalony na popiół. Co najwyżej stwierdzą, że oszalała, że wieloletnia, nieprzepracowana żałoba po rodzicach doprowadziła ją do obłądu.

– Mal... – próbował mi przerwać.

Uniosłam dłoń, która do tej pory leżała na jego torsie, i zakryłam mu usta.

– Umówmy się tak... – powiedziałam, patrząc mu prosto w coraz bardziej zdziwione oczy. – Jeśli zrobi cokolwiek, co zagrozi naszemu bezpieczeństwu, sama ją zabiję.

– Ty? Zabijesz człowieka...? – wymawiając te słowa, ugryzł mnie delikatnie w spód dłoni. – Chyba za bardzo nawdychałaś się dymu, jeśli myślisz, że się na to nabiorę.

– Sam mówiłeś, że przeszłam już inicjację.

Daniel westchnął, kręcąc głową.

– To jest nieuniknione – szepcząc to, ujął moją twarz w swoje ogromne łapska i przyłożył czoło do mojego. – Ale z chęcią zobaczę, jak to robisz. A będziesz musiała zrobić to prędzej, niż ci się wydaje.

Niespodziewanie pocałował mnie. Musnął swoimi chłodnymi wargami moje, przejechał językiem po dolnej części ust. Nie mogąc wyrwać głowy z uścisku jego dłoni, uderzyłam go pięścią w bok, trafiając dokładnie w ranę po zakłęciu Leny. Natychmiast mnie puścił, zgiął się wpół i zaklął pod nosem.

– Odwal się ode mnie! – krzyknęłam, odskakując od niego.

Zaciśnięte pięści trzymałam przed swoim nosem, gotowe do kolejnego ciosu. Daniel jednak nawet na mnie nie spojrzał. Podwinął koszulkę, aby po chwili zdjąć ją zupełnie. Kilka osób idących chodnikiem aż przystało na widok półnagiego olbrzyma z przykrytą opatrunkiem raną, która właśnie zaczęła krwawić, barwiąc białe bandaże na głęboki, czerwony odcień.

– To nie było warte zachodu... – odgryzł się.

Podszedł do samochodu i otworzył bagażnik, wyciągając z niego dużych rozmiarów apteczkę.

– Przydad się do czegoś i pomóż mi zmienić opatrunek – rozkazał poirytowany.

Niechętnie się do niego zbliżyłam. Otwierał pudło pełne bandaży, plastrów i samoprzylepnych opatrunków w różnych rozmiarach. Pod nimi leżało kilka słoików z różnokolorowymi maściami.

– Weź tę czarną – polecił, odklejając opatrunek. Z rany wyciekała krwawa maź, wymywając zasklepione już częściowo strupy. – Otwórz słoik i zaszmaruj całość.

– Czym mam ci to posmarować? – zapytałam zszokowana. Poszarpane boki rany przyprawiły mnie o mdłości.

– Jak to czym? Palcem!

Wzdrygnęłam się na samą myśl, że miałabym dotknąć tej krwawiącej dziury pod jego żebrami.

– A masz chociaż coś do zdezynfekowania rąk?

Podał mi małą buteleczkę spirytusu. Polałam nim dłonie, poparzone opuszki palców zapiekły mnie, a ręce na chwilę zdrętwiały. Strzepałam to odrętwienie, machając dłońmi w powietrzu, po czym nabrałam na palce gęstą maść o zapachu popiołu. Niepewnie spojrzałam na Daniela, lecz on tylko skinął na mnie głową, poganiając, gdy kolejni przechodnie, spłoszeni tym niecodziennym widokiem, przeszli na drugą stronę ulicy.

Przygryzłam wargę i zaczęłam delikatnie smarować krwawiące, poszarpane tkanki. Rana ciągnęła się od ostatniego żebra aż po kolec biodrowy. Głęboka na kilka milimetrów, mieniła się w zachodzącym słońcu odcieniami szkarłatu. Czarne maźnięcia maści koagulowały z krwią, tworząc coś, co przypominało magiczny strup. Jego porowata, czarnobrazowa skorupa miała metaliczny zapach. Gdy skończyłam, Daniel sam przykleił sobie nowy opatrunek i założył koszulkę.

– Nie rób tak więcej – powiedział stanowczo, podając mi kawałek bandaża. Wytarłam w niego ubrudzone od maści palce.

– Zgadzam się. – Kiwnęłam głową. – Nie rób tak więcej.

Gdy Daniel zamykał bagażnik, przedtem wrzuciwszy do niego moją torbę, wsiadłam do samochodu, sadowiąc się w fotelu kierowcy.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwił się, łapiąc za otwarte drzwi.

– Jeździsz jak wariat. – Wyciągnęłam rękę, prosząc tym gestem o kluczyki. – Ja prowadzę do domu.

– Ale my nie jedziemy do domu. – Złapał za moją wyciągniętą dłoń i jednym ruchem wyciągnął mnie z samochodu. – Siadaj na swoim miejscu!

– A więc gdzie jedziemy? – Zdezorientowana przesiadłam się na fotel pasażera.

– Jak to gdzie? Na spotkanie z twoim kochaniem.

Serce zabiło mi mocniej. Czy coś się zmieniło? Czyżby ta dramatyczna próba sił pomiędzy Julianem a Leną zakończyła się zupełnie bez mojego udziału, gdy byłam u Anki? Czy będę mogła w końcu paść mu w ramiona?

– Ale jak to?! – pisnęłam, nie panując nad swoim głosem. – To już?

– Nie podniecaj się tak – ostudził mnie, klepiąc po gołym kolanie. – Podróż trochę nam zajmie, a mamy po drodze do załatwienia jeszcze kilka spraw.

Daniel odpalił silnik. Odjeżdżając spod kamienicy Anki, obiecałam sobie, że zrobię wszystko, by nigdy więcej tu nie wrócić. Im dalej ode mnie, tym bezpieczniejsza była moja przyjaciółka. Pozostało mi

tylko zadbać o to, by Daniel sam nie powrócił pod ten adres, folgując swoim porywczym nastrojom. W głębi duszy wiedziałam, że z tą częścią zadania mógł mi pomóc tylko Julian.

Olbrzym skierował samochód w stronę Mokotowa. Jechaliśmy, nie odzywając się do siebie, każde wpatrzone w widoki skąpanych w ciepłym świetle warszawskich ulic. Zachód słońca malował chmury na kolor dojrzałych brzoskwiń, zwiastując suchą, spokojną noc. Daniel uchylił okno po swojej stronie. Samochód wypełnił się zapachem rozgrzanego asfaltu i oparów spalin, mieszając się z ziemistymi perfumami olbrzyma. Jego zapach drażnił mnie, szczypiąc nachalnie w nos.

Korzystając z chwili względnego spokoju, układałam w głowie wyszarpane z różnych stron części opowieści, która stawała się powoli moją rzeczywistością. Ktoś przygotował sztukę o Insolitach. Czemu chciał wyjawic tę tajemnicę? I dlaczego wszyscy przez to zginęli? Czy to Daniel podłożył ogień...? Czy zrobił to Julian...?

– Dlaczego podłożyłeś ogień w Narodowym? – Wypaliłam nagle, nie mogąc znieść tej niepewności.

– Trochę boli mnie to, że od razu zakładasz, że to ja – odpowiedział, cmokając.

– A myślę się?

– Nie, ale chyba rozumiesz, że to nie była moja decyzja? – Spojrzał na mnie i pokręcił głową. – Oni musieli zginąć, Mal. Weszli w posiadanie wiedzy, której zwykły człowiek nie powinien nigdy poznać.

– To po co daliście im ten scenariusz?

– To nie my – powiedział dość poważnie.

– Więc kto?

– Naprawdę myślisz, że nie mamy wrogów? – westchnął. – Formacje katolickie zawsze walczyły z Insolitami. Prześladowania czarownic to tylko jeden z przykładów.

– Kościół?! – prychnęłam. – Co Kościół ma z wami wspólnego?

– Oni po prostu nie mogą znieść myśli, że Jezus był jednym z nas. Wiesz, jak się nazwali? *Pax populo*, pokój ludziom. Ale to nie o ludzi im chodzi, tylko o władzę, którą moglibyśmy im odebrać – powiedział gorzko. – I to na ich sumieniach spoczywa odpowiedzialność za śmierć rodziców twojej psiapsi.

– Ale to tak nie może być! Ten scenariusz... Ta wasza walka, czy jak tego nie nazwać, to nie powód, żeby zabijać – odparłam oburzona. – To byli niewinni ludzie.

– Powiem ci, Mal, że znów mnie zaskoczyłaś. – Uniosłam brwi. – Podważyłem właśnie podstawy twojej wiary, kultury, w której się wychowałam, ale nie zrobiło to na tobie wrażenia.

– Ja nie wierzę. – Czemu on tego nie rozumiał? – Ale cenię sobie ludzkie życie.

– Tak myślałem. – Skrzywił się, jakby moje słowa miały gorzki posmak. – Wiesz, że córka reżysera i tak zginie?

Nie odpowiedziałam mu.

– Oni ginęli, giną i będą ginąć tak długo, jak Kościół nadal będzie nas prześladować. – Zignorował moje milczenie. – Pogódź się z tym. To trzeba wliczyć w koszty tej zimnej wojny.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Jakim trzeba być potworem, by z taką łatwością godzić się na śmierć niewinnych?

– Ludzie nie mają z tym nic wspólnego – powtórzyłam.

– Mylisz się. Kościół wciągnął was w tę rozgrywkę i używa jak mięsa armatniego. Myślisz, że im na was zależy? Gdyby tak było, nigdy nie podrzuciliby tego scenariusza ojcu tej twojej Anulki. Wiedzieli, że to może się tak skończyć, a jednak to zrobili. – Pogarda wylewała się z niego, kłując mnie w uszy. – To zdegenerowana instytucja z zaszłościami sięgającymi tysięcy lat, których nikt nigdy nie wyczyścił.

Daniel zatrzymał samochód, parkując jednym kołem na chodniku w zielonej, skąpanej w mroku wieczora okolicy. Stary Mokotów, stare kamienice. Dom pani Ireny. Nie rozumiałam, co tu robiliśmy.

– A teraz czas, żebyś zaskoczyła mnie ostatni raz dzisiejszego dnia. – Daniel wysiadł z samochodu i otworzył mi drzwi.

– Co my tu robimy? – zapytałam, nie chcąc wysiąść.

– Idziemy na spotkanie. Jesteśmy już spóźnieni.

Złapał mnie za ramię i na siłę wyciągnął z samochodu. Ruszył w stronę budynku, wszedł na schody, ciągnąc mnie za sobą. Siłą otworzył drzwi wejściowe, kopiąc je prawą nogą. Weszliśmy na klatkę schodową, nasze kroki odbijały się echem po kamiennej posadzce. Drzwi do mieszkania skrzyknęły, poddając się Danielowi bez walki.

Dwóch mężczyzn, bliźniacy o krótko obciętych blond włosach, ubrani w dżinsy i szare, przybrudzone koszulki, stało w korytarzu zniszczonego mieszkania pani Ireny jak dwa posągi pilnujące starożytnego skarbu. Mieszkanie było doszczętnie zdewastowane. Poprzewracane meble, porozbijane wazy, dziury wydrążone w ściankach pomiędzy pokojami, pozrywana klepka. Wszędzie walały się podarte ubrania, kawałki dywanów i firan. Wchodząc do środka, potknęłam się o połamane kawałki szuflad, wpadając w zaspę ubrań, leżącą w kącie przedpokoju. Daniel podniósł mnie, śmiejąc się pod nosem i kręcąc głową.

Gdy weszliśmy do pomieszczenia, które jeszcze kilka dni temu było salonem, a które teraz wyglądało jak po przejściu huraganu, zobaczyłam ją. Spojrzała na mnie rozszerzonymi źrenicami, po czym szybko odwróciła wzrok, wbijając go w zniszczoną podłogę. Siedziała na blacie przewróconego do góry nogami stołu, skulona, przerażona, trzęsła się, obejmując jedną z potężnych nóg stołu jak przestraszone dziecko przytulające się w poszukiwaniu otuchy do szmacianej lalki. Żyła, pomimo spływającej z jej czoła strużki krwi, pomimo przerażenia w starych, poszarzałych oczach. Żyła, choć dla jej własnego dobra, dla oszczędzenia jej terroru tych ostatnich chwil powinna była już dawno umrzeć.

Oparłam się o framugę drzwi, czując, jak braknie mi tchu. Olbrzym spojrzał na mnie, kręcąc głową, cmoknął dwa razy, po czym podszedł do staruszki.

– Dzień dobry, pani Ireno – przywitał się, kucając przy niej. Pomimo że widziałam tylko jego szerokie plecy, wiedziałam, że uśmiecha się do niej szeroko, pokazując garnitur swoich irytujących zębów. – Jak się pani dziś miewa?

Obrzuciła go oburzonym spojrzeniem, pełnym pretensji i złości, by po chwili znów utkwic wzrok we wzorach pozrywanych klepek.

– Nie jest pani dziś rozmowna. – Wyciągnął do niej rękę, chcąc dotknąć pukla siwych włosów, który uciekł z jej potarganego koczka. Cofnęła się, nie pozwalając na to. Wydawało mi się, że wyszczerzyła do niego zęby, wydając z siebie ciche syknięcie. To ostrzeżenie Daniel przyjął gromkim śmiechem. – W sumie to zawsze Grzegorz był tym bardziej elokwentnym, ale akurat dziś to pani musi się trochę postarać.

Nadal nie odpowiadała, przesuwając się powoli, milimetr po milimetrze coraz dalej od Daniela, na sam skraj blatu, aż pod ścianę, aż pod rozbite okno. Chłodny wieczorny wiatr rozwiewał jej wątle włosy, ocierał się o pomarszczoną skórę, roznosząc po pokoju zapach jej potu wymieszanego z krwią i kurzem. Żalowałam, że żyje, że musi przez to przechodzić. Żalowałam, że nie mogę jej pomóc. Żalowałam, że zastygłam bez ruchu, czekając jak niemy świadek na rozwój sytuacji.

– Gdzie jest punca? – Daniel był spokojny, mówił powoli.

Nie ruszył się z miejsca, nadal kucał na skraju przewróconego stołu, pomimo że pani Irena wcisnęła się już w róg pomiędzy ścianą a grzejnikiem. Nie wiem, co przerażało mnie bardziej, widok poturbowanej kobieciny, która czołgała się jak najdalej od olbrzyma, czy jego nienaturalny spokój, jak cisza przed burzą, jak ciemność przed błysnięciem pioruna.

Kobieta prychnęła.

– Spytaj swojego brata – odpowiedziała mu ochrypłym głosem. – On ją ma.

Zdziwiło mnie to kłamstwo na tyle, że uniosłam brwi, otwierając szeroko oczy.

– Pani Ireno, to nie jest możliwe. – Zastukał palcem w blat stołu. – Bo to Julian zlecił mi odnalezienie puncy. Dlatego zadam jeszcze raz to pytanie. Gdzie ją pani schowała?

– Nie mam jej – odchrząknęła i zakasłała. – On ją ma. I tylko on ma do niej prawo.

Daniel westchnął i wstał. Podszedł do staruszki, złapał ją za przedramiona i postawił na nogi.

– Wie pani, jak to się skończy?

Zadarła głowę, patrząc mu prosto w oczy. Jej maleńkie, uwiędłe ciało w rękach Daniela wyglądało jak miniaturowa lalka.

– Nie boję się śmierci.

– Ale powinna się pani bać tego, co nastąpi, zanim pani umrze. – Puścił ją i odwrócił się w moją stronę. – Mal! Zapraszam.

Nie ruszyłam się nawet o krok, więc podszedł i zaciągnął mnie siłą, stawiając naprzeciw pani Ireny, dosłownie centymetry od siebie.

– Jedna z was wie, gdzie jest punca – powiedział spokojnie, uśmiechając się. – Więc zrobimy tak. Każdą minutę milczenia pani Irena opłacać będzie bólem. Aż do skutku. Aż któraś z was pęknie.

– Daniel! – Cofnęłam się, jednak przytrzymał mnie, przywołując bliźniaków skinieniem głowy.

Mężczyźni podeszli do nas. Jeden z nich chwycił panią Irenę za ręce, wykręcając je za jej plecami. Drugi przytrzymał mnie za szyję i głowę, bym nie odwróciła wzroku od zgiętej w pół kobiety.

– Ona nic nie wie! – Staruszka wstawiła się za mną zachrypniętym głosem. – Zostaw ją w spokoju! Daniel się zaśmiał.

– Mało przekonywające, doprawdy, pani Ireno. Musicie się obie bardziej postarać. Czas start. Macie minutę.

Zapadła cisza przerywana chrapliwymi, płytkimi oddechami pani Ireny. Daniel chodził po zniszczonym pokoju, zwinnie omijając dziury w podłodze, krokami wybijał kolejne sekundy. Słowa staruszki, wypowiedziane zaledwie kilka dni wcześniej, odbijały się echem w mojej głowie. „Oddasz ją wyłącznie Julianowi”. Czemu wołała umrzeć, niż wydać mnie Danielowi? Czemu wołała oddać życie za kawałek kamienia?

Olbrzym zatrzymał się w końcu, gwałtownie się odwracając. Wwiercał się wzrokiem w moją twarz. Kiwnął głową w stronę bliźniaka, który trzymał panią Irenę za przedramiona. Chłopak puścił ją, by po chwili złapać za chudą dłoń staruszki i bez najmniejszego trudu wyłamał jej dwa palce. Kobieta zawyła i upadła na kolana. Łzy mieszały się z zaschniętą krwią, malując na jej policzkach przypadkowe wzory. Po mieszkaniu niósł się echem zbolewały, pełen bólu szloch.

Ukryłam głęboko w środku siebie wszystko, co czułam – strach, który przeradzał się w przerażenie, współczucie dla tej starej kobieciny, wstręt do Daniela, żal i wszystko inne – tak jak zwykłam to robić latami, chowając uczucia i potrzeby. Nie mogłam pozwolić olbrzymowi na to, by mnie złamał, nie mogłam pozwolić sobie pęknąć.

– Masz mi coś do powiedzenia? – Daniel podszedł do mnie bardzo blisko, wypowiadając te słowa wprost do mojego ucha.

Próbowałam się od niego odsunąć, jednak drugi z bliźniaków nadal przytrzymał mnie aż nazbyt mocno.

– Nie.

Słyszając moją zdawkową odpowiedź, pokręcił głową zrezygowany.

– Nie ułatwiasz mi tego – szepnął. – Chcesz, żeby ona cierpiała?

– Daniel, nie wiem, gdzie jest ta punca. Skąd miałabym wiedzieć?

– Byłaś tu. – Poglądził mnie po policzku. – Wiem to.

Zmierzyłam go wzrokiem. Zawodzenie pani Ireny rozdzierało mi serce.

– Byłam tu, to prawda. Ale ona odprawiła mnie z kwitkiem. Myślała, że jestem jedną z was.

– Kłamiesz. – Zamknął oczy. – Znów kłamiesz.

– Nie kłamię. Jak mam ci to udowodnić?

Westchnął, lecz po chwili spojrzął mi prosto w oczy, uśmiechając się. Cofnął się o kilka kroków i wyciągnął rękę w stronę bliźniaka stojącego za moimi plecami. Blondyn podał mu swój pistolet, wyciągnięty z kabury przy pasku, i odsunął się, ustępując miejsca olbrzymowi. Daniel odbezpieczył broń i włożył mi ją w dłoń. Stanął za mną i przykleił się do moich pleców.

– Strzelałaś kiedyś? – Ujął mój łokieć, drugą ręką przytrzymując dłoń z pistoletem i wycelował w udo pani Ireny.

Wzięłam głęboki wdech. Widząc tę scenę, olbrzym sterującego moim ciałem, pani Irena zamrugła dwa razy i zamilkła, ocierając zdrową ręką zabarwione na czerwono łyzy.

– Czy jeśli teraz strzelisz, wina będzie moja czy twoja? – zapytał, zmuszając moje palce, by dotknęły metalowego spustu.

– Twoja – odpowiedziałam drżącym głosem, czując, jak w kącikach oczu zbierają mi się łyzy. Czy tą makabryczną sceną udowadniał mi swój brak winy?

– Tak myślałem – powiedział, całując mnie w ucho. – A teraz, Mał, jeśli naprawdę nie wiesz, gdzie jest punca, strzel jej w udo.

Zastygłam, wpatrując się w umęczoną, przerażająco obojętną twarz staruszki. Kątem oka widziałam drobinki powietrza, tańczące w półmroku zdemolowanego mieszkania, niesione podmuchami wiatru. Słyszałam trzepot skrzydeł muchy, która wpadła przez rozbite okno, drobne machnięcia przeźroczyстых błonek, raz po razie. Czułam miarowe bicie serca Daniela, wybijające sekundy do spełnienia wyroku. Ciągnęły się w nieskończoność.

– Na co czekasz? – szepnął mi do ucha, trącąc nosem zagłębienie na mojej szyi.

Po policzku popłynęła mi jedna samotna łza.

– Nie becz! – krzyknął, sprowokowany widokiem tego słonego diamentu. – Nie rycz znowu! Dostyc tego! Jak chcesz zabić Lenę, skoro nie potrafisz strzelić do starej?

Odwrociłam się w jego stronę na tyle gwałtownie i niespodziewanie, że nie zdążył mnie przed tym powstrzymać. Trzymając pistolet na wysokości jego klatki piersiowej, przytknęłam mu lufę w miejscu, gdzie pulsowało jego diabelskie serce. Pokiwał głową z aprobatą.

– Ona nic nie zrobiła – powiedziałam powoli.

– Tak myślisz? Ukryła punce. Bez niej nasz plan nie ma szans powodzenia.

– Więc czemu chcesz ją zabić?! – krzyknęłam, uderzając lufą w jego tors.

– Kto mówi o zabijaniu? Masz jedynie strzelić jej w udo. To powinno skłonić ją do gadania. – Daniel uniósł brwi. – A więc, jaki jest werdykt? Albo ona coś powie, albo ty. Decyduj.

Odwrociłam się gwałtownie i skierowałam lufę pistoletu w stronę pani Ireny. Poczułam, jak Daniel odsuwa się ode mnie, równając się z jednym z bliźniaków. Staruszka spojrzała na mnie łagodnie, bez strachu. Była spokojna, tak jak spokojne bywają młode łanie z wielkiego lasu, stojące samotnie pośrodku pola, nie rozumiejąc, jakie konsekwencje niesie spotkanie z łowcą. Nieświadome, że już są martwe, choć ich ciała jeszcze nie zaznały pustki, wpatrują się w ludzkie oczy uzbrojonego mężczyzny, przeżuwać żdźbła trawy. Już ich nie ma, choć jeszcze oddychają. Ktoś wydał już na nie wyrok, wpisując daty w kalendarzu myśliwskim.

Huk, jaki wypełnił pomieszczenie, gdy palcem wskazującym nacisnęłam na spust, był niczym w porównaniu z krzykiem Daniela, który wydobył się z jego gardła, gdy zdał sobie sprawę z tego, co uczyniłam. Kula przebiła powietrze, gęste od nerwów oraz łez, i wbiła się prosto w serce staruszki, powodując obfity krwotok. Krew płynęła po jej przybrudzonej bluzce i podartej spódnicy, brudziła jej kolana i kostki, znikając pomiędzy klepkami. Kobieta łączywie polykała powietrze, osuwając się na ziemię. Ciało wiło się w konwulsjach, pozbywając się życia, umierające serce pompowało przez dziurę po pocisku resztki stygnącej krwi, nieczujące już palce dotykały zimnej skóry. Minuty mijały, konwulsje zamieniały się w drgawki, a potem w drżenia, by w końcu ciało zaniechało wszelkiego ruchu i zastygło na naszych okrągłych z osłupienia oczach. Daniel podbiegł do mnie i wyrwał mi pistolet z ręki.

– Coś ty narobiła?! – darł się jak opętany, wymachując bronią.

– Jaki to miało sens, żeby dalej ją męczyć? Ona i tak nic by nie powiedziała – odparłam zdziwiona swoim opanowaniem. Nic się przecież nie stało. Mózg nie zarejestrował zmian w otoczeniu. – A ty nie miałeś prawa jej torturować.

– A ty miałaś prawo ją zabić? – Kopnął jej martwe, choć jeszcze ciepłe zwłoki.

Nie odpowiedziałam, wpatrując się w pustą skorupę ciała swojej pierwszej ofiary.

*

Minuty mijały niepostrzeżenie, gdy Daniel ciskał się nadal, rzucając w ściany wszystkim, co tylko wpadło mu w ręce. Kawałki podłogi i połamane szuflady świstały, latając po pokoju, odbijały się od porzucanych mebli, kilka klepek wyleciało przez rozbite okno. Buczał przy tym, warczał i pokrzykiwał, wyrzucając z siebie obelgi, skierowane zarówno w moją stronę, jak i w ogół ludzkiej masy.

– Bezmózgi! Idioci! – sapał, kopiąc przewrócony kredens. – Wstyd mi, że od was pochodzę. Miernoty! Zabiła ją! Wariatka!

Bliźniacy patrzyli na to zupełnie obojętnie, obaj oparci o wyłamany parapet, jakby przywykli do widoku tego furiata, demolującego doszczętnie otaczającą go przestrzeń, czekając, aż skończy swój popis.

Powoli docierał do mnie sens zdarzeń, które do tej pory oglądałam tak, jak ogląda się film. Ten pistolet był prawdziwy. Kula wbiła się w serce bezpowrotnie. Krew wylała się z ciała raz na zawsze. Oszołomiona osunęłam się na ziemię, dokładnie tam, gdzie stałam. Nogi ugięły się pod mną i klapnęłam pośladkami na brudną podłogę, zachłystując się cząsteczkami kurzu, który wzniósł się w powietrze. Wzrok zawiesiłam na tężejącym ciele pani Ireny. Patrzyłam w jej otwarte, szare oczy, które coraz bardziej przypominały szkliste kulki. Zerkałam z przerażeniem na jej wygięte, połamane palce, zastygłe w nienaturalnej pozycji, na kałużę pośmiertnego moczu, który okalał ją aureolą kwaśnego odoru. Patrzyłam na martwe ciało pozbawione duszy, które z każdą minutą wytracało resztki ludzkiego ciepła. Ten chłód

przechodził na mnie, sprawiając, że drgawki targały moim ciałem. Przecież byliśmy połączone wspólną nicią życia i śmierci, ja, jej śmierć, ona, moja ofiara.

Moja ofiara – pobrzmiwało mi w głowie. Pierwsza śmierć, której byłem świadkiem, której byłem twórcą. Zrodzona z wyższej konieczności, niezaplanowana, nieoczywista, acz bezwzględnie konieczna. *Musiałam to zrobić* – tłumaczyłam sobie. Torturowaliby ją. Połamaliby jej wszystkie palce, ponacinaliby mniejsze żyły, pozwalaliby powoli się wykrwawiać, majaczyć, może nawet biliby ją i kopali. Mogła cierpieć godzinami czy dniami, kto wie? Po co miała znosić te męki? Przecież nie powiedziałyby nic, musiała chronić puncy, chroniąc przy okazji mnie.

Mózg racjonalizował każdą sekundę, każde słowo, każdy ruch, a w szczególności ten jeden, najważniejszy, a tak drobny. Zwykle naciśnięcie spustu, prosty ruch paliczków. A może to właśnie on był winny? Mój palec? Zdradził mnie, choć tak o niego dbałam, taki z niego przyjaciel! Zdecydował o tym sam, bo przecież nie ja. A może to nie był on, to nie palec był winny? Może to Daniel? Olbrzym zrodzony z ognia piekielnego, ten gorszy brat, którego odsunięto od należnego mu miejsca pierwородnego, oszalały z zazdrości. Chciał doprowadzić mnie do szaleństwa, zrobić ze mnie mordercę. *Tylko on wcale nie chciał, żebyś ją zabijała* – szeptał cichy głos w mojej głowie. Nie potrafiłam nawet zapłakać nad tym faktem.

Spojrzałam na olbrzyma. Cały czerwony na twarzy dyszał, opierając czoło o framugę drzwi prowadzących do kuchni. Kątem oka zauważyłam, że na niego patrzę. Potarł twarz rękami i podszedł do mnie. Usiadł na ziemi pomiędzy mną a tym, co zostało ze staruszki.

– Co ja mam teraz zrobić? – zapytał mnie szeptem.

– Zimno mi – odszepnęłam, a moje zęby obijały się o siebie, owładnięte lodową aurą, która zaczynała pochłaniać kolejne części ciała.

– Będzie ci zimno – mówił powoli, obserwując, jak targają mną coraz mocniejsze dreszcze. – A potem będzie ci gorąco. I znów zimno. To gorączka pierwszej śmierci. Będzie toczyć jad w twoją duszę, aż doprowadzi cię na skraj szaleństwa. Może przeżyjesz, a może nie. Kto to wie.

– Pomóż mi – wybełkotałam, ledwo panując nad ustami.

– Pomóc ci? – prychnął. – Dlaczego miałbym to zrobić? Sama to na siebie ściągnęłaś. Nikt przecież nie kazał ci jej zabijać!

Gdy mówił, chłód zdążył już opanować całe moje ciało. Nie czułam nic, oprócz przejmującego zimna, sama byłam tym lodem, sztywna jak trup, jak pani Irena. Zamarzła mi krew, zamarzła mi skóra, a szron obsypał moje sine usta. Daniel westchnął, pokręcił głową, wstał i przerzucił mnie przez ramię. Wszedł do zdemolowanej łazienki i ułożył moje skostniałe ciało w wannie, nie kłopotząc się tym, że nadal miałam na sobie sukienkę i sandały. Odkręcił kurek z czerwonym znacznikiem. Ze ściany, spod starawych płytek w drobne, niebieskawe wzorki, wydobył się głośny zgrzyt, za którym podążył szum napływającej do rur cieczy.

Woda, mimo że początkowo była co najwyżej lekko ciepła, szczypała mnie, potęgując drgawki. Z każdą chwilą coraz cieplejsze strumienie obmywały moje pośladki i biodra, sięgając coraz wyżej. Trzęsłam się, nie panując na ruchami. Ręce obijały się o ciało, odbijając się od brzegów wanny, piętami wybijałam nieregularny rytm, który niósł się po zdemolowanym mieszkaniu. Drgawki były tak silne, że przygryzłam sobie język. Krew zalała mi usta, a spływając kącikami na szyję i dekolt, barwiła wodę na bladoróżowo.

Daniel, zobaczywszy, że dławię się i krztuszę, złapał moją głowę w swoje wielkie ręce i przytrzymał mi ją, nie pozwalając, bym uderzyła się w emaliowaną powierzchnię starej, podniszczonej wanny. Woda sięgała mi już do piersi. Cienka, mokra sukienka przyklejona do skostniałego ciała nie skrywała już nic, obnażając krągłości ciała. Jęczałam z cierpienia, które pojawiała się przy każdym ruchu, zastanawiając się, czy to ból ciała promieniował na moją duszę, czy odwrotnie. Kłujące ciernie, dokładnie tyle, ile liter miało słowo Irena, wbijały się w duszę, a ta, chcąc uciec od tych męczarni, rozdzierała od środka mięśnie, kości i skórę.

Leżąc w wannie, ogarnięta lodową maligną, po raz pierwszy zwątpiłam. Czy miłość do Juliana była warta śmierci niewinnej kobiety? Czy była warta krwi, którą do końca życia miałam nosić na swoich rękach? Czy niepewne widmo wspólnego życia było wystarczające, by pozwolić mi decydować, kto ma umrzeć, a kto żyć? Zwątpiłam, wiedząc, że to już nie ma znaczenia. Nie mogłam zawrócić kuli, która utkwiała w prawej komorze serca, gdzieś blisko płuca. Nie mogłam cofnąć palca, który bez chwili zawahania dotknął spustu, zamieniając ruch w śmierć. Nie mogłam cofnąć swojej tak oczywistej odpowiedzi na pytanie, czy

życie staruszki było warte miłości, która owładnęła mną, spowijając cieniem moralność.

Martwe ciało leżące na podłodze potwierdzało mój wybór, definiując resztę dalszej egzystencji. Jedno pociągnięcie za spust zabrało ze sobą dwa życia, jej i moje. Kim przecież teraz byłam, jak nie zabójczynią, jedną z nich, Insolitów, skalanych śmiercią? Skończyła się historia Mal, kobiety pełnej rozterek, walczącej z sobą samą, niepewnej, pełnej lęku. Krew na rękach rozwiązała moje problemy, przenosząc na drugą stronę, do królestwa śmierci, gdzie liczyło się to, co pierwotne: ból, przeżycie, pożądanie. Widziałam to królestwo pod powiekami, gdzieś pomiędzy kolejnymi spazmami zimna, potęgowanego gorącymi liźnięciami wody.

*

Wyschnięta, czarna ziemia, doszczętnie spalona ostrym słońcem, parzyła mnie w gołe stopy. Bury krajobraz rozpaczy i nędzy, gdzie dwa grzechotniki toczyły zawziętą walkę na skalistych pagórkach, gdzie lasy co chwilę płonęły od nowa i gdzie Nadzieja i Ukojenie, w przybrudzonych, poszarpanych szatach, zostały ukrzyżowane głową w dół na pustynnych wydmach. Ten widok powitał mnie w Czarnym Królestwie, w domu Juliana.

Ponad tym wszystkim, na kamiennym wzgórzu, górował on, Kyrie, siedząc na tronie z osmalonych popiołem kości. Piękny jak zawsze, nagi jak zawsze, prężył mięśnie, przenikając rozlanymi źrenicami przestrzeń. Zamiast diamentów w swojej koronie miał oczy zmarłych zalane woskiem.

Podeszłam powoli, a ziemia syczała pod moimi stopami, przypalając skórę. Naga przeciskałam się pomiędzy równie obnażonymi ciałami kobiet i mężczyzn. Mruczeli melodię pełną smutku, pieśń żalobną na cześć kolejnej ludzkiej duszy, która zginęła za ich sprawę.

– Kyrie, to ja – wymknęło się z moich ust. To miejsce rządziło moimi wargami, sama bym przecież nie zawołała Juliana.

Kyrie spojrział na mnie, a widok mego ciała w szkarłatnych plamach świeżej krwi zaszklili mu oczy. Zakryłam się rękami, chcąc ukryć te krwawe blizny po mojej pierwszej ofierze. Nonsensowny gest, byłam przecież naga.

– Dlaczego? – zapytał mnie, podchodząc bliżej.

Stąpił delikatnie bosymi stopami po wypalanej ziemi. Zbliżał się, a ja skuliłam się w sobie ruchem, do którego zmuszało mnie coś z zewnątrz, mówiąc mi szeptem, niby do ucha: natychmiast pochyl swą głowę przed władcą tego świata.

– Dlaczego? – powtórzył, smukłymi palcami chwytając moje chude ramiona.

Nie rozumiałam, o co mnie pytał. Patrzyłam na niego oczami pełnymi miłości, wbrew krzykom wydzierającym się z gardła Insolitów. Nie patrz mu w oczy!

– Ty tu nie należysz – szeptał do mnie, a szmer jego głosu odbijał się echem po całej krainie Czarnego Królestwa.

– Jestem tu dla ciebie – protestowałam. – Zabiłam dla ciebie.

– Nie takiego życia dla ciebie chciałem.

Odwrocił się, a jego umięśnione plecy oddaliły się ode mnie, rzucając cień na moje serce. Usadził się na czarnym tronie i kiwnął głową w przestrzeń. Oni już wiedzieli, za ledwie skinieniem korony wydał im rozkaz. Krzyk tłumu narastał, pulsował mi w uszach. Złapali mnie mocno w swe kościste palce. Czułam ich ręce na gołych pośladkach, biodrach, kostkach i pod pachami. Podnieśli mnie w górę, nieśli mnie oni i jęk ich piekielny.

– Może nie chciałeś, lecz ja tak wybrałam! – krzyknęłam w jego stronę. Nie wiem, czy mnie usłyszał, gdyż straciłam go już z oczu.

Nim umilkł mój głos, poczułam, że stoję w płomieniach. Paliły się moje stopy, kolana, organy wewnętrzne, płonęły mi piersi i ręce. Chciałam krzyknąć, lecz język też płonął. Czułam, jak smakuje popiół, był gorzki i kwaśny. Nie widziałam tego ognia, a ręce Insolitów wciąż niosły mnie w niebyt. Zamknęłam oczy wypalone ogniem do cna.

*

– Mal, do cholery! – Daniel krzyczał prosto do moich uszu. – Mal, ocknij się!

Leżałam na ziemi, tuż obok wanny, w kałuży chłodnej już wody, która musiała się wylać, gdy mnie

wyjmował z tej wymuszonej kąpieli. Nie było mi już jednak zimno. Wewnętrzny ogień rozgrzewał mnie od środka, sprawiając, że chłód mokrych kafelków na skórze przyjemnie studził ciało.

Daniel klęczał przy mnie, uciskając o wiele za mocno okolice mostka. Był cały mokry, podkoszulek przykleił mu się do ciała, uwydatniając potężne mięśnie brzucha, a na czerwonawej twarzy malowało się przerażenie. Gdy zobaczył, że otwieram oczy, zaklął i puścił mnie, odsuwając się pod ścianę.

– Czarne Królestwo – szepnęłam, dysząc ciężko. Każdy kolejny łyk powietrza był dla mnie gehenną. – Julian...

– Majaczysz, dziewczyno. Przestałaś oddychać!

Ukrył twarz w dłoniach i jęknął. Co się działo? Czyżby on, to wściekle diablisko, bał się, że mogłam umrzeć? To nie miało sensu.

Próbowałam podeprzeć się na rękach, ale były zbyt słabe, by udźwignąć mój ciężar. Klatka piersiowa pulsowała tęnym bólem. Przetoczyłam się więc na bok i podpełzłam do olbrzyma. Ciało z łatwością ślizgnęło się po mokrej posadzce. Daniel spojrział na mnie, nie rozumiejąc tego ruchu.

– Ja to wybrałam. – Chwyciłam go za nogę. Nasz wzrok się spotkał, żadne z nas nie mrugało. – To się dokonało. Jestem teraz jego.

– Bredzisz, Mal. – Pokręcił głową i wstał, wyswobadzając nogę z mojego uścisku. Wychylił się z łazienki i machnięciem ręki przywołał do siebie jednego z bliźniaków. – Przynieście mi jakieś suche ubrania z samochodu. I jej torbę.

Torba. Wypuściłam z siebie powietrze. Nie, tylko nie torba.

– Mnie jest tak dobrze. Nie chcę się przebierać – powiedziałam szybko, tracąc przy tym oddech. Daniel, wykonując masaż serca, musiał chyba połamać mi żebra. – Jest mi gorąco.

– Nie bądź śmieszna, Mal. – Spojrział na mnie, prychnąwszy. – Nie będziesz ich szczuć tymi sterczącymi sutkami! Nie zasłużyli jeszcze na takie widoki.

Podszedł do wąskiej drewnianej szafki wciśniętej we wnękę nad toaletą. Otworzył ją i wyjął z niej dwa ręczniki. Jednym z nich cisnął we mnie, drugim zaczął wycierać swoje przedramiona. Ściągnął z siebie mokrą koszulkę. Uniósł brwi, widząc, że nie odwróciłam wzroku, i zaśmiał się zaskoczony. Powoli usiadłam, wycierając włosy i twarz. Ręcznik pachniał wieloletnią wilgocią i tanim proszkiem do prania. Spróbowałam znów wstać, moje ciało nadal jednak było zbyt słabe. Oparłam ręce o brzegi wypełnionej wodą wanny, ale zachwiałam się.

– Posiedź chwilę. – Daniel podszedł bliżej i zmusił mnie, bym wykonała jego rozkaz, usadzając mnie pod ścianą, jakby za karę za moje przewinienia. – Daj sobie trochę czasu. Nie oddychałaś przez ponad minutę.

Jeden z bliźniaków zapukał do drzwi. Olbrzym podszedł i uchylił je. W drzwiach pojawiły się dwie torby, moja i jego. Zaciśnęłam palce w pięści. Bez względu na to, jak bardzo byłam słaba, nie mogłam pozwolić olbrzymowi, żeby samodzielnie otworzył mój bagaż. Odepchnęłam się od ściany, sunąc pośladkami w stronę Daniela.

– Co ty wyprawiasz? Siedz tam, Mal! – krzyknął poirytowany, przesuwając się w głąb łazienki. – Wystarczy już dramatów na dzisiaj!

– Daj mi moją torbę, proszę. – Wyciągnęłam w jego stronę rękę.

– Poradzę sobie chyba! – prychnął. – Nie boję się kobiecych fatalaszków!

– Daniel... – jęknęłam, próbując ponownie wstać. Nogi nie wytrzymały i poleciałam wprost na olbrzyma. Daniel złapał mnie na wysokości żeber, zdążywszy wcześniej odrzucić torbę na wierzch zamkniętej kłapy od toalety.

– Czyś ty oszalała? – Podźwignął mnie i po raz kolejny usadził pod ścianą. Patrzył jak na nieposłusznego szczeniaka. – Co w ciebie wstąpiło? Siedz tu i nie ruszaj się nawet o milimetr. Zaraz wyciągnę ci jakieś suche ciuchy i pomogę się przebrać.

Odwrocił się do mnie plecami i, ku mojemu przerażeniu, złapał za zawieszkę przy suwaku, pociągając ją delikatnie w swoją stronę. Plastikowe ząbki ustąpiły mu aż nazbyt ochoczo, odkrywając przed nim czeluść mojej torby. Wsunął wielką dłoń do środka, delikatnie rozszerzając ścianki bagażu. Bez słowa przekładał kolejne części garderoby, wyjmując je i przyglądając się im w słabym świetle starej, łazienkowej jarzeniówki. Serce biło mi jak oszalałe.

– Danielu, to jest okej – powiedziałam, gdy wyciągnął szarą, bawełnianą sukienkę w prążki z długim

rękawem i półgolfem.

– A jakaś bielizna?

– Nie potrzebuję. – Wiedziałam, że tylko wizja mojej nagości może go odciągnąć od dalszego przeglądania zawartości bagażu. – Proszę, pomóż mi się przebrać.

Odcchrząknął głośno. Spoglądał raz na mnie, raz na torbę. Jego ręce trzymające suchą sukienkę zawisły w powietrzu. Przez chwilę miałam wrażenie, że chce coś powiedzieć, że zbiera słowa, odpuścił jednak i podszedł. Chwycił mnie pod pachami i pomógł mi wstać. Odetchnęłam z ulgą. Puncza ukryta na dnie torby była bezpieczna. Chociaż na jakiś czas.

– Podnieś ręce – nakazał, przerzucając szarą sukienkę przez swoje nagie ramię.

Satysfakcja, jaka malowała się na jego twarzy, gdy ściągał ze mnie mokrą sukienkę, sprawiła, że zapiekły mnie uszy. Uśmiechnął się, widząc, jak czerwienieję na twarzy, przeciągał ten moment, centymetr po centymetrze, powoli, delikatnie odkrywając kolejne kawałki mojego ciała.

– Czemu mi na to pozwalasz? – szepnął mi do ucha, gdy zdjął ze mnie przemoczoną sukienkę.

– Sama nie dam rady.

Nachylił się i objął mnie, by w kolejnej sekundzie jednym wprawnym ruchem rozpiąć mi zapięcie od biustonosza. Opuściłam wzrok, gdy odrzucił stanik na podłogę tuż obok moich stóp.

– A może w końcu zrozumiałaś, że opór nie ma sensu?

Ukucnął i zsunął ze mnie również majtki. Ubrana byłam teraz wyłącznie w rzemykowe sandały. Popieścił wierzch moich stóp opuszkami palców.

– Buty chyba zostawimy? – Spoglądając w górę błyszczącymi oczami, podziwiał krągłości sterczących ponad jego głową piersi i wypukłość sutków.

Skinęłam głową i sięgnęłam po sukienkę, przerzuconą przez jego ramię, jednak powstrzymał moją dłoń.

– Ja to zrobię. – Wstał i przełożył mi materiał przez głowę.

Chwilę później, gdy stałam ubrana, odszedł ode mnie i schylił się po bagaż. Szybkim ruchem położył swoją torbę na mojej i wyciągnął z niej czarne dżinsy i granatowy pleciony sweter z głębokim wycięciem oraz szeroką gazę z opatrunkiem i biały plaster samoprzylepny. Upewniając się, że patrzę, zsunął mokre spodnie, ukazując moim oczom uwypuklenie w obcisłych, wilgotnych bokserkach. Zerwał zamoczony opatrunek i rzucił go na kafelki, tam, gdzie chwilę wcześniej odłożył wszystkie moje rzeczy. Podszedł bliżej i podał mi świeżą gazę.

– Odwdzięczysz się?

Skinęłam głową, delikatnie przykładając opatrunek do rany na jego lewym boku. Gdy skończyłam i oddałam mu pozostałości plastra, pacnął mnie palcem po nosie.

– Nie to miałem na myśli – zaśmiał się, głaszcząc swoje podbrzusze. – Ale rozumiem, że jeszcze potrzebujesz trochę czasu, żeby się zregenerować.

Szybko wciągnął na siebie ubrania, a następnie zamknął obie torby i przerzucił je sobie przez plecy.

– Chodź. – Chwycił mnie w pasie, prowadząc do wyjścia z łazienki. – Idziemy stąd.

– Danielu, ale tam zostały nasze mokre rzeczy. I co z... – zawahałam się.

– Co z ciałem? – dokończył pytanie za mnie. Gdy kiwnęłam głową, uniósł brwi. – Chcesz się tym zająć? Ledwo stoisz na nogach.

– Nie możemy zostawić śladów. Ciało, nasze ubrania... – Na moje słowa zareagował gromkim śmiechem. – Odciski palców...

– Zaskakujesz mnie dzisiaj, Mal. Ale nie martw się, chłopcy zajmą się wszystkim i dołączą do nas, gdy w końcu znajdą puncę.

Westchnęłam, czując, że powieki ciąży mi niemiłosiernie. Ten dzień zdawał się nie mieć końca, a nie wiedziałam, jakie jeszcze niespodzianki czekają mnie w dalszej drodze. Gdy wychodziliśmy z kamienicy, na spowitej mrokiem ulicy panowała zupełna cisza, a z większości okien sęczyły się tylko poświaty nocnych lampek. Daniel pomógł mi usadowić się w fotelu pasażera i przypiął mnie pasami. Wrzucił nasze torby na tylne siedzenie, a sam usiadł za kierownicą.

– Może ruszymy rano? – zaproponowałam, mamrocząc ze zmęczenia. – Musisz być wykończony.

Pokręcił głową, odpalając silnik.

– Nie mamy tyle czasu. Musimy wyjechać z Warszawy przed zmierzchem.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział.

Warkot silnika utulił mnie do snu w kilka chwil, nie dając nawet możliwości, by wyciągnąć z Daniela jakiegokolwiek informacje.

Rozdział 11

Nemore znaczy więcej

Gęsta mgła spowijała bezbrzeżne pola. Samochód Daniela przecinał ją, pędząc z prędkością wartą mandatu. Jechaliśmy wąską drogą, oświetloną tylko światłami bmw, pokonując kolejne kilometry. Nie spałam już od kilku minut, jednak nie odzywałam się do olbrzyma. Chciałam najpierw pozbierać myśli, roztrzępane zbyt krótkim i niespokojnym snem. Cyfrowy zegar na masce rozdzielczej wskazywał wpół do trzeciej w nocy, co oznaczało, że byliśmy już w drodze od prawie czterech godzin.

Przedziwny spokój, jakiego nie zaznałam nigdy wcześniej, z każdą sekundą coraz bardziej rozlewał się po moim ciele, zastępując niespokojne urywki marzeń sennych. Wierząc się w niewygodnym fotelu samochodowym, stwierdziłam, że to opanowanie musiało być oznaką szaleństwa. Pozbawiło mnie tysiąca galopujących myśli, paraliżujących lęków oraz niekończących się gdybań i wątpliwości. Patrząc przez okno, z czystą przyjemnością zapadałam się w mijany przez nas mrok, w ducha mgły tulącej do siebie konary przemożnych lasów. Nie przychodziły już do mnie niepokój i niepewność – moi dwaj przyrodni bracia. Lata terapii, dogłębnej psychoanalizy i łykanych okazjonalnie benzodiazepin nie pomogły tak skutecznie, jak śmierć. Nie miało już znaczenia, czyja była to śmierć, moja czy jej, mojej ofiary, pani Ireny.

A może – myślałam sobie – moja dusza po prostu uciekła z ciała, zostając gdzieś tam, w Czarnym Królestwie, w piekle. Nazwijcie to, jak chcecie. Może byłam już tylko pustym naczyniem miękkich, biologicznych tkanek wypełnionych krwią? Może mój mózg nie przypominał już ludzkiego, a gdyby zrobiono mi rezonans, stwierdzono by obumarcie części układu limbicznego, orzekając: obiekt badań nie wykazuje możliwości odczuwania uczuć. Westchnęłam. To nie mogło być to, gdyż nadal czułam miłość do Juliana, nienawiść do Daniela i nadzieję, że wszystko, co zrobiłam, musiało mieć sens. Więc może chociaż część duszy jednak pozostała na swoim miejscu? Całość moich myśli poświęciłam Julianowi, próbując policzyć godziny, które dzieliły nas od siebie, żałując, że Daniel nie podał mi żadnych szczegółów dalszego planu.

– Nie śpisz już – odezwał się nagle olbrzym, nie odrywając wzroku od drogi. – To dobrze, niedługo będziemy.

– Gdzie będziemy? – Odwróciłam przy okazji głowę na tyle dyskretnie, na ile było to możliwe, by się upewnić, że moja torba nadal leży na tylnym siedzeniu.

– Monasterium zbiera się na mokradłach.

– Mokradłach?

– To takie bagna. – Wyszczrzył zęby, zadowolony ze swojej sarkastycznej uwagi.

Prychnęłam, kręcąc głową.

– Chodzi mi o dane geograficzne.

– Jesteśmy na granicy.

– Na granicy? – zapytałam, wzdychając. Był wyjątkowo irytujący.

– Z Białorusią... – zawahał się. – A może już z Litwą? Sam nie wiem dokładnie.

– Nie masz nawigacji?

Zaśmiał się, klepiąc mnie po kolanie.

– Tak, Mał, na pewno znajdziesz zebranie Monasterium na mapie. – Rzucił mi szybkie spojrzenie, po czym zmienił temat. – Jak się czujesz? Wyglądasz dużo lepiej.

– Skąd to nagle zainteresowanie moim samopoczuciem? – Zamrugłam zdziwiona.

– Wbrew pozorom zawsze miałem na uwadze twoje dobro.

Wybuchłam gromkim śmiechem, łapiąc się w tym czasie za głowę.

– Danielu, wytłumaczysz mi swoją definicję słowa „zawsze”?

– Nie różni się niczym od tej powszechnie znanej – odpowiedział chłodno, jakby moje zachowanie go uraziło.

– Tak więc mam rozumieć, że kiedy próbowałeś mnie zgwałcić na swojej kanapie, robiłeś to dla

mojego dobra?

Nie odpowiedział, poprawiając palce zaciśnięte na kierownicy. Nagle zwolnił, trochę zbyt gwałtownie przyciskając pedał hamulca. Jechaliśmy kilka kilometrów na godzinę, a on miał oczy utkwione we mnie albo w czymś, co skrywała ciemność za szybą po mojej prawej stronie. Zawahałam się, nie wiedząc, co się dzieje. Spojrzałam w tę samą stronę, jednak mrok i wszechobecna mgła uniemożliwiły dojrzenie jakichkolwiek szczegółów.

– To nie tak... – powiedział w końcu spokojnym głosem, po czym skręcił ostro w prawo, zjeżdżając z głównej drogi w ledwo widoczną ścieżkę prowadzącą w głąb ogromnego lasu.

– Nie tak? – prychnęłam. – Czyli kiedy próbowałeś zmusić mnie do torturowania niewinnej kobiety, to też było dla mojego dobra?

Próbował coś powiedzieć, jednak zanim wydusił z siebie jakikolwiek dźwięk, uciszyłam go, podnosząc otwartą dłoń do góry.

– Nie bądź śmieszny, Danielu. Oboje wiemy, że nasza relacja jest wyłącznie utylitarna. Ty potrzebujesz mnie, żebym zabiła Lenę, a ja potrzebuję ciebie, żeby dotrzeć do Juliana. Nie ma tu miejsca na patrzeć na czyjekolwiek dobro.

Westchnął i widocznie posmutniał, zagłębiwszy się w swoich myślach.

– Co z tobą? – zapytałam, nie dowierzając trochę tej nietypowej zmianie w jego charakterze.

Nie odpowiedział.

– Dobrze, czyli będziemy teraz milczeć. W sumie, może obojgu nam to wyjdzie na dobre.

Snuliśmy się dalej w ciszy, zgodnie z niemym życzeniem Daniela. Jechaliśmy ścieżką tak wyboistą, jak jego humory, na tyle wąską, że co jakiś czas ostre gałęzie sosen i świerków ocierały się o lakier samochodu. Szyszki wystrzeliwały spod kół, odbijając się głuchym dźwiękiem od podwozia. Utkwiłam wzrok w oświetlonej słabym światłem lamp bmw dróżce, która z każdym metrem ginęła, zacierając jakiegokolwiek ślady ludzkiego bytowania. Gdzie my jechaliśmy? Dlaczego pchaliśmy się z takim uporem w tę czerń, w ten bezmiar starodrzewów, coraz bardziej grzęznąc w wilgotnej ziemi?

– To musiało się wydarzyć – powiedział niespodziewanie, przycinając ciszę rozważnie dobieieranymi słowami. – To wszystko było potrzebne, żeby oderwać cię od tamtego świata. Nie było innego wyjścia.

Uniosłam brwi, przenosząc wzrok na Daniela.

– Słucham? – Zupełnie nie rozumiałam, o co mu chodziło. – Co przez to rozumiesz?

– Teraz nie masz już powrotu, wiesz o tym? Z krwią na rękach, chcąc nie chcąc, jesteś już jak my.

– Nic nie rozumiem, Danielu. – Pokręciłam głową coraz bardziej zdenerwowana. – Ja się na to wszystko sama zgodziłam. Nie potrzebowałam żadnych sposobów na oderwanie mnie od tamtej rzeczywistości, ponieważ Julian zrobił to wystarczająco dobrze, pozwalając, świadomie czy nie, bym się w nim zakochała.

– A jednak, gdy coś ci się nie spodobało, uciekłaś do córki reżysera.

– A gdzie indziej miałam pójść?! – krzyknęłam, wałąc ręką w deskę rozdzielczą. – Próbowałeś mnie zgwałcić, a potem zostawiłeś bez słowa i zamknąłeś za sobą drzwi.

– Miałas to przemyśleć – odpowiedział mi spokojnie, przewracając przy tym oczami. – A nie uciekać do ludzi. Szczególnie do takich ludzi.

– Do jakich ludzi, przepraszam? Do mojej przyjaciółki? Masz chyba problem z niewinnością! – krzyczałam na niego, wylewając pokłady irytacji, jaką we mnie wzbudzał, nawet gdy milczał. – Anka nic nie zrobiła, jest niewinna! Tak samo jak niewinna była pani Irena. I wiesz, co ci powiem? Że życiem żadnej z nich nie powinienes szastać w tak bezduszny sposób!

Uśmiechnął się pod nosem i wziął głęboki wdech.

– Bezduszny, powiadasz?

– Tak, Danielu, bezduszny. Wydajesz wyroki śmierci na ludzi, których nie znasz. I którzy w niczym nie zawinili.

Daniel zatrzymał samochód, śmiejąc się pod nosem. Rzucalam w niego wściekłymi spojrzeniami, które tylko coraz mocniej go bawiły.

– A więc to ja wydaję wyroki?

Zamrugalam, zdezorientowana.

– Tak – odpowiedziałam już trochę mniej pewnie. – Przecież i tak na końcu tych tortur zabiłbyś panią

Irenę. Ja tylko uchroniłam ją od cierpienia, które chciałeś jej po drodze zafundować.

– O, łaskawa pani! – ryknął na mnie, wznosząc ręce nad głowę w geście modlitwy. – Tylko problem jest w tym, że ona nigdy nie miała zginąć. Miałas ją tylko torturować, tak aby wycisnąć z niej prawdę. Nie było mowy o zabijaniu.

– Nie mówisz prawdy – zachnęłam się. – Gardziłeś nią, widziałam to. A do tego była człowiekiem znającym wasze tajemnice.

– I dzięki tobie jednej z tych tajemnic już nie poznamy – uciął gorzko mój wywód.

Zamilkłam na chwilę, próbując uspokoić oddech.

– Po co ci ta punca? – zapytałam go, gdy ponownie ruszyliśmy, snując się powoli w głąb lasu. – Co to za magiczne narzędzie?

– Ano widzisz, Mal, punca właśnie jest magiczna. Potęguje moc każdego Insolity do tego stopnia, że mógłby się mierzyć z Julianem. A może nawet go pokonać.

Serce zabiło mi mocniej.

– Czyli powinna zostać w ukryciu, tak jak teraz – szepnęłam.

– Mylisz się. Powinna trafić w ręce Juliana. Bez niej ciężko będzie mu pokonać Lenę.

Lena. W momencie, gdy wymówił jej imię, oświeciło mnie, a skrawki wyszarpywanych informacji złożyły się w całość. Poczułam, jak uderza mnie fala gorąca, zalewając policzki rumieńcem. Palila mnie w uszy i świerbiła w palce. Lena szukała puncy. Lena szukała puncy z Danielem. Daniel pomagał Lenie. Daniel grał na dwa fronty.

– Ty żmijo! – krzyknęłam, okładając go na oślep pięściami. – Ty wredna poczwaro!

Zahamował znów i wyłączył silnik, spokojnie przyjmując przy tym moje ciosy.

– O co ci teraz chodzi? – zapytał, wzdychając.

– Zdradziłeś go! Szukałeś tej puncy dla niej! – wrzeszczałam, a mimowolne łzy, pełne złości i rozgoryczenia, spływały mi po policzkach. – Chcesz zabić Juliana, tak samo jak ona! A on ci ufał! Ja ci ufałam!

Uśmiechnął się smutno, po czym delikatnie złapał mnie za nadgarstki, powstrzymując pięści, które raz po raz uderzały go w ramiona i tors. Zbliżył je do swojej twarzy i przycisnął do ust, całując moje knykcie długimi, miękkimi pocałunkami.

– Nie zdradziłem Juliana – odpowiedział spokojnie, patrząc mi w oczy. – Tylko Lenę. Dziewczyna jest przekonana, że jej pomagam. Dzięki temu wiem, co zamierza.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! – Wyrwałam ręce z jego dłoni, rozcierając skórę, którą całował. – Równie dobrze możesz mnie teraz okłamywać.

– Mal... – jęknął, ukrywając twarz w swoich rękach. – Czy ty myślisz, że gdybym rzeczywiście chciał zabić mojego brata, bawiłbym się w to całe niańczenie ciebie przez ostatnie godziny? Myślisz, że wciągałbym cię w tę niebezpieczną grę tylko po to, żebyś patrzyła, jak on ginie?

– Więc po co tu jestem? – zapytałam, ocierając łzy.

– Jesteś elementem zaskoczenia.

– Dla kogo?

– Dla Leny, a dla kogo innego? – Daniel pokręcił głową, jakbym pytała o oczywistości. – Omawialiśmy to przecież.

– Ale gdybyś znalazł puncę, zaskoczenie nie byłoby ci potrzebne.

– Po pierwsze, gdyby Lena znalazła puncę – doprecyzował. – Pamiętaj, że to ona jej szukała, a nie ja. Bliźniaki weszły do mieszkania pani Ireny kilka godzin po tym, jak Lena ewakuowała się z Warszawy. A po drugie, mylisz się. Jeśli Lena dotarłaby do puncy jako pierwsza, wtedy ktoś musiałby wykraść jej naszą zgubę. A Ciebie jedynej nikt się tam nie spodziewa.

– A co teraz zamierzasz? – dopytywałam. – Przecież nadal jej nie mamy.

Daniel przygryzł wargę, zerkając na mnie spod przymrużonych powiek.

– Mówiłem ci, wykorzystamy element zaskoczenia. Obejmuje on odpowiedni moment, ciebie, sztylet i plecy Leny.

Skrzywiłam się na samą myśl, że miałabym zbliżyć się do tej kobiety i dźgnąć ją w plecy. W myślach dziękowałam pani Irenie, że jej podarunek ocali mnie przed tym zadaniem.

– Skąd ta kwaśna mina? Wiemy już, że nie masz problemu z zabiciem człowieka. A wręcz jesteś

nader wyrywna. – Zaśmiał się.

– Mam z tym problem, Danielu – stwierdziłam ostro. – Co nie wyklucza możliwości, że jeśli tego będzie wymagać sytuacja, to znów to zrobię.

Olbrzym poklepał mnie po raz kolejny po kolanie, nie zważając na moje protesty, po czym odpalił silnik i ruszyliśmy dalej. Przez emocje, które mną targały, nie zauważyłam, że wąski przesmyk, którym samochód przedzierał się przez las, powoli zamieniał się w omszałą polanę. Wściekle odgłosy mieszkańców lasu, pohukiwania sów i ostrzegawcze wycie wilków odcinały się od warkotu silnika, protestując przeciwko naszej ingerencji w ich świat. Czerwone oczy błyskały w mroku, niczym złowrogie ogniki, znikając nagle, gdy tylko napotkały mój wzrok. Miałam wrażenie, że nas śledzą, a ich nagłe ruchy wśród ciemnych gałęzi przyprawiały mnie o szybsze bicie serca.

– Danielu... – szepnęłam zaniepokojona, jednak nie było mi dane dokończyć zdania.

Mój własny krótki, urywany krzyk zaskoczył nas oboje, gdy na naszej drodze niespodziewanie stanął ogromnych rozmiarów jeleni w ciemnorudej sukni z gęstego futra. Jego błyszczące oczy odbijały światła samochodu, gdy kręcił potężnym łbem. Prezentował nam swoje imponujące poroże, po osiem wijących się odrostków, które niczym dzikie rzeźby z jeleniej kości koronowały go, wznosząc na piedestał wśród zwierząt, jakby mówiły: oto on, dostojny szesnastak, najprawdziwszy król lasu. Tym nagłym pojawieniem się na naszej drodze wymusił, by bmw już po raz trzeci natychmiast stanęło w miejscu. Daniel zaśmiał się pod nosem i skinął mu głową. Jeleń wpatrywał się w olbrzyma, wydając z siebie gardłowe szczeknięcia i chrapliwe pomruki, przestępując przy tym z nogi na nogę. Po chwili zamarł w bezruchu, by powoli, z czystą premedytacją wskazać nam swym dostojnym łbem miejsce po naszej lewej, zakątek wśród drzew, aż nadto idealny, by pozostawić tam samochód.

– Czy ten jeleni właśnie zasugerował nam parking? – nie dowierzałam, choć odpowiedzi na to pytanie mogłam się domyślić.

– Jeszcze dziwią cię takie rzeczy? – Olbrzym odpowiedział mi pytaniem na pytanie, po czym uruchomił na powrót silnik i powoli podjechał we wskazane miejsce, parkując bmw wśród krzewów kosodrzewiny.

– Pytasz się, czy robi na mnie wrażenie to, że jeleni robi za parkingowego? Odpowiem ci, Danielu, że tak, robi to na mnie wrażenie. I sprawia, że zaczynam wątpić w swoją poczytalność.

Daniel pokręcił głową i zacmokał, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

– To nie jest byle jaki jeleni. To Olen, wychowanek Juliana.

Zaśmiałam się, uznając to za świetny żart w tej absurdalnej sytuacji. Olbrzym, widząc to, dodał:

– Nie żartuję.

– Ale jak to? – odparłam w zdumieniu.

– Julian zawsze miał niezwykły wpływ na zwierzęta. Od najmłodszych lat lgnęły do niego, wręcz nie mógł się od nich opędzić.

Uśmiechnęłam się, wspominając widok Juliana otoczonego przez wszystkie, nawet te najdziksze koty mojej matki, ocierające się o jego nogi, mrużące nachalnie, gdy tylko wyciągał do nich ręce.

– Janik zawsze powtarzał, że jest w nim więcej dzikości, niż się wszystkim wydaje, i że zwierzęta to czują. Ta dzikość ich przyciąga. – Westchnął, a ja miałam wrażenie, że trochę zazdrośnie. – Kilka lat temu, gdy Olen był jeszcze cielęciem, znaleźliśmy go przy głównej drodze, potrąconego przez samochód. Akurat przejeżdżaliśmy niedaleko, szukając miejsca dla Monasterium. Był na granicy życia i śmierci. Chciałem go dobić, ale Julian zaprotestował. Zabrał go do lasu i opatrzył, a mnie odprawił w celu dalszych poszukiwań. Nie wierzyłem, że ten zwierz przeżyje, miał połamane dwie nogi, obity bok, zakładałem jakiś krwotok wewnętrzny. Julian jednak spędzał przy nim długie dni, zaszył się tutaj i praktycznie nie wracał do cywilizacji. Trwało to tygodniami. Przyjeżdżałem do niego raz na kilka dni, dowoziłem mu jedzenie i leki dla jelenia. Pewnego dnia, gdy przedzierałem się przez zarośla, niosąc ze sobą rzeczy dla tych dwóch, Julian nie wyszedł mi na powitanie, jak zwykł to robić, gdy słyszał, że się zbliżam. Zrobił to właśnie Olen, jeszcze kulejąc, ale coraz pewniej stąpając po polanie, w pobliżu której Julian zbił im prowizoryczny szałas. Wyobrazasz sobie moje zdziwienie, gdy stanął przede mną tak samo jak teraz? Było to dla mnie niepojęte, jak w tak krótkim czasie Julian zdołał przyuczyć dzikie zwierzę do spełniania jego życzeń.

Daniel przerwał swoją opowieść, gdyż jeleni wydał z siebie chrapliwe odgłosy – czyżby ponaglał nas do wyjścia? Olbrzym zaśmiał się, otworzył drzwi od samochodu i wysiadł. Pomachał do mnie, bym podążyła

za nim. Sięgnęłam do tyłu po moją torbę i powoli, zerkając w stronę jelenia, który przyglądał mi się z ciekawością, wyłoniłam się z samochodu, zarzucając sobie bagaż na plecy.

– Byłem równie zaskoczony jak ty, gdy jeleni skinał mi głową na powitanie niczym człowiek w przebraniu, a później poprowadził do Juliana, drzemiącego pod jedną z sosen – kontynuował swoją opowieść, wyjmując plecak z bagażnika. – Julian przebudził się i wraz ze swoim jelenim towarzyszem zaprowadzili mnie tam, gdzie niedługo się udamy. Powiedział mi wtedy, że to niezwykle miejsce, które rezonuje mocą, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. Już kilka chwil spędzonych na Nemore, tak nazwał tę polanę, wystarczyło, abym też to poczuł. – Uśmiechnął się smutno, podchodząc do mnie. – Oddaj mi telefon – zmienił temat, a cały czar jego opowieści rozplątał się pomiędzy gałęziami drzew.

Przygryzłam wargę, przestępując z nogi na nogę.

– Jaki telefon? – zachnęłam się.

– Ten, który mi ukradł.

Zamrugałam kilkukrotnie. Rzeczywiście, smartfon Daniela nadal spoczywał w moim bagażu. Położyłam torbę na masce samochodu i delikatnie odsunęłam boczną kieszeń, wyjmując z niej telefon. Olbrzym wziął go do ręki, pokręcił głową z dezaprobatą i obszedł mnie, by wrzucić aparat na tylne siedzenie samochodu. Palcem wskazał na moje stopy, po czym sam zdjął buty i skarpetki.

– Co ty robisz? – zapytałam, wpatrując się, jak jego bosa stopy zatapiają się w mokrej, wyjeżdżonej przez koła samochodu ziemi. Poruszał palcami, jakby dotyk chłodnego podłoża sprawiał mu przyjemność. Mruknął nawet, lecz chwilę później spoważniał.

– Zdejmuj te sandały – nakazał trochę zniecierpliwiony, wrzucając swoje obuwie do plecaka.

– Nie ma mowy! – zaprotestowałam, cofając się o krok. – Jest za zimno!

– On cię nie wpuści dalej. – Wskazał na jelenia, który obserwował naszą rozmowę z dystansu. – To dla nas święta ziemia. W ten sposób okazujemy jej szacunek. – Widząc, że się krzywię, dodał: – Poza tym niedługo zapomnisz, że jesteś bosa. Potraktuj to jako nowe doświadczenie.

Zaczynałam się przyzwyczajać do bezwzględności niektórych próśb Daniela, wzięłam więc głęboki oddech, powoli zdejmując najpierw prawy, a potem lewy sandał. Stopy zapadły mi się w lepka ziemię. Przyklejała mi się do pięt i dużego palucha, wchodziła między mniejsze palce. Pochłaniała moje stopy zimnym chwytem, utrudniając ruchy przy każdej próbie poderwania stopy ku niebu. Pierwotne uczucie. Ziemia miała zapach wilgoci, torfu i leśnych ziół. Niespodziewany dreszcz przeszedł mi po plecach. Nie wiedziałam, czy to chłód podłoża, czy ten zapach były przyczynkiem dla takiej reakcji.

– Nie martw się, na mchu będzie trochę lepiej. – Daniel uśmiechnął się do mnie, widząc moją reakcję, i delikatnie pogłaskał moje ramię.

– Co ty wyprawiasz? – Odrzuciłam jego rękę, jednak on zignorował ten gest. Złapał mnie za dłoń i pociągnął za sobą w stronę jelenia.

– Chodź już – powiedział, wplatając swoje długie palce w moje.

W co on pogrywał? Przez chwilę szarpałam się z nim, próbując oswobodzić rękę, jednak odpuściłam, widząc, że mi nie ustąpi. Przeciwnie, wzmocnił uścisk, patrząc mi przy tym prosto w oczy. Ruszyliśmy szybkim krokiem przed siebie, bosy, złączeni wymuszonym uściskiem dłoni, a jeleni prowadził nas w ciemność lasu niewydeptanymi ścieżkami.

– Snuliśmy teorie, z czego to wynika, ta kumulacja mocy. – Daniel powrócił do swojej opowieści, teraz mówił jednak ledwo słyszalnym szeptem. – Po paru miesiącach stało się dla nas jasne, że jest to kwestia bliskości niczym niezakłóconej natury. Natury ukrytej daleko od cywilizacji i zgiełku, gdzie energia mogła swobodnie przepływać przez ziemię, wodę i konary, oddając nam w podziękowaniu tę delikatną wibrację, dodatkową moc, z której możemy tu korzystać. Dlatego postanowiliśmy, że nie będziemy w to ingerować. Nemore było, jest i będzie miejscem dziewiczym. Żadnych technologii, elektryczności, telefonów, głośników, a nawet ani jednego odcisku ludzkiego buta.

– Tak, to już wiem – odpowiedziałam, powłócząc bosymi stopami po mokrej i zimnej ziemi.

– To już wiesz – powtórzył za mną, uśmiechając się.

Jeleni prowadził nas w głąbię nieskończonego lasu. Daniel nie kłamał, mówiąc, że jedziemy na mokradła. Podłoże robiło się coraz bardziej grząskie, kilkukrotnie moje stopy zapadły się w rozwodnionej ziemi aż po kostki, utrudniając mi poruszanie i dotrzymanie moim towarzyszom kroku. Po kolejnym razie, gdy noga utknęła mi w błocie po samo kolano, jęknęłam i zatrzymałam się na chwilę.

– Co się dzieje? – Odwrócił się, nie puszczać mojej ręki.

– Znow ugrzęzłam. Tylko teraz nie mogę wyciągnąć nogi.

Daniel zbliżył się do mnie, uwalniając w końcu moją dłoń z przymusowego uścisku. Ukłął tuż przy mojej nodze, brudząc sobie przy tym spodnie, po czym zaczął odsuwać rękami grudy ziemi, które pojmały mnie w niewolę. Kilka szybkich ruchów jego wielkich łap, a ziemia ustąpiła. Daniel chwycił moją kostkę i wyciągnął nogę z błota.

– Idź po moich śladach – nakazał, otrzepując dłonie, po czym wytarł je w spodnie.

Stapałam więc za nim, starając się stawiać stopy tam, gdzie on. Nie było to łatwe: krok miał zamasyisty, jak na olbrzyma przystało, musiałam więc przeskakiwać, by trafić w jego ślady.

– Możesz robić mniejsze kroki? – poprosiłam, gdy sięgnął po moją dłoń. – I czy możesz mnie puścić? Przecież nigdzie nie ucieknę.

– Tak – odpowiedział, zwalniając trochę kroku. – I nie. – Zaciśnął palce wokół mojej dłoni.

– Dlaczego nie? – westchnęłam zrezygnowana.

– Lubię cię trzymać za rękę – odparł szeptem. – To mnie uspokaja.

Stanełam, otwierając szeroko oczy. Daniel szarpnął mnie, prawie wyrwijając mi ramię z barku, nie zauważywszy, że się zatrzymałam.

– Znow grząsko? – Odwrócił się, zdziwiony nagłym postojem.

– Nie! – prawie krzyknęłam, poirytowana jego gierkami.

– To o co chodzi? – Uniósł brwi.

– Trzymanie mnie za rękę cię uspokaja? – Daniel uśmiechnął się i nie odpowiedział. – Czy ty masz jakieś rozdwojenie jaźni? Odczep się wreszcie ode mnie, rozumiesz?

– Rozumiem.

Wątpiłam w to, gdyż nadal nie puścił mojej ręki.

– A teraz już chodź. Jeszcze trochę drogi przed nami.

Dogoniliśmy Olena, który spokojnym, dostojnym krokiem pokonywał kolejne metry lasu, kontynuując nasz nocny marsz w ciszy. W środku kipiałam ze złości, a ciągły dotyk skóry Daniela na mojej dłoni tylko potęgował to uczucie. Po co i dlaczego mi to robił? Wydawało mi się, że dość wyraźnie dałam mu do zrozumienia, na czym polega nasza relacja. Co za drań... Wciągnęłam w płuca chłodne, leśne powietrze.

Julian – pomyślałam – *myśl wyłącznie o Julianie*. Przed oczami stanęły mi głębokie, ciemne oczy mojego ukochanego i czarna burza włosów, okalająca twarz. Pograżyłam się w tej wizji, czując na koniuszku języka smak jego ust. Nie trwało to jednak długo. Pokrzywy szczypały mnie w gołe łydki i kolana, niskie gałęzie sosen i świerków drapały po rękach, wyrwijając z zamyślenia. Ignorowałam te niedogodności, skupiając się raz po raz na moim Despocie, to do niego dążyłam tą ciemną nocą.

Jeleń prowadzący nas do tej pory różnym tempem, niespodziewanie zatrzymał się, wydając z siebie gardłowy pomruk.

– Co się stało? – zapytałam, jednak gdy spojrzałam przed siebie, nie potrzebowałam już wyjaśnień.

Przed nami leżało ogromne, zwalone drzewo, sięgające mi głowy, długie na kilkanaście metrów. Jeleń cofnął się, po czym z rozbiegu wskoczył na konar, a później przeskoczył zgrabnie na drugą stronę. Drugi pomruk Olena zrozumiałam już sama: teraz nasza kolej. Daniel bez słowa przyciągnął mnie do siebie, po czym złapał obiema rękami w tali i podniósł bez trudu, przez chwilę przytrzymując na wysokości swojej twarzy. Wpatrywał się w moje oczy nieprzeniknionym spojrzeniem, tak nachalnym, że aż odwróciłam wzrok. Usadził mnie na czubku zwanego drzewa jak lalkę. Przerzuciłam jedną z nóg przez konar, siadając okrakiem. Twarda kora kłuła mnie w pośladki i uda. Spojrzałam w dół. Wysoko. Trochę za wysoko jak dla mnie.

– Tylko nie skacz sama, bo coś sobie zrobisz – szepnął olbrzym, podciągając się, by wejść na czubek kłody. Usiadł koło mnie, zacmokał, tak jak cmoka się na konia, i zgrabnie przeskoczył na drugą stronę. Stanął i wyciągnął do mnie ręce. – Teraz chodź.

Skinęłam głową, pozwalając mu, by sięgnął po mnie i ściągnął z przeszkody. Jego dłonie delikatnie przejechały po moich udach i kościach biodrowych, szukając talii. Ścisnął mnie mocniej, gdy zawisłam w powietrzu, niesiona siłą jego mięśni. Spojrzałam w dół, prosto w jego oczy. Dostrzegłam spojrzenie, jakiego wcześniej u niego nie widziałam. Czyżby to troska? Aż zmarszczyłam brwi, gdy stawiał mnie na

ziemi.

– Daleko jeszcze? – zapytałam, gdy zauważyłam, że moja sukienka rozerwała się już doszczętnie, ujawniając biodro i pośladek.

– Ja już cię nago widziałem, więc mną się nie przejmuj – odparł, spoglądając na krągłości mojej obnażonej pupy. – Myślę, że Olenowi też to nie przeszkadza.

– Bardzo śmieszne. – Popchnęłam go, by ruszył, zamiast się na mnie gapić. – A teraz odpowiesz na moje pytanie?

– Już niedaleko – powiedział, niechętnie odrywając ode mnie wzrok. – Zatrzymamy się zaraz w kryjówce Juliana, a jutro o zmierzchu ruszymy na spotkanie Monasterium.

– Ale jak to? Nie idziemy tam od razu? – Zamrugałam kilka razy.

– Nie, Mał. Monasterium zbiera się jutro. A ty potrzebujesz odpoczynku. Przypominam, że przez chwilę byłaś po drugiej stronie.

Jęknęłam, ciągnięta przez Daniela, który uparcie trzymał mnie za rękę i prowadził przez mroki gęstego lasu. Kolejna noc z olbrzymem, kolejna noc bez Juliana. Tak bardzo chciałam zamienić tę kolejność, pozbyć się niestosownych spojrzeń i uwag Daniela, zastąpić je delikatnym dotykiem gorących ust mojego ukochanego. Zamyślona nie zauważyłam, że krajobraz wokół nas zaczął się zmieniać, a do moich uszu dobiegał nowy dźwięk. Plusk wody odbijał się dziwnym echem po okolicy.

– Przecież w lesie nie ma echa – wypaliłam, zupełnie nieświadomie wypowiadając te słowa na głos.

– Gratuluję spostrzegawczości – skomentował kąśliwie olbrzym.

Las rozstał się jednak, a my wkroczyliśmy na zieloną polanę, którą rozległa rzeka dzieliła na dwie części. Woda płynęła wartkim nurtem, a prowadziło do niej kamieniste, dość strome zejście. Tuż przy jednym brzegu, niestety tym po przeciwnej stronie, zauważyłam wejście do czegoś, co przypominało norę czy małą jaskinię. Teren wznosił się tam, kryjąc pod spodem tajemnicę. Czy to była ta kryjówka, o której wspominał Daniel?

Jeleń zatrzymał się przy rzece, rozglądając się niespokojnie. Daniel puścił moją dłoń, przeciągnął się, po czym zdjął swój plecak, a potem także spodnie, bluzę i koszulkę. Opatrunek na boku jego torsu przesiąknięty był już czarną mazią. Zdarł go szybkim ruchem i położył na plecaku. Odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć, gdy zsuwał z siebie bokserki, przygryzając przy tym dolną wargę. Szybko wsunął zdjęte ubrania i brudny opatrunek do jednej z kieszeni swojego bagażu i ruszył naprzód zupełnie nagi. Wchodził do wody coraz głębiej, ostrożnie stąpając po ostrych kamieniach. Gdy woda sięgnęła mu barków, uniósł plecak nad głowę. Stojąc zatopiony w wodzie aż po szyję, walczył chwilę z nurtem, który ściągał go w dół rzeki. Jednak siła jego mięśni wygrała z rzeką, gdyż po kilku chwilach niepewności wyszedł na drugi brzeg.

Westchnęłam w duchu, oczami wyobraźni czując już lodowate języki rzecznej wody na mojej spoconej nocną eskapadą skórze i szarpnięcia wody, gdy próbuję ruszyć dalej. Odłożyłam swoją torbę na trawę i usiadłam koło niej, obserwując olbrzyma. Daniel wyszedł na drugi brzeg, odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie, zupełnie bezwstydnie prezentując się tak, jak został stworzony. W niezwykle jasnym świetle księżyca, który się właśnie dopełniał, jego nagie ciało okraszone niezliczoną okrutnością ran i blizn, a jednak nadal żywe i pełne wigoru, wyglądało zjawiskowo, choć ciężko mi było przyznać to nawet przed samą sobą. Oto cały on, sprzeciwiający się wszelkim regułom, pełen namiętności, której nie potrafił w sobie ujarzmić, butny, lecz w tych czarnych oczach widziałam przebliski dobra. A może chciałam je widzieć? Czy nie był stworzony z tej samej gliny co Julian? Te same geny, to samo wychowanie. A może byli do siebie bardziej podobni, niż mi się wydawało?

– Olen! Pomóż jej!

Gardłowy krzyk Daniela wyprzedził jego gwałtowny ruch. Najpierw rzucił się w stronę swojego plecaka, wyciągnął z niego jakiś przedmiot, by za chwilę ruszyć biegiem w moim kierunku, z powrotem pokonując koryto rzeki, tym razem o wiele szybciej. Jeleń doskoczył do mnie w tym czasie, zasłaniając moje ciało swoim. Szybko podniosłam się z ziemi, przytulając do piersi torbę, i rozejrzałam dookoła. Co się wydarzyło w tej jednej, krótkiej chwili, gdy pozwoiliłam sobie na kontemplację widoku jego ciała?

Na granicy polany moim oczom ukazała się wataha wilków. Cztery szare basiory szczyrzyły kły, groźnie powarkując. Olen wydawał z siebie szczekliwe dźwięki, rozkopując kopytami miękką ziemię. Wilki zbliżały się, otaczając nas z każdej strony. Warczały coraz głośniej, szara sierść jeżyła się im na karkach, a ich ogony były wyprostowane jak struny. Kłapały ostrymi zębami, ostrożnie stawiając łapy i zbliżając się

do nas, krok po kroku.

Mokra dłoń Daniela pojawiła się na moim ramieniu w tym samym momencie, gdy pierwszy z wilków doskoczył do Olena. Jeleń odparł atak, uderzając go porożem. Wilk zawył, przewróciwszy się na bok, jednak szybko wstał, otrzepując się z ziemi. Olbrzym stanął w tym czasie przede mną, spychając mnie na brzeg rzeki. W jego rękę połyskiwał niewielki, ciosany kamienny nóż. Drugi z wilków dopadł do Daniela, zatapiając swoje kły w jego przedramieniu. Przerażliwy dźwięk zachrypniętego krzyku Daniela odbił się echem po polanie, zachęcając pozostałe wilki do ataku. Dwa kolejne basiory rzuciły się na Olena, przewracając go na bok z taką siłą, że poczułam pod stopami, jak zatrzęsała się ziemia. Trzeci zbliżał się do mnie, podchodząc od lewej strony. Był większy i cięższy od swoich wilczych braci, samiec alfa. Szczęrzył kły, oczy utkwiał w mojej torbie, którą nadal przyciskałam do siebie. Zamarłam na chwilę, lecz nie ze strachu, a ze zdziwienia. Wilki przybyły tu po puncę? Jakim cudem?

Wilczur atakujący Daniela nagle padł na ziemię. Olbrzym tępym nożem rozplątał mu miękki brzuch. Metaliczny zapach krwi zmieszał się z wilgocią powietrza. Daniel szybkim ruchem uwolnił swoją rękę z paszczy martwego napastnika, klnąc przy tym pod nosem. Spojrzał na mnie, sprawdzając, czy jestem cała, by zaraz przenieść swój wzrok na Olena. Jeleń bronił się, jak mógł. Uderzał kopytami w jednego z wilków, drugiemu blokując dostęp do swojej szyi okazałym porożem. Daniel doskoczył do niego i zamachnął się, by dźgnąć basiora, który zaczynał właśnie zatapiać zęby w tylnej nodze Olena. Nóż ślizgnął się po grubym futrze wilczego napastnika. Olbrzym powtórzył cios, pogryzioną ręką łapiąc wilka od tyłu, za szyję. Nóż wbił się w podgardle zwierzęcia. Daniel wykorzystał ten moment i chwycił obiema rękami pysk psowatego, wyłamując mu dolną szczękę. Olen, którego noga została uwolniona z potrzasku, podźwignął się, niezdarnie wstając z ziemi, cały czas blokując kolejnego wilka swoim porożem.

Ja tymczasem cofnęłam się głębiej, czując, jak ostre kamienie wbijają się w gołe podbicia moich stóp, a lodowata woda obmywa mi kostki. Samiec alfa warczał, powoli przysuwając się do mnie, jednak nie atakował. Kątem oka obserwowałam, jak moi obrońcy wspólnie wykańczają trzeciego wilka. Największy z basiorów też musiał to widzieć, gdyż zawył żałośnie, jednak nie odpuścił. Zamachnął się i ostrymi zębami złapał za materiał mojej torby, próbując wyszarpać ją z moich rąk.

– Daniel! – krzyknęłam, siłując się z szarym wilczurem.

Daniel uniósł głowę znad truchła trzeciego wilka i rzucił się w moją stronę. Wilk kłapał w tym czasie zębami, próbując lepiej uchwycić mój skarb, raniąc mi przy tym ramiona. Im mocniej zaciskałam ręce na torbie, tym głębiej się wgryzał, barwiąc swoje wilcze, pożółkłe zęby na czerwono. Odstąpił na chwilę od ataku, by wziąć mocniejszy zamach. Stanął na tylnych łapach, chcąc przewrócić mnie na plecy. Zachłysnęłam się powietrzem, przygotowując się na to uderzenie, jednak olbrzym pojawił się między nim a mną, w ostatniej chwili odpychając mnie jedną ręką tak mocno, że wpadłam do rzeki, nadal trzymając w ramionach swój bagaż. Woda pochwyliła moje ciało w objęcia, wlewała mi się w nozdrza, uszy i do gardła, dusząc mnie i podtapiając.

Spod tafli rzeki, pomiędzy wodną roślinnością, która przyklejała mi się do twarzy i ciała, jak przez mgłę widziałam cienie walczących na brzegu samców, wilka i Daniela. Ugięłam kolana i próbowałam się odbić od dna rzeki, która ścigała mnie w swoją bezwzględną czeluść, krępując moje nogi glonami. Resztką sił wyrwałam się z odmętów ruczaju, lecz gdy wypełzłam na brzeg na poranionych kamieniami kolanach, nie miałam nawet chwili, by zaczerpnąć powietrza.

Samiec alfa leżał martwy z pyskiem i przednimi łapami obmywanymi przez wodę. Jeleń wydawał z siebie przeraźliwe dźwięki, nerwowo machając głową w stronę rzeki. Jeszcze wtedy nie rozumiałam tego zachowania. Obrzuciłam polanę wystraszonego wzrokiem. Gdzie był Daniel? Jęknęłam, gdy moje oczy ślizgnęły się po jego nagich plecach, bezwładnie dryfujących po tafli wody. Twarz miał zanurzoną pod powierzchnią. Rzuciłam torbę na trawę i wskoczyłam z powrotem do wody, by popłynąć w jego stronę. Złapałam go za rękę, walcząc zarówno z nurtem, jak i ciężarem olbrzyma, czując, jak żywioł robi z nami, co chce, coraz bardziej oddalając nas od kryjówki i naszych rzeczy.

– Ocknij się! – wołałam do niego, próbując dotknąć nogami dna i zaprzeć się o coś, by chociaż przekręcić go na plecy. – Słyszysz mnie?

Lecz Daniel nie słyszał.

– Olen! – Nie poznawałam już sama swojego głosu, pełnego rozpacz i przerażenia. – Pomóż nam, do cholery.

Jeleń podbiegł do nas, kulejąc, co raz to zbliżając się do brzegu i wycofując. Z nieznanego mi powodu nie chciał wejść do wody, szarżując w panice na granicy rzeki. Ja w tym czasie chwyciłam spróchniały pień, o który uderzyliśmy wraz z olbrzymem, niesieni wartkim nurtem.

– Wejź do tej wody! Natychmiast! – krzyczałam jak opętana, czując, jak dłoń Daniela powoli wymyka się z mojego uścisku.

Olen zamarł na chwilę, wpatrując się w moje oczy, pełne beznadziei, po czym niepewnie ruszył w naszą stronę, wchodząc aż po brzuch do wody. Resztką sił poprawiłam uścisk na ramieniu Daniela, a drugą ręką chwyciłam szyję jelenia i wczepiłam się palcami w jego gęste, rude włosie. Olen powoli wycofywał się, pomagając nam dotrzeć do brzegu rzeki. Gdy wyciągnęliśmy ciało Daniela na trawę, jeleni natychmiast się odsunął i otrzepał z wody. Ja w tym czasie przewróciłam Daniela na plecy. Miał na czole sporych rozmiarów rozcięcie, zapewne od uderzenia w dno rzeki, kilka głębokich pogryzień na ramionach i jedną paskudną, szarpaną ranę na zewnętrznej części lewego uda. Mocno krwawił. Przyłożyłam ucho do jego nosa, nie oddychał. Od razu ucisnęłam jego twarde, lodowate piersi. Ból rozszedł się po moich dłoniach, lecz zignorowałam go, uciskając kolejny raz i kolejny.

Daniel nadal leżał bez oddechu. Odchyliłam mu głowę do tyłu i nachyliłam się, bez wahania obejmując jego sine usta swoimi. Nabrałam przez nos chłodnego powietrza i wpuściłam je, już trochę cieplejsze, w jego gardło. Kolejny raz był trudniejszy, czułam, jak mój własny organizm odmawia posłuszeństwa, palce u rąk i nóg drętwiały mi z zimna, przez ciało przechodziły dreszcze. Podniosłam się, wpatrując w olbrzyma, który nie dawał znaków życia. Kolejne uciśnięcia klatki piersiowej, coraz bardziej rozpaczliwe, sprawiły, że zrobiło mi się słabo, a oczy zaszczyły mgłą.

Trzymaj się, Mal – nakazałam sobie w myślach, licząc następne uciśnięcia. Widziałam, jak sinieją mi palce, i tylko ich piekący ból powstrzymywał mnie przed omdleniem. Po trzydziestym ucisku, czując rozpacz zbierającą się w kąciakach moich oczu, ponownie się nachyliłam i wdmuchałam kolejną porcję życia w jego skostniałe ciało.

I wtedy to poczułam. Zaczęło się niewinnie, lekkie drgnięcie, gdzieś na granicy naszych złączonych ust, można by powiedzieć, że to mimowolny, pośmiertny skurcz mięśnia. Ale ta vibracja nie zniknęła. Opierając się na nagim ciele Daniela, czułam, jak iskra przemieszcza się w dół, ożywiając tkanki, wypełniając pustą przez jakiś czas skorupę. Odsunęłam się od niego, przyglądając się temu przedstawieniu. Olbrzym zaczerpnął powietrza, krztusząc się wodą, która obficie wypływała z jego zalanych płuc. Uniósł się niezdarnie na łokciach, przekręcając na bok, i zwymiotował kilkoma wodnymi salwami. Nachyliłam się, by przytrzymać mu głowę. Rana na granicy włosów mocno krwawiła.

– Muszę cię natychmiast opatrzyć – powiedziałam, gdy usiadł, rozglądając się rozbity i zdeorientowany.

– Poczekaj. – Chwycił mnie za dłoń lodowatymi palcami, lustrował mnie wzrokiem. – Zdejmij najpierw tę mokrą sukienkę. W mojej torbie są suche ubrania.

Zamknęłam na chwilę oczy. Jego bagaż spoczywał spokojnie po drugiej stronie rzeki, a żadne z nas nie byłoby w stanie po raz kolejny przepawić się przez wodę.

– Dam sobie radę – odparłam, próbując powstrzymać dreszcze.

– Ale moje maści też są tam – jęknął, przyglądając się rozszarpanym tkankom na swoim udzie.

– Olen nam pomoże. – Wstałam, patrząc na jelenia, który wylizywał pogryzioną tylną nogę. Zwróciłam się do niego, na co zareagował, podchodząc bliżej. – Musisz nam pomóc przepawić się przez rzekę. Daniel nie da rady przejść sam. Ja też nie.

Zwierzę cofnęło się, nerwowo przebierając przednimi nogami.

– To Rzeka Topielców – odparł słabym, ledwie słyszalnym głosem Daniel. – Wszystkie zwierzęta boją się tej wody. On nie wejdzie tam z własnej woli.

– To się zdzisiwiz! – zawołałam, podchodząc do jelenia. Dotknęłam jego boku, głaszcząc delikatnie po szyi. – Musisz nam pomóc, jeszcze ten jeden raz. Musimy opatrzyć mu rany.

Olen zwrócił się do mnie, nachylając swój łeb, by polizać moje pogryzione ramiona.

– Weź go na siebie – szepnęłam.

Ku zdziwieniu nas obojga Olen posłusznie podszedł do Daniela, układając się tak, by olbrzym mógł się wdrapać na jego plecy. Z trudnością, parszkając przy tym, podźwignął ogromne ciało mężczyzny i spojrział na mnie. Ja w tym czasie pobiegłam po swoją torbę, którą woda podmywała na kamienistym brzegu,

i zarzuciłam ją sobie na plecy.

– Będę tuż obok – powiedziałam, wracając do nich.

Swoje palce wczepiłam w gęstą suknię Olena. W tej niezwyklej konstelacji cała nasza trójka przeprowała się na drugi brzeg.

Ułożyłam Daniela przy wejściu do nory, obok której pozostawił swój plecak. Chwyciłam jego bagaż i zaczęłam wyrzucać całą zawartość, w tym dwie szaty na Monasterium i słusznych rozmiarów śpiwór. Tuż pod nim zauważyłam pakunek z maściami i opatrunkami. Wyjęłam je szybko i drżącymi palcami otworzyłam czarną maź.

– Najpierw ty – szepnął, gdy nachyliłam się nad nim.

– Zamknij się – zachnęłam się, zakrywając dłonią jego usta.

Najdelikatniej, jak potrafiłam, nakładałam na ranę na czole balsam z popiołu, by po chwili przenieść się do wciąż jątrzącego się rozcięcia na jego boku, do pogryzień na rękach, a później do poszarpanych tkanek na udzie. Moja ręka zawisła jednak w powietrzu, a ja zdałam sobie sprawę, że Daniel leży przede mną zupełnie nagi. Moje oczy ślizgnęły się przypadkowo po jego mocno owłosionym wzdórku łonowym, nie pomijając rejonów męskości. Wzięłam głęboki oddech, starając się ukryć skrępowanie. Sięgnęłam szybko po śpiwór, którym przykryłam mu krocz.

– Bez przesady. – Dotknął mojego policzka chłodną dłonią.

– Nie przeginaj – ostrzegłam, nakładając popiół na ostatnią, najgorszą ranę. – Nie wiem, czy powinieneś chodzić.

– Dziękuję, pani doktor – zaśmiał się – ale od pani opieki już mi lepiej i chyba na mnie już pora.

Spróbował się podnieść, jednak przytrzymałam go, chwytając za barki. Pod palcami wyczułam drobne, wypukłe blizny, jedna przy drugiej, niezliczone, dawno zagojone rany. Zupełnie nieświadomie spędziłam kilka chwil, wodząc po nich palcami, zastanawiając się, jaka stoi za nimi historia.

Daniel chrząknął, ponownie próbując się podnieść. Spojrzałam na niego zdumiona, usadzając go w miejscu jak niegrzeczne dziecko.

– Nie żartuj sobie, ty nie oddychałeś! – oburzyłam się.

– Ty też. I jakoś nikt nie każe ci siedzieć w miejscu.

– Ale mnie nie pogryzły wilki – odgryzłam mu się, kręcąc głową.

– Czyżby? – Daniel uniósł brwi, delikatnie chwytając moje ramiona w swoje dłonie. Adrenalina zablokowała na jakiś czas odczuwanie bólu. Olbrzym sięgnął po maść i zasmarował dziury po wilczych zębach. – Będziesz miała blizny.

Wzruszyłam ramionami.

– Ważne, że żyjemy – szepnęłam.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a ja nie mogłam odrzucić od siebie myśli, jak delikatne były jego skostniałe usta. *Nie, Mal, nie wolno ci tak myśleć!* – skarciłam się sama.

Rozejrzałam się dookoła, chcąc zająć się pogryzioną nogą jelenia, jednak ten ułożył się na trawie i usnął. Chciałam do niego podejść, ale Daniel zatrzymał mnie, mówiąc:

– To miło z twojej strony, ale zostaw go w spokoju. To ledwie draśnięcia, nic mu nie będzie.

– Na pewno? – westchnęłam, na powrót siadając przy olbrzymie.

Skinął głową.

– Dziękuję – powiedział po chwili, głaszcząc wierzch mojej dłoni.

– Czyli jednak nauczono cię manier? – zaśmiałam się, a on pokręcił głową przecząco.

– To chyba niedotlenienie. – Uśmiechnął się. – Przebierzesz się teraz?

Zamrugałam. Zimno przestało mi przeszkadzać, a dotyk mokrego materiału na skórze koił ból, który przebiegał się przez całe moje ciało, promieniując z ran na rękach oraz skaleczeń na kolanach i stopach. Olbrzym miał jednak rację. Wstałam i, odwróciwszy się do niego plecami, zsunęłam sukienkę i narzuciłam na siebie płaszcz, który przekazał dla mnie Julian. Okryłam się nim szczelnie, przytulając do ciała delikatny materiał. Daniel w tym czasie wstał i podszedł do mnie, kulejąc.

– Musisz się przespać – szepnął mi do ucha, stając za moimi plecami.

– Nie ma szans, że teraz usnę.

– Wejdzmy chociaż do środka. Oboje potrzebujemy chwili spokoju.

Odwróciłam się w jego stronę.

– A co, jeśli wilki powrócą?
– Nie przejdą przez tę rzekę – zapewnił. – Poza tym byłyby głupie, jeśli na widok truchła czterech braci przypuściłyby na nas atak.

Zacisnęłam zęby, nie będąc pewna, czy to ich powstrzyma.

– Wyglądasz, jakbyś chciała coś powiedzieć – stwierdził, mrużąc oczy.

Pokręciłam głową.

– Po prostu nie chcę tam wchodzić – skłamałam, wskazując palcem naturalną ziemiankę. – Możemy zostać tutaj?

Daniel mrugnął, po czym wyciągnął ręce i przyciągnął mnie do siebie, otulając śpiworem, który jeszcze chwilę wcześniej zakrywał jego biodra. Pozwolił, by moja głowa spoczęła na jego piersi. Delikatnie gładził mnie dłonią po wilgotnych, zwichrowanych włosach. Jego skóra, pomimo że nadal był nagi, zadziwiająco szybko odzyskiwała ciepło, co w tej sytuacji przyjął z wdzięcznością, grzejąc się w tym nietypowym dla niego uścisku, pełnym opiekuńczości i wdzięczności.

– Zostaniemy, gdzie zechcesz – szepnął do mnie ciepłym głosem.

Wzięłam głęboki oddech, otrzeźwiona tymi cukierkowymi słowami. Odsunęłam się, a on przewrócił oczami.

– Oduść w końcu te konwenanse – mówiąc to, ułożył śpiwór na ziemi i rozłożył go tak, byśmy oboje mogli się ogrzać. – Jesteś zziębnięta, ranna i zmęczona. Nie opieraj się, chociaż ten jeden raz.

Usiadł, wskazując miejsce obok siebie. Pokręciłam głową.

– Obiecuję, że będę się zachowywał.

– Nie wierzę ci.

– Już przestań. – Wstał i kuśtykając, doprowadził mnie do prowizorycznego gniazda, które przygotował. – Jutro będziesz z nim. Musisz nabrać na to spotkanie sił.

Wyciągnął przeciwko mnie argument nie do podważenia. Wzdychając, usiadłam obok Daniela i oparłam głowę o jego ramię, a on narzucił nam na nogi połączony podszycy polarem materiał.

– Nie ma rzeczy, której byś dla niego nie zrobiła? – zapytał, oglądając rany na moim ramieniu.

– Nie ma – odpowiedziałam, wpatrując się w dopełniony księżyc, wiszący na migoczącym blaskiem gwiazd niebie.

– Kochasz go – stwierdził, choć smutek w jego głosie pobrzmiewał znakami zapytania.

– Kocham go – potwierdziłam.

– A co musiałbym zrobić, żebyś pokochała mnie?

Zamknęłam oczy, nie chcąc odpowiadać na to pytanie, wydałam z siebie jedynie gardłowe warknięcie. Czy specjalnie mieszał mi w głowie? A może wspólna podróż popchnęła go ku mnie do tego stopnia, że zadurzył się w kobiecie, którą jeszcze chwilę temu uważał za nieznośną? W kobiecie jego brata? Bez względu na to, która odpowiedź była prawidłowa, samo pytanie było w tej sytuacji nie na miejscu.

Widząc, że milczę, Daniel uniósł rękę i musnął kciukiem moją dolną wargę, a ja zadrżałam. Otworzyłam oczy, wzdychając ciężko, umęczona tą grą, w którą grał ze mną wbrew mojej woli.

– Obiecałeś – szepnęłam z wyrzutem przepelniona irytacją.

– Czemu się denerwujesz? – Szczerość jego zdziwienia była porażająca.

– Robisz to przeciwko Julianowi. Jesteś tego świadomy?

– Zadałem tylko pytanie. Czy to zabronione?

– Dobrze wiesz, że nie o pytanie mi chodzi. – Założyłam ręce na nagich piersiach.

– Czyli nie możemy się dotykać – stwierdził, choć nie byłam pewna, czy nie było to pytanie.

Otworzyłam szeroko oczy. Czy takie rzeczy trzeba było mu tłumaczyć?

– Nie – odparłam, przewracając oczami. Gdzieś w oddali zahuczała sowa, potwierdzając moje słowa swoim basowym brzmieniem.

– W ogóle? – dopytywał.

– Daniel, o co ci chodzi? – jęknęłam, odsuwając się od niego.

– O to, że przed chwilą sama położyłaś mi głowę na ramieniu.

– Ale to nie miało podtekstu!

Zaśmiał się pod nosem, a ja wbiłam wzrok w ziemię. Długie źdźbła trawy kładły się na siebie, tworząc soczystą makatkę z kieszeniami, w których gnieździły się biedronki i żuki. Dłonią zmierzwiłam

mięsiste łądźki, wsuwając je między palce. Wilgoć nocy skroplona na ich brzegach zagościła na mojej skórze.

– Jakiego podtekstu?

– Seksualnego. – Podrapałam się po nosie palcem wilgotnym od rosy.

– Rozumiem. Czyli mogę cię dotykać, o ile to nie ma podtekstu.

– Tak.

– Więc ustalmy, że mój dotyk pozbawiony jest jakiegokolwiek erotycznej aluzji – powiedziawszy to, wziął mnie za rękę i ucałował wierzch dłoni.

– To tak nie działa. – Oswobodziłam się.

– Dlaczego?

– Bo wszystko, co robisz, miało, ma i będzie mieć podtekst! – Założyłam ręce na piersiach i oddychając płytko, szukałam wzrokiem kryjówki, jakiegoś miejsca, w którym mogłabym zaszyć się z dala od niego.

– Może według ciebie – powiedział spokojnie. – Ja po prostu chcę mieć cię blisko.

– Dlaczego?

Ponieważ żałuję, że to jego poznałaś pierwszego. Głos olbrzyma rozbrzmiał w mojej głowie, a te nierozważne słowa rezonowały, odbijając się we mnie echem jeszcze kilka chwil. Proste „żałuję” sączyło we mnie zawahanie, osadzało się niewidzialnym ciężarem na barkach.

– Daniel, co ty wygadujesz? – wydusiłam z siebie, ledwo panując nad językiem. – Ja jestem jego. Od samego początku byłam.

– Nic nie poradzę na to, co czuję.

To mówiąc, ułożył na moich udach swoją głowę. Umościł się, poprawiając śpiwór tak, by materiału starczyło dla nas obojga, po czym przymknął oczy. Żadne z nas nie odezwało się już tej nocy, pozwalając snu chociaż na chwilę porzucić nasze leśne rozterki.

Rozdział 12

Jesteśmy tylko zwierzętami

Słońce w zenicie przebijało się przez moje zamknięte jeszcze powieki, migocząc kalejdoskopem kolorowych świateł. Głowa coraz mocniej pulsowała tęnym bólem, będącym tylko preludium dla mordęgi, jakie miała mi zaraz zgotować pogryziona, opuchnięta i zasiniała ręka.

Rozejrzałam się dookoła, przecierając dopiero co otwarte, zaspane i przemęczone oczy. Polana zachwyciła mnie paletą dzikich kwiatów wyciągających się do słońca. Przy wodzie, na granicy kamiennego zejścia do rzeki i gęstej trawy żółciły się podłużne płatki tojeści. Na skraju lasu do kwitnienia szykowały się już krzaki szakłaku, przyozdobione przy ziemi drobnymi, białawymi kwiatostanami wiązówki błotnej. Pomiedzy źdźbłami trawy przebijały się nieśmiało pędy koniczyn, wystawiających fioletowe główki wprost do słonecznych promieni. Powietrze wypełniała wilgoć podmokłej ziemi, mieszająca się ze słodkim aromatem miodnej dziewanny.

Po drugiej stronie Rzeki Topielców – już sama nazwa przyprawiała o gęsią skórę – cztery wilcze truchła leżały rozrzucone wzdłuż brzegu, jednoznacznie ostrzegając: każdy akt agresji będzie karany śmiercią. Ich puste, zamglone oczy wpatrywały się w nicłość, a skostniałe łapy zastygły w pełnych niewygody pozach. Jeszcze kilka dni temu odwróciłabym wzrok, jednak teraz spoglądanie na zakrzeplą krew na ich sierści wywoływało jedynie drgnięcie lewej powieki, choć ten skurcz mógł być także efektem głodu, który coraz bardziej dokuczał mi mdlącym odczuciem w okolicy przetyku.

Powiodłam oczami po widocznym horyzoncie, ograniczonym przez ustawione w żołnierskim porządku borowe drzewa. Szukałam wzrokiem Olena, jednak ten zniknął gdzieś, zostawiając mnie i olbrzyma samych. Daniel oddychał spokojnie, śniąc sny, o których materii nie chciałam mieć pojęcia – uśmiechał się bowiem zbyt ochoczo, ujawniając skrywane do tej pory dołeczki w policzkach. Jego głowa nadal spoczywała na moich udach, zdrętwiałych od kilkugodzinnego ucisku. Wyciągnęłam je powoli, delikatnie przytrzymując go za podbródek i szyję, gdy olbrzymie, pokiereszowane czoło dotknęło ziemi.

Poruszył się, chrząknął, ale nadal spał, co przyjąłam z ulgą. Chciałam chwilę побыć sama ze sobą, choć tym razem nie ze złości na Daniela, lecz głównie dlatego, że jego bliskość przestała być dla mnie krępująca. To uczucie przerażało mnie bardziej niż świadomość, że dzisiejszego dnia dopełnić się miały rzeczy w pewien sposób ostateczne. Dystans był mi niezbędny, by odzyskać siebie w tym galimatiasie uczuć.

Wstałam po cichu i ruszyłam przed siebie na chwiejnych nogach. Szłam wzdłuż rzeki, za plecami zostawiając polanę i śpiącego na niej olbrzyma. Płaszcz Insolitów ciągnął się po ziemi, zamiatając liście i sosnowe igliwia. Co jakiś czas spowalniał mnie, płacząc się w pnącza Hedery. Bluszcz ten płożył się po ziemi i wczepiał w suchą korę pni, sprawiając, że iglaste do tej pory drzewa zyskiwały w nachalnym prezencie zielone liście.

Rozglądałam się w poszukiwaniu czegokolwiek do jedzenia: jagód, malin czy leśnych poziomek, choć intuicja słusznie podpowiadała, że sezon na owocowanie przyjdzie dopiero na przełomie sierpnia i września. Las rozkwitał tysiącem kolorów, wypełniał nozdrza zapachem dzikich ziół, lecz pozostawiał mnie w coraz głębszej rozpacz powodowanej narastającym głodem. Mimo to nadal uparcie sunęłam skrajem rzeki, bosymi stopami deptając po chłodnej trawie i nie do końca wiedząc, czego szukam. Bór nie miał dla mnie żadnych propozycji śniadaniowych.

Z drugiej strony, im bardziej oddalałam się od Daniela, tym łatwiej było mi pozbierać myśli. Jego obecność, słowa, które sączył we mnie, pełne frywolnych aluzji, okraszone ciągłym kontaktem fizycznym... Niczym pająk, owijał mnie, małą muszkę, w pozornie cieniutką, delikatną sieć, sprawiając, że z czasem zupełnie nieświadomie zaczynałam tracić swoją wolność. Opór nie przynosił pożądanego skutku. Olbrzym, silniejszy i brutalniejszy ode mnie, przeplatał napastliwość ludzkimi odruchami, jakby chciał zmazać jedno drugim, by zachować równowagę. Efekt był jednak inny, sprawiał wrażenie niestabilnego i nie byłoby w tym nic niezwykłego, przecież był tylko Danielem, gdyby nie jego wczorajsze słowa wypowiedane szeptem pod osłoną nocy.

„Nic nie poradzę na to, co czuję”. Jak on śmiał? Jak mógł? Stawał naprzeciw mnie i Juliana,

z rozbijającą szczerością stwierdzając, że tak po prostu się stało. Nie chciałam tych uczuć, nie od niego, nie w taki sposób. Wspomnienie dotyku moich warg na jego, gdy próbowałam przywrócić mu oddech, zalało mnie raptownie, bez zapowiedzi, sprawiając, że zachwiałam się i osunęłam na miękkie leśne runo. Co on mi zrobił? Jęknęłam, chcąc zwrócić myśli w stronę Juliana. Jałowa próba, bo oto właśnie okazywało się, że nie władałam już własną głową, zaplątana w pajęczę nici nasączone trucizną.

Wsparałam się na wątyłch rękach, chcąc wstać, lecz ciało przeszył spazm. Pojawił się bez zapowiedzi, gdzieś w okolicy karku, przesywając moją skórę palącym uczuciem, wzdłuż kręgosłupa aż po łędźwie. Krzyknęłam, a wiatr poniosł mój głos między drzewami. Śwąd przypalonych włosów otoczył mnie, gryząc w gardło. Kolejne uderzenie przywitałam piskiem. Palące liźnięcia w podbrzuszu sprawiły, że położyłam się na mchu i rozsunałam połacie materiału, którym byłam owinięta. Skóra brzucha wyglądała na nienaruszoną, choć przysiąc bym mogła, że czułam na niej gorąc płomieni. Mózg pozbawiony cukru, gardło bez kropli wody. Czyżby moje wygłodniałe ciało płatało mi figle? Zdradzało mnie, torturując? Następną falą zagościła w przełyku. Rozżarzone niewidzialne węgle odbijały się od siebie, raniąc wnętrzości. Głos ugrzązł, nie mogłam już krzyczeć. Paliłam się cała. I skóra, i wnętrzości. *Czy to on mi to robił?*

Wstań – nakazałam sobie, lecz nogi nie podźwignęły ciężaru ciała. Woda. Rzeka. Potrzebowałam ugasić ten płomień. Czołgałam się zaplątana w zbyt dużą, czarną szatę. Przybliżyłam się do koryta rzeki, mocząc ręce w wartkim nurcie. Złożyłam je, by nabrać cieczy, po czym przyłożyłam ją do ust. Nim pierwsza kropla dotknęła dolnej wargi, ktoś wytrącił mi całość napoju, ochlapując szatę.

– Czy ty już doszczętnie zwariowałaś? – Daniel, ubrany w drugą z szat, podźwignął mnie i postawił na nogi.

– Daj mi się napić – wymamrotałam, a strużka potu spłynęła po moim czole.

– Mał, zdechły wilk moczy się od wczoraj w tej wodzie, a ty na dodatek poszłaś w dół rzeki. Nie chcesz tego pić.

Znów mnie dotykał. Poprawił mi rozczochrane włosy, otrzepał pobrudzony ziemią materiał rękawa.

Nie, nie rób tego, Danielu – myślałam.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przytrzymując mój łokieć. – Krzyczałaś.

– Nie wiem, co to było – odpowiedziałam mu, próbując samodzielnie utrzymać równowagę. Nie czułam już bólu, lecz byłam słaba, jakby ten niewidzialny ogień odebrał mi siły. – Wydawało mi się, że ktoś mnie podpalił. To chyba z głodu.

To chyba obłąd – dodałam w myślach. Daniel westchnął, bacznie mnie obserwując.

– Co masz na myśli? – dopytywał. – Jakie to było uczucie?

– Jakbym płonęła. Jakby płonęła każda cząstka mnie.

Olbrzym przymknął powieki, puścił mnie i zaciskając pięści, na chwilę znieruchomiał. Mięśnie jego szczęki napięły się, uwydatniając kształt żuchwy. Wypuścił powietrze nosem, długim wydechem, który oznaczał tylko jedno: komplikacje.

– Co się dzieje? – szepnęłam, lecz uciszył mnie, kładąc palec wskazujący na moich spierzchniętych ustach.

Otworzył oczy i spojrzał w dół, wprost na mnie, a ja patrzyłam na niego, nie wiedząc, czy jestem bardziej przerażona tym, co mnie spotkało, czy jego niezrozumiałą reakcją.

– To już cię więcej nie spotka, masz na to moje słowo.

– Co to było? Ty mi to zrobiłeś? – Odkoczyłam od niego, potykając się o przerosnięte gałęzie jednego z drzew. Znów upadłam na kolana, rozcinając skórę.

– Już dobrze, Mał. – Pomógł mi wstać na równe nogi i udawanym uśmiechem próbował ostudzić moje nerwy. – Nie możemy teraz o tym mówić. Nie tu i nie teraz. Musisz teraz coś zjeść. Chodź na polanę, wszystko już gotowe.

Zaproponował mi swoje ramię, bym wsparła się na nim, ale stanowczo odmówiłam. Ruszył więc przodem, a ja podążyłam jego śladami. Na polanie czuć było zapach dymu i mięsa. Przy wejściu do jaskini zauważyłam dwa otwory. Na jednym z nich, ułożone na płaskim, szerokim kamieniu, smażyły się cienkie platy jasnego mięsa. Drugi otwór pozostawał nieużywany.

– Co to jest? – zapytałam Daniela, gdy przykucnął, by przewrócić nasze śniadanie na drugą stronę.

– Ognisko rodem z indiańskiego plemienia. Pod spodem jest ogień, ukryty głęboko w ziemi, żeby nie spowodować pożaru, a tą drugą dziurą do ognia dopływa powietrze. Nietypowo, ale skutecznie.

– A to mięso...? – Skwierczące kawałki, pomimo że wywoływały we mnie ślinotok, dziwiły mnie. – Mówiłeś, że nie ingerujecie w to miejsce.

– To nie ingerencja. To selekcja naturalna. – Wyszczrzył zęby. – Jeśli nie my, to tego królika pewnie i tak zjadłby jakiś inny drapieżnik.

– A woda? – Zasznięte usta dopominały się nawilżenia.

Poprowadził mnie na skraj polany, gdzie na granicy z lasem była wykopana kolejna dziura, tym razem po brzegi wypełniona wodą.

– Prowizoryczna studnia cygańska – wytłumaczył, patrząc na mój niepewny wyraz twarzy. – Ziemia i kamienie same filtrują wodę. Możesz pić śmiało.

Natychmiast ukucnęłam, nabrałam w dłonie ciec i wypiałam. Była chłodna, o delikatnym, ziemistym posmaku. Wypijałam ją łapczywie, czułam, jak krople spływają przez przełyk, który jeszcze kilka chwil temu płonął żywym ogniem. Rozchlapywałam ją przy tym, na koniec obmywając twarz i ręce.

– Ile mnie nie było, że zdążyłeś to wszystko zrobić?

– Wystarczająco długo, żebym zdążył to wszystko wyczarować – odparł, ruchem głowy zapraszając mnie, bym podeszła z nim do ogniska. Oczekałam, aż usiądzie, by zająć miejsce po drugiej stronie.

– Nie usiądziesz obok? – Zmrużył oczy, obserwując, jak sadowię się na kępie koniczyny.

– Tu mi dobrze.

Wbiłam wzrok w płaty króliczego mięsa skwierczące na rozgrzanym kamieniu. W tych okolicznościach był to największy rarytas, którego wręcz nie mogłam się doczekać.

– Musimy omówić plan – oznajmiłam, gdy Daniel przesuwiał patykiem mięso po tafli kamienia.

Skinął głową w odpowiedzi, lecz nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Zmrużył czoło, myśląc o czymś intensywnie.

– Kiedy go zobaczę?

– Kogo? – spytał skołowany.

Uniosłam brwi. Daniel zawsze miał plan, lecz będąc tak blisko naszego celu, zamiast szykować się na bitwę, wydawał się nieobecny i zagubiony.

– Jak to kogo? – mruknęłam. – Juliana!

– Pod żadnym pozorem nie możesz się do niego zbliżyć – powiedział powoli, obserwując moją reakcję.

– Ale jak to? – Naburmuszyłam się, nabierając powietrza w policzki.

– Mał, jeśli on cię zobaczy, zanim zabijesz Lenę, to wszystko, przez co przeszliśmy, pójdzie na marne.

– Dlaczego? – Naciskałam na niego. – Nie rozumiem tego, Danielu.

Olbrzym potarł ręką czoło, wzdychając.

– Zaczniemy od początku – powiedział, patrząc na mnie. Uciekałam przed konfrontacją naszych spojrzeń, wierząc się pośród zielonych liści koniczyny. – Lena i Julian staną dzisiejszej nocy do pojedynku. Nie będzie to taki pojedynek, o jakim pewnie teraz myślisz. Nikt się nie będzie bił czy strzelał do siebie. Nikt nie będzie nikogo nadziewał na szpady. Nie będą nawet blisko siebie. Pojedynek na moc to bardzo osobliwa sprawa. Wymaga niezwykłego skupienia zarówno myśli, jak i ciała. Ciężko mi to nawet opisać słowami. Ale jeśli Julian zobaczy cię czy chociażby usłyszy, będzie bezbronny. Kocha cię i zamiast walczyć...

– Będzie chciał mnie obronić – dokończyłam za niego.

Przygryzł górną wargę i kiwnął głową.

– Ty masz jedno zadanie. – Patrzył mi prosto w oczy. – Gdy zacznie się pojedynek, musisz wbić Lenie nóż w plecy.

– I to pomoże? – Ciężko mi było w to uwierzyć.

– Moc wymaga integralności ciała. Zraniona nie da rady go pokonać.

Zamilkł na chwilę, przekładając kawałki zarumienionego mięsa na zielone liście dzikiego chrzanu. Podniósł się, okrążył ognisko i podał mi porcję. Usiadł bliżej, zostawiając mi jednak trochę przestrzeni. Dopiero gdy wyprostowałam nogi, przypadkowo musnęłam jego stopę moją.

– Daniel, to wszystko, co mi mówisz, nie składa się w całość. Mówiłeś, że Julian jest najsilniejszy. Że nikt nie może go pokonać. A potem pojawia się Lena...

– Lena czerpie moc z natury – przerwał mi Daniel, biorąc w palce kawałek mięsa. – Ma dość

niezwykłą umiejętność wysysania energii z roślin, zwierząt, także z Insolitów, jeśli jej na to pozwolą. Wyobraź sobie, że po prostu wysysa ją z żywych organizmów. Dodaj do tego pełnię, bliskość Nemore i tych wszystkich, którzy mają dość Juliana, a którzy stoją za nią murem i gdy przyjdzie pora, oddadzą jej część siebie. Z taką mocą ma wyrównane szanse.

– Za Julianem też ktoś musi stać. Przecież wszyscy nie mogli się od niego odwrócić! – oponowałam.

– Tak, Mal, masz rację, lecz Julian nie wykorzysta w ten sposób nikogo. To poniżej jego godności.

– Mówisz to, jakbyś nim gardził – stwierdziłam, a Daniel pokręcił głową.

– W tej sytuacji kodeksy i konwenanse biorą w łeb. Nie rozumiem jego uporu w przestrzeganiu zasad, które inni już dawno pogrzebali.

– Czego nie rozumiesz? – Kręciłam głową. – Bez zasad jesteśmy tylko zwierzętami, Danielu.

Gdy to powiedziałam, zaśmiał się rubasznie, odgryzając spory kęs naszego przedziwnego, dzikiego posiłku.

– A co w tym złego?

Zamilkłam, żując spieczone mięsiwo. Miało mdławy posmak i gumową konsystencję. Tak chudy królik nadawać się mógł na gulasz lub potrawkę, ale na pewno nie na grilla. Przełknęłam jednak kawałek z wdzięcznością, że w ogóle mieliśmy co zjeść.

– A ty? – wymlaskałam pomiędzy kolejnymi kęsami.

– Co ja? – Olbrzym uniósł głowę, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

– Gdzie ty jesteś w tym wszystkim? – doprecyzowałam.

Zawahał się, ale nie odpowiedział, tylko zacisnął usta. Oczy utkwili w moim spojrzeniu, choć nie wiedziałam, czego tam szukał.

– To, że nie odpowiadasz, zaczyna mnie martwić – stwierdziłam, gdy moja porcja królika zniknęła z liściastego talerza, a olbrzym nadal patrzył na mnie w milczeniu. – Daniel, w co ty pogrywasz? Co z tobą?

– Uspokój się – powiedział w końcu nakazującym tonem.

– Uspokoję się, jak odpowiesz na moje pytanie.

– Co mam ci odpowiedzieć? – Przewrócił oczami.

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, czy nagle odebrało mu cały rozum.

– Gdzie jesteś ty w tym wszystkim? – powtórzyłam, powoli wypowiadając każde słowo.

– Nigdzie – odparł beznamiętnym głosem, wzruszając ramionami.

– Jak to nigdzie?! – krzyknęłam, podrywając się na równe nogi. – Trzymasz chyba jego stronę?

– Każde z nich uważa, że jestem po ich stronie. – Podrapał się po czole. – A ja, jak by na to nie patrzeć, stoję wyłącznie po swojej stronie. W tym partykularnym przypadku oznacza to wspieranie mojego brata.

– Poprzez kolaborację z Leną? – Tupnęłam bosą nogą.

– Poprzez wyciąganie od niej wszystkich szczegółów ataku. Myślisz, że skąd ja to wszystko wiem? – Pokręcił głową w geście zrezygnowania. – Widzisz, Mal, zarzucasz mi kolaborację z wrogiem, nie widząc pełnego obrazka.

– Jak mam widzieć pełny obrazek? – wybuchłam nagle, podchodząc do niego. – Wiem tylko tyle, ile pozwalasz mi wiedzieć. Julian ukrywał przede mną wszystko. Ty za to, Danielu, rzucasz we mnie szczątkami informacji, żylastymi ochłapami, które zapychają mnie na chwilę, do kolejnego kłamstwa, do kolejnej niespójności.

Uderzyłam go pięścią w klatkę piersiową na wysokości splotu słonecznego. Przyjął ten cios posłusznie, z niemą zgodą. Zmrużone oczy utkwione miał we mnie, mięśnie policzków drgały mu, gdy zaciskał zęby.

– Zabrałeś mnie do piekła, mówiąc, że w ten sposób ochronię Juliana. Odebrałeś mi przyjaciół i rodzinę. Odebrałeś godność, napastując swoimi chorymi fantazjami. Wciągnąłeś mnie w świat, na który nie byłam gotowa. A teraz mówisz mi, że nie widzę pełnego obrazka? Nie widzę, bo nie pozwalasz mi go zobaczyć.

Kolejny cios wymierzyłam mu otwartą dłońią w twarz. Gdy moja ręka dotknęła jego policzka, pochwycił ją, przyciągając mnie do siebie z brutalną siłą. Złapał mnie w ramiona i unosząc nad ziemię, chwycił drugą ręką moją talię i pocałował mnie. Wdarł się językiem w moje usta, nachalnymi liźnięciami rozwierając zdradzieckie wargi, które poddały mu się bez walki, zniewolone tą gwałtownością. Jęknęłam

ciche „nie”, lecz rozplynęło się w potrzasku silnych ramion, w jego miękkich ustach i w zbyt śmiałym języku. Na początku dziko żądał uległości, dominując nade mną nachalnymi ruchami języka, lecz nie spotkawszy oporu, zwolnił i ssał moją dolną wargę jak najśłodszy smakołyk.

– Przestań – wydusiłam z siebie, z trudem łapiąc oddech.

Nie usłyszał mnie. Czubkiem języka nadal biegł po całej długości górnej wargi, od kącika po kącik.

– Przestań! – krzyknęłam.

Odsunął ode mnie głowę z grymasem na twarzy.

– Czy ty już zupełnie oszalałeś? – Wyswobodziłam ręce z jego objęć i odepchnęłam od siebie.

Wierzchem dłoni otarłam wciąż wilgotne od pocałunków usta. – Co ci strzeliło do głowy?

Patrzył na mnie skulony, przygarbiony, wybity z rytmu. Wyparowały z niego dzikość i brutalność, runęła fasada nieludzkości, którą konsekwentnie budował w moich oczach. Zmalał nagle, wyglądając, jakby tą pieszczotą zrzekł się tytułu olbrzyma, jakby uszło z niego powietrze. Czy całą swoją życiową energię zużył na ten jeden skradziony pocałunek?

– Ja... – wymamrotał, wyciągając do mnie rękę, którą odepchnęłam zgrabnym ruchem. – Ja nic na to nie poradzę.

Przewróciłam oczami.

– Tak nie można, Danielu – szepnęłam.

– Ale ja cię kocham.

Siła słowa „kocham” w ustach olbrzyma uderzyła mnie w piersi tak mocno, że straciłam na chwilę oddech. Zgięłam się w pół, kaszląc. Daniel podbiegł do mnie, przytrzymując mnie za zdrowe ramię.

– Nie wiesz, co mówisz – wydyszałam, prostując się.

W oddali, na krańcu polany, pokazał się Olen, witając nas gardłowym okrzykiem.

– Nieprawda. – Daniel zignorował pojawienie się jelenia, kontynuując tę wynaturzoną rozmowę.

– Daniel, to jest chore. – Odsunęłam się gwałtownie, stając na skraju rzeki. – Ty jesteś chory.

– Odejdźmy stąd – zażądał.

– O co ci chodzi? – Otworzyłam szeroko oczy.

– Odejdźmy stąd. To nie jest nasza walka, ani twoja, ani moja. Możemy to zostawić, porzucić oba światy, żyć razem, poza prawem.

– Chyba jednak uderzyłeś się w głowę trochę zbyt mocno – stwierdziłam, modląc się po cichu, by skończył ciągnąć ten temat. – Julian nas potrzebuje.

– Chrzanić go! – krzyknął, łapiąc się za głowę. – Mam tego dość. Julian to, Julian tamto. Wszystko kręci się wokół niego, Kyrie od siedmiu boleści. Zobacz, co on nam zrobił! Mnie zepchnął z piedestału, a ciebie zostawił bez choćby słowa wyjaśnienia, ot tak, jak niechcianą zabawkę. Nie jesteśmy mu nic winni.

– Ty go nie chcesz uratować... – szepnęłam przerażona potokiem słów, który wylewał się z jego ust. – To wszystko, co mi mówiłeś przez ten cały czas, było kłamstwem.

– Chciałem mu pomóc – mówił jak zahipnotyzowany, a jego baryton rezonował, odbijając się echem po polanie. Ruszył w moją stronę, więc cofnęłam się, mocząc nogi w zimnej wodzie. Rozpaczliwie szukałam drogi ucieczki. Szukałam jelenia. – Ale okoliczności się zmieniły.

– Oszalałeś! – krzyknęłam, brodząc po mieliźnie rzeki samobójców.

– Nie, wręcz przeciwnie. Oprzytomniałem. – Napierał w moją stronę krok po kroku, powoli, bez pośpiechu. – To, co czuję do ciebie, to jest jedyna prawdziwa rzecz w moim życiu. Nie mogę tego stracić. Nie mogę ciebie stracić.

– Masz rację, nie możesz mnie stracić – odparłam, próbując zatoczyć koło, by znów stanąć na ziemi. – A wiesz dlaczego? Bo nigdy mnie nie miałeś.

– Czujesz coś do mnie, wiem to. – Tańczył ze mną dzikie tango, bez muzyki i rytmu, on krok do przodu, ja krok w bok, on w moją stronę, ja byle dalej od niego. – Czułem to, gdy całą noc przez sen głaskałaś mnie po twarzy.

Aż się zakrztusiłam, gdy to powiedział.

– Tylko wyuczone zasady nie pozwalają ci tego przyznać.

– To nie są żadne zasady! – jęknęłam, wymijając go. Teraz to Daniel brodził w wodzie, a ja cofałam się w stronę Olena. – Ja kocham Juliana. Juliana! Kocham go! Zrozum to wreszcie!

– Możesz kochać nas obu jednocześnie – szepnął.

Wydałam z siebie okrzyk rozpacz, gardłowy jęk, nie wiedząc, co mam zrobić i co więcej powiedzieć.

– Możesz wybrać mnie i możemy po prostu stąd odejść. Tak jak on odszedł od ciebie – kontynuował, ignorując mnie, gdy kręciłam głową, zgłaszając niemy sprzeciw. – Opuść go sobie. Nawet nie masz pewności, czy przyjmie cię do siebie.

– Co ty wygadujesz? – Cofając się, celowałam tak, by sięgnąć jeszcze po swoją torbę, leżącą niedaleko ogniska.

– Kto powiedział, że Julian będzie chciał dalej z tobą być?

– Dlaczego miałby nie chcieć? – Zamrugotałam kilkakrotnie zdezorientowana.

– Gdyby nie było cię u Kyrie tamtej nocy, gdy zaatakowała mnie Lena, żadne z nas nie stałoby teraz bosa pośrodku wielkiego lasu.

– I co to ma wspólnego z Julianem?

– Lena podważyła jego władzę, powołując się na złamanie przez Juliana naszego kodeksu, zakazu związków z ludźmi. Przecież już ci to mówiłem.

– Zasady zawsze można zmienić – odparłam, choć ukłucie chłodnej szpili rozlało się już po ciele, po moich organach, od środka bijącego o wiele za szybko serca, aż po skostniałe od wartkiego nurtu wody czubki palców.

– Aż tak bezgranicznie mu ufasz? – Zaśmiał się, gdy oboje mijaliśmy ognisko.

W tym tajemniczym pochodzie ja nadal przed nim uciekałam, a on napierał na mnie z coraz większą nachalnością. Rozgrzana od ognia ziemia parzyła mnie w bosa stopy, które z trudem dawały radę pokonywać kolejne metry.

– Okłamał cię. Zostawił. A ty nadal nie masz co do niego nawet cienia wątpliwości?

– Nie mam – szepnęłam, choć zwątpienie wprawiało w drgania moje mięśnie. Potknęłam się, tracąc na chwilę równowagę, lecz udało mi się utrzymać na nogach.

To był ten moment. Musiałam uciekać, licząc na to, że jeleni mając do wyboru jedno z nas dwojga, będzie skłonny poprowadzić mnie przez las wprost w ramiona Juliana. Chwyciłam w jedną rękę swój bagaż, podpierając się drugą, by nie upaść na ziemię, i odskoczyłam w bok, zanim Daniel zdążył się nachylić, by złapać mnie w swoje ramiona. Zaskoczony, spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma. Żrenice miał rozszerzone, czoło zmarszczone. Nie czekając na jego reakcję, rzuciłam się do biegu w stronę Olena, który od kilku minut bacznie obserwował nasze dzikie tango.

– Pomóż mi! – krzyknęłam, mijając zwierzę.

Jeleń dostojnym ruchem odwrócił głowę, lecz nie poruszył się, odprowadzając mnie jedynie wzrokiem, podczas gdy ja biegłam na oślep, pomiędzy drzewami, zagłębiając się w gęstwinę boru. Stopy okrutnie mnie bolały, ranione ostrymi końcami suchych, połamanych gałęzi. Gardło piekło od wysiłku, a pogryzione przez wilka ramię pulsowało, krwawiąc na nowo. Nie zwolniłam jednak tempa, brnąc przez coraz bardziej podmokłe tereny, byle jak najdalej od Daniela.

Stałam w końcu, skrywając się w wąskim przesmyku pomiędzy dwoma drzewami. Dyszałam ciężko, próbując złapać trochę powietrza przez zaciśnięte od wysiłku gardło. Przykleiłam się do jednego z drzew plecami, przytulając torbę. Nasłuchiwałam dudnienia kroków olbrzyma, jakichkolwiek dźwięków mogących oznaczać, że podążył za mną, lecz one nie następowały. Las uspokajał mnie za to cichym szepem, szumem drzew i chrobotaniem chrząszczy w powalonych spróchniałych pniach sosen. Kilka głębokich oddechów wystarczyło, by opanować kołatanie serca.

Dlaczego za mną nie podążył? Pytanie bez odpowiedzi kłuło mnie ostrą szpadą narastającego przecucia, że to, co się właśnie wydarzyło, wcale nie było przypadkowym zbiegiem okoliczności. Przycisnęłam bagaż mocniej i zdębiałam. Macając rękami zewnętrzny, wilgotny jeszcze materiał torby, nie czułam nigdzie ostrych brzegów kamiennej puncy. Ukucnęłam, czując, jak wzburzona krew wypełnia moje żyły. Czułam, jak płynie wartkim strumieniem, pompowana usilnie przez zalane adrenaliną serce. Rozsunęłam suwak i szybko włożyłam rękę do środka. Macałam na oślep, wierząc w ubraniach krecie korytarze. Nigdzie jej nie było. Bezceremonialnie wyrzuciłam ubrania i buty. Cała zawartość torby wylądowała na miękkim runie leśnym. Puncy jednak nie było w środku.

Znalazł ją. Zabrał ją.

Osunęłam się na kolana, czując, jak zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Spazmy mdłości

ścisnęły mój brzuch, zmuszając ciało do pozbycia się tych kilkunastu kęsów króliczego mięsa. W uszach szumiało mi jak w rozstrojonym radiu, urywane myśli mieszały się z wybuchami emocji. Kolejna fala nudności wycisnęła ze mnie resztki wypitej wody. Nie tak to miało wyglądać. Miałam oddać ją Julianowi. Tym prostym gestem miałam zapewnić mu bezpieczeństwo. Daniel... On mnie oszukał. Zdradził brata. Zabiją Juliana dzisiejszej nocy.

Podparłam się na rękach, by nie upaść. Dyszałam ciężko, przygnieciona tą nagłą zmianą. Z oszukującej stałam się oszukaną. I teraz Juliana czekała śmierć. Nie pozwoliłam sobie zwizualizować tej chwili. *Musisz działać – rozkazałam ciału. – Musisz ruszyć przed siebie w nadziei, że trafisz na ślady Monasterium oraz że zdążysz go ostrzec.*

Spojrzałam w górę, w ledwo widoczny błękit leśnego nieba. Słońce powoli kładło się do snu, zawieszone po zachodniej stronie. Nie miałam zbyt wiele czasu. Wzięłam trzy głębokie wdechy, by uspokoić ciało. Wypuszczając powietrze ustami, wyrzucałam z siebie mroczne wizje przyszłości, które próbowały mnie zdominować. Zebrałam wszystkie porzucane ubrania, wstałam i zarzuciłam sobie torbę na plecy. Kilkoma suchymi gałęziami zasłoniłam miejsce swojej nagłej niedyspozycji, gdyby Daniel ruszył moim tropem, nie chciałam ułatwiać mu zadania.

Ruszyłam wprost przed siebie, instynktownie kierując się w coraz gęstsza część boru. Drzewa rosły słoczone, jedno przy drugim, nie zostawiając zbyt wiele miejsca, by przejść dalej. Przeciskałam się między konarami złączonymi ze sobą podziemnym splotem korzeni, a ich bujne korony kradły promienie słoneczne, pozostawiając dolne partie w chłodzie półcienia. Z każdym moim krokiem zagłębiałam się w gęstwiny, brodząc w błocie. Ziemia stawała się coraz chłodniejsza, a las złowrogi. Nie zauważyłam nawet, kiedy słońce zniknęło za horyzontem, pogrążona w marszu, straciłam poczucie czasu. Zbliżała się noc, a wraz z nią rzeczy ostateczne.

W oddali krucze odgłosy mieszały się z szumem wiatru i czymś jeszcze. Metaliczny dźwięk, jakby wietrzny dzwoneczek, popchnął mnie dalej naprzód. Natura nie wydawała takich dźwięków, a to oznaczało tylko jedno: byłam coraz bliżej Juliana.

Kolejne ostrożne kroki stawiałam już bardziej ochoczo. Dźwięk dzwonka prowadził mnie przez kleiste podłoże, w którym co rusz zatapiały mi się stopy.

Gdy minęłam podrosty jałowca, zatrzymałam się i schowałam pomiędzy nie swoją torbę, nie była mi już potrzebna. Naciągnęłam na głowę kaptur, licząc na to, że pozwoli mi ukryć mą tożsamość przed innymi Insolitami. Tak przygotowana ponownie ruszyłam przed siebie.

Do dźwięków dzwoneczków dołączyło echo ludzkich pomruków, gardłowe, rytmiczne szepty, niezrozumiałe, zlewające się w jeden ton o rytmie przyspieszonego oddechu. Czułam, jak głos ten szczypie moją nagą skórę, skrytą pod czarnym płaszczem Insolitów. Polirytmia tej szeptanki zmieniała się od żałobnej po ekstatyczną, dźwięki grzęzły razem ze mną w wąskich przesmykach pomiędzy drzewami. Przeciskałam się pomiędzy nimi niczym przez szczeliny drewnianego labiryntu. Konary drapały skórę na rękach, nogach i twarzy. Las żądał ode mnie ofiary z ciała i krwi, by móc przepuścić mnie dalej. Rozcięty policzek złożył swój dar, barwiąc krople potu na mojej szyi na czerwono.

Szeptuchy zza horyzontu sprawiały, że śpiewał już z nimi cały las. Nie mogłam odróżnić, czy mruczały one – szepczące Insolitki – czy może to drzewa i liście, i kora, i cała ziemia pode mną, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa rytmicznością niesioną przez mrok. Czarne kruki, które przysiadły na jednej z gałęzi pobliskiego drzewa, wydawały z siebie złowieszcze piski, trzepocząc nerwowo skrzydłami. Wtórowało temu wycie wilków, dochodzące z oddali, zawodzące samogłoski „a” oraz „u”, brzmiące jak ostrzeżenie. Czyżby czuły, co ma się wydarzyć?

Kilka minut później poczułam drżenie ziemi. Odwieczny las dygotał od insolickich kroków, nieprzyzwyczajony do tak licznych odwiedzin. Drgało powietrze, wypełnione zapachem ziołowych kadzideł, szałwia, werbena i arcydzięgiel niosły się z wiatrem. Byłam coraz bliżej. Szepty przeradzały się w głosy – kobiece, delikatne, rezonujące alty i męskie, ciemne, nerwowe basy. Niezwykły chór nucił melodię bez słów, hipnotyzującą i pełną niepokoju.

Wstrzymałam oddech, gdy drzewa ustąpiły, ukazując moim oczom zastępy zakapturzonych postaci skupionych w licznych grupach na granicy lasu i rozległego, idealnie okrągłego pola, w całości pokrytego mchem. Jego kępy porastały brzegi rozrzuconych gdzieś kamieni, wdrapywały się na korę granicznych drzew. Gdy moja stopa dotknęła zieleni tego dywanu, poczułam mrowienie w dole brzucha,

delikatna pieszczota poranionej skóry podbicia zachwyciła mnie i natchnęła.

Dotarłam tu. Dotarłam na Nemore.

Na kamieniach ustawiono gliniane misy z kadzidłami, ich dym snuł się przy ziemi, uciekał do lasu, mieszał się z zapachem mchu, potu i błota, chwycił Insolitów za kostki i włożył im pod szaty, okadzając nagie ciała. Na środku stał ułożony ludzkimi rękami kamienny stos, misternie przepleciony zmurszałym już nalotem, a na samej jego górze, zupełnie jak w mojej wizji, tron – lecz nie z kości, a z kamieni. Jeszcze pusty, ale w powietrzu czuć już było oczekiwanie. Julian był blisko.

Niebo patrzyło na to zbiegowisko tysiącem oczu, wysyłając świetliki, malutkie lucyfery, niosące światło, by móc przez nie uczestniczyć w kumulacji mocy. Bezpośrednio nad tronem zawisł księżyc, napęczniały tak, jakby miał się rozlać po niebie, na wzór zorzy polarnej czy oczu Juliana. Oświetlał bladą poświatą mech i insolickie kaptury, odbijał się w dziesiątkach oczu wpatrzonych w przestrzeń.

Przystanąłam w pewnej odległości od szepczących, próbując odnaleźć w ich plecach olbrzyma lub chociaż rudy kosmyk włosów Leny. Pieśni Insolitów wzmagaly się, ich rytm narastał. Szept powoli zamieniał się w chóralny śpiew, który spadał na mnie jak wodospad, poruszał każdą cząstkę mojego umysłu i ciała. Serce dostosowywało się do tego metrum, oddech przyspieszał, mięśnie bezwiednie się napięły i pozostały w tym napięciu już do końca.

Zupełnie naturalnie z każdą chwilą coraz bardziej stawałam się z nimi jednym organizmem. Prowadził nas jeden rytm, do którego dołączały kolejne głosy. Przejęliśmy polanę, las i wszystko w pobliżu. Władaliśmy nią i siłą, jaką nam dawała. Wyczuwałam kumulację tej mocy... ich mocy, płynęła w moich żyłach. Czułam jej zapach, pomieszany z kadzidłem, osadzała się na języku słodkim, kuszącym smakiem z nutką ostrości. Płynęła między nami równowaga pomiędzy życiem i śmiercią, pomiędzy dobrem i złem. Ta moc była bezstronna, służyła każdemu, zgadzała się na wszystko. Nie była czarna, nie była biała. Była harmonią, połączeniem ducha, ciała i natury.

Piorun przeszył niebo, a śpiewy ucichły. Głucha cisza opanowała Nemore. Nie krzyczały ptaki, nie wyły wilki, nie dało się słyszeć pohukiwań sowy. Spomiędzy dwóch rozłożystych sosen wyłonił się on – Kyrie. Półnagi, przepasany czarnym materiałem na biodrach, z burzą czarnych, rozpuszczonych włosów okalających twarz i ramiona, stapał po mchu dostojnie jak król. Idealny tors odbijał światło księżyca, sprawiając wrażenie, jakby to on sam promieniował nocnym blaskiem, jakby sam był księżycem tej ziemi. Jego źrenice rozlały się na całą gałkę, zakrywając biel twardówki. Całkowicie czarnymi oczami wodził po twarzach milczących Insolitów, podążając na swój kamienny tron. Jego wzrok padł na mnie, samotną postać na skraju lasu, z twarzą skrytą pod kapturem przybrudzonej błotem szaty. Grymas przebiegł mu po twarzy, oczy pojaśniały, lecz tak szybko, jak to się zadziało, powrócił do swej pierwotnej postaci.

Nie był tym samym Julianem, którego znałam. Był Kyrie i wszedł w tę rolę do tego stopnia, że chwilami nie poznawałam jego twarzy, naprężonych do granic możliwości mięśni i grubych żył, które pęczniały pod naporem buzującej w nim krwi. Emanowała z niego czysta moc, potęga, której nie zauważałam wcześniej. Wyprężony, nierealny, na wskroś przerażający, sprawiał, że skuliłam się w sobie. Obserwując jego nieludzkie ruchy rąk, tych samych, które tak niedawno pieściły moją skórę, poczerniałe oczy, którymi teraz skanował Nemore, a które wcześniej miał utkwione tylko we mnie, zaczynałam rozumieć, dlaczego moi bliscy po prostu się go bali. Czy może to ta przyjęta przez niego poza Kyrie-hegemonia napawała mnie lękiem? A może to Daniel zaszczepił we mnie tę trwogę? Bez względu na źródło – strach, moje dziedzictwo, powrócił do mnie i stanął ze mną ramię w ramię w oczekiwaniu.

Julian, usiadłszy na tronie, dumnie podniósł głowę do góry, prezentując kwadrat silnej szczęki. Swoją pozą mówił bez słów: oto ja, Kyrie, pan i władca, nikogo i niczego się nie obawiam.

– Czemuż to, moi bracia i siostry, śpiewacie nasze żałobne melodie? – zapytał, a głos jego niósł się aż do nieba. – Czyżbym już umarł? A może pochowaliście mnie za życia? Jeśli oczekujecie ofiary, spełnię wasze oczekiwania, lecz to nie moja krew wsiąknie dzisiaj w tę pradawną ziemię. Leno, zakończmy to tak, jak nakazuje tradycja.

Spomiędzy Insolitów zgromadzonych przy tronie wyłoniła się ona. Zdjęła kaptur i ukazała wszystkim pukle rudawych włosów, zgrabny nos i pełną nienawiści twarz. W jej rękach tkwił zawinięty w kawałek białego materiału pakunek. Oznaczało to jedno: Daniel dopełnił swej zdrady.

Wzięłam głęboki oddech i porzucając resztki nadziei, ruszyłam w stronę Juliana, gotowa stanąć między nim a całym światem.

Rozdział 13

Ofiarowanie

Lena podeszła pod Julianowy piedestał, utkwivszy swój wzrok w twarzy mojego ukochanego, w jego zaciśniętej szczęce i rozlanych czarnych oczach. Stopy stawiała ze zwierzęcą gracją, kołysząc przy tym biodrami.

– Nie masz już nad nami władzy – odrzekła, płynnym ruchem zrzuciwszy z siebie szatę, obnażając mleczny odcień gładkiej skóry.

Jej perfekcyjne ciało przyciągało wzrok, biorąc w niewolę nasze bezradne oczy. Patrzyli na nią wszyscy na Nemore, zahipnotyzowani czarem nagiej wiedzy. Pełne piersi zakończone ciemnymi brodawkami sterczały kusicielsko i falowały, gdy kołysała się w rytm cichych podmuchów wiatru. Krągłe biodra skrywały przyprószone rdzą łono, które z błogą bezczelnością wypychała do przodu. Szczupłe nogi, zgrabne ręce, długa szyja i okalające twarz naturalnie rude loki. Julian również nie odwrócił od niej wzroku, choć wydał z siebie coś na kształt cichego prychnięcia.

– Nie jesteś już naszym Kyrie. – Lena kontynuowała, epatując nagością. – Przez lata zabraniałeś nam tego, po co sam sięgnąłeś. Tych, którzy sprzeciwiali się tobie, mordowałeś bez sądu i możliwości obrony. A teraz stajesz tu przed nami, upadły królu, z podniesioną głową i wzywasz mnie do pojedynku? Dzisiejszej nocy nie przyszłam w swym własnym imieniu. Dziś nie jestem Leną, Pierwszą Wiedźmą, lecz zwiastunem nowego porządku, twoim rychłym końcem. Wzywając mnie, wzywasz do walki tych, którzy stoją za mną, wzywasz do pojedynku mój nowy lud.

Stojący za jej plecami Insolici zaczęli zdejmować swe szaty, budując z nią front. Kilkanaście obnażonych ciał, nagich piersi i wyrzeźbionych torsów, stojący ramię w ramię kobiety i mężczyźni tworzyli zamknięty krąg.

– Zdrajca! – krzyknął ktoś z nich.

– Zginiesz! – wtórował kolejny głos.

– Jam jest zasadami, a zasady są mną – odrzekł Julian głosem tak mocnym, że ścierpła mi skóra. – Nie wam to oceniać. Nie wam mnie sądzić. Jam jest ponad wami i przed wami. Jestem waszą mocą, a moc ta jest silniejsza, niżby wam się śniło. Zdrajcami jesteście wy sami, nagie, bezwstydne kreatury, i spadnie na was gniew Kyrie, waszego pana.

Ziemia zadrżała, gdy nadzy Insolici zaczęli wybijać stopami rytm przyśpieszonego bicia serca. Julian zaśmiał się, widząc to. Wstał, górując nad nimi, a niebo przeszył kolejny piorun.

– Nie ma wśród was równych mi, waszemu Kyrie. Nie bądźcie śmieszni, upadłe anioły, cokolwiek zrobicie, odbije się ode mnie i zniszczy was ze zdwojoną mocą.

Rytm wybijany przez stopy popleczników Leny przyśpieszał, dołączyły do niego szepty. Słowa nieznanymi mi zaklęć w obcych językach, o jakich nigdy nie słyszałam. Część zakapturzonych postaci, wciąż wiernych swemu panu, przysunęła się bliżej tronu, stając solidarnie za plecami Juliana.

– Odejdźcie, moi bracia – rozkazał, zwracając się do nich, nie cierpiąc sprzeciwu. – To was nie dotyczy. Nie narażę was na krzywdę z powodu ich zdrady.

– Kyrie, użyj nas. – Błagalne szepty ledwo dotarły do moich uszu.

– Idźcie! – krzyknął. – Odejdźcie. Zabiję ich wszystkich sam.

Insolici rozpierzchli się na granice Nemore, lecz nie ruszyli dalej. Pozostaliśmy tam teraz tylko my: Julian na swym kamiennym tronie, Lena i jej apostołowie oraz ja, stojąca samotnie na środku opustoszałego Nemore. Kyrie wydał z siebie rozwścieczony okrzyk, płosząc ptaki, które do tej pory siedziały na gałęziach drzew, przypatrując się insolickim potyczkom. Kruki poderwały się do lotu, a hałas trzepoczących skrzydeł oddalił się na północ.

– Czyż nie powiedziałem, żebyście odeszli? – zwrócił się do mnie, wskazując skraj lasu. – Czy ty też zamierzasz zrzucić szatę i stanąć po jej stronie?

Nie odpowiedziałam, podchodząc pod samo zbocze kamiennego stosu.

– Jak śmiesz?! – huknął rozwścieczony, lecz zaraz zupełnie niespodziewanie złagodniał, a zmiana ta zadziwiła nas oboje.

Oczy na powrót rozświetliła biel, zaciśnięte mięśnie odpuściły walkę. Musiał mnie poznać po samej

bliskości, dzieliły nas zaledwie metry.

– Nie... – szepnął, a głos mu zadrżał nieudolnie ukrywanym żalem. – Odejdź, póki jeszcze żyjemy.

– Nie dam cię zabić – powiedziałam, zdejmując kaptur.

Szmer szeptów przeszedł po omszałej polanie, przerodził się w złowrogie pomruki. Moje pojawienie się, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałam, zwiastowało dzień naszego sądu.

– Właśnie to zrobiłaś – powiedzieli chórem i Kyrie, i Lena.

Julian jęknął, zbiegając do mnie po ostrych kamieniach. Chwycił mnie w ramiona, a ja utonęłam w tym objęciu. Jego skóra była tak aksamitna, jak ją zapamiętałam, dłonie na moich policzkach tak delikatne, jak zawsze. Oczy wróciły do swej dawnej postaci – na powrót był moim Julianem, nie Kyrie, nie władcą, nie mordercą.

– Po co wróciłaś? – szeptał do mnie z wyrzutem, lecz jego zachowanie przeczyło tonowi głosu. Ucałował moje czoło, palcem wskazującym przejechał po wierzchu nosa. – Byłaś bezpieczna między swoimi.

– Zostawiłeś mnie bez słowa... – odparłam, przyklejając policzek do jego nagiej piersi. – Szukałam cię. Znalazłam cię.

– Jak tu trafiłaś? – Złość narastała w jego głosie.

Nasi przeciwnicy coraz głośniejszymi dźwiękami polanę, nucąc swe pieśni gardłowym mruzeniem.

– Daniel mnie znalazł. – Na dźwięk imienia swego brata Julian zacisnął pięści. – Ona ma puncę, Julianie – szeptałam zrozpaczona. – Zdobyłam ją dla ciebie, lecz on mi ją ukradł. On cię zdradził.

– Wiem, moja słodka, wiem. – Ucałował moje usta, objawszy je swoimi. Delikatnie musnął dolną wargę koniuszkiem języka. Marne pocieszenie, gdy dawało się wyczuć, że smutek przejął panowanie nad jego ciałem. – Wiedziałem o tym wszystkim od dawna.

– Więc czemu przyszedłeś? – wzburzyłam się. – Skoro wiedziałeś, to czemu przybyłeś tu dziś na śmierć?

– Bo miałem umrzeć sam. A ty miałaś żyć.

Srebrzysta księżycowa łza spłynęła mu po policzku, spływając na połacie mojej szaty.

– Jeszcze jest dla ciebie szansa. – To powiedziawszy, złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę lasu.

Biegliśmy pomiędzy drzewami, ile sił w nogach. Roz-wścieczone krzyki Leny podążały za nami, czuliśmy jej oddech na plecach, słyszeliśmy kroki jej świty.

– Dokąd biegniemy? – wydyszałam po kilku minutach morderczego biegu.

– Zabrać cię jak najdalej od niej – odpowiedział mi Julian, pośpieszając mnie szarpnięciem ręki.

Zaparłam się w miękkim podłożu i stanęłam nagle. Kyrie zaklął pod nosem, odwracając się w moją stronę.

– Nie – zaprotestowałam. – Nie zostawię cię.

– Ona cię zabije! – krzyknął, szarpiąc się ze mną. – Nie dam ci umrzeć za mnie!

– To nie jest twoja decyzja, tylko moja.

– Mal, chodźmy. – Widząc mój opór, przewrócił oczami. – Błagam cię, pozwól mi cię chronić.

– Im jesteś dalej od Nemore, tym mniej mocy będziesz miał, by walczyć.

W oddali było słyhać zbliżającą się szarżę zwaśnionych Insolitów.

– Nie mogę walczyć, gdy jesteś blisko! – krzyknął, zmuszając mnie do biegu.

Przeciskaliśmy się dalej przez gęsty las, w bezsensownej ucieczce przed tym, co i tak miało się wydarzyć. Byłam gotowa walczyć u jego boku i zginąć razem z nim, bez względu na wszystko.

– Dlaczego nie możesz przy mnie walczyć? – dopytywałam, biegnąc za nim.

– Moją mocą jest odbicie – wyrzucał z siebie sylaby, unikając zbyt nisko rosnących gałęzi. – Władam każdą najsilniejszą energią w moim otoczeniu, odbijam i zwielokrotniam moce zarówno przeciwników, jak i popieczników.

– Co to ma wspólnego ze mną? To nie ma zupełnie sensu!

Nie odpowiedział, zagłębiając się w gęstwinę lasu. Grzęzliśmy na podmokłych ziemiach, niedbale stawiając stopy, byle tylko szybciej, byle tylko iść dalej.

– Julian! – skarciłam go. – Powiedz mi...

Nie dokończyłam, gdyż moje stopy ślizgnęły się po mokrej ziemi, sprawiając, że straciłam

równowagę i z impetem uderzyłam w drzewo. Jęknęłam z bólu, czując rytmiczne pulsowanie uciekającej z mojego ciała krwi. Julian padł na kolana i delikatnie mnie uniósł, skanując obrażenia. Obejrzał otartą skórę na czole, rozdarty rękaw szaty. Podsunął do góry połacie czarnego materiału. Nie wiedziałam, co zdziwiło go bardziej, widok mojego nagiego ciała czy obraz krwawiącej rany na nodze. Ostro zakończona sucha gałąź wbiła się głęboko w udo.

Szybkim ruchem oderwał do końca jeden z rękawów i związał go ściśle ponad raną. Obejmując delikatnie smukłymi palcami gałąź, złamał ją, pozostawiając jej resztkę w moim ciele. Zakryłam usta, by zdusić okrzyk bólu, który ugrzązł mi w gardle. Spojrzał na mnie przeprasząco, po czym szepnął:

– Nie dasz rady dalej biec. Muszę cię ponieść.

Najdelikatniej, jak mogł, podniósł mnie i ruszył przed siebie, zamykając moje ciało w swym silnym uścisku. Milczał chwilę, lecz nie trwało to długo.

– Twoje uczucie przyćmiło wszystko inne na tamtej polanie. Z każdym twoim krokiem czułem... Im bliżej mnie byłaś, czułem, jak opuszcza mnie moc Leny.

Otworzyłam szeroko oczy i rozchyliłam usta.

– Ja nie jestem jedną z was – wymamrotałam, czując, jak kręci mi się w głowie. – Jak mogłam przyćmić Lenę?

– Emocje, szczególnie tak silne, jak miłość czy nienawiść, to też energia – mówił cicho wprost do mojego ucha, przerywając co chwilę, by wziąć głębszy oddech. Był wyczerpany. – Czułem to od dawna, gdy byłem przy tobie, choć z początku tego nie rozumiałem. To dlatego nie mogłem w pełni skorzystać z mocy Leny, gdy próbowałem odwrócić jej zaklęcie, by uleczyć mojego brata tamtej nieszczęśliwej nocy. Pokochałaś mnie zbyt mocno. To była przyczyna i początek tego wszystkiego. Przy tobie nigdy nie będę *Kyrie*.

Lena była coraz bliżej. Julian, obciążony moim niezdolnym do biegu ciałem, nie był w stanie jej uciec. Zmuszony uciekać dużo wolniej, przystawał co jakiś czas, by poprawić sposób, w jaki mnie trzymał. W takiej konstelacji nie mieliśmy żadnych szans.

– Wróćmy na *Nemore* – błagałam go, lecz mój głos nikał, zagłuszany krzykami *Insolitów*. – Tam masz największe szanse.

– Najpierw zostawię cię w jakimś bezpiecznym miejscu – grzmiał mi zrozpaczony prosto w ucho.

– Nigdzie nie będę bardziej bezpieczna niż przy tobie! – krzyknęłam na niego, uderzając z całej siły zaciśniętą pięścią w jego tors. – Wolę umrzeć z tobą, niż żyć bez ciebie. Nie rozumiesz tego?

Stał zszokowany, wpatrując się we mnie.

– Przebyłam długą drogę, by cię odnaleźć. Nie pozwolę ci mnie znowu porzucić. – Wskazałam mu przeciwny kierunek niż ten, w którym biegliśmy. – Wróćmy tam. Przyjmijmy nasz los razem, bez względu na to, jaki on ma być.

– Nie tego chcę dla ciebie – szepnął, musnąwszy czubek mojego nosa swoją wargą.

Uśmiechnęłam się do niego, próbując ukryć ból rozchodzący się po moim ciele. Zamknął oczy i wzięwszy głęboki oddech, bez słowa ruszył w bok, już nie biegnąc, lecz skradając się po cichu, by ominąć zastępy goniących nas nagich wrogów. Rozglądał się, szukając prowizorycznego schronienia: czuliśmy oboje, że czasu było coraz mniej. *Insolici* zbliżali się nieubłaganie, przeczesując las, który wibrował, podsycany ich nienawiścią. Nie mając zbyt wielu możliwości, ułożył mnie w pobliskiej gęstwinie paproci, by chwilę później samemu przylgnąć do mojego ciała. Szeptął przy tym zakłete w dawnych językach słowa.

– Co robisz?

Pozostawił moje pytanie bez odpowiedzi, przykładając mi palec do ust. Leżeliśmy obok siebie krótkie sekundy, nim ziemia pod nami zadygotała. Lena wraz ze swoją świtą mijali nas, przebiegając tuż obok. Zacisnęłam palce na ramieniu Juliana, wstrzymałam oddech. Spojrzał na mnie łagodnie, próbując dodać mi otuchy. Nie przerwał swej mantry. Jego słowa odbijały się od chłodnej ziemi, otulając nas gęstą mgłą. Gdy przeciwnicy nas minęli, Julian na powrót wziął mnie w objęcia i ruszyliśmy truchtem w drogę powrotną.

Stając znów na *Nemore*, poczułam ulgę. Zastępy wiernych Julianowi *Insolitów* nadal stały na granicy lasu. *Mamy jeszcze szansę* – pomyślałam wtedy. Lecz kolejne sekundy szybko wyprowadziły mnie z tego błędnego założenia. Wśród zakapturzonej grupy jedna głowa górowała nad resztą. Ta jedna głowa skryta w czeluści mrocznego materiału zwiastowała komplikacje.

Daniel wystąpił z grupy, zdjął kaptur, ukazując wszystkim swoje oblicze, po czym ruszył w naszą

stronę.

– Coś ty jej zrobił?! – krzyczał, próbując wyrwać moje ciało z objęć Juliana.

Kyrie odepchnął go od nas silnym kopnięciem, wycelowanym prosto w brzuch Daniela. Olbrzym zachwiał się i upadł na mech, przeklinając pod nosem. Wykorzystując moment, Julian odłożył mnie niedaleko, na tyłach swego tronu, i przywołał do siebie skinieniem ręki kilku Insolitów. Porozumieli się bez słów: mężczyźni podeszli do mnie, okrążając mnie niczym gwardia przyboczna.

Daniel podniósł się po chwili z ziemi i zaatakował Juliana. Chwycił go za szyję, zaciskając ogromne palce na krtani Kyrie. Skryci na granicy lasu Insolici ruszyli mu na pomoc. Stanęli jednak nagle w pół kroku, a ich oczy zaszyły mgłą. Oto jak Daniel zdobywał przewagę w walce, używał swoich mocy, mieszając przeciwnikom w głowach.

– Przestańcie! – wrzasnęłam ze łzami w oczach, lecz żaden z nich nie słuchał.

Krzusząc się i wijąc, wiszący centymetry nad ziemią Julian uderzył olbrzyma pięścią pod żebrami, wprost w niedoleczoną ranę po zakłęciu Leny. Obaj upadli. Jeden trzymał się za napuchnięte gardło, drugi za rozkrwawioną ranę. Próbowałam wyrwać się z prowizorycznego więzienia, które Julian stworzył dla mnie z insolickich ciał, jednak mężczyźni nie pozwolili mi nawet stanąć na nogi. Jeden z nich chwycił mnie za ramiona, wciskając mi swoje ostre, chude palce w obojczyki.

Wściekłe krzyki Leny i jej świty zwiastowały ich rychłe przybycie z coraz większą intensywnością. Poznali się już na naszym fortelu i lada moment mieli wkroczyć na Nemore. Jęknęłam, widząc, jak dwaj bracia pełzną w swoją stronę, zawzięcie próbując uzyskać przewagę.

– Przestańcie, do cholery! – wrzeszczałam, próbując wyrwać się z silnego uścisku dłoni mojego strażnika. – Idioci! Lena się zbliża!

– To wszystko się zaraz skończy – wydyszał Daniel w moją stronę, ocierając z czoła krople potu.

Czy była to groźba, czy może na swój własny chory sposób próbował mnie pocieszyć?

Dopadli do siebie znów, szarpiąc się w poziomie. Dzikie zwierzęta kotłujące się zawzięcie. Zaślepieni adrenaliną bużującą w ich napęczniałych żyłach. Przerzucali swoje ciała nad głowami, zadawali precyzyjnie wymierzone razy. Pięść Juliana uderzyła w twarde tors brata. Olbrzym odwzajemnił to ciosem w podbrzusze. Żadnego z nich te obrażenia nie dziwiły. Znali swoje słabe punkty, sposób zadawania obrażeń. Widziałam to w ich zacietrzewionych oczach, w nieomyślności ruchów, w reakcjach przeciwnika. Czy jako dzieci zmuszani byli do walki? Czy Janik napuszczał ich przeciw sobie, by uczyli się przemocy? A może prowokowała ich sama walka o to, kto jest silniejszy?

Julian rozerwał rękaw czarnej szaty Daniela, przytrzymując jego bark. Tego ruchu olbrzym się nie spodziewał, zwrócił swą zdziwioną twarz w stronę Kyrie, który wykorzystał moment. Trzymając brata za rozerwany materiał, drugą rękę złożył w pięść i napinając wszystkie mięśnie z całą siłą, jaką dysponował, uderzył olbrzyma prosto w nos. Daniel zawył, krew buchnęła mu z nozdrzy i z ust. Julian podniósł się z ziemi. Górował nad bratem leżącym wśród zabarwionych na czerwono mchów. Odsunął się kilka kroków, obserwując, jak Daniel desperacko próbuje zatamować krwotok, krztusząc się krwią. Insolici, którzy do tej pory byli zaślepieni mocą olbrzyma, odzyskali widzenie i podbiegli do Juliana, stając za jego plecami.

– Jak śmiesz, zdrajco, podnosić rękę na Kyrie? – zagrmiał na olbrzyma. – Wiesz, co ci grozi za tę zniewagę? Wiesz, co ci grozi za zdradę?

Daniel spojrzał na mnie, lekceważąc słowa Juliana. Jego spojrzenie przeszło mnie na wskroś, po części błagalne, po części pełne troski. Spojrzenie, którego nie spodziewałam się ujrzeć w jego oczach. Nie rozumiałam, co ono oznaczało. Nie rozumiałam, czego oczekiwał.

Pomóż mi. A ja pomogę tobie. Jego głos odbił się echem w mojej głowie. Nim zupełnie ucichł, poczułam, że uścisk na ramionach zelżał. Straż przyboczna odpłynęła w ciemność mrocznych wizji Daniela. Wyswobodziłam się spod tej kurateli, odginając nieświadome palce Insolity jeden po drugim. Bez chwili zawahania zaczęłam pełznąć po ziemi w stronę obu braci.

– Zostań tam! – rozkazał mi ostrym tonem Julian, podbiegając do Daniela. Zignorowałam to polecenie.

– On jest niczym innym jak śmiercią – zwrócił się do mnie Daniel, próbując stanąć na nogi.

Julian pchnął go kopnięciem na plecy i przytrzymał gołą stopą, postawioną na olbrzymim torsie brata.

– Bólem i śmiercią! – kontynuował Daniel. – Nie znasz go tak dobrze, jak ja. Nic dobrego cię z nim nie czeka.

Julian zmarszczył brwi, podjudzony słowami brata. Przesunął stopę wprost na jego gardło, podduszając go ciężarem swojego ciała. Z przerażeniem obserwowałam, jak olbrzym wijąc się na ziemi, pluł krwią, wydając z siebie rżące dźwięki. W oczach Juliana nie było widać choćby krzty zawahania. Jego zimne, szkliste oczy napawały mnie lękiem. Czy Daniel aż tak mu zagrażał? Pełzłam tak szybko, na ile pozwalał mi mój stan. Udo bolało przy każdym ruchu, krwawiąc zbyt obficie. Zaciskałam pięści i szczęki, ignorując katusze ciała, skupiwszy wzrok na braciach. Nie mogłam pozwolić, żeby Julian zabił olbrzyma. Bez względu na zdarzenia z ostatnich dni faktem było to, że to właśnie Daniel doprowadził mnie do mojego Despoty.

– Nie podchodź tu! – zabronił mi mój ukochany, łypiąc na mnie złowrogo. – Do jasnej cholery, zatrzymaj się!

– Zostaw go! – zażądałam, łapiąc go w końcu za nogę, którą przytrzymał olbrzyma.

Szarpałam go za łydkę i palce u stóp, wbijałam paznokcie w jego skórę, próbując ściągnąć jego stopę z krtani Daniela, krzycząc przy tym na niego. Zaśmiał się tylko i pochwycił mnie za ramiona, podnosząc z ziemi jak szmacianą lalkę. Zrównał nasze twarze, nie odpuszczając przy tym torturowanemu olbrzymowi.

– Nie mieszaj się w to! – krzyknął, wydychając swą wściekłość prosto w moje usta i zaciskając na mojej skórze palce coraz mocniej, tak mocno, że aż jęknęłam. Nie odpuścił jednak. Był w transie, oczy utkwiał w przestrzeni, gdzieś za moimi plecami, nie panował nad odruchami.

– To boli! – Próbowałam wyrwać się z jego rąk. – Julian, krzywdzisz mnie!

Nie zareagował, zastygnąwszy w tej przedziwnej pozie: jego brat pod nim, leżący na ziemi, ja równa z nim, wisiałam nogami centymetry nad mchem. Odwróciłam głowę, kierując wzrok tam, gdzie patrzył Julian. Na Nemore zapadła zupełna cisza, gdy Lena i zbuntowani Insolici wkroczyli na nią, dostojnie prezentując swą nagość.

– Czy możemy zakończyć to tak, jak należy? – zapytała, zbliżając się do nas.

Julian szybkim ruchem odstawił mnie na ziemię, zasłaniając moje ciało swoim. Przyłgnęłam mu do pleców, owijając ręce wokół brzucha. Odpuścił też Danielowi, zdejmując stopę z jego szyi. Olbrzym przeturlał się na stronę Leny i potykając się, stanął na nogi, tuż za nią. Zrzuciwszy ostentacyjnie swoją szatę, utkwiał we mnie wzrok.

– Pojedynek – zagrzmiął Julian.

Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się do granic możliwości, a jego skóra płonęła żywym ogniem, tak był gorący. Lena zaśmiała się, kręcąc głową.

– Nie będziesz wybierać ani miejsca, ani sposobu – odparła, podchodząc do nas jeszcze bliżej.

Schowana za plecami Kyrie, czułam jej słodki zapach, mieszanek potu i leśnych olejków. Drobne gałązki i zielone igliwie przyozdabiały jej roztrzepane włosy. Gdy dotknęła opuszkami palców wierzchu mojej dłoni, powolny, pieszczotliwy ruch sprawił, że wzdrzygnęłam się, zażenowana nagłą poufałością. Julian złapał ją za nadgarstek, odsuwając jej dłoń od mojej skóry.

– Jak śmiesz jej dotykać?

Zaśmiała się.

– Ty mogłeś, to ja też chcę. – Wyszczrzyła zęby.

Niczym baletnica wyminęła Juliana, kręcąc przy tym zwinny piruet, i stanęła tuż obok mnie. Siłą, której się po niej nie spodziewałam, bez trudu oderwała moje, do tej pory zaplecione wokół brzucha Kyrie, ręce, odciągając mnie od niego jednym szarpnięciem. Upadłam na ziemię, zatapiając się w gęstym mchu. Lena nachyliła się nade mną, głaszcząc po głowie i włosach. Próbowałam ją odepchnąć, ale tylko zaśmiała się i z łatwością przytrzymała moją dłoń. Drugą rękę prowadziła niżej, sunąc palcami po obojczyku i dekolcie, odsłaniając połacie materiału, obnażyła piersi.

Julian ryknął i ruszył w naszą stronę. Daniel dopadł go jednak, złapał za nadgarstki i wykręcił mu obie kończyny. Stopą podciął brata. Ten upadł na kolana i z wykręconymi w stawach barkami darł się niczym oszalałe zwierzę. Jego krzyk wzburzył do lotu ptaki. Krążyły nad nami, łomocząc skrzydłami, niespokojnie skrzeczały, zataczały szerokie kręgi. Rozejrzałam się, szukając pomocy, ale żaden z popleczników Juliana nie ruszył się z miejsca, nie drgnął, choćby nawet na milimetr: Daniel znów zablokował ich wszystkie moce, mglistą poświatą mając ich oczy.

– Zginiecie! Oboje! – krzyknął Julian i splunął na ziemię.

Zagłuszył go jednak chór nagich ciał. Zbuntowani Insolici wznowili swoje śpiewy, dudnili stopami,

zatapiając je w wilgotnym mchu, falami wibracji zalewając nasze ciała. Mruczeli w narastającym, coraz szybszym tempie, magiczne słowa wylewały się z nich, otaczając nas rozszerzającą się poświatą. Zagłuszyli wycie Juliana, który szarpał się, trzymany przez Daniela. Zagłuszyli mój sprzeciw, gdy Lena zsuwała z moich pleców materiał czarnej szaty.

Jeden ze zdrajców podszedł do nas i wręczył mojej oprawczyni puncę, by po chwili złapać mnie za nadgarstki. Siłą podciągnął mnie, stawiając na nogi. Lena obejrzała moje nagie ciało, badając je jak mapę, jej wzrok zatrzymał się na podbrzuszu. Uniosła brwi, kręcąc głową, i odwróciła się do mnie plecami. Trzymając puncę na wyciągniętych przed siebie dłoniach, stanęła naprzeciw Juliana. Klęczał, wijąc się i szarpiąc, przytrzymywany nadal przez swego brata. Zdrajcy, stawiając stopy w rytmie śpiewanych chorałów, otoczyli nas, tworząc zamknięty krąg.

Lena dołączyła do śpiewów, szeptem intonując nową frazę. Punca zaczęła jaśnieć, a poświata sunęła po jej przedramionach, wgrzyzając się w skórę. Zamieniała krew w płynne złoto. Rytm zaklęć wzrastał się, a jasność rozlewała się po ciele czarownicy. Jej głos niósł się po tym zamkniętym kręgu, odbijając się od naszych ciał. Wtedy też pociemniało niebo. Świecący do tej pory delikatnym światłem księżyc zniknął za czarnymi chmurami. Ucichły zwierzęce odgłosy. Ustał wiatr. Gęsta, ciemna mgła pojawiła się pomiędzy drzewami i wlała się na polanę, oddzielając nas od popleczników Juliana. Czułam, jak szczypie mnie w stopy i łydki, jakby była osobnym bytem, jakby miała ręce i nogi.

Insolita, który trzymał mnie do tej pory, odszedł, lecz w jego miejsce pochwyciły mnie macki gęstych, mglistych oparów, które blokując nogi, chwytając za dłonie, powoli przejmowały nade mną panowanie. Mgła odcinała naszą czwórkę od reszty świata, zamieniając się w gęsty, gryzący dym, wlewała się w nozdrza i gardło. Nie widziałam ani nie słyszałam już nikogo innego. Zostaliśmy sami, otaczała nas ciemność, nie było lasu, nie było Nemore, Insolitów. Nie było miękkiego omszałego dywanu polany i światła świetlików. Słyszałam tylko wściekłe pokrzykiwania Juliana i rytmiczną melodię zaklęcia Leny.

– Co się dzieje? – szepnęłam, czując, jak zapadam się w ten mrok, jak połykam go wraz z każdym oddechem.

– Tak działa punca – odpowiedział spokojnym, pieszczotliwym głosem Daniel, nadal przytrzymując Kyrie. – Zaraz będzie po wszystkim. Pozwól się temu ponieść.

Julian ryknął, zamieniwszy się już całkowicie w dzikie zwierzę. Głos miał niepodobny do ludzkiego. Chrypiący wrzask podobny do ryku niedźwiedzia świdrował moje uszy.

Czy to był koniec?

Ciemność rozświetliła nagle Lena. Jej skóra jarzyła się delikatnym, ognistym światłem, ukazując cztery samotne sylwetki pośrodku nicości.

– Puść go – nakazała Danielowi i powróciła do swych zaklęć.

Olbrzym odsunął się posłusznie, sunąc powoli, krok za krokiem, w moją stronę. Od razu odwróciłam twarz, kierując swą uwagę na Juliana. Ten podniósł się z ziemi i cofnął, zwiększając dystans między nim a Leną.

– To ci nic nie da. – Kobieta zwróciła się do Juliana.

Promieniała coraz mocniej. Stojąc za jej plecami, czułam na swej skórze ciepło, które było od tej poświaty. Wyglądała, jakby cała się zamieniała w ten ogień. Powoli wzniosła się z ziemi, zawisła centymetry nad nami, kumulowała w sobie energię i śmiejąc się, utkwiała w Kyrie złociste oczy.

Julian szeptał w tym czasie zaklęcia, zbyt szybko, zbyt nerwowo, bym mogła rozróżnić poszczególne słowa. Uniósł ręce nad głowę w geście modlitwy, przymierza z mocą, którą pragnął pozyskać. Toczył ze sobą nierówną walkę. Jego oczy czerniały i bładły na zmianę, ciałem targały spazmy i drgawki. Nie szeptał już, lecz krzykiem wyrzucał z siebie zaklęte zdania. Na jego skórze zaczęły pojawiać się krwiste, czerniejące rany, a moje nozdrza wypełnił zapach spalenizny. Skóra na udach płonęła żywym ogniem, ręce dymiły, muskane niewidzialnymi płomieniami. Krzyczał nadal, choć głos mu się łamał. Zaklęcie Leny dotarło do szyi, wlewając mu do gardła magiczny żar. Krztusił się, z trudem łapiąc powietrze. Inkantacje zamieniły się w pomruki bólu.

Zbierając całą siłę, jaka pozostała w moim ciele, ignorując ból, który rozrywał moją poharataną nogę, wykręciłam się z mglistego uścisku niewidzialnych dłoni i ruszyłam w stronę Juliana. Daniel zbliżał się do mnie z drugiej strony. Minęłam go o włos, gdy próbował złapać moją rękę.

– Mal, błagam, nie rób tego!

Przerażenie w jego głosie oznaczało tylko jedno. Zaraz miałam dołączyć do Juliana w tej diabelskiej egzekucji. Mimo to biegłam w stronę Kyrie, a moje płuca siłowały się z dymem, gdy wbrew instynktowi zbliżałam się do źródła żaru, który zalał ciemności dookoła nas.

Daniel wydał z siebie ogłuszający ryk i ruszył za mną. Minęliśmy oboje Lenę, której skóra, podobnie jak ciało Juliana, czerniała od poparzeń. Nie śpiewała już zakłęb, zawisła w bezruchu, a szeroko otwarte oczy utkwiała w Kyrie. Ciało wygięła w łuk, ręce rozłożyła na boki, a pośrodku krągłych piersi wbiła sobie punce. Z rany wąskimi strużkami płynęła krew, która parowała, gdy tylko dotknęła skóry poparzonego brzucha. Jej skóra paliła się na równi z ciałem mojego ukochanego.

Dopałam do Juliana, który chwilę wcześniej upadł na kolana. Całe jego ciało zajęte było ogniem, poczułam to, gdy dotknęłam jego twarzy. Oczy miał przymknięte, ze spalonych, rozchylonych ust schodziła mu skóra. Nadal bełkotał, wypluwając co chwila krwawy popiół. Umierał w powolnych katuszach, choć siła jego umysłu nie pozwalała jeszcze ciału odpuścić.

– Jestem tu – szepnęłam, wąpiąc, czy mnie słyszał. – Jestem tu, kochany.

Odwrociłam się w stronę Leny, zasłaniając jego ciało swoim. Żar zalał mnie natychmiast, witając poznanym już wcześniej uczuciem. To samo działo się, gdy byłam nad rzeką tego poranka. Daniel musiał wtedy użyć wobec mnie puncy znalezionej w moich rzeczach.

Nie poruszyłam się jednak, pozwalając ogniu podążyć żyłami. Ból objął wszystkie części mojego nagiego ciała, doprowadzając do wrzenia każdy organ. Topił paznokcie, sklejał pasma włosów, niszczył szkliwo zębów. Nie jęknęłam nawet, przyjmując to z godnością, gotowa na to, co miało nastąpić. Daniel zjawił się kilka sekund później, próbując odsunąć mnie z linii zakłęcia Leny. Krzyczał coś, lecz nie słyszałam go już wcale. Moje uszy zdążył zalać swym syczeniem żar. Olbrzym szarpał moje rozżarzone ręce, lecz parzyły go o wiele za mocno, by mógł odciągnąć mnie siłą od Leny i Juliana. Przez chwilę rozglądał się przerażony i zdeorientowany, po czym zamknął oczy i odwróciwszy się do mnie plecami, stanął pomiędzy mną a czarownicą. Jego olbrzymie ciało przyjęło na siebie epicentrum ognistego żaru. Paliliśmy się teraz we czwórkę, zastygnięci w nienaturalnych pozach.

Czułam, jak Julian wije się za moimi plecami, próbując wstać, gdy siła zakłęcia rozbiła się na naszą trójkę. Łapał mnie za łydki, ciągnąc w bok. Przede mną Daniel, szarpany spazmami ostrego bólu, zacisnął pięści, uniósł wysoko głowę, przyjmował za mnie najgorszą moc zakłęcia. Zza jego pleców wyłaniało się jaśniejące widmo ciała Leny. Promieniowała żarem coraz mocniejszym, tak mocnym, że bolały mnie oczy. Zamknęłam je, zakrywając dodatkowo twarz dłońmi, i skuliłam się, pochylając głowę do przodu. Daniel cofnął się, gdy kolejna fala ognia uderzyła w nas z impetem. Czołem dotknęłam jego rozpalonych pleców.

Czy to był koniec? Czy to tak właśnie miało wyglądać?

Rozbłysk obezwładniającego światła zamroził mnie na chwilę, odbierając wzrok. Pojawił się i tak samo szybko zniknął, pozostawiając mnie w ciemnościach magicznego wymiaru. Nie czułam już obecności Daniela. Zdeorientowana upadłam na kolana, próbując wymacać jego ciało, nadaremnie. Olbrzym wyparował, jakby rozpadł się na drobne kawałeczki. Zniknął, rozpląnął się w niebyt. Sięgnęłam ręką do tyłu w poszukiwaniu Kyrie. Wymacałam jego spopieloną, rozpaloną skórę, lecz nie czułam żadnego ruchu.

Moja własna skóra paliła mnie, odbierając siły. Osunęłam się tuż przy ciele Juliana, by choć na chwilę odpocząć, jednak ku mojemu zdumieniu, poparzony policzek nie dotknął nicości, lecz miękkiego sukna mchu. Poczułam na skórze chłodny podmuch wiatru, pieszczotliwie łagodzący wszechogarniający ból. W uszach dudniła mi jeszcze gotująca się krew, lecz powoli zaczęłam wyłapywać poszczególne dźwięki. W oddali wyły wilki i szczekały jelenie.

Uniosłam się na rękach, jednak nie wytrzymały mojego ciężaru. Upadając z powrotem na ziemię, poczułam, że tracę panowanie nad ciałem i myślami. Ból zniknął, tak samo jak lęk i wszystkie inne uczucia, pozostawiając mnie w błogim stanie czystej obojętności. Tym też sposobem, dzięki zakłęciu czarownicy, ztraciłam się w nicości.

*

Punca leżała na blacie drewnianej szafki nocnej i mogłaby udawać nawet dość ekstrawagancką dekorację, gdyby nie fakt, iż zastygły na niej karmazynowe ścieżki krwi, mieniając się upiornie w sztucznym świetle żarówki z filamentem. Rozejrzałam się po pokoju zdeorientowana. Leżałam na ogromnym łóżku, ułożona na miękkiej, satynowej kołdrze, z wysoką poduszką pod głową. Sypialnia była zalana sennym

półmrokiem, zasunięte rolety przepuszczały tylko poszczególne promienie dziennego światła, oświetlając drobinki tańczącego kurzu oraz przypadkowe przedmioty: fikuśną kutą gałkę od niedomkniętej szuflady w ciężkiej komodzie, stojącej zaraz przy wejściu, abstrakcyjny wzór na gęstym dywanie czy poparzone palce mojej gołej stopy.

Poparzone palce?

Powoli, wraz z tym, jak przyglądałam się mojemu ciału, wracały echa ostatnich wydarzeń. Nogi i ręce pokryte były rozległymi, choć płytkimi ranami w kolorach od krwistoczerwonego, przez głęboki fiolet, aż po brązy wybroczyn i skrzepów. Poparzone tkanki, z których schodziła wysuszona na wiór skóra, posmarowane zostały cienkimi warstwami jasnych, lepkich maści. Gdzieś tam pęczniały nalane surowicą bąble. Zgięłam nogę w kolanie, sprawdzając, czy mam jeszcze czucie w kończynach. Spodziewałam się okrutnego bólu, jednak zaskoczył mnie jego brak: każdy ruch powinien powodować katusze, wyciskać łyzy, lecz pomijając delikatny dyskomfort i mrowienie, nie czułam nic. Nie odważyłam się jednak podnieść z łóżka, na którym zostałam ułożona.

Rozejrzałam się ponownie po pokoju, już trochę bardziej świadoma. Dopiero teraz dotarło do mnie, gdzie byłam. To jego sypialnia. Jego mieszkanie. Serce zabiło mi mocniej. Jak się tu znalazłam? Co się stało? Czy to oznaczało, że Julian przeżył? Kolejne znaki zapytania pojawiały się w mojej głowie, mnożyły się, im dłużej wpatrywałam się w ściany pokoju, wsłuchując się w ciche dźwięki mieszkania, aby móc usłyszeć cokolwiek, co brzmiało jak on.

Czy powinnam się odezwać? Krzyknąć, zawołać pomoc? Nie zdążyłam się nawet przekonać, czy mogę wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo, gdy kątem oka zobaczyłam otwierające się drzwi. Zaskrzyptały delikatnie, gdy ktoś wszedł do środka i po cichu zbliżył się do łóżka. Rosły mężczyzna trzymał w ręku szklanekę wody i papierową rurkę. Ostrożnie usiadł na skraju materaca i spojrzał na mnie, uśmiechając się wymuszonym uśmiechem. Widziałam to, gdyż oczy miał pełne smutku, przydymione widmem niedawnych przeżyć.

Julian. Serce zabiło mi mocniej. Mój Julian.

Nie mogłam wyjść z podziwu, łapczywie połykając widok jego ciała wzrokiem. Idealnie gładka skóra, na której nie było choćby nawet zadrapania czy najmniejszej ranki, aż biła po oczach. Jakim cudem? Twarz, jeszcze tak niedawno pokryta głębokimi poparzeniami, wyglądała jak zawsze, jakby nigdy nic się nie stało, jakbyśmy nigdy nie płonęli żywcem w odmętach piekła.

– Ty żyjesz... – jęknęłam, a skóra na poparzonych wargach pękała przy każdym ruchu.

– Ty też – stwierdził i wsadził do szklanki palec wskazujący, by za chwilę zwilżyć mi usta. – Choć to cud, muszę przyznać. Nie miałem nadziei.

– Co się stało? – zapytałam, lecz on milczał, oglądając moje rany.

Wyciągnęłam rękę, dotykając jego ramienia wnętrzem dłoni, jedną z niewielu części mojego ciała, która nie ucierpiała w trakcie starcia z Leną. Pogłaskałam go, sunąc palcami od zagłębienia w łokciu aż po obojczyk. Julian zadrżał. Mój dotyk sparaliżował go, czułam, jak napina mięśnie i zaciska szczęki.

– Co się dzieje? – wyszeptałam zaskoczona.

– Po tym wszystkim ty nadal... – urwał, przełykając ślinę.

– Nadal co? Kocham cię? – Uśmiechnęłam się do niego na tyle, na ile pozwalała mi poparzona, naciągnięta skóra na twarzy. – Powinieneś już chyba to zrozumieć.

Westchnął, odwzajemniając uśmiech. Och, jak bardzo smutek tych bezkresnych, czarnych oczu kłócił się z jego nieudolnymi próbami pokazania, że wszystko jest w porządku.

– Nie sądziłem, że po tym, przez co przeszliśmy, będziesz jeszcze chciała na mnie patrzeć – stwierdził w końcu, podając mi do ust rurkę. Chłodna woda spłynęła po moim gardle, nawilżając je. – Jesteś cała poparzona i poraniona.

– Ale nic mnie nie boli – odparłam, próbując odsunąć od siebie wizję blizn, które pewnie zostaną na mojej skórze do końca życia.

– Wiem, podałem ci morfinę. Podskórnie. Niecałe siedem miligramów.

– Skąd masz morfinę? – Otworzyłam szerzej oczy.

– To jedyna rzecz, która cię teraz dziwi? – Zaśmiał się i trochę rozluźnił.

– Dużo rzeczy mnie dziwi. Na przykład to, dlaczego ja leżę tu poparzona, podczas gdy ty wyglądasz tak jak zawsze. Czemu nie powiedziałeś mi, kim jesteś? Gdzie jest Daniel? Co się stało z Leną? Dlaczego

żyjemy...?

Julian pokiwał głową i wstał, odsłaniając jedną z rolet. Pokój zalało ciepłe światło letniego popołudnia.

– Spokojnie, Mal – powiedział, obchodząc łóżko i siadając po mojej prawej. – Zaczniemy od początku. Przede wszystkim jestem ci winien przeprosiny. – Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze nosem. – Nie doceniłem cię. Myślałem, że jeśli cię porzucę bez słowa wyjaśnienia, po prostu zniknę, zniechęcisz mnie na tyle, by odciąć się od tego, jak cię potraktowałem. Myślałem, że dzięki temu będziesz bezpieczna, wiodąc dalej spokojne, długie życie wśród swoich. Myślałem, że pocierpisz trochę, a potem poznasz kogoś innego, bardziej odpowiedniego dla ciebie. Nigdy bym nie pomyślał, że to się tak skończy, że jakimś cudem dotrzesz do mnie, gotowa na wszystko. I za to cię przepaszam.

– Przepaszasz mnie za to, że mnie zostawiłeś, czy że mnie nie doceniłeś? – dopytałam.

Chrząknął, unosząc swoje krzaczaste brwi.

– Za obie rzeczy – powiedział, gładząc się po czole, po czym dodał: – I jeszcze za coś. Za to, że cię naraziłem na to wszystko, co cię spotkało, gdy byłaś z Danielem.

Daniel. Zamknęłam oczy, przypominając sobie cień jego ogromnych pleców, który osłaniał mnie przed palącym ogniem zaklęcia.

– Daniel... – powtórzyłam za Julianem szeptem, bojąc się tego, co usłyszę. – Co się z nim stało?

Julian pokręcił głową i zacisnął usta.

– Nie żyje...? – Głos mi zadrżał.

– Nie miał prawa przeżyć. Epicentrum zaklęcia uderzyło właśnie w niego.

Coś zakłuło mnie w żołądku. Olbrzym stanął w mojej obronie, przyjmując na siebie śmiertelny cios.

– Tak mi przykro. – Pogładziłam Juliana po kolanie.

– Po tym, na co cię naraził? – oburzył się, delikatnie odtrącając moją dłoń. – Chociaż, wiesz co? W sumie, to mnie też jest przykro, że nie przeżył. Chciałbym móc sam go zabić. Teraz mam poczucie, że powinienem być mu wdzięczny za to, że stanął pomiędzy tobą a Leną. Nie przywykłem do tego, że robił mi przysługi.

– To nie tobie zrobił przysługę – stwierdziłam gorzko, czując, jak ta myśl kładzie się smutnym ciężarem na moich ramionach.

Julian spojrzał na mnie zaskoczony.

– Chyba nie rozumiem... – Przechesał nerwowo palcami pasma swoich czarnych, gęstych włosów. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzięłam głęboki oddech i przygryzłam spękana, suchą wargę, zastanawiając się, jak właściwie dobrać słowa.

– Daniel się we mnie zakochał – wydusiłam z siebie, patrząc prosto w jego smutne, czarne oczy.

– Słucham...? – wyszeptął, poblądłszy na twarzy. – To nie jest możliwe. On nie był zdolny do takich uczuć.

Próbowałam się podnieść, aby móc porozmawiać z nim twarzą w twarz, o takich sprawach nie powinno się mówić na leżąco. Powstrzymał mnie jednak, delikatnie układając z powrotem na pościeli.

– Nie wiem, jak to się wydarzyło – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Od początku zachowywał się, jakby miał mnie za nic. Wiedziałam, że jestem dla niego tylko narzędziem do osiągnięcia jego celów, tak samo jak on dla mnie był tylko sposobem, aby dotrzeć do ciebie. Ale potem... Potem coś się zmieniło.

– Kiedy? – dopytywał.

– Mam wrażenie, że on użył wobec mnie puncy. Czulałam na sobie podobne płomienie, jak później na polanie. Po tym, jak jej użył, zaczął zachowywać się, jakby oszalał. Chciał, żebyśmy uciekli razem, bredził coś, ciągle powtarzał, że w końcu zrozumiał, że mnie kocha.

Julian zamknął oczy i znieruchomiał. Wyglądał jak posąg, jak marmurowy anioł bez skrzydeł, który z przymkniętymi powiekami kontempluje wieczną ciszę w niesłyszących uszach. Tylko delikatne ruchy klatki piersiowej zdradzały, że jeszcze jest w nim życie. Wydawało mi się, że przedłużał te chwile milczenia w nieskończoność.

– O co chodzi, Julianie?

Otworzył poczerwieniałe oczy, być może od łez, które próbował ukryć.

– Czy Daniel wyjaśnił ci, jak działa punca? – zapytał w końcu.

– Powiedział, że potęguje moc tego, kto jej użyje.

– Nic więcej?

Pokręciłam głową.

– W przyrodzie nie ma nic za darmo. Jeśli chcesz spotęgować swoją moc, musisz oddać coś w zamian.

Zamrugalam, nie rozumiejąc.

– Punca niszczy to, co kochasz najbardziej – wyjaśnił. – Więc jeśli użył jej, a ty dostałaś rykoszetem, zrozumiał, co do ciebie czuł... Teraz to wszystko nabiera sensu. Myślę, że to był właśnie plan Daniela. Chciał wykończyć zarazem i mnie, i Lenę. A ciebie zostawić tylko dla siebie.

– Julian, chyba nie nadażam – odparłam, czując się przytłoczona kolejnymi kawałkami tej mrocznej układanki.

– Lena nie miała prawa wiedzieć, jak działa punca. Wiedzieliśmy o tym tylko ja i Daniel. Śmiem twierdzić, że pewnie tak samo jak tobie jej też zapomniał wspomnieć o tym drobnym szczególe.

– Ale czemu Lena zginęła?

– Lena ponad wszystko kochała siebie. – Odwrócił się i sięgnął po puncę, delikatnie, ostrożnie, jakby była ze szkła.

– Tak po prostu? To nie ma sensu.

– Mal, punca zabija to, co kochasz. – Uniósł puncę, bym mogła jej się przyjrzeć. – Gdybym teraz wziął puncę i skorzystał z jej mocy, poświęciłbym cię.

Wydałam z siebie ciche westchnienie, łapiąc jego rękę.

– Czyli mnie kochasz? – wyszeptalam. Gdyby nie poparzenia, na moich policzkach rumieniłyby mi się skóra.

Zaśmiał się i trochę rozluźnił.

– Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Mnóstwo. – Poglądziłam jego policzek. – Tym bardziej że nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Kocham cię, Mal. Bardzo mocno. – Odwzajemnił pieśczętę, łaskocząc mnie po wnętrzu mojej dłoni. – Tak mocno, że wolałam umrzeć, niż narazić cię na niebezpieczeństwo.

Resztką wątpliwych sił zmusiłam się, by nie uśmiechać się szerzej. Mój Julian, mój Despota, był tu ze mną. I mówił, że kocha. Czy nie tego właśnie chciałam? Czy nie o to walczyłam? Więc dlaczego niepokój, który czułam od wielu dni, nadal utrzymywał się na granicy moich myśli?

– I dlatego, że mnie kochasz, nie możesz odbijać mocy innych?

– Tak właśnie jest – westchnął, kiwając głową.

– A jednak nadal masz moc – stwierdziłam, dotykając jego szyi.

– Jak to? – zdziwił się, mrużąc przy tym oczy.

– Tak szybko się zregenerowałaś... – Wodziłam palcem po jego twarzy. – Wyglądasz, jakbyś nigdy nie płonął żywcem.

– To osobnicza cecha, niezależna od mojej mocy odbicia. Regeneruję się nad wyraz szybko.

– Dlatego nie masz żadnej blizny?

Kiwnął głową. Uśmiechnęłam się spokojna, że chociaż fizycznie nie stała mu się żadna krzywda.

– A czy wtedy, pierwszego dnia i później, w domku moich dziadków, gdy oczy zaszyły ci mrokiem, próbowałaś...

– Próbowałam użyć na tobie zaklęcia, tak. Chciałam cię jakoś uspokoić – dokończył za mnie. – Ale nie mogłam, nie pozwoliłaś mi na to.

– Tylko że ja nie kochałam cię pierwszego dnia.

– Jesteś pewna? – Mrugnął do mnie, a jego twarz rozpoznała się na kilka krótkich sekund. – To, co stało się wtedy, gdy odwoziłem cię do domu, przeraziło mnie do cna. Dnie i noce poszukiwałem odpowiedzi, dlaczego zwykła, przypadkowa dziewczyna zablokowała moje moce, powstrzymała najsilniejszego z silnych. I wtedy mnie olśniło. Musiałaś być jedną z nas. Dlatego zaprosiłem cię na kolację. Myślałem, że gdy cię poznam, dowiem się, czym jesteś, jaką masz moc, to ta blokada minie, jak chwilowa niedyspozycja. Lecz za każdym razem, gdy próbowałam...

– Za każdym razem? – zawahałam się, przerywając mu.

– Co noc, gdy spałaś w moich ramionach, szeptałam zaklęcia. A ty co noc uparcie je blokowałaś. Kto

by pomyślał, że taka wątła, chudziutka kobieta poskromi taką bestię. – Dotknął delikatnie moich ust.

– A wtedy, gdy nie wpuściłeś mnie do środka, co się wtedy działo? – dopytywałam o każdą tajemnicę, o każdy szczegół, którego nie pojmowałam.

– Odprawiałem rytuał, którego mogłabyś nie zrozumieć – szepnął. – W mieszkaniu było wtedy wielu z moich Insolitów.

– A jednozłotówka?

– Naprawdę cię nie doceniałem, Mal. – Julian cmoknął, kręcąc głową. – Jednozłotówka to taki mój magiczny GPS. Gdy była blisko, w twoim mieszkaniu, mogłem mieć cię na oku. Nie sądziłem, że aż tak cię zainteresuje.

– Czyli musiałeś wiedzieć, że nie ma mnie w mieszkaniu, gdy odeszłam stamtąd z Danielem?

– Ta okropna kreatura namieszała przy moim zaklęciu. Nie wiedziałem, że mnie szukasz, że rzuciłaś wszystko, by mnie ratować.

Westchnął i zamyślił się, patrząc w przestrzeń, jakby zobaczył tam ducha. Gładziłam wierzch jego dłoni, dodając mu otuchy. Trwaliśmy kilka minut w tej ciszy, gdy nagle w mojej głowie pojawiło się widmo starszej pani, leżącej bez życia na zakrwawionej podłodze.

– Jest coś, do czego muszę ci się przyznać, Julianie – przerwałam ciszę.

Spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę.

– Zabiłam panią Irenę.

– Wiem – powiedział spokojnie. – Bliźniacy mi powiedzieli.

– To było jedyne wyjście – szepnęłam, czując, jak pod powiekami zbierają mi się słone łzy. – Daniel ją torturował...

Julian przyłożył mi palec do ust, uciszając mnie.

– Nie płacz, Mal – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Zrobiłaś to, co słuszne.

– A Anka? Pozwolisz jej żyć?

– Córka reżysera? – zdziwił się.

Kiwnęłam głową.

– Dlaczego miałbym ją zabijać? Nie zagraża nam.

– Daniel mówił, że musi ją zabić... – nie dowierzałam, ściskając go za rękę. – Że ona zna wasz sekret.

– Daniel zwykł mówić wiele rzeczy, które nie miały pokrycia w rzeczywistości – stwierdził szorstko.

– Wiedziałaś od początku, że Anka to ich córka?

Potwierdził, mrużąc cicho.

– Obiecujesz, że nic jej nie grozi?

– Na pewno nie z naszej strony.

– A Olen?

Julian jęknął, wplatając palce w swoje włosy.

– Strasznie dużo tych pytań – stwierdził, patrząc na mnie. – Jesteś słaba, Mal.

– To już ostatnie, obiecuję – szepnęłam.

Julian zaśmiał się i wzdychając, pokiwał powoli głową.

– Czemu nie powiedziałeś mi, że masz własnego jelenia?

– Żebyś nie narobiła sobie nadziei. – Zaśmiał się, łaskocząc ponownie wnętrze mojej dłoni.

Odwzajemniłam uśmiech, żałując, że nie mogę go pocałować, że leżę poparzona, niezdolna do bliskości, której tak bardzo potrzebowałam.

– I co my teraz z tym wszystkim zrobimy? – zapytałam.

Pokręcił głową i wstał z łóżka.

– Teraz musisz odpoczywać, Mal.

– Nie zbywaj mnie tak! – zaprotestowałam.

– Mal, po tym wszystkim należy ci się odpoczynek – przerwał mi, nachylając się nade mną, i pocałował w czubek głowy, tuż przy linii włosów.

– Julian! – szepnęłam, wdychając jego słodki zapach.

Próbowałam przywołać go do siebie, lecz on nie słuchał. Odwrócił się plecami i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Epilog

Odwrócona grawitacja

Granice kolejnych dni zacierały się w mojej percepcji. Wieczór mieszał się z porankiem, a byt z nicością. Naprzemiennie budziłam się z przerażeniem i usypiałam z niechęcią, gdy Julian poił moje żyły morfiną. Gdy spałam, zmieniał opatrunki, smarował rany i obmywał ciało wilgotnymi ręcznikami. Gdy byłam świadoma, siadał tuż obok, uśmiechał się i milczał, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa.

– Czemu milczysz? – pytałam, bełkocząc, a język plątał mi się od leków. Julian mrugał, sprawiając, że nie wiedziałam już, czy może po prostu jest wytworem mojej wyobraźni, czy rzeczywiście istnieje. Szturczałam go wtedy palcem, aby się upewnić, że nie jest fatamorganą. Za każdym razem coraz mocniej czując, że odzyskuję siły. Lecz on nie reagował.

– Musisz odpoczywać – szeptał tylko, sięgając po kolejną strzykawkę.

– Dość już morfiny! – błagałam, chcąc zacząć czuć, choćby miał być to ból.

Stanowczym ruchem przytrzymał jednak moje szarpiące się ręce i delikatnie, z niezwykłą wprawą aplikował mi przezroczysty płyn, a ja po kilkunastu minutach odpływałam w niebyt.

Nadszedł jednak dzień, gdy obudziłam się bez mętliku w głowie. Jasność wczesnego poranka zawitała do sypialni, miękkim światłem pieścąc wzrok. Przykryta cienkim prześcieradłem, poruszyłam delikatnie nogami i rękami, które zdawały się odzyskać wigor, a potem po prostu usiadłam na skraju łóżka. Mrowiące uczucie w czubkach palców dało mi znać, że dotknęłam nimi drewnianej podłogi. Przytrzymując się ramy łóżka, stanęłam, czując, jak pod ciężarem ciała uginają mi się kolana. Mięśnie jednak przypomniały sobie dryl i po kilku minutach stałam już całkiem pewnie, nie musząc podierać się rękami o pobliskie meble.

Zachęcona wzbierającą we mnie siłą, owinęłam się prześcieradłem pobrudzonym od lepkich maści Juliana i powędrowałam do łazienki, prosto do wielkiej tafli lustra. Zrzuciłam z siebie materiał i zaniemówiłam. Moja skóra pokryta była buroczerwoną mazią, kolorem łudząco podobną do błota. Maż ta wgryzała się w ogromne strupy na nogach, brzuchu i rękach, barwiła moją bladą skórę. Miałam ją wszędzie: we włosach, na twarzy, pomiędzy palcami. Błotny, pokraczny, wychudzony potwór stał przede mną, twarz przyozdobioną miał strachem i niedowierzaniem. Bez namysłu skierowałam się prosto pod prysznic.

Gdy chłodna woda spłynęła na moje ramiona, znów poczułam, że żyję. Skóra nie bolała, czułam jedynie delikatne mrowienie odrętwiałego długim leżeniem ciała, a rany w niezrozumiały dla mnie sposób zasklepiały się o wiele za szybko. Wraz z wodą, strużkami po moim ciele płynęła brunatna maż, krwista i gęsta, odsłaniając prawdziwy kolor skóry i włosów. Domywałam ją spod pach i z pachwin, spod kolan i zza uszu. Brodziłam w błocie, które gęstniało u moich stóp, nie mogąc przedostać się do odpływu. Mieszałam w nim palcami, by rozwodniło się i zniknęło w rurach. Kawałki odklejonych z mojego ciała strupów rozgniatałam na miazgę i puszczałam wolno.

Gdy skończyłam, delikatnie wytarłam całe ciało miękkim ręcznikiem wiszącym obok prysznica i ponownie stanęłam przed lustrem. Zamrugałam zdziwiona, nie wierząc własnym oczom. Po ostrych liźnięciach płomieni pozostało na mojej skórze tylko kilka jaśniejszych przebarwień. Żadnych blizn, żadnych otwartych, jątrzących się ran. Delikatnie zaróżowiona twarz wyglądała tak jak dawniej. Przeniosłam uwagę na resztę ciała. Zarówno rany po zębach jednego z wilczurów na moim ramieniu, jak i rana na udzie zszyte były aż nadto profesjonalnie, cieniutkimi, niebieskawymi nitkami z glikonatu, specjalistycznym szwem śródskórnym.

Odwrociłam się od lustra i wyszłam do sypialni. Zarzuciłam na siebie leżącą na szafce koszulkę Juliana, która sięgała mi do połowy uda, tę samą, którą jeszcze tak niedawno próbował ze mnie usilnie ściągać, i ruszyłam do salonu, otwierając z impetem drzwi.

Nie wiem, kto zdziwił się bardziej – ja czy stojący w salonie Insolici. Gdy tak wparowałam do salonu, ubrana w kusą męską koszulkę, z mokrymi, roztrzepanymi włosami, wpadłam na bliźniaków, których spotkałam wcześniej w mieszkaniu pani Ireny. Stali zwrócenii w stronę kuchni i jadalni, lecz gdy usłyszeli hałas otwieranych drzwi, jeden z nich odwrócił głowę, otwierając szeroko oczy. Zachwiałam się, odbijając od jęgo pleców, i upadłam na podłogę.

Kurwa – przekleństwo pojawiło się w moich myślach samoistnie. – Uważaj na siebie, dziewczyno!

Uniosłam głowę w poszukiwaniu Juliana. Stał w rogu pokoju, przy stole, otoczony grupą Insolitów, zawzięcie o czymś debatując, jednak na dźwięk upadku wszyscy spojrzeli prosto na mnie.

– Co powiedziałaś? – Julian zmarszczył brwi i ruszył w moją stronę.

– Nic. – Pokręciłam głową, rozmasowując łokieć. – Po prostu upadłam.

Mój ukochany pomógł mi wstać i przytrzymał mnie, upewniając się, że stoję mocno na nogach, po czym odsunął się ode mnie na odległość dwóch kroków.

– Nic ci się nie stało? – zapytał, zerkając na bliźniaków, stojących za moimi plecami.

Pokręciłam głową.

– Wróć do sypialni, proszę.

– Jestem głodna. – Ruszyłam w stronę kuchni, ignorując jego polecenie.

Złapał mnie za ramię trochę za mocno, zatrzymując w pół kroku.

– Przyniosę ci coś – warknął.

Zostaw! – huknęło mi w myślach, a ja, zupełnie niespodziewanie, wrywałam się z jego uchwytu. Zmierzył mnie wzrokiem zaskoczony, ręka zawisała mu w powietrzu.

– Jak to „zostaw”? – wyszeptał, a ja odpowiedziałam mu równie zdziwioną miną.

– Nie pójdę do pokoju – powiedziałam spokojnie, ignorując spojrzenia Insolitów. – Zjem coś tutaj, a potem porozmawiamy.

Julian westchnął i machnął na mężczyzn ręką.

– Wyjdźcie. Wszyscy. Dokończymy później.

Insolici stojący przy stołach zaczęli pakować rozłożone na blatach dokumenty. Bliźniacy przeszli koło nas i żegnając się z Julianem skinieniem głowy, wyszli z mieszkania. Kolejni mężczyźni podążyli ich śladami.

Gdy zostaliśmy sami, podeszłam do lodówki i wyciągnęłam z niej składniki na kanapki oraz sok pomarańczowy w szklanej karafce. Julian podążył za mną i usiadł na wysokim krześle barowym tuż przy blacie, na którym kroiłam chleb. Przyglądał mi się uważnie, studiując każdy mój ruch, każde mrugnięcie powiekami i każdy oddech.

– O co chodzi, Julian? – zapytałam, smarując ciemny chleb wegetariańską pastą na bazie hummusu. – Nie możesz dłużej milczeć, wiesz o tym?

– Wiem, Mal. – Pokiwał głową, pocierając otwartą dłońią swój kark. – Porozmawiamy. Ale najpierw zjedz.

– Mogę jeść i słuchać. – Uśmiechnęłam się do niego, próbując choć troszeczkę rozluźnić napięcie, które rosło między nami z każdą kolejną sekundą.

– Nadal jesteś człowiekiem – powiedział, gdy wzięłam pierwszy kęs do ust, sadowiac się obok niego przy blacie kuchennym. – A ja nadal jestem *Kyrie*.

Zmarszczyłam brwi i przełknęłam kawałek kanapki, nie czując nawet jej smaku.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam, a mój żołądek skręcił się w supeł tak ciasny, że niewielki kęs jedzenia wywołał w nim rewolucję.

Zemdlilo mnie, z trudem powstrzymałam torsje. Odłożyłam kanapkę na talerz drżącą ręką.

– To, co się wydarzyło, nie powinno mieć miejsca – odparł, głaszcząc mnie po wierzchu dłoni.

– Ale się stało. – Wstałam i niewiele myśląc, podeszłam do niego. Wydawał się zaskoczony, gdy wtuliłam się w niego, przykładając twarz do jego klatki piersiowej. Objął mnie w pasie swoimi silnymi rękami tak delikatnie, jakbym miała się zaraz połamać. – I ja się bardzo się cieszę, że tak się stało.

– Mal, to niczego nie zmienia – szepnął, głaszcząc mnie po mokrych włosach. – Nigdy nie będziesz ze mną bezpieczna.

– Przestań... – jęknęłam. Moje palce wędrowały po zagłębieniach w jego obojczykach. – Nie pozwolę ci znów odejść.

Ujęłam w ręce jego twarz i pocałowałam go. Zaciśnął usta w niemym proteście, więc musnęłam górną wargę językiem, zmuszając go, by je rozchylił. Westchnął i wpuścił mnie do środka. Owionął mnie jego ciepły oddech, miękkość wnętrza ust zamroczyła myśli. Odpowiedział mi w końcu naporem pocałunków, choć z początku trochę niechętnie. Przygryzał przy tym zębami moje wargi, wdzierając się językiem do środka, przytrzymując mi tył głowy swoją dłonią.

Na chwilę oboje zapomnieliśmy o reszcie świata. Całował mnie, jakbyśmy byli jednym, spijał

z moich warg wilgoć, ssał je natarczywie, a ja nie byłam mu dłużna, nasze języki tańczyły dziki taniec, nieposkromione, stęsknione. Ręce Juliana wędrowały po moich plecach, zsunęły się na biodra, a później na półnagie pośladki, zatopił w nich swoje palce. Owinęłam go nogami w pasie, chcąc być bliżej, a on przyjął mój ciężar z nieukrywaną nabrzmiałością.

NIE!

Nagła siła wydożyła się wprost z moich trzewi i odciągnęła mnie od Juliana tak niespodziewanie, że oboje runęliśmy na podłogę, lądując na plecach, każde z nas w przeciwnych stronach pokoju. Leżąc tak, patrzyliśmy się na siebie okrągłymi z przerażenia oczami.

– Nic ci nie jest? – Julian wstał jako pierwszy, podbiegł do mnie i podniósł z podłogi.

Pokręciłam głową, poprawiając koszulkę.

– Co się stało? – Przyłgnęłam do niego przestraszona. Jego serce waliło równie mocno, jak moje.

– Ty mi powiedz. – Poglądził mnie po policzku, odgarniając mi włosy z twarzy. – Nie ja to zrobiłem.

– To się po prostu pojawiło. Poczulałam szarpnięcie, tutaj, w okolicy dolnych żeber. – Położyłam jego dłoń w miejscu, gdzie wezbrało się we mnie to dziwne uczucie. – I po prostu odrzuciło mnie od ciebie. To było jak grawitacja, tylko na odwrót. Opychanie.

Julian delikatnie odsunął mnie od siebie i chwycił za nadgarstki, odkręcając ręce tak, by widzieć wnętrze dłoni i przedramion. Zaczął szeptać zaklęcia, a mój oddech przyspieszał z jego każdym kolejnym słowem, gdy widziałam, jak kolor żył zmienia mi się z ledwie widocznego niebieskiego na złoty, z jasną poświatą, a skóra ciemnieje. Spojrzałam na niego, ciekawość mieszała się ze strachem. Czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do tego, że wciąż czegoś nie rozumiem?

Gdy skończył swoje inkantacje, moje ręce wróciły do swojej normalnej postaci, a Julian przyciągnął mnie do siebie tak mocno, jak tylko pozwalały mu na to jego mięśnie.

– Czyli nie jestem już człowiekiem? – szepnęłam i choć nie rozumiałam tego, co się zaszło, szybko zrozumiałam, że ta siła, która pojawiła się we mnie, była tym, dzięki czemu mogliśmy pozostać razem. Zamknął oczy i westchnął głośno, przykładając swoje czoło do mojego.

– Co ja mam teraz z tobą zrobić, Mal?

Ucałowałam go uradowana, delikatnie muskając koniuszkiem języka jego wargi.

– Kochać?

Uśmiechnął się, lecz po chwili spoważniał.

– To nie są żarty, Mal. Otrzymałaś od Daniela moc, która nigdy nie była ci pisana.

– Od Daniela...? – powtórzyłam.

– Gdy stanął pomiędzy tobą a Leną, punca w niezrozumiały jeszcze dla mnie sposób musiała umieścić część jego mocy w tobie. Dziwię się, że twoje ciało wytrzymuje takie obciążenie.

– Nic mi nie jest, Julianie – zapewniłam go. – Czuję się dobrze.

– Takie rzeczy się nie zdarzają – szepnął, opierając swoją głowę na moim ramieniu.

– Ale się zdarzyły – uśmiechnięta powiedziałam mu cicho do ucha. – Przyjmijmy to i żyjmy dalej.

Razem.

– Nie wiemy, co ta moc może ci zrobić. – Julian wyprostował się, twarz miał umęczoną, poszarzałą od zmartwień.

– Dopóki jesteśmy razem, nic mi nie będzie. – Przytuliłam go i pocałowałam, czując, jak z każdą sekundą, gdy trzymał mnie w ramionach, rozluźnia się i uspokaja. – Widzisz, ty po prostu mnie potrzebujesz. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla nas obojga.

Uśmiechnął się, całując moje policzki.

– Zostaniesz ze mną? – zapytał, jakby nie dowierzał.

– Ja nigdy nie odeszłam – odpowiedziałam mu.

Ja też nigdy nie odszedłem. Cichy głos w mojej głowie przeszył mnie na wskroś. Odrzuciłam go jednak od siebie, uznając za pozostałość po morfinistycznych majakach. Liczyliśmy się tylko my – Julian i ja. I przyszłość, która przynieść miała same niespodzianki.

